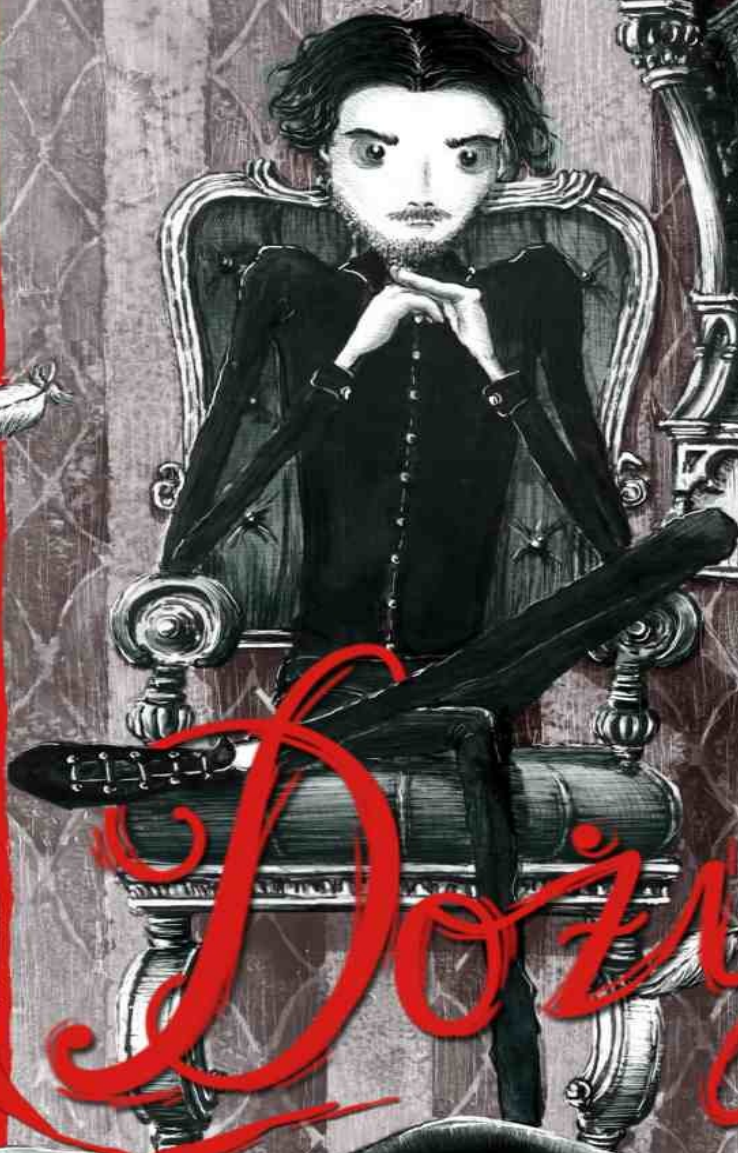


MARTA KISIEL



Dożywocie



Marta Kisiel

DOŻYWCIE



Copyright © by Marta Kisiel, MMXV.

Wydanie I

Warszawa, MMXV

Spis treści

[Dedykacja](#)

[1. Dożywocie](#)

[2. Upadły anioł, różowy królik](#)

[3. Ujma na horrorze](#)

[4. Cierpienie i wielokropki](#)

[5. Mroczna tajemnica Rudolfa Valentino](#)

Przerudości – za najlepsze muzowanie pod słońcem
Temu Trollu – za ciachowość wszechstronną, całodobową
i Wapierzowi – bynajmniej nie za karę

1. Dożywocie

Wszystko było nie tak.

Siła wyższa, bez uprawnień kierująca światem, postanowiła udowodnić, że dysponuje niekończącymi się pokładami czystej, małej złośliwości. Najpierw w cudowny sposób rozmnożyła bagaże, zaopatrując ich właściciela w ubrania na dowolną porę roku i okazję, łącznie z balem debutantów i kolejną powodzią stulecia. Tak na wszelki wypadek. Nie zapomniała też o zestawie naczyń stołowych, karbidówce, środkach higieny mniej lub bardziej osobistej, dmuchanym materacu i wielu, naprawdę wielu absolutnie niezbędnych rzeczach. Bez wątplenia siła była kobietą, i to nad wyraz zaradną.

Rozochocona pierwszym sukcesem, w jakiś sposób unieruchomiła na amen blokadę skrzyni biegów w tico. Dopiero wezwany na pomoc syn sąsiada zdołał przetrząść dźwignię ze wstecznego na luz, a w tym czasie etui z okularami przeciwsłonecznymi, nieodzownymi w upalny, sierpniowy poranek, za sprawą siły zawędrowało pod siedzenie kierowcy. Także korek na trasie wylotowej z miasta, którą w końcu ruszył załadowany aż po dach samochodzik, był jej zasługą, podobnie jak atrakcje uprzyjemniające dalszą jazdę. Ot, kilka kontroli radarowych, peletony półgłuchych rowerzystów i bezstresowo hodowane, hasające po szosie krowy. I wreszcie we wczesnych godzinach popołudniowych, na pustej, leśnej drodze siła zebrała się w sobie, wyteżyła i popsuła coś. Nieważne co, ważne, że skutecznie. Tico jęknęło, stęknęło i umarło.

Cedząc pod elegancko przystrzyżonym wąsem równie eleganckie przekleństwa, Konrad włączył awaryjne i wygrzebał się z enklawy wolnej przestrzeni między kierownicą, oparciem fotela i wszechobecnymi bagażami. Znał się na samochodowych bebechach gorzej niż kura na pieprzu, dlatego nie zajrzał nawet pod maskę, tylko od razu przepchnął tico na pobocze. Komórkę mógł spokojnie wyłączyć albo zakopać w malinowym chruśniaku, bo na tym odludziu zasięgu, rzecz jasna, nie było.

Rozejrzał się z rezygnacją. Ani żywej duszy. Wedle znaku, który stał przy drodze, do celu zostały mu jeszcze marne dwa kilometry. Mapa, jedna z tych niemożliwych do złożenia, twierdziła, że najbliższa miejscowość znajduje się o szerokość kciuka na północny wschód. Nic to Konradowi nie mówiło, bo o kartografii miał pojęcie równie słabe co o mechanice, ale musiał podjąć jakąś decyzję. Wydobył więc plecak spod sterty pakunków, zamknął

samochód i ruszył przed siebie, gotów przejść zabójczą odległość na własnych, osobistych nogach.

W zaistniałych okolicznościach kontemplacja krajobrazu wydawała się jedyną w miarę rozsądną, energooszczędną rozrywką. Na lewo – las. Na prawo – też las, liściasty, sądząc po liściach. Pośrodku – rozgrzany asfalt, piąty żywioł współczesnego świata. Wreszcie coś znajomego i przyjaznego cywilizowanemu człowiekowi. A Konrad był wszak rdzennym mieszczuchem, wychowanym w kulturze betonu, plastiku i ruchomych schodów. Zwykle obcował z przyrodą za pośrednictwem kanałów Animal Planet i National Geographic. Mógł godzinami rozprawiać o zwyczajach godowych surykatek albo jeziorach kraterowych, ale jedynym gatunkiem drzewa, który rozpoznawał, była wierzba, koniecznie płacząca, a za naturalne środowisko podgrzybków uważał słoiczek. Miał za to komórkę z aparatem fotograficznym, odtwarzacz mp3, laptopa i elektryczną szczoteczkę do zębów, czyli wszystko, czego potrzebował prawdziwy mężczyzna w prawdziwej dzicy.

Po półgodzinie marszu dotarł do rozstajów. Rozmiękła szosa skręcała szerokim łukiem w lewo, z prawej zaś, nieco ukryta między nad wyraz bujnymi chabaziami, zaczynała się piaszczysta ścieżka przez las. Spomiędzy zarastających rów chaszczы sterczało coś na kształt rozsypującego się drogowskazu. Po napisie zostało już tylko wyblakłe na słońcu wspomnienie, lecz poniżej jakaś litościwa ręka wydlubała strzałkę w prawo.

Spocony wędrowiec westchnął zatem i zniknął w cieniu nieznanых drzew. Piasek i kamyczki natychmiast przylepiły mu się do usmarowanych asfaltem podszew.

Wszystko było nie tak, a nawet gorzej. Gdyby ktokolwiek mógł usłyszeć chichot siły wyższej, uznałby z pewnością, że jest to chichot nad wyraz złośliwy.

Na końcu ścieżki, między drzewami stał dom. Jego dom. Dom, który jeszcze minutę temu Konrad Romańczuk, niczym jaśnie panna dziedziczka ruszająca, by objąć włości, wyobrażał sobie jako bez mała perłę w koronie, godną co najmniej Kinga – ha! gdzie tam Kinga! Hemingwaya! – pisarską pustelnię w wersji *deluxe*, najlepiej tak bardzo *deluxe*, żeby na sam jej widok Majce mina szczęła, żeby ją zazdrość zezarła na surowo... Dom. Ceglany, ani za duży, ani za mały, ot, w sam raz dla jednej rodziny, z werandą, koślawą przybudówką i... wieżyczką. Upiorną, gotycką

wieczyczką rodem z kiepskich filmów grozy. Do kompletu brakowało tylko pełni, stada nietoperzy i zasnutego mgłą cementarzyska. Siła wyższa tryumfowała, a Konrad usiłował wyjść z osłupienia. Bezskutecznie.

– Panie! – ryknęło mu naraz do ucha.

Aż podskoczył, jakby go kto dźgnął w pośladek rozpalonym do czerwoności sztyłem.

– No, bo już myślałem, żeś pan udaru dostał czy coś. Upał na dupa, co nie?

– Przepraszam, na co...?

– Na dupa. A pan co żeś myślał?

Dzikie stado wątpliwości rzuciło się z pazurami na duszę Konrada. Uśmiechający się do niego z wielką życzliwością mężczyzna wyglądał jak pełnotłusta parodia miss mokrego podkoszulka.

– Turysta, co? – Pokręcił głową. – Że też się ludziom w taki upał chce drałować...

– Nie, nie turysta, samochód mi się zepsuł – wyjaśnił pośpiesznie Konrad.

– Przepraszam bardzo – sięgnął do kieszonki na piersi – czy to coś... znaczy, ta maskara... znaczy, ten dom – zerknął na pomietą karteczkę – to może Lichotka?

– A pewnie, że Lichotka. Drugiej takiej ze świecą pan szukaj, a nie znajdziesz.

– Nie śmiem wątpić...

– Aaa, no jasne! – zakrzyknął wyraźnie rozpromieniony mężczyzna. – Pan pewnie z dożywociem?

– Eee... A tak, z dożywociem, tak. Konrad Romańczuk, nowy właściciel tego... budynku.

– Szymon Kusy, powitać, powitać. – Pan z podkoszulkiem chwycił pana z dożywociem za dłoń i zatelepał nim, aż miło. – No, nareszcie! Już się baliśmy, że te adwokaty nigdy spod papierków nie wyleżą i nam dożywotnika nie znajdą. Tyle czasu po sądach się włóczyć, kto to widział? A pan bez bagaży? Nie zostajesz pan?

– Ależ skąd, bagaży mam całe mnóstwo. W samochodzie.

– Ach, jasne, w tym zepsutym! No sam pan widzi, jak człowiek ma za wiele na głowie, to mu się myśli szybko gubią. Pan poczeka, pojedziemy, zobaczymy, co się stało. Opona może...?

– Nie, opony całe. Coś w środku, nie znam się na tym.

– Nie szkodzi, damy radę, panie Romańczuk, co mamy nie dać?

Chwilę później trzęśli się nagrzanym jak piekarnik, wiekowym

polonezem w stronę szosy. Szymon tryskał potem, optymizmem oraz przemyśleniami.

– ...szczęście, że pan jeden do spadku został, urzędasy kombinować długo nie musiały, komu się Lichotka należy. Bo jak nic by to ciągli i ciągli, aż by się wszystko w diabły zawaliło. A Lichotka swoje lata już ma, dbać o nią trzeba, tu gwóźdź wbić, tam deskę wymienić... Nie żeby zaraz rudera, o nie! Charakterny domek, z klasą. A teraz! Teraz to się inaczej buduje. Siedzi gryziپیórek, nabazgrze coś i nie ma zmiłuj, niczego zmienić nie pozwoli. A Lichotkę to jeszcze sam świętej pamięci pan Wincenty stawiał, pański praprapra... dziad chyba jakiś albo co, sam nie wiem, jak to tam u was z pokrewieństwem. No, w każdym razie on to budował własnymi rękami, cegła po cegle, i nikt nawet nie pomyślał, żeby choć słówko wtrącić. Ale to dawno temu było, co prawda, to prawda. Wiesz pan, ile ona ma już lat? Dwieście! Głaz by się duszy przez ten czas zdążył dorobić, tradycją jak mchem porosnąć, a co dopiero dom! O, to pewnie pański?

Wykręcił i zatrzymał się tuż przed umarłym tico. Po krótkiej burzy mózgów, uznawszy, że nie ma się co bawić w przydrożny autoserwis, wzięli go na hol i zawlekli przed dom.

Drugie, znacznie już bliższe spotkanie z cudem architektury gotyckiej przysporzyło Konradowi wielu nowych wrażeń. Taszczył bagaże do holu, rozglądając się wokół z dziwną mieszanką ciekawości, paniki i obrzydzenia. Nie mieściło mu się w światopoglądzie, że praprapra... daleki przodek mógł z własnej i nieprzymuszonej woli postawić coś równie kuriozalnego i jeszcze nazwać to Lichotką. Niemal widział watahy zzerających ją korników. Podłogi, boazeria, framugi, ramy okienne, kręte schody, meble o wartości już chyba tylko muzealnej – wszystko drewniane, wiekowe i bardzo stylowe. Rzeźbione w drewnie detale, kwiatki, listki, łożyki, rozety i łuki występowały w ilościach hurtowych. Całość wyglądała jak gotycki szal ciał i uprząży, spełniony sen szalonego stolarza, a na domiar złego cierpiała niedostatki nie tylko szeroko pojmowanej urody, ale również kondycji, mocno nadgryzionej spróchniałym zębem czasu, gdyż chodnik w holu składał się przeważnie z dziur, kinkiety na ścianach trzymały się na słowo honoru, zaś w drzwiach wejściowych zamiast zamka był zwykły skobel.

Podczas gdy Szymon szukał czegoś w przybudówce, Konrad krążył od samochodu do domu i z powrotem, taszcząc kolejne bagaże i licząc w myślach, ile wyniesie chociaż podstawowy remont parteru. Ciągłe mu wychodziły straszne sumy, dlatego coraz bardziej utwierdzał się

w przekonaniu, że nic gorszego niż ten spadek nie mogło go spotkać... Chociaż nie, mogło – uznał pośpiesznie, gdy nagle, z prędkością błyskawicy przemknęła mu przed oczyma wizja Majki stawiającej czoła rozpasanemu gotykowi. Majki marszczącej starannie wyskubane brwi, wyrażającej niezadowolenie w elegancko cedzonych słowach, Majki Świeckiej Słusznej Jedynej, Majki Boleściwej Potępienia Pełnej, Majki Myślącej o Przyszłości, Majki po Ziemi Twardo Stąpającej, Majki, o której pamiętać wcale nie chciał i więcej nie zamierzał, Majki, którą przecież zostawił daleko za sobą, w mieście... I za którą tęsknił jak wariat – wbrew sobie, zdrowemu rozsądkowi i koniunkcji planet.

Zaklął pod nosem, odpędzając natrętne i nieprzyjemnie swędzące wspomnienia. Tak czy siak, musiał z tą rudera coś zrobić, tylko nie wiedział jeszcze co – wyremontować i zatrzymać, wyremontować i sprzedać czy może jednak od razu podpalić i na wszelki wypadek zrównać z ziemią...

Siła wyższa była z siebie bardzo zadowolona, widząc jego markotniejącą minę, postanowiła jednak postawić jeszcze wielką kropkę nad i.

Ze stosu usypanego pośrodku holu sturlały się trzy rolki papieru toaletowego i wpadły prosto pod głęboką komodę, powiewając na pożegnanie nadrukiem w stokrotki.

– Ręce opadają... – westchnął Konrad. – Jakby mi gimnastyki brakowało.

Kłęknął ostrożnie, by sięgnąć pod mebel, i dopiero, niemal dotykając nosem podłogi, zauważył, że nigdzie nie ma ani grama kurzu. Żadnych kotów, żadnych pajęczyn. Nie tego się spodziewał po starym, dziwacznym domu na odludziu. Majka i jej pedanteria byłyby wniebowzięte...

Zanim zdążył się sam ochrzanić za tę ostatnią myśl, za plecami usłyszał ciche kichnięcie.

– Na zdrowie. – Wreszcie złapał niesforne rolki i podniósł się z klęczek. – Czyścioch z pana, panie Ku...

– Apsik – kichnął ponownie stojący na schodach anioł.

Konrad nie miał już żadnych złych przeczuć ani wątpliwości. To one miały jego.

Pociągająca nosem istota bezsprzecznie była aniołem. W obszernym, długim za kolano T-shircie z Garfieldem, bamboszach i z najprawdziwszymi, porośniętymi jasnym, miękkim puchem skrzydłami. Jego długie włosy, przypominające pocięty na cieniutkie paski celofan, migotały w świetle dnia, otaczając postać delikatną aurą.

Anioł jak w mordę strzelił, przemknęło osłupiałemu Konradowi przez myśl. Ale aniołów nie ma. Anioły są tylko na obrazkach z podpisem „Pamiętka Chrztu Świętego”, pocztówkach i nagrobkach albo w książkach dla dzieci, a nie w dziwacznych, gotyckich domach z wieżyczką. Bo w dziwacznych, gotyckich domach z wieżyczką – myśli galopowały dalej – mieszkają wampiry, duchy, wielkie pająki i nietoperze, nietoperze w straszliwych ilościach.

Ale nie anioły.

Aniołów nie ma.

– Apsik. Dzień dobry – przywitał się anioł, którego nie było. Odrobina puchu wzbija się nad nim w powietrze.

Człowiek z papierem toaletowym w objęciach nie mógł oderwać wzroku od zasmarkanego wysłannika niebios, podczas gdy w jego duszy hordy sprzecznych emocji toczyły zażarty bój. Na domiar złego z zakamarków pamięci przypałało się widmo wieszca i spiżowym głosem zaczęło powtarzać: „Szkiełko i oko! Szkiełko i oko!”. Wobec tego zdrowy rozsądek złożył rezygnację, uznawszy, że dwie wizje naraz przerastają jego skromne możliwości, a Konrad został sam na sam z wewnętrznym chaosem.

Wielki, stary zegar w kącie wybił czwartą po południu. Równy z ostatnim „bom” w drzwiach wejściowych pojawił się usmarowany brudnąwą mazią Kusy.

– Będzie żył ten pański samochodzik! Ot, zerwany pasek rozrządu, a tyle zamieszania narobił. Trzeba zamówić nowy i założyć, szczęście, że głowica i zawory wytrzymały, bo wtedy nie obyłyby się bez mechanika... A co was tak wryło? Licho – zwrócił się do anioła – poznaj pana Romańczuka, nowego właściciela. Panie Romańczuk, to jest Licho. Anioł stróż świętej pamięci pana Wincentego, znaczy się, budowniczego i pierwszego właściciela domu, lokator z najdłuższym stażem – wyjaśnił. – Pan Wincenty specjalnie dla niego zbudował wieżyczkę, bo Licho chciało z wysoka widoczki oglądać. Prawda, Licho, że chciałoś?

Licho przytaknęło grzecznie i wytarło cieknący nos w haftowaną chusteczkę.

– Znaczy... – wykrztusił Konrad – t-to jest lokator? Ten, o którym mowa w t-testamencie?

– No... w zasadzie tak.

– Myślałem, że chodziło o pana!

– Ależ skąd – roześmiał się Szymon. – Ja dojeżdżający jestem, tylko doglądam. Wie pan, taka złota rączka, co to naprawi, przyklei, gwoździa

wbije. Dwadzieścia prawie lat już tu pracuję. A jak się pańskiemu poprzednikowi zmarło na wiosnę, to się i niebożatkami zająłem, soczki im przywoziłem, gazety, bo się tak sami nudzili.

– Chusteczki wyszły – pisnęło Licho. – I odkamieniacz też, a gąbka się podarła. Alleluja.

– Się, się... To się dzisiaj podartą umyjecie, a jutro wam nową przywiozę, dobrze? Idź, sprawdź w spiżarce, czy jeszcze słonecznik macie. I niech Krakers odda butelki po mleku! – krzyknął za człapiącym w stronę kuchni Lichem. – Zawsze zapomina, a ja się potem muszę w sklepie tłumaczyć.

– Tłumaczyć? – Konrad odzyskał wreszcie pełną kontrolę nad krtanią. – Tłumaczyć?! Teraz mi się pan będzie tłumaczyć! W testamencie nie było ani słowa o jakichś... jakichś Lichach i Krakersach! Co, u licha... tfu, do diabła, ma to wszystko znaczyć?!

– Jak nie było, jak było? – Kusy z pobłażaniem pokręcił głową. – Pisało przecież, że dom z dożywociem, prawda?

– Ale nie pisało, znaczy, nie było napisane, że z aniołami!

– A co panu jeden anioł szkodzi? Grzeczny, spokojny, pomocny, czyściutki, tylko by prał i pucował. Czyścioch, że hej! Zużywa sporo chusteczek higienicznych, bo ciągle ma katar, ale za to wszystkiego upilnuje. Żeby się panu krzywda nie stała, żeby żadne nieszczęście na dom nie spadło, żeby się myszy nie zaległy. Bez Licha nie byłoby Lichotki, panie Romańczuk. – Poklepał go uspokajająco po ramieniu. – Wziąłeś pan spadek z dożywociem? No to masz. Anioł stróż to prawdziwe dobrodziejstwo. A i reszta nie gorsza, możesz mi pan wierzyć na słowo. Przyzwyczajysz się pan w try-mi-ga! No!

Licho wróciło z kuchni z siatką pustych butelek i patrzyło z pewnym niepokojem, jak osłupiały Konrad na przemian to błędnie, to czerwienieje, niebezpiecznie balansując na granicy pierwszego zawału w wieku trzydziestu dwóch lat. Wreszcie się odezwało.

– Krakers mówi, że słonecznika zostało dużo, ale mógłby pan kupić biszkopty, bo będzie w sobotę robił *tiramisu*.

– Okrągłe czy podłużne?

– Podłużne, alleluja. Tak ze cztery paczki. I przydałoby się gorzkie kakao, bo do tego pudełka, co leżało w szafce, wczoraj dostała się Zmora.

– Jaka. Znowu. Zmora...? – wydusił przez zaciśnięte zęby Romańczuk.

– Kotka – odrzekł anioł. – Bardzo miła, tylko czasem gryzie. Ale niezbyt mocno.

– A ten, jak mu tam... Krakers?

– Krakersem się proszę nie przejmować, on w ogóle nie wychodzi... no, z piwnicy. – Znów kichnął, wzniecając wokół siebie nową chmurkę pierza. – Robi pyszne faworki, palce lizać – dodał trochę jakby na usprawiedliwienie.

– No i sam pan widzi – rzekł Kusy. Wziął od anioła siatkę i karteczkę z listą zakupów. – Nikt tak nie zna domu jak Licho. Oprowadzi pana, wszystko pokaże, opowie, wyjaśni. A na mnie już czas. Pojadę jeszcze do spożywczego, potem zamówię pasek, może gdzieś po niedzieli samochodzik naprawimy. No i do własnego domu też trzeba, do szanownej małżonki zajrzeć chociaż.

– Jak... jak to? Nie wróci pan z zakupami? – spłoszył się Konrad. Co prawda był w zasadzie pewien, że anioły w bamboszkach raczej nie gryzą, kręgosłupów gardłem też nie wrywają, ale to „w zasadzie” i „raczej” trochę go jednak niepokoiło. Bo w końcu co on znowu takiego wiedział o aniołach? Oprócz tego, że nie istnieją, rzecz jasna. – Przecież jeszcze wcześniej, chyba pan zdąży...

Pucułowata, spocona twarz Kusego stężała i zbladła w okamgnieniu, jakby ktoś odessał z niej rumieńce.

– O nie, co to, to nie – pokręcił stanowczo głową – dziś już nie, dopiero rano. Zanim dojadę do miasteczka, zanim wszystko załatwię, będzie wieczór. A ja, wie pan... – zniżył głos do nerwowego szeptu – ...ja tu po zmroku nigdy nie zostaję, nie z tym... tym... Nigdy! Choćby się waliło i paliło. No, to dobrej nocy i do jutra, panie Romańczuk! – zakrzyknął i popędził świńskim truchtem do poloneza, jakby go sam czort gonił.

Jeszcze nigdy w życiu Konrad nie czuł się równie bezradny. Gotycka rozpusta, zasmarkany anioł stróż i tajemniczy Krakery z *tiramisu* na dokładkę to było dla niego zdecydowanie zbyt wiele jak na jeden dzień, a już na pewno po nieustającym trzęsieniu ziemi ostatnich paru miesięcy. Przytulił papier toaletowy do piersi niczym magiczny artefakt, który ochroni go przed złem wszelkiej proweniencji – zwłaszcza „tym... tym” wypełzającym po zmroku.

Doprawdy, najbliższe miesiące w Lichotce zapowiadały się ciekawie. Aż nazbyt, gdyby kto pytał.

Wniesienie bagaży na piętro zajęło im dobre dwa kwadransy. Kilka pakunków stoczyło się po stopniach, chrzęszcząc i pobrzękując, ale obyło się bez większych strat. Na dole zostały pudła z podstawowymi naczyniami, prowiantem na najbliższe dni i niesfornym papierem toaletowym.

Kręte schody prowadziły dalej w górę aż do wieżyczki Licha. Piętro, zgodnie z przyjętą przez lokatorów tradycją, pozostawało do wyłącznej dyspozycji właściciela domu. W powietrzu unosił się natrętny zapach cytrynowego płynu do mycia podłóg. Promienie słońca, które wpadały przez świetliki w dachu, rozpraszały panujący tu mrok i na końcu niewielkiego, acz ponurego korytarza Konrad zobaczył drzwi. Oczywiście skrzypnęły przy otwieraniu – cicho, lecz znacząco.

Pokój miał kształt wąskiego prostokąta. Niemal całą ścianę naprzeciw wejścia, od wysokiego sufitu aż po przykrytą dywanem podłogę, zajmowało dwuskrzydłowe okno, pod którym stał biedermeierowski sekretarzyk i także krzesło. Wszędzie wisiały obrazy, co do jednego oprawione w masywne, złożone ramy, na komódce tłoczyły się zegary i figuryнки, obok zaś zalegał chybotliwy stos książek. Na ten widok Konrada ogarnęło uczucie wręcz klaustrofobicznego dyskomfortu. Bał się, że jeśli zrobi choć krok, cała kolekcja dzieł sztuki runie i pogrzebie go na wieki.

– A tu, alleluja, jest pańska sypialnia – wyjaśniło grzecznie Licho i kichnąwszy trzykrotnie, pchnęło kolejne drzwi, jakimś cudem wciśnięte między landszaft z jeleniem na rykowisku a od dawna martwą naturę.

Coraz szczęśliwszy właściciel domu zajrzał z wahaniem do środka.

Jego oczom ukazało się nawet nie tyle łóżko czy łożo, ile potężne łożyszce. Składało się w głównej mierze z baldachimu, ciężkich kotar i sterty haftowanych poduszek, a wchodziło się na nie po schodkach. Już samo w sobie przypominało o chroniczną bezsenność. Wielka szafa, kominek, w którym paru chłopca z powodzeniem zatańczyłoby zbójnickiego, żeliwny żyrandol i przepastny fotel pod oknem dopełniały koszmarnego wystroju.

– Styl *terror gothic*, jak mniemam? – zapytał kąśliwie Konrad, zwolennik nowoczesnego minimalizmu, wodząc wzrokiem po tapecie rodem z domu pogrzebowego. Pocieszał się w duchu, że mogło być znacznie gorzej. Przynajmniej nie musiał spać w trumnie na katafalku, wśród gromnic i przy akompaniamencie posępnej muzyki organowej. No i miał całe to łożyszce tylko dla siebie... Nie, akurat ta myśl wcale nie była zbyt pocieszająca.

– Ładnie, prawda? – przytaknął całkowicie odporny na ironię anioł. – Bardzo przytulnie, apsik. Meble od paru dekad te same, a poszewki na poduszki panicz ciągle nowe haftuje.

– Eee... Panicz...?

– Uhm, panicz. Kiedy walczy z jesienno-zimowo-wiosenną chandrą. Latem robi sobie przerwę.

– Na dobry humor?

– Na konfitury. Z malin, borówek, czasami z wiśni... – Licho westchnęło z rozmarzeniem. – Oj, z wiśni są najlepsze. I gotuje kompot z mirabelek. A jak Szymon pigwówkę pędzi, to zawsze trochę owoców zostawia i wtedy panicz robi konfiturę do herbaty. Ale to dopiero w październiku, alleluja... – pociągnęło smętnie nosem, nie wiadomo, czy ze smutku, czy z kataru.

Konrad spojrzął na nie i przez chwilę zrobiło mu się jakoś tak cieplej na duszy. Zdjął plecak i rzucił na fotel, wciąż bezużyteczny telefon położył na parapecie. Nie miał innego wyjścia, musiał się na razie rozgościć w gotyckim dziwołagu.

– Jest tu gdzieś w pobliżu łazienka? – zapytał.

– Tam są drzwi, szafa je trochę zasłania. – Licho hałaśliwie wydmuchało nos w chusteczkę. – Przynieść panu ręcznik i mydło?

– Nie, dziękuję, wszystko zabrałem – rzucił przez ramię Konrad i nacisnął klamkę. Był ciekaw, jak też wygląda gotycka łazienka...

– Ze wsi jesteś? Puka się!

– Nie widzisz, że zajęte?

– Ratunku, zboczeniec!

– Spadaj, koleś, pókim dobry!

...ka. Nieduża, wyłożona kaflami, dość jasna i zajęta.

Zarumienione i bardzo przejęte Licho delikatnie posadziło zdębiałego Romańczuka na skraju łóżka, po czym wpadło do łazienki. Nie minęła minuta, kiedy ze środka wyszły potulnie cztery zielone, ociekające wodą i wyjątkowo pokracczne stwory o wyłupiastych oczach i usianej kurczajkami skórze. Wymamrotawszy przeprosiny, jeden za drugim brzydale powędrowały na swych patyczkowatych nóżkach na parter.

– Strasznie przepraszam! – zawołał anioł. Wydobył nie wiadomo skąd szczotkę i proszek, padł na kolana i wziął się do szorowania ufajdanej glonami wanny. – Naprawdę, to się więcej nie powtórzy. Apsik! Proszę mi wierzyć, nie w każdym wychodku siedzi demon, po prostu długo nikt z nami nie mieszkał. Z łazienki na dole korzystają wszyscy lokatorzy, w dodatku trochę w niej ciasno, więc utopce zagnieździły się tutaj. Już nie będą panu przeszkadzać, obiecuję. – Migiem starł kałuże z podłogi, psiknął odświeżaczem powietrza, a po krótkim wahaniu poprawił jeszcze krzywo zawieszony papier toaletowy. – No, alleluja, jakby pan czegoś potrzebował, proszę śmiało wołać. Pościel już przebrana, nic tylko się kłaść. Miłych snów, karaluchy pod poduchy! – Pomachał na do widzenia i wyszedł. Po chwili zajrzał z powrotem. – Znaczy, karaluchów tu nie ma – sprostował – mrówek

też nie, no, czasem na werandzie, ale wie pan, tak się tylko mówi. Alleluja i dobranoc.

Zegary w pokoju obok zaczęły chóralnie wybijać szóstą. Cała komódka zatrzęsa się, wprawione niespodziewanie w ruch figurynki zabrzęczały.

Konrad kiwał się w przód i w tył i pluł sobie w przyszywaną à la trzej muszkietierowie bródkę, że w ogóle dał się wciągnąć w tę całą hecę ze spadkiem. Nadesłane pocztą powiadomienie o śmierci dalekiego krewnego, którego nazwisko nic mu nie mówiło, przeczytał z obojętnością. By formalnościom stało się zadość, w wyznaczonym terminie przyszedł do sądu na ogłoszenie testamentu – wyszedł już jako osłupiały spadkobierca. Do spłacenia został niewielki dług, dom nie miał żadnych obciążeń hipotecznych, a zapis o dożywociu nie budził zastrzeżeń, niewiele zatem myśląc, Konrad załatwił, co trzeba, pozbył się, kogo trzeba, własne mieszkanie wynajął do końca roku koledze, zapakował się do tico i ruszył, zostawiając w mieście demony przeszłości, by objąć władzę na następnych parę miesięcy, a kto wie, może nawet nieco dłużej. Uwierzył w zrządzenie losu, w cudowne spełnienie marzeń o miejscu, w którym mógłby zapomnieć o Majce, jej pięknych oczach obserwujących świat z niezmiennym potępieniem i zestawie 365 praktycznych rad, wymagań i pretensji na każdy dzień roku, zastanowił się nad ciągiem dalszym własnych dziejów i w spokoju oddał się pracy nad Dziełem Życia – bez uciążliwych sąsiadów, bez tramwajów zatrzymujących się tuż pod oknami o każdej porze dnia i nocy, bez setek zaparkowanych byle jak i byle gdzie samochodów, bez codziennej dawki marudzenia, że niczym się nie interesuje i nigdy nie można na niego liczyć.

Zwłaszcza bez marudzenia.

Tak na dobrą sprawę dostał wszystko, czego chciał, nie przewidział tylko dodatku w postaci istot nadprzyrodzonych. I co miał teraz zrobić? Pójść do sądu i powiedzieć, że został zrobiony w konia, bo jeden z dożywotnich lokatorów gotyckiego maszkarona okazał się zasmarkanym aniołem, a w łazience mieszkają te, no, jak im tam było... o, utopce? Aż się roześmiał gorzko, wyobraziwszy sobie minę prokuratora czy sędziego słuchających takiej skargi. Sam by w ani jedno słowo nie uwierzył, przecież anioły i utopce nie istnieją...

– W co ja się najlepszego wpakowałem... – jęknął, łapiąc się za głowę.

Komórka od paru godzin nadaremnie szukała zasięgu, aż w końcu zaczęła sygnalizować, że ma słabą baterię. Przeraził go brzęczenie mogło z powodzeniem kruszyć plomby w zębach i natychmiast wyrwało Konrada

ze szponów czarnych myśli. Na wszelki wypadek uważnie rozejrzał się po kątach, czy gdzieś nie rozgościł się jeszcze jakiś tajemniczy stworek, i rozpoczął walkę z bagażami. Laptopa, drukarkę i ryzę papieru położył na sekretarzyku, markowe ciuchy i buty, udające byle co kupione byle gdzie, wcisnął do przepastnej szafy. Z braku stosownego mebla ustawił kilka ulubionych książek na parapecie. Przy okazji znalazł ładowarkę i podłączył piszczący telefon do kontaktu. Zanim zapadł zmrok, Konrad, wykąpany i zbyt zmęczony, by się dłużej cymkolwiek martwić albo pamiętać o straszliwym „tym... tym”, wcisnął się między poduszki i po prostu stracił przytomność.

Łoże nie zawiodło – koszmar był pierwszorzędny.

Zzieleniały, szczerze obsypany kurzajkami Szymon Kusy z wielkimi anielskimi skrzydłami siedział mu na piersiach i łyżeczka za łyżeczką wyżerał ze słoiczka wiśniowe konfitury, przegryzając słonymi krakersami. Z każdym kęsem stawał się coraz cięższy i cięższy. Konrad próbował zaczerpnąć powietrza, ale ucisk na mostek i żebra był zbyt mocny, dusił bezlitośnie. Zewsząd sypały się na niego mokre poduszki oraz pierze, a na zewnątrz co rusz rozlegało się kichanie. I wtedy Szymon sięgnął gdzieś za siebie, po czym z całej siły wbił mu w policzek przerdzewiałą igłę do haftowania.

Konrad drgnął gwałtownie i obudził się. Ale ból wcale nie ustąpił.



Szara, miękka łapa pulsowała na jego policzku, to wysuwając, to znów chowając pazurki, drobne i ostre niczym brzytwa. Ich właścicielka, zwinięta na piersi mężczyzny w wielki, wibrujący kłębek, mruzczała z upodobaniem. Jakby czując, że nowe legowisko już nie śpi, otworzyła żółte oczyska i przeciągnęła się leniwie.

Odetchnąwszy z ulgą, ale i lekkim trudem, Konrad pozwolił, by obwąchała jego dłoń, a potem łagodnie pogłaskał kocicę po głowie. Zamruczała głośniejsze, majtnęła ogonem raz i drugi. Pieszczoszka, ciężka jak

diabli, lecz ujmująca. Koty mogły bezkarnie włączyć Konradowi choćby i na głowę, bardzo je lubił i wszystko, co wyczyniały, znosił z godną podziwu cierpliwością. A Zmora, gdyż to właśnie z nią miał do czynienia, najwyraźniej to wyczuła, bo nie zamierzała z niego zejść.

Potężne kichnięcie zatrzęsło szybami.

– Wygląda na to, że Licho już nie śpi – syknął Konrad. Pazury uciekającej kocicy zostawiły mu na piersi krwawe bruzdy, może niezbyt głębokie, za to diabelnie piekące.

Ścielenie łóżka zawsze uważał za czynność zupełnie pozbawioną sensu – a teraz, gdy na powrót stał się jednostką życiowo niezależną, mógł ów pogląd do woli wcielać w życie – zatem nie zaprzętał sobie nią głowy. Odruchowo chwycił naładowany telefon i zbiegł na dół. Wydawało mu się, że słyszy jakieś szmery w kuchni, lecz gdy tam zajrzał, nikogo nie zobaczył.

Z werandy dobiegło kolejne kichnięcie.

– Na litość boską, Licho, co ty wyprawiasz?!

Prawie upuściło pincetę. Siedziało w kucki na werandzie, otoczone ze wszystkich stron lustrami, i jedno za drugim wyrywało sobie pióra ze skrzydeł.

– Zwariowałaś? Łoś? Zwariowałaś? – poprawił się szybko. – Aż tak się nudzisz?

– ...piluję, alleluja.

– Słucham?

– Depiluję – powtórzył anioł. – Wyrywam raz na miesiąc lub dwa, ale i tak w końcu odrastają, więc muszę wyrywać na nowo... To strasznie męczące, wie pan?

Ani chybi masochista, stwierdził skonsternowany Konrad. Ale co, jeśli zacznie łązić i prosić „zbij mnie, zbij mnie, wyrwij mi pierze”? Przecież w łeb mu nie dam, aniołów się nie bije... I co on ma dziś na tej koszulce, Fistaszki?!

– Dobrze, wyrywasz, ale dlaczego? – Wcale nie był pewien, czy chce to wiedzieć, brnął jednak dalej. – Wyglądasz jak oskubany kurczak.

– Mam uczulenie na pierze, proszę pana – chlipnęło żałośnie Licho. – Wciąż tylko kicham i kicham, a te pigułki dla ludzi to mi nic a nic nie pomagają. – I na potwierdzenie swych słów pociągnęło opuchniętym od kataru nosem.

No cóż, to miało sens. Niewielki, ale jednak, przyznał z oporem Konrad. Kątem oka dostrzegł skradającą się w stronę kupki pierza Zmorę. Westchnął z rezygnacją. Nie tak wyobrażał sobie integrację z dożywotnikiem, zupełnie

nie tak. Ale cóż, panie Romańczuk, skoro wpadłeś między anioły...

– A sio, paskudo – przepędził kocicę i usiadł obok anioła. – Dobra, dawaj tę pincetę, z tyłu i tak nie sięgniesz. Mam tylko nadzieję, że to się nie kwalifikuje jako przemoc domowa...

Wyskubywanie piór i odganianie upartej jak osioł Zmory pochłonęło ich bez reszty. Właśnie zbierali ostatnie strzępy puchu do wora na śmieci, gdy przed dom zajechał Kusy.

– Jak tam pierwsza noc w Lichotce? – krzyknął, gramoląc się z poloneza.

– W gruncie rzeczy nie taka znowu najgorsza – przyznał Konrad, odkładając narzędzie bezwzględnej walki z alergenem. – Aczkolwiek nie obyło się bez pewnych... niespodzianek. Bliskich spotkań, że tak powiem.

Kusy przystanął na schodkach.

– Ano widzę, że Zmora się z panem pieściła. – Wskazał zadrapanie na jego policzku. – Ostre ma pazurki, zołza jedna. Masz – wetknął Lichu siatki z zakupami – szykujcie z Krakersem śniadanie, a my tu skończymy te twoje pierze sprzątać. I co, podoba się panu w Lichotce?

– Jeszcze wszystkiego nie obejrzałem. No, ale bez gruntownego remontu na pewno się nie obejdzie. Dezynsekcja i deratyzacja na dobry początek, bo dom ma już swoje lata, a w dodatku pomieszkują w nim utopce, które do higienistów chyba nie należą. Okna nieszczelne, podłogi i ściany do zrobienia, schody zresztą też... Instalacje kiedy były wymieniane?

– Nigdy.

– Jak to nigdy? – Włos mu się na głowie zjeżył. – Rany jeża, przecież wystarczy byle zwarcie i cały dom idzie z dymem! Nawet straż pożarna nie zdąży dojechać na to odludzie!

– Nie były wymieniane, bo ich nigdy nie było – wyjaśnił spokojnie Kusy. Zawiązał worek z anielskim pierzem, który teraz przypominał wielką piłkę plażową, po czym wziął się do składania luster. – Ani kabli, ani rur. W kilku ścianach są przewody kominowe, ale to sam czyszczę.

– Co pan mi tu wygaduje? – Konrad zaczynał tracić cierpliwość. Wyszarpnął komórkę z kieszeni spodni. – Skoro nie ma instalacji, to jak niby naładowałem telefon?

– Pewnie prądem, inaczej się chyba nie da, co nie? Ale widzę, że pan sobie nie podzwonisz z tego maleństwa. Licho! Chodź no tu, złap panu zasięg!

Z nożem do masła w dłoni Licho przytruchtało na werandę. Wzięło komórkę od Konrada, kichnęło i zaraz ją oddało.

Zerknął na wyświetlacz. Pełen zasięg. Jedna nieodebrana rozmowa i trzy

SMS-y.

– Naszemu aniołkowi żadne instalacje nie są potrzebne, panie Romańczuk. Zresztą i tak nie rozumie, jak działają. Wystarczy, że Licho wie, co się powinno stać, gdy się odkręci kran, wsadzi wtyczkę do kontaktu, zapali gaz na kuchence czy wodę w kiblu spuści. Interneta też panu raz-dwa załatwi, jak mu pan powiesz co i jak. Ja to nazywam prawdziwym dobrodziejstwem, bo i awarii nigdy nie ma, i rachunków nie trzeba opłacać. A zasięg nauczyło się łapać w zeszłym roku, jak sobie komórkę sprawilem i miałem ten sam problem co pan. Tylko z kornikami sobie nie radzi, nie wiezieć czemu. No – klepnął Konrada po ramieniu – to teraz chodźmy na śniadanie.

Licho było wniebowzięte. Podśpiewując pod nosem *Pieski małe dwa*, biegało po domu i polowało na firanki. Aż się prosiły o pranie i krochmalenie stulecia – od paru dni zwisały już zbyt smętnie, zbyt swobodnie, zamiast porządnie stać na baczność, a ich biel stanowczo powinna być bielsza. Co najmniej olśniewająca.

Pralkę anioł dostał przed ponad dwudziestoma laty i używał jej z bliskim manii upodobaniem. Wciąż sprawny superautomat PS 663S BIO z wielkim, zgrzytającym pokrętelem zajmował w wieżyczce poczesne miejsce, otoczony świtą proszków, płynów oraz past, ale od paru miesięcy niewiele miał do roboty. Dom, w którym mieszkali tylko lokatorzy, wydawał się Lichu domem połowicznym, zatem równie połowicznie w nim sprzątało. W praktyce oznaczało to mycie wszystkich okien zaledwie raz na kwartał. Ale teraz... Teraz, gdy do Lichotki zawitał nowy właściciel, anioł wpadł w porządkową euforię, a nieszczęsne firany poszły na pierwszy ogień.

Również zalegająca na komodzie w holu Zmora wzięła się do skrzętnego pucowania futerka. Ani trochę nie dziwiła się szaleństwu Licha. Już w nocy uznała Konrada za swoją ulubioną poduszkę. Teraz należało zatem pokazać się z jak najlepszej strony, by szybko poczuł się w Lichotce jak w domu. Może i wpadał łatwo w osłupienie, ale też dość szybko z niego wypadał, co wszystkim kolejnym spadkobiercom zawsze liczone za niewątpliwą i bardzo przydatną zaletę. Teżyzną fizyczną zbytnio nie imponował, było to jednak całkiem zrozumiałe. Nikt się chyba jeszcze nie dorobił mięśni od całodziennego wertowania książek i stukania w klawiaturę. Ot, wysoki, nieco niedożywiony intelektualista o fizjonomii zatroskanego muszkietera. Drewna na opał pewnie by nie narąbał, co najwyżej zrobił sobie krzywdę

siekierą, lecz bez wątpienia pasował do Lichotki jak ulał.

No i wiedział, w jakiej pozycji spać, żeby kotu było wygodnie. Tak. Konrad musiał zostać.

Siedząc na wirującej z zapalem pralce, bez reszty pochłonięte cerowaniem skarpet Licho nie słyszało, jak rozklekotany polonez zatrzymuje się na chwilę przed domem. Kroki w holu też mu jakoś umknęły. Brzęk tłuczonego szkła i przeraźliwy wrzask – już niekoniecznie.

Tak zwane załatwianie spraw w miasteczku zajęło im chyba mniej czasu niż jazda w tę i z powrotem. Słońce nie dawało za wygraną, dlatego Konrad z ulgą pożegnał się z Szymonem i uciekł z nagrzanego jak piekarnik poloneza. Od dobrych paru godzin marzył o mleku, które chłodziło się w mroźnym zaciszu lodówki, i zamierzał wreszcie się do niego dobrać.

Butelka była ciężka, mokra i bardzo śliska, w zasadzie nic dziwnego, że ją upuścił. Lecz odłamki szkła w kałuży mleka to jeszcze żaden powód, by wrzeszczeć. Co innego wielkie, ciemnofioletowe macki jak u ośmiornicy giganta, wyłaniające się nie wiadomo skąd.

– No i o co tyle krzyku, alleluja? – Licho, które bez wahania przybyło z odsieczą, odłożyło miotłę, chwilowo przystosowaną do celów bojowych. Celofanowe włosy zamigotały, gdy z dezaprobatą pokręciło głową. – Tylko go pan wystraszył.

Śmiertelnie blademu Konradowi odebrało głos. Nawet nie zauważył, że siedzi na podłodze, a markowe, upiornie drogie spodnie właśnie nasiakają mu mlekiem. Tymczasem anioł klęknął przed zabitymi mnóstwem gwoździ drzwiami spiżarni, uchylił klapkę dla kota i bez zbędnych certacji wsadził głowę do środka. Coś zabulgotało groźnie.

– No, Krakersik, nie bój się, daj mackę – zaświergotał uspokajająco anioł. Odpowiedział mu krew w żyłach mrozący pomruk. – Cicho, cicho, już przyszło Licho. Zaśpiewam ci coś, chcesz?

Jedna macka wypełzła nieśmiało ze spiżarni i owinęła się wokół anioła. Przytulił ją, poklepał czule. Bulgot nieco złagodniał.

– *Z poopielniika naaa Krakeersa iiiskiereeczka mruuu-gaaa...*

Licho śpiewało falsetem, kołysząc się do taktu, zaś właściciel macki robił w tle złowróżbne mru czando.

– ...cyt, *iskierka zgaaastaaa*. I jak – kichnęło – Krakersik? Lepiej? Pan cię nie chciał wystraszyć, już więcej nie będzie tak krzyczał, prawda? – Uśmiechnęło się zachęcająco do Konrada.

– Co... to... – więcej nie zdołał z siebie wydusić, ale Licho było domyślne.
– Krakers, proszę pana. Pradawny stwór z głębin odwiecznego zła, którego w 1836 przywołał bratanek pana Wincentego, alleluja – wyrecytowało. – Panicz Zygmunt bawił się w takie tam różne... dziwne... jakieś składanie ofiar, jakieś mroczne rytuały, dzikie origami... Pewnej nocy miejscowi zrobili takie wielkie ognisko i spalili go pod drzewem. Szybko poszło, apsik, nawet nie zdążył wymyślić i rzucić porządnej klątwy. A Krakers został w spizarce i zajął się gotowaniem. To mu wychodzi znacznie lepiej niż sianie zagłady.

Pradawny stwór kiwnął potakująco macką.

– No, to podajcie sobie kończy na zgodę. Śmiało!

Krakers wysunął drugą mackę i potrząsnął pobladłym Konradem. Przysawki mlasnęły przy tym cicho. Wbrew pozorom stwór nie był ani trochę oślizgły, a w dodatku pachniał wanilią i goździkami.

– Licho... – odezwał się słabym głosem Romańczuk.

– Tak, alleluja?

– Powiedz mi, zanim padnę na zawał, kto tu jeszcze mieszka? Krasnoludki? Bazyliszek? Wróżki, w które trzeba wierzyć, żeby nie kopnęły w kalendarz? Bo ja miałem dość już przy utopcach, więc wolałbym wiedzieć...

– No... apsik, jest panicz. Ale nim się proszę nic a nic nie przejmować – dodało zaraz. – Panicz nie będzie się narzucał, ostatnio postanowił zostać odludziem.

– Przepraszam, czym?

– Odludziem. To taki ktoś, kto lubi być sam.

– Ach, tak ... Odludź z inklinacją do ręcznych robótek. Brzmi... intrygująco. To ten od poduszek i konfitur? – upewnił się.

– Właśnie ten. Ostatnio niewiele robił, bo skończyły mu się palce, ale za jakiś miesiąc...

W skołowaciałym umyśle Konrada natychmiast rozkwitła pełnowymiarowa wizja bezpalcego odludzia z szydełkiem i słoikiem konfitur z nieprzewidzianym w przepisie wkładem własnym. Zrobiło mu się cokolwiek mdło.

– Skończyły? – wszedł aniołowi w kolejne „alleluja”, usiłując nie jąkać się z nerwów. – Znaczy... znaczy, że co? Że odpadły...?

– Znaczy, że wyblakły – odrzekło Licho i kichnąwszy dwukrotnie, wdało się w szczegóły przy akompaniamencie potakujących pomrukiwań Krakera, który zabrał się do sprzątnięcia wielkiej kałuży mleka. – I to nie

tylko palce. Cały wyblakł, calusieńki, od lakierków po pukle. W świetle dnia to go już teraz w ogóle nie widać, alleluja. A nocą to tak tylko ociupinkę. Biedaczek, tyle czasu czekał, że prawie całkiem się uduchowił... Raz to się nawet zgubił we mgle, ledwo go znaleźliśmy...

– Czekaj, czekaj, bo nie nadążam. To czym... kim jest ten panicz?

– No jak to kim, alleluja? Widmem. Widmem panicza, który się zastrzelił. Między grządkami kapusty, tu, zaraz za domem. Bodajże w 1807, ale musiałbym sprawdzić. Trochę się gubię...

Kupka nieszczęścia zwana Konradem Romańczukiem westchnęła.

– Ja też, Licho. Ja też.

Sierpień mijał burzowo. Droga przez las rozmiękła doszczętnie i zmieniła się w błotnistą pułapkę, Szymon Kusy nie miał więc jak dojechać do Lichotki. Szczęśliwie chwilowo nie był tam potrzebny.

Uziemiony w Lichotce na amen przez niekończące się ulewy, a przede wszystkim przez chwilowy brak innego lokum, Konrad nie próżnował. Po krótkim, lecz intensywnym namyśle podjął wreszcie decyzję i ustalił plan działania, w zasadzie dość prosty. Wydusić z tego architektonicznego koszmaru, ile tylko się da, wyprzedając jak leci wszystko, co zbędne, począwszy od landszaftów w straszliwych ilościach – to raz. Dwa – za tak szczwianie zarobione pieniądze doprowadzić rudere do użyteczności tudzież usunąć szkodliwy dla życia lub zdrowia nadmiar gotycyzmu. A potem trzy, cudowne, wytęsknione trzy, czyli sprzedać ją w cholere i zaraz po Nowym Roku wrócić na własne, miejskie śmieci. By więc nie tracić czasu, zarządził wielki remanent. Jako pierwszy na śmietnik trafił telewizor marki Beryl, obiekt westchnień poprzedniego dożywotnika, od dawna zepsuty i obrastający kurzem. Obrazy, zegary, poduszki i przeróżne bibeloty z całego domu trafiały po kolei do saloniku na parterze, gdzie były metodycznie fotografowane i owijane w gruby, szary papier, a potem czekały, aż jakiś wielbiciel staroci zlicytuje je na aukcji internetowej. Zeżarte przez czas i mole dywany leżały na werandzie zwinięte niczym wielkie naleśniki. W kuchni Krakers sortował zapasy i sprzęt gospodarstwa domowego, wyrzucając wszystko, co nie nadawało się już do użytku. Zapłakane, zrozpaczone Licho nie chciało pożegnać się ze starym automatem. W końcu zniecierpliwiony ciągłym chlupaniem i siąkaniem Konrad ściągnął mu z sieci i wydrukował na odczepnego katalog sprzętu AGD, by mogło wybrać nową pralkę i jeszcze żelazko na otarcie łez.

Zamiast spać, siedziało po nocach podekscytowane jak dziecko w wigilijny wieczór i zastanawiało się, który model ma najwięcej absolutnie niezbędnych do życia funkcji i bajerów.

Wraz z nadejściem ostatnich letnich dni deszcz w końcu przestał lać, droga wyschła i Konrad wraz z Szymonem mogli spokojnie wywieźć śmieci przed przybyciem ekipy remontowej. Ku radości Romańczuka i jego urzędu skarbowego wystawione na sprzedaż przedmioty szły jak woda, ratując stan konta przed sięgnięciem saldowego dna. Kurier niemal każdego ranka zabierał kolejne paczki i dom powoli przestawał przypominać zagracony antykwariat.

Jak się okazało, Krakers rzeczywiście robił pyszne faworki, a w przyrządzaniu *fettuccine all'Alfredo* niebezpiecznie zbliżał się do mistrzostwa. Im lepiej mu to szło, tym szybciej i chętniej Konrad, przez ostatnie lata żywiony przez Majkę głównie sojowymi substytutami wszystkiego, co tylko mogłoby mieć smak i choć odrobinę pustych kalorii, tracił wiotkość i bladość mieszczucha. Zważywszy jednak, że dzień za dniem uprawiał intensywną gimnastykę porządkową, nadwagą na razie martwić się zbytnio nie musiał. Nieco gorzej miało się jego Dzieło Życia, które od blisko miesiąca leżało nietknięte. By zagłuszyć głos sumienia oraz zniecierpliwionej i bardzo namolnej agentki, Konrad postanowił, że weźmie się do pisania, jak tylko uporządkuje ostatnie pomieszczenie Lichotki – bibliotekę.

Do tej pory była zamknięta na głucho, a klucz gdzieś przepadł, postanowili zatem wyważyć drzwi.

– Ożeż ty – wystękał Szymon, z całych sił napierając na łom. Zamek zazgrzytał, ale wciąż skutecznie odmawiał współpracy. – Uparta sztuka. Stara, porządna robota, nie ma co. Pan się tu z łaski swojej uwiesi. I rrraz...!

Coś trzasnęło, huknęło i łom brzdęknął o podłogę, wygięty pod kątem prostym, a obok niego padli dzielni włamywacze. Pancerne drzwi ani myślały skapitulować.

– Dostyc tego – rozeźlił się poobijany Romańczuk. – Nie będą jakieś drzwi stawiać biernego oporu w moim własnym domu. No złaż pan ze mnie wreszcie... Krakers!

Uzbrojona w chochlę macka wychynęła z kuchni.

– Bierz je!

Nie musiał powtarzać. Macka ochoczo zwinęła się w wielką figę i puknęła raz, a dobrze. Posypały się drzazgi. Droga do czytelniczego rajku stanęła

otworem.

Książki były dosłownie wszędzie. Dziesiątki, setki, tysiące tomów pachnących starym kurzem i jeszcze starszym papierem. Ciasno upchnięte na regałach, w dawno nieużywanym kominku, na masywnym, dębowym stole, pod nim i wokół niego, ułożone na parapecie pod zamkniętymi na cztery spusty oknami. Na podłodze wały się przeróżne kartki, jedne pieczołowicie zapisane, inne czyste, niektóre zmięte albo przerobione na confetti. Kłębki kurzu, kolorowe ścinki muliny do haftowania oraz resztki połamanych piór zalegały po kątach. Całość sprawiała wrażenie ostatniej fortecy szalonego czytelnika, który raczej wolałby umrzeć od zaduchu niż wyjść na zewnątrz, a na widok promieni słonecznych dramatycznym gestem owijał się peleryną i pędził na poszukiwanie najbliższego grobowca.

Szymon gwizdnął przeciągle.

– No, czeka nas trochę roboty. Dobrze, że Licho tego nie widzi, boby się chyba zapłakało. Takiego chlewu narobić...

Ledwie powiedział te słowa, rozległ się rumor, po czym spomiędzy regałów wyskoczył lekko przejrzysty, lecz bardzo wzburzony młodzieniec w niebieskim fraczku i wściekle żółtej kamizelce.

– Wypraszam sobie! – zawołał, wymachując umaczanym w atramencie najprawdziwszym piórem. – Cóż znaczy pospolity nieład wobec ogromu poetyckiej wizji? Mamże myśli porządkami zaprzątać, gdy dusza nad martwym wzlatuje światem w rajską dziedzinę ułudy? Ach, doloż moja, ciężka doloż...! Bez serc, bez ducha, to szkie...

– Szczęśny, przymknij się, bo skorzystam z okazji i cię strzelę w tę niewyraźną gębę, jak mamunię świętej pamięci nieboszczkę kocham – przerwał mu Kusy, najwyraźniej przyzwyczajony i niezbyt przyjacielsko nastawiony do podobnych ataków weny. – I oddaj klucz, bo drugi raz się włamywać nie będę. A... – przybrawszy cierpiętniczy wyraz twarzy, zwrócił się do Konrada grobowym głosem. – Panie Romańczuk, przedstawiam panu ostatniego z lokatorów, nieszczęsnego panicza Szczęsnego, widmo o zmiennym stanie skupienia. Wyrazy współczucia – dodał zgryźliwie, po czym wydobył z głębin swego obfitego jestestwa przepojone tragizmem westchnienie. – Widzisz pan, Szczęśny się para poezją, nic tylko by plótł wierszem te swoje androny. I nie ma zmiłuj, nikomu nie przepuści. No, mnie się ostatnio nawet poszczęściło, przez pewien czas miałem z nim spokój.

– Cud mniemany?

– Żaden cud, tylko ta jego popaprana fizjono... fizjoto... no, ta, natura.

Po śmierci poprzedniego dożywotnika zaczął blednąć, że tak powiem, tracić osobistą cielesność, jakby usychał z tęsknoty, rozumiesz pan? Po miesiącu to go w dziennym świetle już w ogóle widać nie było, więc nosa z tej swojej dziupli nie wyściubiał, a ja nie musiałem go słuchać. Wyłąził dopiero po zmroku, jak na porządne widmo przystało... gdy już dawno byłem u siebie w domu, daleko, daleko stąd... – Spojrzał na lekko przezroczystego panicza i ze smutkiem pokiwał głową. – A teraz, gdy pan mieszka w Lichotce, z porządnego, nocnego widma znowu się robi całodobowy, pełnokrwisty wierszokleta. Ech, no i czort bombki strzelił...

Panicz zatrzęsł blond puklami.

– Nieuczona twa postać, niewymyślne słowa... – prychnął. – Grubianinie! Śmiesz kpić z tortur okrutnego losu, srogiemu bólu ducha mego?

– Ja ci ten ból bardzo chętnie pogłębię, powiedz jeszcze słowo...

Dusząc w sobie szatański chichot, Konrad słuchał, jak panicz, mistrz całorocznej depresji i haftu krzyżykowego, oraz grubianin w bawełnianym podkoszulku kłóćą się zajadle i z widoczną wprawą. I doszedł do wniosku, że w Lichotce będzie mu może nie dobrze, ale całkiem wesoło.

Przynajmniej na razie. A potem... potem to się zobaczy.

Jesień nastąpiła ciepła i rechocząca.

Mieszkające w stawie żaby miały w głębokim poważaniu zarówno porę roku, jak i prawa Matki Natury. Może były sierotkami, zresztą w Lichotce normalność zachowań nigdy nie obowiązywała. Każdego wieczoru żaby gramoliły się na zwalony pień przy brzegu, co również stanowiło część przedstawienia, tylko tę bardziej komediową, i dawały regularny koncert. Za bierną, mierną, ale wierną widownię robiły utopce, Licho i Zmora, która była zagorzałą wielbicieleką nie tyle samego kumkania, ile jej zdaniem bardzo smacznych stworzeń kumkających. Na ich szczęście znacznie mniejszym afektem darzyła wodę.

Pod koniec września w przybudówce zamieszkali budowlańcy. Remontowali, co się dało, pod czujnym okiem Szymona i rehotali znacznie częściej i głośniej niż żaby, chociaż nikt ich nie oklaskiwał. Wręcz przeciwnie. Od tej pory utopce nie wychylały nosów z wody, a wystraszony hałasem Krakera wpłynął do najciemniejszego kąta spiżarki i nadržabiał zaległości w spaniu. No, przynajmniej próbował. Anioł natomiast siedział zamknięty w wieżyczce, studiując instrukcję obsługi nowej pralki, i tylko późną nocą, gdy budowlańcy już dawno spali, wyłąził cicho, na paluszkach,

z miotełką i szufelką w dłoni, by choć trochę posprzątać.

Na przekór niesprzyjającym pracy twórczej okolicznościom Konrad co rano brał składany leżak, ciepły koc, laptopa i opasłą teczkę z notatkami i rozsiadał się nad stawem, skąd rozpościerał się przepiękny widok na styropian, pryzmę gruzu i otwartego na oścież toi-toia. Dzieło Życia nie mogło dłużej czekać, choć po prawdzie nie miało nic przeciwko temu. Innego zdania była jednak agentka Romańczuka, atakująca ze wszystkich stron. Zwykle zaczynała od kilku SMS-ów o dość monotonnej, ale irytującej treści: „PISZ. PISZ. PISZ. PISZ. PISZ” i tak dalej, póki w wiadomości nie skończyły się znaki. Potem słała mail za mailem, a jeśli miała naprawdę zły dzień – dzwoniła. I bez przerwy zadawała to samo pytanie, jak zacięta płyta w gramofonie:

– Konrad, piszesz?

– Piszę, piszę – mamrotał wtedy Konrad, chociaż od paru godzin gapił się bezmyślnie na otwarty plik, grał w mahjongga albo w głębi ducha, w wielkiej tajemnicy przed całym światem, pielęgnował własne rozgoryczenie. – Jasne, że piszę. Czemu miałbym nie pisać? – Przecież ciągle pukanie, stukanie, trzaskanie, brzęczenie i buczenie w ogóle mu nie przeszkadzało. Ani trwające od rana do nocy wrzaski i przekleństwa. Szkoda, że nie były mniej odtwórcze, wtedy chętnie by notował. Nigdy nie wiadomo, co się kiedyś przyda.

– No, to dobrze. Pisz, nie marudź. Za tydzień chcę dostać całość.

I tak w kółko. Pisz. Piszesz? Czemu nie piszesz, skoro masz pisać? Pisz. Musisz pisać. Coś za mało piszesz. Za wolno. Litości, ile można pisać jeden tekst?!

Zdaniem Konrada – bardzo, bardzo, naprawdę bardzo długo.

Mniej więcej przy co trzeciej próbie wstukania kolejnych zdań jego nieposłuszne myśli – dotąd skutecznie zaprzątnięte problemami remanentowo-remontowymi, hamletyzowaniem w stylu „zostać czy nie zostać, oto jest pytanie” tudzież próbami zrozumienia pokrętnej anielskiej logiki – prędzej czy później zaczynały wędrować nie w tym kierunku co trzeba. W rezultacie dłoń Konrada, zamiast twardo trzymać się klawiatury, zsuwała się na touchpad i kilkoma kliknięciami wydobywała na światło dzienne zagrzebany gdzieś na dysku folder ze zdjęciami z ostatnich lat. Przeglądał je czasem kwadrans, czasem godzinę, czasem pół dnia, zaciskając zęby, gotując się po cichu ze złości i zapominając na śmierć o zbliżającym się wielkimi krokami terminie. Nie usunął ich jednak – w końcu był dorosłym człowiekiem, a dorosły człowiek mierzy się ze swoimi

demonami, żeby je oswoić, no, ewentualnie zatłuc, przebić kołkiem, na wszelki wypadek zdekapitować i zakopać na rozstaju dróg. Nie, nie usunął żadnego zdjęcia. Już prędzej coś by na nich dorysował. Na przykład wąsy.

Jakby tego było mało, Dzieło Życia wymagało od niego wspięcia się na wyżyny intelektu i skupienia, przemyślenia najdrobniejszych szczegółów, traktowało bowiem o miłości, a o niej nie mógł przecież pisać byle jak, na chybcika. Zwłaszcza jeśli miała to być proza odkrywczą, świadcząca o wielkiej erudycji autora, przewrotna, miejscami wręcz obrazoburcza, lecz zawsze ambitna i z klasą, a nade wszystko trzymająca się z dala od zdradzieckiego bagniska stereotypów. Żadne tam „miłość ci wszystko wybaczy”, bo samo życie dobitnie dowodziło, że miłość i wybaczenie są z zupełnie innych bajek, tylko seks, kłamstwa i płyty DVD.

Fabulę pierwszego z dziesięciu planowanych opowiadań obmyślił już dawno, w przerwie między życiem rodzinnym z przeszkodami, produkowaniem haseł reklamowych i redagowaniem bzdurnych broszurek, w których zachwalał pod niebiosa zalety golarki do swetrów albo plastry na odciski. Była ona, był on, a między nimi wyładowania elektrostatyczne, wybuchy zwierzęcego pożądania oraz ekwilibrystyka w scenografii dowolnej. Gdzieś obok snuł się jeszcze wątek polityczno-kryminalny, demaskujący zbrodnicze, korupcyjne układy i zakłamanie współczesnego świata. Krótko mówiąc – murowany przebój.

Jednak już w trakcie pisania problemem nie do przeskoczenia okazały się tak zwane momenty. Konrad nie zamierzał popełniać ani podręcznika ginekologii dla opornych, ani łzawo-ckliwego romansidła, ani tym bardziej scenariusza filmu porno, utknął więc na amen. Aż którejś bezsennej nocy, kiedy leżał w łóżku i wpatrywał się tępo w świeżo odmalowany sufit, spłynęło na niego oświecenie. Delikatnie wyjął Zmorę spod pachy, złapał szlafrok, laptopa i popędził do biblioteki, z mniejszym lub większym sukcesem omijając po drodze wszechobecne worki, wiadra i puszki.

Nie pamiętał już, z którego regału Szymon wygrzebał niepozorne, skromnie oprawione książeczki. Okazało się wtedy, że poprzedni właściciele domu zbierali nie tylko rodzimą i światową klasykę literatury pięknej czy opasłe rozprawy filozoficzne, ale też powieściidła z gatunku, delikatnie mówiąc, dość frywolnych. Plagiat oczywiście nie wchodził w grę, Konrad wszak miał coś na kształt godności, po prostu rozpaczliwie szukał źródła natchnienia. I oto je znalazł, w ilościach hurtowych – bez namysłu zgarnął od razu pół półki. Włączył laptopa, otworzył nowy dokument i zaczął przeglądać tomik za tomikiem, jednocześnie robiąc notatki. Wena zapukała

do wrót jego umysłu, proponując na zgodę kilka całkiem znośnych zdań.

Godziny mijały, Dzieło Życia rosło jak na drożdżach, a zdrętwiały z zimna i bezruchu Konrad przeżywał literacką ekstazę.

– A cóż to za ustrojstwo...? – zaszepotało mu tuż za uchem.

Miło było, ale się zmyło. Konrad z rezygnacją pomachał wieniec na pożegnanie.

– Może kakao? Gorące. – Szczęsny, który wraz z cielesną formą odzyskał również apetyt, postawił termos między książkami. Niemal przytknął nos do monitora. – O, miga! Jak cudacznie...

– Chcesz oślepnąć? – burknął Konrad, odsuwając go delikatnie na bezpieczną odległość. – Znaczy... A, zresztą nieważne. To się nazywa komputer i służy mi do pracy. Taka... taka maszyna do pisania, rozumiesz? Tylko na prąd. I zużywa mniej papieru, przynajmniej teoretycznie. Nie, bardzo proszę, nie naciskaj tego klawisza. Tego też nie, bo skasujesz wszystko, co napisałem...

– Ach, ty tworzysz? – Panicz w okamgnieniu stracił zainteresowanie dziwną, migającą machiną. – Cóż za zrządzenie losu! Właśnie kończę poemat dygresyjny w dziewięciu pieśniach oktawą, może zerkniesz? Mam też, jeśli wolisz, trochę drobnych liryków...

– Nie, dziękuję bardzo – wtrącił Konrad, na wszelki wypadek wyłączając laptopa. – Z pewnością są świetne, ale ja się zupełnie nie znam na poezji. Piszę opowiadania.

– Ach, prozaik! No tak! A o czym piszesz, jeśli wolno zapytać?

– Cóż... – nabrał tchu – o codzienności, tej najbardziej przyziemnej, brutalnej, o brudnych interesach, ciemnych sprawkach i układach, no i przede wszystkim o trudnej, wynaturzonej miłości w dzisiejszych czasach moralnego skarlenia i zarazy.

Szczęsny zamarł. Plik wygniecionych papierzysk, które zdążył wygrzebać z kartonu pod oknem, zaszeleścił w jego drżącej dłoni. Dramatycznym gestem panicz chwycił się za serce i westchnął głęboko raz, a potem drugi, po czym opadł na krzesło.

– O miłości...? – wyszeptał. – Jakież to musi być piękne i smutne zarazem... Ach, młodości mojej niebo i tortury!

– Że co proszę?

Co rusz wzdychając, panicz przybrał zboląły wyraz twarzy, a następnie w geście głębokiego zamyślenia i troski oparł głowę na zwiniętej w pięść dłoni.

– Znasz ty żywot Heloizy...? Znasz ogień i łyżę Wertera? – odezwał się

ponuro po chwili jakże wymownego milczenia. – Niepomny przestróg przez bliskich czynionych, ja, kochanek przez sen tylko widzianych mamideł, bujałem po zmyślonym przez poetów niebie...

Brwi Konrada chyba też chciały się pobujać, acz z dala od wszelkiej poezji. Powędrowały powolutku w górę czoła.

– Wybacz, chyba nie nadażam. Możesz mówić jaśniej? Najlepiej prozą?

– ...sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem – ciągnął Szczęsny, niezrażony zupełnie – szukałem tej boskiej kochanki... – zaczerpnął tchu i popłynął na całego. Nie zauważył nawet, że jego słuchacz, zamiast pisać i łkać z zachwytem, wymknął się z biblioteki.

Potem było już tylko coraz gorzej. Przyszło ochłodzenie, a wraz z nim obrzydliwa, nieustanna siąpanina i wielogodzinne posiedzenia nad stawem musiały się skończyć. Za dnia budowlańcy stawali na rzęsach, by w Lichotce przypadkiem nie zapadła cisza; na domiar złego utopce zawzięcie próbowały na powrót zagnieździć się akurat w tej łazience, w której właśnie trwał remont, i trzeba ich było pilnować jak oka w głowie. Zaś po zmierzchu pałeczkę przejmował Szczęsny. Co prawda zdążył się już w pełni ucieleśnić, lecz wciąż nie mógł się odzwyczaić od snucia się tudzież rozważań pod osłoną nocy. Dotychczas okupowany zestaw małego hafciarza cisnął za szafę i przeistoczył się w poetę pełną gębą. A to szlochał, a to znów grzmiał o niewinnej miłości, co to wiecznych mąk godna, na przemian lamentował i recytował w przypiływie twórczego szału. Czasem, gdy się rozochocił, wisiał Konradowi nad głową i grzebał mu w notatkach, służąc życzliwą radą. Mnóstwem życzliwych rad.

W rezultacie Romańczuk poczuł zbliżające się wielkimi krokami załamanie nerwowe i rozpaczliwie zapragnął porozmawiać prozą z kimś życzliwym, kto nie będzie mu przypominał każdym atakiem romantyczności o tkwiącym głęboko w sercu zardzewiałym gwoździu, jaki zostawiła po sobie Majka. Po krótkim wahaniu wdrapał się na wieżyczkę anioła.

– Alleluja – powitało go Licho, które właśnie wywlekało odkurzacz ze schowka. Bamboszek przezornie zmieniło na o wiele łatwiejsze do umycia gumowce, a na głowie miało gustownie zamotaną chustkę w kwiatki.

– Słuchaj, Licho... – zaczął niepewnie, rozglądając się za jakimś krzesłem, żadnego jednak nie znalazł, przysiadł wobec tego na odwróconej do góry dnem miednicy. – Wspominałeś... znaczy, łoś kiedyś, że panicz się zastrzelił czy coś w ten deseń... A wiesz, skąd on się w ogóle wziął w Lichotce?

– Apsik. Pewnie, że wiem. Któregoś lata przyjechał do nas na wakacje, wypocząć, nabrać sił do dalszej nauki. Ale nudził się strasznie, bo to wtedy było modne. Żeby nic nie robić, a narzekać, że nudno i że nikt nie rozumie – objaśniło. – Wreszcie poszedł z tych nudów na spacer aż do wsi, która była za lasem. I tam zobaczył jakieś dziewczusko, alleluja, i się z miejsca na zabój zakochał. A nawet nie wiedział, jak miała na imię. Dzień w dzień łąził za nią i łąził po polach, po łąkach, w chaszczach wieczorami czyhał, choć mu Wincenty tłumaczył, że to nieładnie. Jak grochem o ścianę, nic nie docierało. Maliny jej zbierał, rwał kwiatki, wiersze deklamował...

– Pewnie poematy dygresyjne w dziewięciu pieśniach oktawą...

– ...a ona i tak go nie chciała – trajkotało jak nakręcone – no to się wziął i zastrzelił w kapuście.

– Alleluja!

– No właśnie nie alleluja, alleluja! – Licho tupnęło kaloszem. Z efektem, trzeba przyznać, mizernym. – Następnego roku ludzie z wioski wybrali się na cmentarz, odczyniać tradycyjne gusła. I tak się złożyło, że ta dziewczucha na jednym grobie przycupnęła, bo ją nogi bolały czy coś, a tam akurat Szczęsnego pochowali. No i wtedy Szczęsny z grobu powstał i znów zaczął za nią łązić.

– A ona co?

– Duchowi jego dała w pysk i poszła.

– No patrz, na to bym nie wpadł...

Metoda wydawała się kusząca. Co prawda Konrad zazwyczaj stronił od tak prymitywnych środków, preferując wysublimowane tortury słowne, lecz tym razem aż go ręce swędziały, by wziąć odwet za stracony czas i nerwy, wzorem dziewiętnastowiecznego dziewczęcia trzaskając zmaterializowane widmo po facjacie. Najchętniej spakowałby manatki i w te pędy wrócił do błogiego hałasu miasta już teraz, zaraz, gdyby nie wynajęte do końca roku mieszkanie i trwający w najlepsze remont, bez którego nawet nie miał co marzyć o sprzedaży Lichotki... No tak, tyle że ze Szczęsnym na wyposażeniu też mógł o tym zapomnieć. Sympatycznego anioła z bamboszkami i obsesją na punkcie porządku każdy powitałby z otwartymi ramionami, wyposażoną w zestaw macek gospodynię domową również, ba, nawet utopce pewnie by od biedy uszły, odkąd porzuciły plan odzyskania łazienki – ale nie powstały z martwych nadpobudliwy poeta. Niestety, zgodnie z postanowieniami testamentu Romańczuk nie mógł wyrzucić na bruk żadnego dożywotnika, choćby ten był upierdliwy niczym wrzód na rzyci i niszczył mu wszelkie życiowe plany... Zresztą pal sześć testament, jak niby miałby

wyeksmitować widmo, choćby i chwilowo ucieleśnione?! Nie, panicz musiał zakończyć doczesną egzystencję w Lichotce raz na zawsze i odejść, najlepiej sam, z własnej woli. Konrad musiał go do tego przekonać. Albo zmusić.

Tylko jak?

Egzorcyzmem go! Egzorcyzmem! – podszeptęła niestrudzona siła wyższa, którą utarczki prozaika z poetą zaczynały bawić do rozpuku.

– Nie, panie – zahuczał spod maski poloneza Szymon. – O egzorcyzmach możesz pan zapomnieć. Już próbowali, nie pomogło. Nie ma takiej siły, która by go stąd ruszyła.

– Przecież ja się przez niego wykończę! – Romańczuk jęknął z rozpaczą. – Nie daje mi ani spać, ani pracować, tylko ciągle plecie wierszem farmazony o jakimś braterstwie dusz, o talentach i topieniu się w rzece. Miałem w zeszłym tygodniu wysłać tekst, już nie wiem, jak się tłumaczyć, że jeszcze nie skończyłem...

– No, przyznaję, do tej pory Szczęśny nikogo aż tak nie męczył, ale co pan chcesz zrobić? Zastrzelić drugi raz nie ma jak, przecież to widmo, widma pan nie ubijesz. W świat też nie pójdzie, choćby nawet chciał, ot, siła wyższa, że w Lichotce uwiązany.

Tak jest, potwierdziła siła wyższa. Uwiązany jak pies, dalej niż za las nie polezie. Jam to, nie chwając się, sprawiła.

– A wszystko przez durną babę. Nie miała gdzie kupra posadzić, ech... Szkoda gadać. – Machnął ręką Kusy. – Jak już wylazł z grobu, to go pan z powrotem nie wepchniesz. Mogę tylko współczuć. Ale głowa do góry! – zakrzyknął na widok coraz bardziej rzednącej miny Konrada. – Jeszcze tydzień i chłopaki skończą remont, wyjadą, od razu się ciszej robi. Licho w te pędy zagoni wszystkich do sprzątania i Szczęśny da panu odetchnąć. No, a prędzej czy później zupełnie mu się znudzi.

Naprawdę niewiele brakowało, by Konrad rozplakał się ze złości jak dziecko.

Przecież już był w ogródku, już witał się z gąską... Druk miał zapewniony, agentka bowiem nie próżnowała, wystarczyło wysłać jej gotowy tekst mailem. Fabuła bezustannie kotłowała mu się we łbie, o niczym innym nie myślał, tylko o pisaniu – no dobrze, nie tylko o pisaniu, ale przede wszystkim o nim, o pisaniu i Majce, Majce i pisaniu, złość na Majkę i pragnienie pisania aż go nosiły, rozsadzały od wewnątrz. I co z tego, że od ciągłego ślęczenia przed komputerem ledwo widział i czuł

niepokojący ucisk w krzyżu, a od dawek kofeiny, które sobie codziennie aplikował, zawału dostałoby nawet stado słoni? Co z tego, że w zastraszającym tempie zmieniał się w upióra? Jeden mniej, jeden więcej, w Lichotce miejsca już przecież nie brakowało.

A wszystko przez nią, przez Lichotkę właśnie, przez ten cholerny dom na tym cholernym odludziu. Bo gdyby raczyła być tym, czym być powinna, jego życie wyglądałoby teraz inaczej, zupełnie inaczej... Byłby świeżo upieczonym, szczęśliwym dziedzicem na włościach, owszem, dobrze sytuowanym, twórczym i w pełni gotowym odnieść oszałamiające literackie sukcesy w dowolnych ilościach, lecz mimo to odpornym na podstępne uderzenia wody sodowej. I wtedy te włości byłyby... no, włościami, rzecz jasna, zabezpieczeniem na przyszłość, a przy okazji – ale tylko przy okazji, tak tylko przypadkiem – solą w oku, pięknym oku Majki...

A tak...? Ani włości, ani sukcesów, ani soli na dodatek...

Obłąd w niezbyt pięknych, bo przekrwionych oczach mężczyzny pomachał do Szymona wesoło.

– A dużo panu roboty zostało...?

– Nie, w zasadzie sama końcówka. No i jeszcze całość przejrzeć, ale to już drobiazg.

– Więc nad czym pan tak dumasz? Bierżże tego laptoka, wsiadaj w tico i jedź. Staniesz pan na jakimś poboczu, napiszesz sobie co trzeba, a ja tu w tym czasie bajzlu popilnuję.

– Ale utopce... ale remont... – próbował protestować, nadaremnie. Został wciśnięty bez ceregieli za kierownicę, na siedzeniu obok wylądował komputer, termos z kawą, rękawiczki i kurtka.

Pozostało mu tylko ruszyć w stronę słońca, które na razie ani myślało zachodzić.

Tuż przed północą skulona postać zakradła się na piętro. Chyłkiem zajrzała do sypialni – Konrad spał jak zabity, obok chrapała Zmora w pozycji rozjechanego kota. Dobrze. Bardzo dobrze. Postać wycofała się na palcach do przedpokoju, zamykając za sobą drzwi, po czym otworzyła sekretarzyk.

Gdzieś między obfitym śniadaniem a zażartą dyskusją o sposobie ułożenia parkietu w holu – kwadraty czy jodełka? podwójna czy potrójna? – Konrad

wysłał wreszcie maila z tekstem. Nie miał nawet czasu, by napawać się tą chwilą, wystarczyło parę kliknięć – napisz, adresy, załącz, folder, otwórz, wyślij. Bez tematu, bez treści. Niebieski pasek dostarczania wiadomości szybko przeleciał od zera do stu procent i zniknął.

Rewolucja estetyczna w Lichotce powoli dobiegała końca. Spora część gotyckości zniknęła, ku niewyobrażalnej uldze świeżo upieczonego pana domu. Pokoje, łącznie z tym w wieżyczce, zostały odnowione, a weranda zamieniła się w szklaną pułapkę, na której mieszkańcy mogli odtąd spędzać czas bez względu na aurę czy porę roku.

– No, już widzę, jak Licho leci na złamanie karku, żeby te nowe szybki wpuć – zaśmiał się Szymon.

Przysiedli na leżących przed wejściem paczkach styropianu.

– Roboty mu na pewno nie zabraknie, czeka nas jeszcze cyklinowanie – odparł sucho Konrad, obrzucając wyremontowany dom powątpiewającym spojrzeniem. – Tak sobie myślałem... Licho samo nie da rady ze sprzątaniami po tym piekle, może by kogoś wziąć do pomocy, co?

– Jak to samo? A my dwaj?

– A my dwaj będziemy się bawić z gruzem i resztą tego śmietniska, które zalega przed domem, za domem i obok domu. Zresztą dni są coraz krótsze, a pan tradycyjnie wyjeżdża przed zmierzchem – dodał z przekąsem Konrad. – Nic dziwnego, też bym zwiewał, gdybym mógł, bo już mi się koszmary wierszem śnić zaczynają... Szczęsnego z miotłą i ścierą jakoś sobie nie wyobrażam, Krakery nie wszędzie sięgnie, czyli musimy zatrudnić kogoś zaufanego do pomocy, powiedzmy, na tydzień. No, nawet na dwa. Inaczej Licho się zaharuje.

– Szanuj anioła swego, bo nie dostaniesz nowego.

– No... coś w tym rodzaju.

Kusy pokiwał głową.

– Znam taką pannicę, która chętnie pomoże. Pracuje za dwie, a papla mniej niż jedna. Będzie w sam raz, nie?

Rozległa się cicha, natrętna melodyjka. Obaj mężczyźni złapali się za kieszenie.

– To mój, to mój! – Konrad zerknął na wyświetlacz. Dzwoniła agentka, czym prędzej odebrał, zanim włączy się poczta głosowa. – No cześć! Dostałaś tekst?

– Czy dostałam? Ależ oczywiście, że dostałam, inaczej bym nie dzwoniła.

– I jak? Podobało ci się?

Odetchnęła ciężko.

– Słuchaj, Konrad. Nie wiem, co popijałeś w trakcie pisania, ale kompletnie ci to nie służy, więc lepiej zmień trunek. Coś ty mi tu za chłam przysłał?

– Nie rozumiem. Przecież miałaś konspekt...

– Ależ oczywiście, że miałam! – Zaszleściła papierami. – Mam go nawet teraz przed oczyma, tylko jakoś nie widzę tu ani strzelca Waclawa, ani Malwetty, ducha łąk!

– Czego?!

– Malwetty, ducha łąk – powtórzyła. – Panienki w przejrzystym giele, która uwodzi dzielnego strzelca i doprowadza go do obłądu, a potem zmienia w... czekaj... w co ona go zmienia...? No, nieważne. Na litość boską, Konrad, przecież to jest bełkot! Sentymentalny, łzawy, drętwy bełkot z *unhappy endem*! Czyś ty kompletnie oczadział na tej prowincji? Te ostatnie przewalki z Majką aż tak ci się na mózg rzuciły? OK, przyznaję, wstawki wierszowane wyszły ci całkiem nieźle, nie wiedziałam, że jesteś też poetą, ale to całe latanie po łąkach i pierdu-pierdu, jak to on ją kocha, a ona go nie bardzo...

– Zaraz wyślę ci jeszcze raz – wydusił Konrad, którego olśniło, i rozłączył rozmowę.

Szlag go na miejscu trafił, krew jasna zalała i furie różnorakie zaczęły nim targać.

– Panie Romańczuk, coś pan tak spurpurowiał...?

Spurpurowiały pan Romańczuk nie odpowiedział. Wpadł do biblioteki jak burza z gradobiciem, strasząc po drodze pakujących się robotników i Bogu ducha winną Zmoreę.

– To twoja sprawka?! – ryknął niczym ranny łoś. – Mów albo skopię ci nagrobek!

Szczęśny roześmiał się perliście – przynajmniej w teorii, jako że w praktyce wyszło mu coś między rzeniem a histerią. Wielkopańskim gestem odłożył pióro na stertę papieru, którą właśnie kończył zapisywać kolejnym poematem, tym razem opisowym.

– Gwoli ścisłości, mój nagrobek dawno porosły mchy i paprocie. Trudno będzie go znaleźć.

– Już ty się nie martw, dam sobie radę! Grzebałeś w moim tekście, tak?

– Owszem, wiedziony ciekawością postanowiłem rzucić okiem – przyznał bez wahania, wręcz z dumą – i uznałem za słuszne wprowadzenie pewnych niezbędnych zmian.

– Jakim prawem?!

– Ależ Konradzie! – Panicz, dotychczas nonszalancko rozwalony na krześle, aż się wyprostował. – I ty jeszcze pytasz? Nie opisałeś miłości, lecz chuć lubieżną! Odartą z wszelkiego piękna żądę! Albowiem miłość prawdziwa to wieczny ogień, co duszę trawi nawet i po śmierci, a człowiek, miast pożar gasić, pragnie wzniecić płomień jeszcze wyższy, jeszcze gorętszy! To bunt dwóch serc nieskalanych przeciw podłemu, przyziemnemu światu! To męka wiecznego nieszczęścia i niespełnienia! To cierń zatruty, który...

– Uświadom mnie, jeśliś łaskaw – wycharczał Romańczuk – co może wiedzieć o miłości nastoletni gówniarz, który przez kilka tygodni łąził za wiejską babą, aż w końcu palnął sobie w łeb, bo go nie chciała, a potem jeszcze od niej w pysk po śmierci dostał?

– Och, wiele... – panicz nie załapał ironii.

– Nic, kompletnie nic! – warknął na to Konrad. – Dla ciebie miłość kończy się tam, gdzie dla normalnego człowieka dopiero się zaczyna! Za morzem łez, za tymi „och” i „ach”, za Weltschmerzem, za kulą w czaszce, za smętnymi wierszydłami i badyłami zrywanymi na łące! Tam jest życie, szare, nudne, przyziemne, czasem bolesne jak wszyscy diabli, ale prawdziwe, z pewnością prawdziwsze niż ta twoja upstrzona rymami miłość! To gasnąca namiętność, wzajemna złość, zażarte kłótnie o byle pierdołę, zgniłe kompromisy, patrzenie dzień w dzień na tę samą kobietę...

– Widzisz świat w proszku... – Oburzony duch poetycki Szczęsnego uruchomił trybiki, lecz Konrad natychmiast walnął przycisk „stop”.

– Przestań wreszcie pieprzyć! Chcesz sobie wzdychać, roztrząsać do końca świata, czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie, i wypisywać brednie w dziesięciu...

– ...dziewięciu...

– ...nieważne ilu pieśniach oktawą, proszę bardzo! Ale tknij jeszcze raz mój komputer, mój tekst albo cokolwiek innego z moich prywatnych rzeczy, a przysięgam, że znajdę twój grób i będę na nim urządzał dzikie orgie! Co tydzień! – huknął kościstą pięścią w stół i na ułamek sekundy ujrzał gwiazdy. – Ożeż... I wtedy poznasz nie jedno, nie dwa, ale dziesiątki oblicz miłości, o jakich ci się nawet nie śniło! A teraz precz z moich oczu!

– Posłucham od razu! – Wielce i celnie urażony prosto w godność osobistą panicz, zafurczawszy fraczkciem, wymaszerował z biblioteki dostojnym, przynajmniej z założenia, krokiem prosto między robotników.

– Ty, co za kolo! W getrach!

– He, ale cudak, hehe. Panie, karteluszką się panu zgubiła! – dobiegło

z korytarza.

Konrad wyteżył muskulaturę i z lubością pieprzył drzwiami.

Nim zdołał udobruchać agentkę dość pokrętnymi wyjaśnieniami i przezornie zgraną na piórko kopia właściwego tekstu, zrobiło się ciemno i w Lichotce zapadła cisza jak makiem zasiał. Nie mając już nic ani do stracenia, ani do roboty, Romańczuk wygrzebał skądś ostatnią butelkę zesłorocznej pigwówki i przeklinając widma, poetów, spadki oraz miłość, w szczególności miłość, najzwyczajniej w świecie urznął się w trupa. Tuż przed świtem szczerze zatroskane Licho znalazło go śpiącego pod bibliotecznym stołem i jakimś sposobem zawlokło do sypialni.

– Jest to pasterka z gwiazd sioła, kosz na głowie, w koszu kwiaty i twarz anioła...

Trzymający mocno w objęciach michę Konrad, siedzące na szafce i powolutku syjące startą skórę cytrynową Licho oraz Krakers, mieszający z zapalem krem, zastygli w bezruchu niczym kulinarna Grupa Laokoona.

– Jako motyl płocha, powiewna... Może jakaś zaklęta królowa...? – ciągnął Szczęsny, który od rana sterczał przy kuchennym oknie, przyssany do szyby niczym przerośnięty glonojad. Na zewnątrz ekipa remontowa pakowała manatki do poobijanego żuka, nie ona jednak przykuła uwagę panicza.

Z naprzeciwwka, od strony lasu, piaszczystą drogą nadciągał fragment krajobrazu.

– A niech mnie, Las Birnamski... – wyrwało się Konradowi.

– Nie, to Marianna – stwierdził anioł. – Pomoże nam posprzątać po remoncie. Kręć dalej, Krakersik, bo się krem zwarzy.

– Znacie ją?

– Uhm. – Licho wpakowało paluszek do kremu i oblizało z widocznym zadowoleniem. – Już nam parę razy pomagała w większych porządkach, apsik.

Dziewczę trzęsące się na rowerze z gracją zajęchało przed dom. Na głowie miało słomiany kapelusz z szerokim rondem, spod którego powiewały dwa grube, przasne warkocze. Niżej błękitniał puchaty sweterek z pętelkami i zieleniły się wściekle obcisłe geterki. Całości dopełniały trampki w pastelowe kwiecie i plecaczek ze sztucznej skóry, mocno już zużyty.

Z gracją baletnicy dręczonej przez podagrę Marianna zeskoczyła z sodełka i demonstrując pełnowymiarowość swej sylwetki,

przemaszerowała przez werandę i hol wprost do schowka pod schodami.

– Twarz jaśniejąca, usta jak korale...! – Panicz był bliski wniebowzięcia.
– Aniele...!

Jeden anioł, tu i ówdzie mocno opływowy, wbił się w podomkę ze stylonu i powędrował z wiadrem do łazienki, drugi zaś otrzepał ręce z resztek skórki cytrynowej.

– Apsik! – tym razem nie kichnął, tylko odpędził Zmorę dobierającą się do pudełka kakao. – Alleluja, gdzie są biszkopty?

Macka wypęzła zza klapki w drzwiach i podała szeleszczącą paczkę. Panicz tymczasem wzdychał jak zepsuty parowóz, wodząc bawolim wzrokiem za małomówną Marianną.

Coś na kształt pomysłu zakiełkowało w umyśle Konrada.

Nie, to było zbyt oczywiste, by mogło zadziałać. Zdecydowanie. Zresztą na pewno któryś z kolejnych właścicieli Lichotki wpadł już na ten pomysł i próbował go wprowadzić w życie. Bezskutecznie, skoro widmowy panicz wciąż się pałętał po domu. Ale z drugiej strony, zastanawiał się dalej Romańczuk, najtrudniej znaleźć najprostsze rozwiązania, a te z kolei sprawdzają się najlepiej, bo niewiele w nich można spieprzyć.

Pomysł zapuścił korzenie sięgające co najmniej jądra Ziemi i wziął się żwawo do wypuszczania pąków.

Niedawno umyta szyba zdążyła już zaparować od nieustannych westchnień Szczęsnego. Wreszcie odkleił się od niej, by niczym okręt na żaglach wiatrem wzdymanych odżegłować z kuchni do holu, gdzie pasterka z gwiazd sioła, przez normalnych ludzi i anioła zwana Marianną, moczyła i energicznie wyżywała nieokreślonej barwy szmatę.

Całodobowy zakaz wstępu do biblioteki okazał się dla niego bardzo dotkliwą karą, mimo że trwał dopiero od czterech dni; znacznie dotkliwszą niż hasło blokujące dostęp do laptopa oraz skrupulatne racjonowanie papieru. Wskutek tych represji – tak, represji, wszak karze się tylko winowajców – panicz nudził się jak mops. A co gorsza, nudził się zwyczajnie, prozaicznie i absolutnie nie z własnej woli, czyli zupełnie inaczej niż zwykle. Głupiutkie, prostolinijne Licho proponowało grę w bierki albo domino, Krakery podsuwał świeżo upieczone ciasteczka z kawałkami czekolady, jakby pusta zabawa i smakołyki mogły zastąpić utraconą rozkosz czytania. Pośmiertne życie bez książek było niewyobrażalną katuszą.

Aż pojawiła się Ona – przez bardzo duże, okrągłe O.

Duchem w obłokach, a świeżo odzyskanym ciałem na schodach Szczęsny

przyglądał się, jak jego anioł z tęczy i alabastru wdrapuje się po drabinie, by zdjąć brudne klosze z żyrandola.

Z kuchni wyszedł upačkany kremem Konrad. W dłoniach ścisnął kubek parującej kawy.

– Co porabiasz? – zagaił tak niewinnie, jak tylko potrafił, usiłując nie uśmiechać się przy tym zbyt podstępnie.

– Serce bije gwałtownie, oddechem nie władnę, iskry czuję w źrenicach, a na twarzy bladnę... – wybełkotał panicz.

– Tak, właśnie widzę. Słuchaj... nie masz czasem wrażenia, że wzywa cię los? Że jakaś siła, najwyższa istota, emanacja... eee... Absolutu przygląda się twojemu życiu i... – wyteżył umysł, nieprzyzwyczajony do snucia bredni – ...wiedziona jakimś nieodgadnionym kaprysem... – o tak, to było dobre – postanawia dać ci jeszcze jedną szansę?

Bardziej łopatologicznie się nie dało, co? – siła wyższa parsknęła śmiechem. Ech, jak ludzie już coś wymyślą... Za grosz profesjonalizmu.

Ale Szczęsnemu to wystarczyło, nie był zbyt wymagający. Niemalże eksplodując euforią, wlepił roziskrzone ślepią w Konrada.

– Ach, zbawco! – zapiał. – Otom odnalazł duszę przed wiekami utraconej kochanki, w ciało nowe a wdzięczne przyobleczoną! Och, łaskawy losie! Nadzieja powróciła do zbolełego serca mego!

– Więc na co jeszcze czekasz? Zasuway na górę, weź sobie parę kartek z sekretarzyka i napisz jakąś odę albo sonecik. Dzisiejsze dziewczyny uwielbiają, gdy się je romantycznie bajeruje. Nie, to jest stanowczo zbyt proste... – parsknął pod nosem, odprowadzając wzrokiem pędzącego po schodach panicza.

Ano – zgodziła się z Konradem siła wyższa. Głupi ma zawsze szczęście.

– Pucu-pucu, chlastu-chlastu, nie mam rączek jedenastu, tylko dwie mam rączki małe, lecz do prania doskonałe – nuciła Marianna, szorując na kłęczkach podłogę ciężką, ryżową szczotą. Mop, wymysł leniwiejącej w zastraszającym tempie ludzkości, okazał się bowiem bezradny wobec warstwy brudu narosłej podczas remontu.

Pokoik w wieżycze lśnił już czystością, podobnie główna sypialnia z przyległościami na piętrze. Jeszcze korytarz i dziewczyna mogła brać się do sprzątnięcia parteru. Nic nie wskazywało na to, że święty spokój, który miała od paru dni, dobiegał końca.

Nic nie zapowiadało koszmaru.

– Pucu-pucu, chlastu-chlastu – nuciła w kółko, nie pamiętała, jak to dalej szło. Centymetr za centymetrem cofała się w stronę schodów, a w ślad za nią szurała szczotka, pryskając obficie pianą. Całkiem nieźle szła im ta współpraca, aż do momentu gdy Marianna uderzyła w coś niestosownie wypiętym kuprem. Odwróciła się.

Najpierw zobaczyła wyglansowane na wysoki połysk laczki, a wokół nich listki, płatki i inne paprochy oraz nieco zeschniętego błocka. Coś w niej, tam, w środku, w duszy bodajże albo w okolicach żołądka, zazgrzytało. Podniosła głowę i spojrzała na niebieskie spodnie z gustownym fraczkiem, żółtą jak fluorescencyjny mazak kamizelkę oraz potężny wiecheć roślinności, której jesienna aura nie zdążyła załatwić.

– Kobieta rodzi się gwiazdom podległa i kwiatom – zagaił panicz, zachęcająco podtykając dziewczynie sypiącą się, kwiatowo-liściastą kompozycję. Sterczała z niej nawet jedna czy dwie pokrzywy.

Marianna zamruwała.

Szczęśny westchnął. Uznał, że powinien wyrazić się nieco jaśniej, bardziej bezpośrednio, wszak dziewczę było dość proste.

– Ledwie cię zobaczył, jużem się zapłonił – oznajmił roznamiętnionym głosem – w nieznanym oku dawnej znajomości pytał.

Marianna znowu zamruwała. Trochę jej było niewygodnie, tak na klęczkach, z tyłkiem w górze i dziwnie wykreconą szyją, ale bała się ruszyć, żeby panicza bardziej nie rozochocić. A bo to wiadomo, co takiemu dziwakowi do łba strzeli? Piany na pysku dostanie albo co? Nie pierwszy raz gościła w Lichotce, ale do tej pory los oszczędził jej bliższych spotkań ze Szczęśnym, który bardzo rzadko opuszczał bibliotekę, chyba że nocą. A matula zawsze powtarzała, że doczeka świeczka wieczoru, i proszę bardzo, Marianna naprawdę się doczekała, choć nie była świeczką, a na niebie w najlepsze świeciło słońce. Stała z obłąkanym paniczem twarzą w twarz czy raczej twarzą w pośladki.

– Choć w ubraniu... eee... sprzątaczkę, widno, żeś królowa! Pozwól, dziewico łaskawa, bym wyrecytował parę strof, które na tę doniosłą okoliczność ułożyłem. Choć uszu twych niegodne, ze szczerego, kryształowo czystego serca wprost płyną!

Królowa Marianna, dziewica łaskawa, nie mając specjalnie innego wyjścia, wróciła do szorowania – samo się zrobić nie chciało, a wydawało się o niebo bezpieczniejsze niż próby nawiązania dialogu z maniakiem we fraczku. Szczęśny zaś, również nie mając innego wyjścia, po chwili konsternacji wcisnął wiecheć pod pachę, wyszarpnął zza pazuchy gruby

zwitek papieru, rozłożył i zaczął odczytywać wiersz za wierszem.

Dziewczyna szorowała, panicz deklamował, wiecheć się kruszył i tym sposobem powolutku, niespiesznie przebyli cały korytarz, schody, hol i dotarli do kuchni.

Licho nie grzeszyło rozumem. Tak na dobrą sprawę nie grzeszyło też niczym innym, rozum bywał jednak w życiu naziemnym przydatny.

W zasadzie dość łatwo dało się przekonać, że Marianna poradzi sobie ze sprzątaniami domu i wcale a wcale nie trzeba jej pomagać. Tak że bez większych protestów założyło kaloszki i pelerynę przeciwdeszczową, wystarczająco obszerną, by przykryć skrzydła, i polazło z domagającym się towarzystwa Konradem na długi spacer po okolicznych lasach. Zajęte zbieraniem grzybów oraz pilnowaniem ciekawskiej Zmory, która postanowiła im towarzyszyć, nie zauważyło, że mężczyzna ciągle się za czymś rozgląda.

Gdzieś po czterech dniach takich spacerów Licho nabrało podejrzeń. Nigdy wcześniej tego nie robiło, nie miało żadnej wprawy, tropiło więc podgrzybki w wielkiej zadumie, w głębi ducha usiłując oswoić się nieco z tym całkiem nowym uczuciem, które się w nim zalęgło. Wreszcie zdobyło się na odwagę i postanowiło zadziałać.

– Pan coś, alleluja, kombinuje – rzekło do Konrada, który właśnie wylazł z jakiejś strasznej płataniny chaszczy. Starąło się zrobić wrażenie bardzo zasmuconego i stanowczego jednocześnie, aczkolwiek nie wzięło pod uwagę faktu, że wygląd trochę mu wchodzi w paradę. Owszem, peleryna świetnie maskowała skrzydła, ale poza tym była zdecydowanie zbyt wielka jak na jedno małe Licho. Przypominało w niej miniaturową, czerwoną parolotnię w kaloszkach, z wiklinowym koszykiem i zdecydowanie za dużym kapturem, bez przerwy opadającym mu aż na nos.

– Dlaczego tak sądzisz? – zdziwił się obłudnie Konrad, próbując uwolnić spodnie z wyjątkowo upartego i spragnionego kontaktu z człowiekiem krzaku jeżyny.

– Pan nie pozwala mi sprzątać, tylko każe snuć się po lesie i zbierać grzyby. – W głosie anioła dominował nieśmiały wyrzut.

– Owszem, bo wychodzę z prostego założenia, że zimą możemy ich już nie znaleźć.

– Ale pan czegoś szuka. Oprócz grzybów, alleluja – dodało. – I ja czuję, że pan mnie robi w balona.

Nagle okłamywanie zasmarkanego Licha wydało się Konradowi szczytem draństwa. Przewrócił oczyma i westchnął.

– No dobra – wyrwał nogę z objęć zaborczego krzaka – niech ci będzie. Ale nikomu ani słowa, słyszysz? To będzie taka nasza tajemnica, obiecuj!

– Obiecuję, apsik.

– Widzisz, drogie Licho, usiłuję odnaleźć grób Szczęsnego.

Anioł podniósł opadający kaptur.

– A po co?

– Eee... kiedyś mu to obiecałem. – Jakkolwiek by patrzeć, mówił prawdę. Nie całą, ale jednak prawdę, więc draniem nie był. – Że znajdę i... zajmę się... jego grobem...

Licho uśmiechnęło się od ucha do ucha.

– Przecież to zupełnie gdzie indziej. O tam – pokazało łapką – kawałek za szosą, między takimi brzózkami. Ja pana zaprowadzę i będziemy mogli wreszcie wziąć się do porządnego sprzątnia, alleluja!

Dojście na miejsce zajęło im dużo mniej czasu niż zdjęcie Zmory z drzewa, na które nieopatrznie się wspięła, zapomniawszy, że jest kotem kanapowo-naręcznym, a w pniach nie ma schodów, tylko jakieś dziwne gałęzie. Marne resztki wiejskiego cmentarzyka nie rzucały się w oczy i bez pomocy anioła Konradowi bardzo trudno by było na nie trafić, a do położonej na uboczu, zapadniętej mogiłki nieszczęsnego panicza nie dotarłby zapewne nigdy. Zatartych liter nie dało się już odczytać, w dodatku zaczął padać nieprzyjemny deszcz.

– Apsik. Mam wodę w kaloszkach – poskarżyło się Licho.

Spod jego niedopiętej pelerynki wyjrzała kocica. Miauknęła w stanowczym proteście przeciw obrzydlistwu lecącemu z nieba. Rad nierad, Konrad zarządził powrót do domu.

Lichotkę zagrzybiło. Pod okapem wisały dziesiątki sznurków, na których suszyły się grzyby. W garnku na kuchence pyrką cicho potrawka grzybowa z czosnkiem i śmietaną. Stół i szeroki parapet zajmowały słoiczki pełne podgrzybków w marynacie. Kolejny koszyk grzybów wprawił Krakera w nerwowe drżenie macek.

A na obiad znowu była zupa grzybowa.

Zmarznięty anioł przydreptał do kuchni w bamboszkach i flanelowym szlafroku i zabrał się do jedzenia, co rusz kichając.

– Smacznego. – Skrzywił się Konrad, odsuwając dyskretnie talerz. –

Chcesz moją porcję?

Ze spizarki dobiegł groźny bulgot. Konrad drgnął, prawie upuszczając łyżkę. Dźwięki, jakie wydawał z siebie pradawny stwór ciemności, wciąż przyprawiały go o dreszcze.

– Wybacz, Krakers. Naprawdę świetnie gotujesz, ale nie mogę już patrzeć na grzybową. Na samą myśl niedobrze mi się robi.

– Przecież sam żeś pan zbierał – zauważył Szymon między jedną łyżką zupy a drugą. Jemu akurat było wszystko jedno, czy je grzybową od tygodnia, czy od dwóch. Wełna, nie wełna, byle... eee, tego... gęba pełna.

– Bo zbierać lubię, gorzej z jedzeniem... O, wielkie dzięki. – Macka wręczyła mu miseczkę z czerwonym barszczem z torebki.

Opróżniając drugi talerz grzybowej, Szymon zerkał spode łba na Licho, które wzięło się do zmywania. Poczekał, aż anioł skończy i wyjdzie z kuchni, i dopiero wtedy się odezwał.

– Panie Romańczuk, co pan knujesz?

– A czemu niby miałbym knuć? Coście się dzisiaj tak wszyscy uwzięli?

– Nie zgrywaj pan niewiniątka. – Kusy pogroził mu łyżką. – Ciągasz pan Licho po lasach, chociaż dotąd żeś się pan z nim tak integrować nie chciał, a mnie wysyłasz do miasteczka po różne pierdoły, byle dzień w dzień Marianna sama w domu zostawała.

– Jaka tam znowu sama! – zachnął się Konrad.

– Ano właśnie! Gorzej niż sama, bo ze Szczęsnym! Widziałeś pan, jak on za nią łązi?

– No łązi i co z tego? Też mi nowość, chłopak łązący za dziewczyną! Wielkie mecyje! Co on, trędowaty, nie wolno mu czy jak?

– A pan co, Boga w sercu nie masz? Przecież on ją zamecza! Jakieś durnoty wygaduje, badyle z pół znosi, że o błocie nie... – urwał naraz. Intensywne procesy myślowe odmalowały się na jego spoconej twarzy. – Znowu to samo...

– A co takiego? – zapytała chodząca niewinność, nabożnie posilając się barszczykiem.

Kusy zmarszczył brwi.

– Już pan wiesz, co. Doskonale pan wiesz, panie Romańczuk.

Przez parę minut w milczeniu mierzyli się wzrokiem. Czując, że coś wisi w powietrzu, Krakers ostrożnie zebrał naczynia ze stołu i ułożył w zlewie, a sam schował się w spizarce między puszkami.

– Szczęsny ma narąbane we łbie jak Cyganka w tobołki – zaczął Konrad.

– Celem jego istnienia jest chyba utrudnianie życia wszystkim naokoło,

innego powodu nie widzę. Chętnie zamurowałbym go w piwnicy albo utopił w stawie, lecz – rozłożył ręce w geście bezradności – sam pan mówił, widma ukatrupić się nie da. Bardzo nad tym ubolewam.

– Z radością pomógłbym panu ukryć zwłoki, ale co ma do tego Marianna?

– O, bardzo wiele, panie Kusy. Bardzo! Już raz Szczęsny polazł za dziewczyną, uparcie ignorując fakt własnej śmierci. Zresztą, tak na marginesie, w ignorowaniu rzeczy oczywistych jest naprawdę świetny, musi mieć naturalny talent. A teraz sądzi, że los daje mu drugą szansę na miłość, o jakiej zawsze marzył. I jeśli uwierzy na tyle mocno, by poleźć za Marianną, by z własnej, nieprzymuszonej woli opuścić...

– Kocham, ach, kocham, po sto razy wołam! – Z okrzykiem na ustach panicz wparował do kuchni i rzucił się Konradowi do kolan. – I tyleż razy dziękować będę niebiosom, że mi ciebie zesłały, pocieszycielu! Ach, to anioł wcielony, nie kobieta! Jakaż ona piękna! – Westchnięcie. – Jakaż skromna! – Kolejne westchnięcie. – Jakiż blask nieziemski od niej bije, gdy kroczy uskrzydłona słowami mej poezji...! – Wywrócenie gałami. – Ach, nie dbam, że los i ludzie przeciwko nam stoją! Że uciekać i kochać bez nadziei muszę! Ja płonę, w końcu płonę, a tyś ów ogień w duszy mej na nowo rozniecił! O, dzięki ci, dzięki, najmilszy przyjacielu! – Uściśnął Konrada z całego serca i w te pędy czmychnął z kuchni.

– Cholera, od tej jego hysterii będę miał siniaki...

– Biedna dziewczyna – westchnął Szymon. – Nie zasługuje na to...

– Ale dlaczego biedna? Niech pan tylko pomyśli. Jak wielkiej miłości trzeba, żeby w wiejskim, mrukliwym dziewczusku z łojotokiem, figurą kręglą i tapetą grubości centymetra na twarzy zobaczyć pięknego, skromnego anioła uskrzydłonego słowami poezji? Bo w tę jasność ani trochę nie wątpię – zastrzegł. – Sam widziałem, jak jej się gęba świeci. Panie Kusy, proszę mi wierzyć, dzisiejsze młode kobiety, takie jak Marianna, pragną mężczyzny romantycznego, wrażliwego, który nie wstydzi się łez i pamięta o rocznicy pierwszego pocałunku, zabierze je na spacer przy blasku księżycy, wręczy kwiaty o jakimś tam symbolicznym znaczeniu i przeczyta wzruszający wiersz o miłości. Ale takich mężczyzn nie ma, panie Kusy, już dawno wymarli. A ci, którzy zostali, gonią za pieniędzmi, karierą i zgrabnym tyłkiem w minispódniczce.

Makiawelizm dla ubogich, nic dodać, nic ująć.

– Może i masz pan rację, ale... Ale to przecież Szczęsny, no!

– Ile czasu latał za pierwszą dziewczyną?

– Ponoć prawie dwa miesiące.

– No właśnie! A za Marianną snuje się dopiero od tygodnia. Dajmy mu szansę, panie Kusy. A nuż się czegoś przez tych dwieście lat nauczył? Niech pan pamięta – zniżył wymownie głos – że jego szczęście w amorach leży w naszym interesie. I w interesie Lichotki. Zresztą czym pan się martwi? Przecież jeszcze żaden mężczyzna nie umarł z miłości... dwa razy.

Pewnego przedpołudnia w Szczęsnym obudziła się dusza toreadora – postanowił dłużej nie zwlekać i wziąć byka za rogi. Uprzednio zadbawszy o swą powierzchowność, a zwłaszcza o frak, który od dawna wymagał spotkania z żelazkiem, i rozczochrane pukle, zaszył się w łazience na parterze, by dokończyć cykl sonetów wychwalająco-wielbiących. Nowa wiązanka roślinna, tym razem ułożona z różnobarwnych liści, stała na podłodze w słoiku po ogórkach.

Radosna twórczość nie zajęła mu wiele czasu. Tuż przed obiadem, wyposażony w zbiór liryków i bukietek, panicz ruszył na poszukiwanie nadobnej Marianny. Zdybał ją w wieżycze, gdy rozwieszała dopiero co wyprane prześcieradła.

– O, moja miła sestro duszy! – zapał histerycznie.

Dziewczyna z wrażenia upuściła plastikowy koszyk z klamerkami.

– Nie lękaj się, aniele! Pozwól, że rączęta twe ogrzeję pocałunkami miłości żarliwej!

Nawet nie zdążyła zaprotestować, a panicz już przyssał się jej do zimnych, mokrych dłoni i zaczął cmokać jak opętany.

– Tyś źrenicą oczu moich! Tyś promieniem nadziei mrok rozświecającym! Tyś chwilą wytchnienia w znoju i bólu wszelkim! Ach, strudziłem usta daremnym użyciem! – zakrzyknął i mocno pociągnął dziewczynę, aż padła przed nim na kolana. – Do rzeczy. Marianno...! – szepnął jej płomiennie wprost do ucha. – Kochanko niebiańska... usiądziesz mi na grobie...?

– A pierścionka to ty masz? – odparła krótko i wężłowato.

– Słucham?

– Pierścionka – powtórzyła. – Złotego, z oczkiem, najlepiej czerwonym. Ja tak bez niczego na żadnym grobie nie usiedzę. Matula mówi, że trza się cenić, a nie od razu dla byle kogo szargać wianuszek. Bo potem to cała wieś gada i staruszek z ambony pomstuje.

– Przebóg! – panicz jęknął rozdzierająco. – Tak ciebie oślepiło złoto...!

– A coś ty myślał, że ja głupia jestem i na byle co się dam nawlec?

Gołodupcowi bez pracy i mieszkania? – Wydeła pogardliwie usta. – Taki Zenek, na przykład, to na budowach robi, kasę trzepie i nawet za granicą raz był, bo on nie lada fachowiec! I bombonierki przynosi, na urodziny kupił mi taką fikuśną haleczkę, drogą, że ho, ho! I na disco jeździmy prawie co sobotę, a w święta może już damy na zapowiedzi. Za to, co mi pan Romańczuk zapłaci, każę krawcowej suknię ślubną uszyć.

Ogłuszony Zenkiem i haleczką panicz wstał, choć nogi mu się trzęsły.

– Przekłęta! – rzucił z goryczą. – Ty wydarłaś ostatnie godziny szczęścia mego na ziemi! A... a bodaj ci nóżka spuchła! – krzyknął i uciekł, łzy lejąc rześiste.

Wracająca z lasu gromada dzielnych grzybiarzy dostrzegła w oddali telepiącą się na rowerze Mariannę.

– O, na dziś już skończyła? – zdziwił się Konrad. Trochę mu było niewygodnie, może dlatego, że na głowie miał jak zawsze towarzyszącą im Zmorę, którą wystraszył piekielny stwór ogniem ziejący, wyposażony w zestaw przerażających zębisk i pazurów. Gorliwe zapewnienia, że zające zwykle nikogo nie atakują i trudno je nazwać śmiertcionośnymi lub krwiożerczymi, w przeciwieństwie do chociażby Krakera, jakoś kocicy nie przekonały.

– Najwyraźniej – stęknął Szymon, dźwigający na plecach utrudzone wycieczką Licho.

Mocniejszy powiew wiatru zachwiał rowerzystką, ale nie zdołał jej przewrócić. Parła przed siebie jak czołg i po niespełna minucie zniknęła między drzewami.

Wtedy od strony domu rozległ się huk.

Peleton w te pędy ruszył do Lichotki. Na prowadzenie od razu wysunął się Konrad, broczący krwią ze skroni i czoła, w które z całych sił wpiła się Zmora, by nie spaść. Kawalek za nimi pędził dyszący ciężko i sapiący niczym lokomotywa Szymon, a na końcu truchtało Licho, próbując nie zgubić kaloszków.

W stawie, z dubeltówką w objęciach, siedział panicz z przestrzeloną na wylot głową i kiwał się na boki. Wokół niego kłębiły się wściekłe utopce i żądały bezzwłocznej eksmisji dzikiego lokatora.

– Alleluja, Szczęsny! Wyłaż, bo się na śmierć przeziebiesz! – zapiszczało Licho, któremu cudownym sposobem wróciły siły, i rzuciło się na ratunek. Zaczęło ciągnąć panicza na brzeg, utopce go wypychały i w wodzie

zapanowało małe pandemonium. Posypało się pierze.

– Jestem taki nieszczęśliwy! – darł się mokry i podziurawiony Szczęsny. Sądząc po jego błogiej minie, więcej do szczęścia nie potrzebował.

Konrad stanął. Kocica, wytrzęsiona niemiłosiernie, skorzystała z nadarzającej się okazji i zwała do domu.

– No i masz pan tę swoją miłość – wydyszał Szymon, trzymając się za serce. – Zadowolony? Zakochany Szczęsny zawsze, ale to zawsze oznacza kłopoty. Cholera, skąd on wytrzasnął dubeltówkę?

Świadomość Konrada Romańczuka drgnęła, po czym nad wyraz starannie zwinęła się w supełek w geście rozpaczliwego protestu przeciwko myśli, która pchała się do niej uporczywie. Pomalutku, centymetr za centymetrem, zaczęły się pod nim uginać nogi.

– Tak... tak naprawdę to nie oni są dożywotnikami, prawda? – wydusił mniej więcej w połowie drogi do ziemi.

– Hę?

– Nie, oczywiście, że nie. Przecież oni nigdy się stąd nie wyniosą, bo nigdy nie umrą – mamrotał otumaniały Konrad. – Ale ja tak. Ja umrę. Na pewno. Kiedyś. Za kilkadziesiąt lat, które być może... nie, co ja gadam, jakie znowu może, które na pewno spędzę razem z nimi, bo przecież nikt nigdy nie kupi ode mnie gotyckiego domiszcza z pokracczną wieżyczką, zasmarkanym aniołem, pradawną ośmiornicą, złośliwymi utopcami i maniakałnym samobójcą na dodatek. Każdy rok, miesiąc, tydzień, dzień w dzień aż do usranej śmierci tylko poezja, pierze i przyssawki. To jest jak... jak wyrok... dożywotni wyrok... prawdziwe dożywocie...

– No. Wreszcie żeś pan załapał. Witamy w Lichotce.

A siła wyższa spoglądała z góry i kwiczała ze śmiechu.

2. Upadły anioł, różowy królik

Byla noc przed Gwiazdką i w całym domu...

No, może nie tak do końca przed. W zasadzie wcale nie przed, a na pewno nie tuż przed, bynajmniej. Właściwie to do Gwiazdki było dość sporo czasu, tak ze dwa tygodnie. A dokładniej rzecz ujmując, trzynaście dni. Mikołajkowe prezenty zdążyły się już znudzić, po słodyczach zostały tylko stosy sreberek i papierków, nowe komórki tłuszczowe oraz radosne zaczątki próchnicy, zaś pora na rozplątywanie światełek i ubieranie choinki jeszcze nie nadeszła. Takie grudniowe ni wpiął, ni wypiął, kiedy nie za bardzo wiadomo, co ze sobą począć.

Była zatem noc na trzynaście dni przed Gwiazdką i w całym domu panowały błogi spokój i cisza. Mimo to Licho nie spało. Jak zwykle siedziało na pralce, odruchowo majtając nóżkami w bamboszkach, i z przejściem mazało w bloku rysunkowym Bardzo Wielki Plan Bardzo Wielkich Świątecznych Porządków. Wokół siebie miało liczne kubeczki po lodach i jogurtach, a w nich ołówki, kredki, flamastry, długopisy, zakreślacze, cienkopisy, gumki, linijki, ekierki i wiele innych artykułów piśmienniczych. W zestawie brakowało jedynie farb, tych jednakże Lichu używać nie było wolno, odkąd w ferworze przygotowywania kartek z życzeniami upaćkało kuchenny stół, a potem, usiłując zatrzeć ślady zbrodni, do czerwonych kropek domalowało kropki żółte i zielone. Tak powstały kwiatowy deseń nie zyskał uznania ze strony niezadowolonego Konrada, który nie uwierzył szczerym zapewnieniom anioła, że tak miało być, bo tak ładniej i weselej, i bez słowa skonfiskował narzędzia przestępstwa. Na szczęście Krakers wykazał się znacznie większym zrozumieniem, utrwalając dzieło sztuki naiwnej warstwą bezbarwnego lakieru.

Nikt jednak nie odebrał Lichu tubek z klejem ani gumy arabskiej, dlatego też BW Plan BWŚ Porządków był nie tylko bardzo, bardzo kolorowy, ale również bardzo, bardzo, naprawdę bardzo upierzony, co należało zaliczyć w poczet może niezamierzonych, za to intrygujących efektów ubocznych. Taki domowy *popart*.

Postawiwszy ostatnią kreskę i ostatniego kleksa, anioł zlął z pralki. Wyrwał kartkę z bloku, po czym dołączył ją do pozostałych, rozłożonych na podłodze. Różnobarwne bazgroły utworzyły przekrój poprzeczny Lichotki, na którym widniała plątanina strzałek, kropek, figur geometrycznych, liter

i cyfr. Gdzieś w tym szaleństwie tkwiła metoda – pozorny bałagan zawierał w sobie bardzo precyzyjny plan, co, kto, kiedy i czym będzie sprzątał. Jeszcze odrobina taśmy klejącej...

– A gdzie ja dałem nożyczki? – Licho poskrobało się po głowie. Zajrzało kolejno do wszystkich kubeczków, pod kartki, między miski i środki czystości. Przeszukało każdy kąt i zakamarek, lecz nigdzie nie znalazło nożyczek. Diabeł ich ogonem nie nakrył, gdyż siły ciemności – z jednym, acz niezbyt drobnym wyjątkiem – miały zakaz prowadzenia działalności w domu, w którym stróżował anioł, wniosek był zatem dość prosty i Licho szybko do niego doszło.

– Musiałom je zostawić w kuchni, alleluja.

Wylazło więc z za pralki i kichając cichutko co parę kroków, zeszło na dół. Zegar w holu zaczął wybijać jedenastą.

Zaginione nożyczki leżały obok zlewu, a w Lichu odezwała się ochota na coś dobrego. Pstryknęło więc czajnikiem, z szafki wyjęto kubek z krową, wrzuciło do niego torebkę herbaty i trzy kostki cukru. Po krótkim namyśle dodało jeszcze jedną. O ile pamięć go nie myliła, w lodówce leżał jeszcze kawałek sernika z czekoladową polewą... Czekając, aż woda w czajniku się zagotuje, Licho wyglądało przez okno na śniegowe zaspę. Przypominały łagodnie rozkołysane fale, wyższe tam, gdzie pod spodem były krzaki albo małe pagórki. Droga od lasu, podjazd przed domem, na którym zazwyczaj stało tico, pryzma gruzu, ostatnia pozostałość po remoncie – jak okiem sięgnąć, cała okolica spoczywała pod białym puchem. Gałęzie jodeł i świerków uginały się pod jego ciężarem aż do samej ziemi. W ściętej lodem powierzchni stawu ział niewielki przeręb, wyrąbany przez Szymona, aby utopce mogły raz na jakiś czas wychynąć z wody i sprawdzić, jak się na świecie sprawy mają, albo rzucić w kogoś śnieżką. Licho nie lubiło śnieżek, wolało lepić bałwanki. Nie wpadały tak za kołnierz.

Wyposażone w kubek gorącej herbaty, talerzyk z ciastem i łyżeczkę, podreptało z powrotem do wieżyczki, gdzie napotkało niespodziewaną trudność: jak otworzyć drzwi, kiedy obie ręce są zajęte słodkościami? Licho popadło w zadumę.

Wtem usłyszało hałas, jakby trzask. A potem ciche brzęknięcie i deski skrzypiące pod czyimiś stopami. I znów trzask.

Dźwięki najwyraźniej dochodziły z piętra, a tam przecież nikogo nie było. Nie mogło być, myślał struchlały anioł. No bo kto? Konrad jeszcze nie wrócił z miasta, inaczej na podjeździe stałoby tico, Szymon to Szymon, ma swoje zasady, a Szczęsny stanowczy, alleluja, zakaz wchodzenia na górę, Zmora

zaś porusza się bezszelestnie, no, chyba że akurat wisi na żyrandolu albo włązi komuś pod nogi, zatem...

Puch na skrzydłach stanął Lichu dęba.

...zatem po domu myszkował ktoś obcy.

Drżąc z przejęcia, Licho odstawiło kubek i talerzyk na podłogę, po czym powolutku, na paluszkach zeszło parę stopni niżej, kucnęło i zerknęło przez balustradę.

Drzwi do sypialni Konrada były uchylone.

– Ojoj... – pisnęło cichutko.

Tego roku zima postanowiła być wyjątkowo podstępna. Długo czekała na właściwy moment, tocząc wielce wyrachowaną wojnę psychologiczną, aż wreszcie, mniej więcej w połowie grudnia, sypnęła śniegiem aż miło i odniosła spektakularny sukces. Drogowcy byli bardzo zaskoczeni. Nikt natomiast nie był zaskoczony zaskoczeniem drogowców i chyba tylko dlatego obyło się bez zamieszek.

Tyle dobrego, że gdy we wczesnych godzinach popołudniowych całe miasto stanęło w jednym wielkim korku, Konrad Romańczuk i Szymon Kusy właśnie z niego wyjeżdżali. Z oszałamiającą prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę turlali się białą szosą, mijając stojące na poboczu samochody i kierowców, którzy ze zdumieniem odkrywali sens używania zimowych opon i łańcuchów. Tico trzymało się dzielnie, mogło tak sunąć na dwójce choćby do samego domu.

Szybko zapadł zmrok i podróż zaśnieżoną, śliską drogą w kolumnie pojazdów zyskała posmak ryzykownej przygody. Nim się obejrzeni, popołudnie stało się wieczorem, a wieczór nocą. Z każdą godziną radio grało coraz miłszą dla ucha, ale też szybciej usypiającą muzykę.

– Już prawie północ – zauważył smutno Kusy. – Coś mi się zdaje, że w tym tempie to do Lichotki pan przed świtem nie dotrze.

– Mogę dodać gazu, jeśli tak bardzo chce pan nocować w rowie – powiedział Konrad, zachowując kamienny spokój. – Albo na drzewie, nie wiem, gdzie będzie wygodniej. – Wzruszył ramionami. Osiągnął stan ducha niedostępny nawet dla mistrzów zen, który najlepiej można ująć słowami „wszystko mi jedno”, powtarzanymi do znudzenia monotonnym, całkowicie wypranym, odwirowanym i mocno wyżętym z emocji głosem. Wystarczyło marne sześć godzin bieganiny od sklepu do sklepu, nerwowej pogoni za paczuszką dekoracyjnych listków z białej czekolady oraz walk na śmierć

i życie o wózek albo miejsce w najkrótszej kolejce do kasy. Ot, zwykłe przedświąteczne piekielko, którego Konrad doświadczał już wielokrotnie, lecz nigdy dotąd bez siły przewodniej w postaci niezawodnej w takich sytuacjach, zorganizowanej lepiej niż przestępczość Majki, uzbrojonej w listę zakupów, kalkulator i nieskończone pokłady zdrowego rozsądku. Nie wahał się zatem zbytnio, mając do wyboru ciężki szlag, obłąd lub obojętność graniczącą z katatonią, i już rano, zanim wsiadł do samochodu, zapadł w coś na kształt letargu, z którego nie zdołało go wyrwać nawet zadawane przez Szymona średnio co pięć minut pytanie:

– Czy na pewno wszystko kupiliśmy?

Emocjonalnie zahibernowany Konrad na moment oderwał wzrok od świateł samochodu jadącego przed nimi i zerknął w lusterko na tylne siedzenie. Zza stosu paczek, pudeł, toreb i zawiniątek wystawał tylko kawałek szyby, a bagażnik domknął się na słowo honoru, i to dopiero po brutalnych naciskach. W tico nie zostało miejsca na jeden sprawunek, choćby najmniejszy.

Tak, na pewno wszystko kupili. Możliwe, że nawet trochę więcej.

Jako tradycyjny anioł stróż Licho nie miało na wyposażeniu żadnych mieczy ognistych ani tym podobnych, robiących odpowiednie wrażenie akcesoriów, mogło co najwyżej kopnąć z bamboszka. Trochę się bało, w końcu było malutkie i nigdy nie widziało prawdziwego, żywego włamywacza – martwego zresztą też nie – jednak poczucie obowiązku i odpowiedzialności za dom oraz domowników budziło w nim ducha bojowego. Owszem, budziło powoli, niemniej bardzo skutecznie.

Przede wszystkim Licho postanowiło uzbroić się po zęby.

Spośród przedmiotów zgromadzonych w wieżyczce jako te najbardziej zabójcze wybrało żółte, gumowe rękawice, sięgające mu niemal pod pachy, spray na mszyce oraz mopa. Od razu poczuło się większe i groźniejsze. Prawdziwy mały morderca.

Zdeterminowane i niebezpieczne dla otoczenia, zwłaszcza dla mszyc, przemknęło do kuchni niezauważone przez intruza, aby paść na kolana przed klapką w drzwiach spiżarni.

– Krakers? – zawołało przeraźliwym szeptem. – Krakers, apsik, jesteś tam?

Odpowiedział mu bulgot, niestety, zbyt równomierny i spokojny, by był czymś innym niż chrapaniem. Pradawny stwór ciemności spał snem

sprawiedliwego.

– A niech to alleluja!

Sytuacja stała się poważna. Z odbezpieczonym sprayem w dłoni oraz mopem pod pachą, co rusz zerkając za siebie, Licho przebiegło przez hol, minęło bibliotekę, łazienkę i dopiero wtedy odruch zwyciężył nad atakiem straceńczej odwagi. Zapukało.

– Wkroczyć!

– Ciiichooo...! – wyszeptało, wślizgując się do salonu.

Rozwalony niedbale na sofie Szczęsny oderwał wzrok od książki, którą czytał. Choć sam rzekłby raczej, że zmysłami wszelkimi niczym kielichem z kryształu rzeźbionym czerpał ze źródła niezemskiej poezji. Talentu do komplikowania najprostszych nawet czynności nie sposób mu było odmówić.

– Na chtonicznych bogów! – zawołał na widok anioła. – Czyś ty bez reszty oszalało? Zamierzasz w środku nocy, w dodatku zimą, mszyce tępić?!

– Ciszej, apsik, bo cię usłyszy!

– Któż taki? – wyraził łaskawie zainteresowanie.

– Włamywacz! Tam, na piętrze! – Wskazało końcem mopa w stronę sufitu.

– Pierniczysz? – Panicz zerwał się na równe nogi. – To jest, żarty sobie stroisz?

Anioł miał ochotę się trochę nabzdyczyć, ale misja to misja. Nie czas na fochy, kiedy Lichotka w potrzebie.

– Nie stroję. W sypialni na górze grasuje włamywacz. Trzeba go przegonić, zanim coś ukradnie lub zniszczy. Jesteśmy sami, tylko ty i ja, apsik!

– A Konrad?

– Jeszcze nie wrócił.

– A Krakers?

– Śpi. Poza tym nie sięga na piętro.

– A Zmora? – zasugerował panicz w przypiływie beznadziejnej rozpacz. Ufał sile swego intelektu i ducha, sile zmaterializowanych mięśni natomiast znacznie mniej. Ostatnie, o czym by marzył, to starcie z włamywaczem, niewątpliwie bezwzględny i barbarzyński.

– Trzeba by nią w tego włamywacza rzucić, a na to się nie zgadzam, alleluja. Bo to niehumanitarne. Jesteśmy sami – powtórzyło.

– No to na co jeszcze czekasz? Dzwon po odsiecz jakową!

– Konrad nie zostawił komórki, a drugiej przecież nie mamy. Numeru do

odsieczy jakowejś też nie – zauważyło rozsądnie.

– A nie możesz się połączyć... sam nie wiem... o, telepatycznie?

– Jestem aniołem, a nie Kaszpirowskim – przypomniało Licho, które swego czasu wspólnie z jednym z poprzednich dożywotników z zapalem poddawało się telewizyjnej hipnozie i bioenergoterapii, a i niejedną butelkę wody przy okazji naenergetyzowało. – No chodź!

Nie czekając na kolejne wykręty, chwyciło panicza za rękę i wywlokło korytarzykiem do holu, a potem schodami na górę. Gruby dywan dobrze tłumiał odgłos ich kroków. Pomału, ostrożnie, cicho, jak najciszej...

Od strony sypialni rozległ się trzask, trochę głośniejszy niż poprzednio.

– To na pewno włamywacz? – wycharczał Szczęsny. Strach jedną ręką ścisnął go za gardło, a drugą skręcał żołądek w fikuśny paragraf.

– Oczywiście, że włamywacz, kto inny pałętałby się po domu w środku nocy?

– A może duch? Bo jeśli tak, to ja wracam do salonu! Ja się duchów lękam!

– Przecież jesteś widmem!

– No i co z tego, że jestem, skoro się lękam i już! – panicz migiem dotarł na granice hysterii.

– Dobra, apsik. Jeśli to duch, samo na niego ruszę.

– A wąpierz? Przecież to może być wąpierz, krwiożerczy i... bardzo krwiożerczy! Albo troll. Albo... albo małe, zielone dziabongo!

– A co to takiego?

– No... no wiesz. Takie małe... zielone... i dziabongowate.

Bywały takie chwile, raczej rzadkie, kiedy w Lichu budziło się bardzo nieśmiałe podejrzenie, że Szczęsny jest głupszy od jego bamboszków.

Ujrzawszy uchylone drzwi, za którymi w najlepsze grasował włamywacz, dzielni obrońcy Lichotki zastygli na ostatnim stopniu.

– Masz jakąś broń?

– Że co mam...? – W pierwszej chwili panicz nie zrozumiał, a potem szybko przeszukał kieszenie. – Szydełko może być?

– Może. A teraz... do boju!

I ruszyli ramię w ramię, anioł z mopem oraz widmo z szydełkiem. W pierwszym pokoju nikogo nie zastali, lecz drzwi do drugiego były otwarte, a za nimi paliło się światło. Nieustraszeni pogromcy złoczyńców wstrzymali oddechy i bohatercko przekroczyli próg.

Włamywacz, odwrócony tyłem do pokoju i wejścia, właśnie przetrząsał szafę.

– Ręce do góry, alleluja! – wrzasnęło strasznym głosem Licho, mierząc sprayem w intruza.

Wrażenie zrobiło piorunujące. Trudno powiedzieć, kto w tym momencie osłupiał bardziej, włamywacz, który wciąż siedział z głową w szafie, czy zbrojny w szydełko Szczęśny.

– No co...? Źle powiedziałem? Nie do góry?

– A nie, nie, do góry, dobrze... Bardzo dobrze... – mocno zmieszany Szczęśny spojrzał na szydełko, które raptem wydało mu się bronią cokolwiek niestosowną na tę okazję, potem na włamywacza. – Do góry... te ręce... No.

Nie zabrzmiało to co prawda zbyt przekonująco, ale musiało wystarczyć.

Włamywacz obrócił się pomału w ich stronę, po czym zastygł w kuriozalnej pozie, ni to zgięty, ni to wyprostowany, trzymając kurczowo parę markowych i niewątpliwie drogich džinsów. Owa markowość polegała na profesjonalnym, artystycznym wytarciu, przetarciu, rozdarciu i zużyciu ogólnym, przez co wyglądały, jakby od lat służyły za ścierę do wyjątkowo brudnej podłogi. Ale przecież nie po to brnął przez zasy, czatował w lesie i obserwował dom na odludziu, z którego od paru miesięcy wyjeżdżały dziesiątki wartościowych paczek z antykami, by ukraść džinsy, choćby najdroższe, poobijanego laptopa i elektryczną golarkę nie pierwszej nowości! Już zdążył się przekonać, że w pojedynkę nie da rady wynieść sekretarzyka, o zabytkowej szafie i łóżku mógł jedynie pomarzyć, na rodowe srebra i skarpetę z oszczędnościami przestał nawet liczyć, chciał zatem poszperać jeszcze w pozostałych pomieszczeniach, a tu ni stąd, ni zowąd wpadają jakieś czupiradła i drą się „alleluja”.

Pozostało mu tylko zbaranieć.

W dodatku jedno z tych czupiradeł – rozsądek włamywacza bezskutecznie usiłował wyprzeć to, co widziały oczy – otóż jedno z nich było wyposażone w parę niekompletnie upierzonych, lecz bardzo prawdziwie wyglądających skrzydeł. Takich białych. Niedużych. Był w zasadzie pewien, że ludzie ich nie miewają.

– Jeeezu... – wybełkotał. – Jeeezu...

– Nie, ale jest pan blisko. – Ani chybi anioł uśmiechnął się życzliwie.

– Jeeezu... – Dżinsy wypadły włamywaczowi z roztrzęsionych dłoni. – Kooo... Kooo... Kooo...

– Chyba się zaciął, apsik. Czy ja go aby nie zepsułem? – zmartwiło się skrzydlate czupiradło.

– A psiknęłoś tym sprayem? – zapytało czupiradło we fraczku.

– Nie, ani trochę, chciałem tak tylko postraszyć...

– Kooo... – Włamywacz wreszcie przypomniał sobie, co było dalej, po „kooo”, co do którego nie miał wątpliwości. – Kooosmiiitaaa! Jeeezuuu, kosmita, kosmitaaa!

Na wszelki wypadek Licho natychmiast odsunęło mopa i spray na bezpieczną odległość, a Szczęsny z wrażenia upuścił szydełko.

– To już! Inwazja! Inwaaazjaaa! Jezu, kosmici zajęli Ziemię! Baamisjanie! Wystrzelają nas jak kaczkę! Znikąd ratunku, Jezuuu! Daimos!!! – wrzasnął na całe gardło włamywacz, przyjmując pozycję teoretycznie bojową. – *Pronto al combattimento!!!*

Nie próbowali go zatrzymać. Wręcz ustąpili mu miejsca, by mógł przebiec, nie potykając się o nic. Sądząc po hałasie, zleciał ze schodów mniej więcej w połowie, w holu wywinął pięknego orła i mniej więcej od drzwi już bez większych przeszkód pognął przez las. Miał niezłe tempo, jego wrzask szybko ucichł w oddali.

– Dziwak jakowyś... – mruknął widmowy panicz, podnosząc szydełko z ziemi i chowając do kieszeni niebieskiego fraczka.

– No, dziwak... – przytaknął anioł w bamboszkach.

Nigdy przedtem Konrad nie kłął tak twórczo i ogniście, jak tego ranka.

Gdy grubo po trzeciej w nocy doturlali się nareszcie do domu Szymona, cała trójka – znużony kierowca, głodny pasażer i przeciążony środek transportu – jednomyślnie odmówiła dalszej podróży. A że za miasteczkiem szosa była już całkowicie nieprzejezdna, Konrad nie miał żadnych wyrzutów sumienia, tracąc przytomność na kanapie w niewielkim salonie Kusych.

Spał tam jak suseł aż do dziesiątej. Obudził go dopiero pług, który jeździł za oknem w tę i nazad, równie heroicznie, co hałaśliwie walcząc z zaspami najpierw w miasteczku, potem w całej okolicy. Boczna droga przez las pozostała jednak nieodśnieżona, o czym Konrad mógł się przekonać na własne oczy i ręce.

Pierwsze, konwencjonalne przekleństwa mamrotał bardziej dla zasady niż z potrzeby serca, wypakowując na poboczu zawartość bagażnika w poszukiwaniu małej szufli, w którą przezornie się zaopatrzył jesienią, a potem upychając zakupy z powrotem. Do odgarniania śniegu przystąpił z umiarkowanym entuzjazmem zupełnego debiutanta. Pogoda sprzyjała zajęciom w plenerze – lekki mróz, rześkie powietrze i słońce na bezchmurnym, błękitnym niebie. Tak mniej więcej Konrad wyobrażał sobie

walking in the winter wonderland, brakowało jedynie zbłąkanego jelonka na skraju lasu i sikorki przycupniętej na kawałku słoninki.

Po kilku metrach tej zimowej przechadzki był gotów uznać machanie szuflą za najgorszą z tortur znanych ludzkości, zaś repertuar przekleństw rozszerzył o te zapamiętane z nie tak znowu odległych czasów remontu Lichotki. Marzył i gotował się równocześnie, zaliczył też kilka wywrotek, gdyż modne buty z gładką podeszwą, idealne do samochodu i stąpania po sklepowych posadzkach, niezbyt nadawały się do łażenia w głębokim śniegu. Nie czuł rąk, za to w krzyżu łupało go niemiłosiernie, a spodnie miał przemoczone aż po kolana.

Na przemian to odgarniał zaspy, to ostrożnie podjeżdżał samochodem, modląc się, by koła nie utknęły w śniegu, i marzył o kawie. Gorzkiej, parzącej w czubek języka, aromatycznej kawie w ulubionym kubku – tym... no, tym od Majki, który dostał przy jakiejś tam kolejnej okazji, tym z Różową Panterą w kucharskiej czapie i fartuchu, smażącą jajka sadzone, ani za dużym, ani za małym, w sam raz. I o ciasteczku, kruchej gwiazdce z marmoladką... A nawet o dwóch gwiazdkach, w końcu narobił się niczym wół w kieracie, mógł sobie pozwolić na tę odrobinę kalorycznego szaleństwa.

Widok Lichotki dodał mu sił oraz ochoty do energiczniejszego wywijania szuflą. Dotarł do domu umęczony i spocony jak ruda mysz w połogu, lecz szczęśliwy, że wreszcie sobie odsapnie.

Drzwi, nie wiedzieć czemu, były zamknięte.

– Jak nie urok, to przemarsz wojsk... – prychnął z rozdrażnieniem. Żeby sięgnąć do wewnętrznej kieszeni po klucze, musiał zdjąć rękawiczki i rozpiąć kurtkę aż do połowy. Trzęsąc się z zimna, otworzył oba zamki, po czym zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę.

I nic. Zdezorientowany Konrad wyteżył wątpliwą muskulaturę i naparł na drzwi. Coś je blokowało od środka.

– Ki diabeł...? Licho! – Brzęknął kilkakrotnie dzwonkiem. – Szczęsny! Halo, jest tam kto?

Dopiero teraz dostrzegł, że wszystkie okna są szczelnie zasłonięte, a z komina nie wydobywa się dym, jakby dom opustoszał. Przez umysł przegalopowało mu stado nieokiełzanych myśli, a co jedna, to ciekawsza. Dominującym w nich motywem była tryskająca obficie krew, ostre narzędzia, ulatniający się gaz, porażenie prądem i cały wachlarz innych możliwości wyrządzenia krzywdy sobie lub komuś innemu w zaciszu domowego ogniska.

O szlag, ognisko... Konrad zdenerwował się nie na żarty.

– Licho! Szczęśny! – wrzasnął na całe gardło. – Licho, do licha, otwierajcie!

Darł się tak dość długo, waląc pięściami w drzwi i molestując dzwonek, aż nagle w środku odezwał się cieniutki, drżący głosik anioła:

– Kto tam?

Katastroficzne wizje łzami i krwią płynące skończyły się jak nożem uciął i Konrad odetchnął.

– To ja, otwórz.

– Jaki ja?

– No... Konrad – odpowiedział po trwającej krótką chwilę konsternacji. – A któż by inny?

– Czy aby na pewno, alleluja?

– Co...?

Po drugiej stronie drzwi zaszemrał konspiracyjnie inny, znacznie niższy głos.

– Dobra, zapytam – obiecało mu Licho i zwróciło się do Romańczuka. – A skąd ja mam wiedzieć, że ty to ty, a nie... nie ty?

Skojarzenie puknęło Konrada paluchem w świadomość. Aż zazgrzytał zębami. Naiwność anioła sama w sobie bywała wystarczająco irytująca, a co dopiero ze wsparciem mistrza w doprowadzaniu do szewskiej pasji.

– Czy ten wyfiokowany bałwan jest tam z tobą? – warknął. – Szczęśny? Szczęśny, a żeby cię pokręciło, coś ty mu znowu nagadał? W tej chwili otwierajcie, słyszysz? Ale już!

Usłyszał, jak przeprowadzają szeptem błyskawiczną naradę.

– Dobrze, apsik, otworzymy, ale najpierw pokaż kopytko!

– Słu... słucham?

– Pokaż kopytko. Bez kopytka cię nie wpuścimy.

Za drzwiami ponownie coś zaszemrało, tym razem pytająco.

– Oczywiście, że wiem, co robię – zapewniło Licho. – Musi pokazać kopytko, alleluja. Jeżeli nie ma kopytka, to znaczy, że jest wilkiem, a wilka wpuścić nie wolno, bo nas zje – tłumaczyło z przejęciem. – Tak było w bajce, ja wszystko dobrze pamiętam. Nie otworzymy mu drzwi, póki nie udowodni, że jest kózką. Pokaż kopytko, zły wilku! – pisnęło do Konrada srogim falsetem. – I nie myśl, że się nabiorę na sztuczkę z mąką. Nie ze mną te numery, alleluja!

Nigdy, przenigdy nie będę mu już czytał bajek, choćby znów mnie o to zameczało na śmierć, postanowił Konrad. Bajki szkodzą aniołom na umysł,

zwłaszcza te z morałem. Sprawię mu pod choinkę nintendo, niech się lepiej uczy walki z zombi.

– Licho, zlituj się, przecież ja nie mam kopytek...

Odpowiedziała mu bardzo stanowcza cisza. Dobijał się jeszcze przez chwilę, coraz bardziej wściekły i zmarznięty, w końcu ze złością cisnął szufłę na ziemię i pobiegł do samochodu. Skoro nie chcą go wpuścić, wpuści się sam. A jak dorwie tego fircyka w zalotach, tę mimozę w lakierkach... Żałował tylko, że od czasu, gdy razem z Szymonem włamywali się do biblioteki, łom leżał w schowku pod schodami. Teraz bardzo by się przydał, ale łyżka do opon także była użyteczna w demolowaniu zamków.

Dokonawszy dzieła zniszczenia, napał na drzwi całym ciałem. Blokująca je szafka na buty wolno, centymetr za centymetrem przesunęła się po parkiecie.

– Ja wam zaraz pokażę kopytko – wysapał Konrad i wcisnął się do środka przez wąską szparę między drzwiami a framugą. Czasami dobrze mieć posturę wieszaka na płaszcze. – No, kózki wy moje rogacie! – ryknął. – Gdzieście się schowały?

Kątem oka dostrzegł jakiś szybko się zbliżający, ciemny kształt, ale już nie zdążył zareagować. Padł ogłuszony na podłogę.

Ostatnim, co usłyszał, zanim stracił przytomność, było pełne szczerego zatroskania „Ojoj, alleluja”.

Spośród wszystkich barów w promieniu kilometra ten był z pewnością najmniejszy i, co za tym idzie, najbardziej zatłoczony. Na dwudziestu trzech metrach kwadratowych ledwo mieścił miniaturowy kontuar, za którym cisnął się właściciel lokalu we własnej otyłej osobie, dwa chyboczące się stoliki, tradycyjnie zajęte przez miejscowych koneserów wyrobów zbożowych, oraz wiecznie obłęzonego jednorękiego bandytę. Tego wieczoru okupował go młodzieniec w stanie wyraźnie wskazującym na nadmierne spożycie. Zgarbiony, chwiał się na stołku i z wyrazem kompletnej beznadziei na twarzy pukał wciąż w ten sam przycisk, bełkocząc coś pod nosem bez ładu i składu.

Tuż po północy do środka wcisnął się blond jegomość w okularkach, żywcem wzięty z żurnala męskiej mody konserwatywnej, zbrojnej w obowiązkowy krawat. Zgromiwszy wszystkich jak leci pełnym potępienia spojrzeniem, podszedł do młodzieńca i stanowczym gestem chwycił pod ramię.

– Władziu, proszę natychmiast powstać – zakomenderował. – Co by powiedziała twoja zacna matka, widząc cię w tym miejscu, w takim stanie! Twoje szczęście, że w uzdrowisku odciski leczy. Proszę powstać, Władziu, raz-dwa, odwiozę cię do domu.

Młodzieniec zwany Władziem oderwał rozkojarzony wzrok od migoczących światełek jednorękiego bandyty i coś wybełkotał. To jednak było stanowczo za mało dla jegomościa.

– Władziu – rzekł ostro – jestem gotów puścić w niepamięć ten pożałowania godzien incydent, pod warunkiem że w tej chwili opuścisz ten przybytek. W tej chwili, natychmiast!

Na Władziu nie zrobiło to zbyt wielkiego wrażenia.

– Władziu, wystawiasz mą cierpliwość na wielką próbę, a jest to cierpliwość zgoła anielska...!

Na te słowa otepiałe Władziowe oblicze zmarszczyło się w bolesnym namyśle.

– A... anielska...? – wybełkotał.

– Anielska – potwierdził jegomość w okularkach.

– Taka... taka... ze skrzydłami? I tą... no... aurerolką...?

– Aureolką. Tak, właśnie taka.

W zamglonych procentami oczach Władzia zalśniło coś na kształt iskiej zrozumienia. Ułamek sekundy później zatłoczonym barem wstrząsnęła seria pełnych zgrozy, acz nieco bełkotliwych i niegramatycznych okrzyków.

Trzy dni przed Wigilią dom powalał czystością. Na wyfroterowanych parkietach można się było zabić bez większego trudu, wystarczyło spróbować iść jak człowiek, zamiast sunąć lub ewentualnie pełznąć. Firanki i zasłony stały na baczność przed kryształowymi oknami, żaden obraz nie ośmielił się przekrzywić, a róg dywanu zagiąć. Nawet zdyscyplinowane tykanie zegara tchnęło najporządniejszym z porządków. Tik-tak, tik-tak, tik-tak i żadnego burzącego ład bim-bom. Zresztą i tak nie byłoby go słyszeć. Z kuchni, gdzie twardą macką rządził Krakery, dochodziły przeróżne aromaty powodujące ślinotok, który mógł zagrozić poważnym odwodnieniem organizmu, oraz łomot zdolny obudzić nie tyle jednego umarłego, ile zatłoczony cmentarz. Dobywał się z rozkręconego na cały regulator radia i teoretycznie miał za zadanie tworzyć świąteczny nastrój. W ramach promocji ogłaszał także okoliczne ptactwo w locie.

Fałszując do wtóru *Jingle Bell Rock*, anioł balansował na czubku

rozstawionej w holu drabiny z naręczem różnorodnych ozdób, własnoręcznie wykonanych z kolorowego papieru, bibuły i sreberek po czekoladzie. Twierdził, że święta nie byłyby prawdziwymi świętami bez łańcuchów, pawich oczek, błyszczących gwiazdek czy bałwanków z waty, obowiązkowo lepiących się do wszystkiego. Bombki bombkami, ale co to za frajda, jeśli nie można trochę poszaleć z klejem i nożyczkami? A w planach były jeszcze celofanowe pajęczki na nitce... Na samą myśl o nich Licho dostawało dreszczy. Trochę zbyt dosłownie wzięło określenie „anielskie włosie” i przed dwoma dniami obcięło się na krzywego jeża, aby zdobyć materiał. Nowy *image* ofiary tyfusu absolutnie mu nie przeszkadzał.

– *Jingle bell, jingle bell, jingle bell rock* – zawodziło radio głosem Randy’ego Trávisa – *jingle bells swing and jingle bells ring. Snowin’ and blowin’ up blushes of fun, now the jingle hop has begun.*

Licho z wielkim zapałem kręciło kuperkiem, pokichując do rytmu. Przy *hop* upuściło parę ozdób, ale zbyt szybko się tym nie przejęło. Na każdym bamboszku miało przyczepioną gwiazdkę z ozdobnej wstążeczki, różową, żeby było pod kolor, a na koszulce wielkości małego spadochronu wprasowało sobie rumianą, roześmianą gębę Świętego Mikołaja. Wczuwanie się w bożonarodzeniowy klimat uważało za swój anielski obowiązek.

Umieszczenie łańcucha nad schodami wymagało użycia gwoździ, które Licho zabrało ze schowka, oraz młotka, o którym zapomniało. Zerknęło za siebie.

– Krakers, masz młotek?

Z kuchni wyłoniła się wielka macka, obficie upstrzona złotym, czerwonym i zielonym brokatem, i podała aniołowi upragnione narzędzie.

– To jeszcze mi przytrzymaj tego gwoźdźca, o tu – zarządziło. – Nie mrucz, tylko trzymaj, alleluja. Mam za mało rąk, samo nie dam rady. Wyżej... wyżej... trochę w prawo... O, w sam raz. I teraz nie ruszaj...

Podczas gdy poirytowany Konrad, dopiero co wyrwany ze snu rykiem, który wstrząsnął domem od posad aż po sam czubek komina, robił zimne okłady na stłuczoną mackę, Licho parzyło mu kawę i łąkało.

– Ja nie-e chci-a-łoom... – chlipało z rozpaczą nad kubkiem. – Nie-e chciało-om zro-obić mu krzy-y-wdyyy...

Romańczuk westchnął, wywracając przekrwionymi oczyma.

– Ale zrobiłś – wytknął aniołowi bez krzty litości. – Od dzisiaj łąpska

precz od młotka, zrozumiałoś?

– Ta-ak...

– To się tyczy także ciebie, Krakers, słyszysz? Żadnych gwoździ, żadnych młotków. Ani wiertarek, śrubokrętów, hebli, obcęarów i pił – uściślił. Z chęcią zabrałby im także noże, widelce i nożyczki, to by jednak oznaczało spore utrudnienia w wykonywaniu codziennych czynności. – Wątpię, żeby w jakimkolwiek szpitalu przyszywano niechcący amputowane skrzydełka lub macki. No co za krwiożercze zbóje... Mało wam moich ran, musicie się jeszcze między sobą tłuc?

Wciąż miał siniaki na czole i skroni po bliskim spotkaniu z patelnią, która w dłoniach wojowniczego Licha przeistoczyła się w nader skuteczne narzędzie walki z przestępczością.

– My się nie tłukliśmy, a-alleluja, tylko wieszaliśmy świąteczne ozdoby...

– Ach, tak. – Konrad pokiwał głową z udawanym zrozumieniem. – Aż się boję pomyśleć, co będziecie wyczyniać podczas ekstremalnego ubierania choinki. A, właśnie... Trzeba będzie pójść do lasu i ściąć drzewko...

Wielkie, wciąż mokre oczy anioła rozbłysły radością.

– Przyniosę siekiere!

– Nie, Licho, nie przyniesiesz! – Konrad zerwał się z taboretu i chwycił je za rękę, zanim wybiegło z kuchni. – Mowy nie ma! Nawet nie waż się tknąć siekiery! – pogroził mu palcem.

– Apsik...

– Rany boskie, ja z wami osiwieję... – Złapał się za głowę. Po krótkiej chwili rozpaczy spojrział błagalnie na anioła. – Nudzisz się? Znajdź i wyczyść bombki, na pewno są czarne od kurzu. A choinką po południu zajmie się Szymon.

W spiżarni zagrzmiało.

– Tak, Krakers, możesz wziąć mikser, tylko uważaj, gdzie wtykasz macki. Wystarczy obrażeń jak na jeden dzień. I ścisz to przeklęte radio! – krzyknął jeszcze z holu Konrad i z kubkiem kawy w dłoni wrócił na górę.

Wczesna pobudka, połączona z niesieniem pierwszej pomocy po tępych urazach, wytrąciła go z równowagi. Po pierwszych miesiącach zachłyśnięcia niezwykłością miejsca, jakim była Lichotka, do głosu powróciła szara codzienność, taszcząc ze sobą solidnych rozmiarów bagaż zmartwień, zmęczenia i mały bonus w postaci wszechogarniającej rezygnacji. Za dnia Konrad ślęczał przed komputerem, chałturząc dla czterech agencji reklamowych jednocześnie, ponieważ nadszarpnięte remontem finanse wymagały szybkiej reanimacji, nocami natomiast pisał kolejne opowiadanie

i udawał przed sobą i całym światem, że ponaglące maile od agentki wcale nie zapychają mu skrzynki, a świt to najlepsza pora, by iść spać. Był już naprawdę wykończony. Nadmiar kawy i niedobór magnezu dawały mu się we znaki nieustannym bólem głowy i żołądka oraz zaawansowanym czarnowidztwem. Z coraz większym trudem odpierał wrażenie, że to wszystko go przerasta – całkowite odludzie, gdzie nie miał do kogo gęby otworzyć i przemówić ludzkim głosem, gotycki dom z wieżyczką, a zwłaszcza namolni jak dzieci dożywotnicy, zawracający mu głowę swoimi dziwactwami i inszymi pierdołami o każdej porze dnia i nocy. Gdyby mógł, nie wyłączyłby z łóżka, co bez wątplenia zyskałoby aprobatę Zmory, a świadomość, że święta nadchodzą wielkimi krokami i znowu trzeba się będzie radować, choć w tym roku nie za bardzo miał z kim i z czego, dobijała go jeszcze bardziej, podobnie jak co bliżsi znajomi, którzy wydzwaniali raz za razem, każdą rozmowę zaczynając i kończąc mantrą: „Konradzie, wróć do nas”. A jego zżerała frustracja i tęsknota za życiem w wielkim mieście oraz rosnąca jak na drożdżach chęć, by powiedzieć „do diabła z tym aniołem”, sprzedać wreszcie dom wraz z niecodziennym dożywociem pierwszemu lepszemu naiwniakowi choćby za złotówkę i wrócić do betonowej cywilizacji asfaltu, tłumy i wiecznego pośpiechu. Na razie jeszcze się trzymał na stanowisku, jednak raczej siłą rozpędu niż twardego postanowienia, by na złość Majce mimo wszystko wytrwać w Lichotce przynajmniej do stycznia, kiedy to miał odzyskać własne mieszkanie.

Z braku lepszego pomysłu na to, co zrobić z tak mile rozpoczętym dniem, zasiadł przy sekretarzyku z wyrazem kompletnej beznadziei na wymizerowanej twarzy. Zrzucił oburzoną Zmorę z laptopa, włączył go, po czym wbił posępny wzrok w plik z tekstem, który musiał skończyć w zasadzie na wczoraj. Przesunięcie kursora i dwukrotne kliknięcie już przerastało jego możliwości. Na dole George Michael, ulubieniec pań, a zwłaszcza jednej, piał po raz enty o bożonarodzeniowym przekazywaniu narządów wewnętrznych w nieodpowiednie ręce, a Krakery tłukł się z mikserem i blachami do ciasta. Za oknem prószył śnieg. Zmora zasnęła na parapecie, z przednią łapą zwisającą tuż nad ekranem komputera. Normalne, spokojne życie znów miało Konrada, obiecując, że z pewnością wkrótce do niego napisze. Z ciężkim sercem zabrał się do pracy.

Taki tryb życia miał zaledwie jedną, lecz niewątpliwą zaletę – pozwalał szybko zapomnieć o całym bożym świecie, a zwłaszcza o przedświątecznym rozgoryczeniu. Oczywiście do czasu, kiedy ów świat postanawiał o sobie

jeszcze szybciej przypomnieć, co bywało dość irytujące, a niekiedy również bolesne.

Najpierw przybiegło Licho i stanęło grzecznie przy sekretarzyku.

– Czy coś się stało? – zapytał cierpko Konrad, nie odrywając oczu od migoczących liter.

– Uhm.

– Coś, co wymaga natychmiastowej interwencji chirurgicznej?

– Chyba nie, alleluja – odparło z pewnym wahaniem, jako że nie do końca zrozumiało, o co pytał Konrad. – Nie wiemy, w jakie kształty wyciąć ciasteczka.

– Dowolne. Mogą być nawet nietoperze, piszczele i czaszki – wycedził z jadowitą uprzejmością. – Zdaję się na waszą inwencję.

Potupało na parter. Niedługo potem do pokoju zajrzał Szczęsny. Każdy centymetr kwadratowy fraczka miał upstrzony skrawkami różnokolorowych nici.

– Fuksja, amarant czy purpura?

– Że co?

– Dziergam szalik dla Licha i mam dylemat, jaką barwę wybrać. – Podsunął Konradowi pod nos kłębki mechatej włóczki. – Fuksja, amarant czy purpura?

– Bardziej oczojebnych nie było? Zabierz mi to sprzed twarzy, bo jak cię pacnę...

– Cóż, znalazłem również lilaróż i beż, wszelako wydają mi się cokolwiek mdławe. I nie wiem, czy robić frędzle. Robić?

Konrad zgrzytnął zębami i uniósł głowę, gotów zmiażdżyć Szczęsnego, wbić w parkiet i zetrzeć na proch samym spojrzeniem. Nie zdążył.

– Przepraszam... Co ci się stało we włosy?

Blond loki, zwykle opadające swobodnie na ramiona, panicz zebrał w klasyczną cebulę i związał wściekle błękitną frotką z koronkowym kwiatkiem. Efekt był wstrząsający.

– Przeszkadzały, gdym haftował na tamborku, więc je okiełznałem. – Nie wydawał się zbyt przejęty tym, że wygląda jak Fragles na sterydach. – Robić czy nie?

Z głośników laptopa popłynęła krótka melodyjka. Program pocztowy wyświetlił okienko z informacją o odebraniu nowej wiadomości: jeden ze zleceniodawców zaczynał się niecierpliwić. W prostych, dalekich od poezji słowach Konrad wyjaśnił Szczęsnemu, co ten może zrobić z oczojebną włóczką oraz frędzlami, i zażądał choć chwili spokoju.

Chwila trwała około godziny, póki Licho nie przydreptało ponownie, kichając jak nakręcone, a za nim Szymon Kusy.

– No i czego płaczesz, no czego? – wołał. – Toż ja tylko żartowałem! Panie Romańczuk, no weź pan z nim coś zrób, bo się we łzach utopi! Zetnę ci tę choinkę, zobaczysz, największą w całym lesie. Wszystko się pod nią zmieści, prezenty się zmieszczą, nawet ty się zmieścisz. No nie rycz już, aniołku, aniołeczku... Panie Romańczuk, rusze się pan wreszcie z tej maszyny, przyrósł pan czy co?

Świetnie. Po prostu cudownie. Powszechnie wiadomo, że nic tak nie sprzyja koncentracji, jak zapłakany, zasmakany anioł i trzęsący się nad nim grubas w kufajce. Konrad miał ochotę wyć i walić pękającą głową o stylowy sekretarzyk.

– Panie Romańczuk, no!

– Słucham... – Z gardła mężczyzny wydobył się bulgot, jakiego nie powstydziliby się sam Krakery.

– Weź mu pan wytłumacz, że będzie miało tę swoją choinkę.

– Licho, będziesz miało tę swoją choinkę – powtórzył automat zwany panem Romańczukiem, choć choinkę miał akurat w nad wyraz głębokim poważaniu, jako że nigdy w obowiązkowo radosne, rodzinne święta i tym podobne dyrdymały nie wierzył. Gdyby to od niego zależało, natychmiast poszedłby w ślady dzielnego szeryfa z Nottingham i odwołał Boże Narodzenie, lecz widząc rozplywające się w łzach rozpacz Licho, uznał, że lepiej się z tym poglądem przed szereg nie wychylać. Choćby dla – nomen omen – świętego spokoju.

– I prezenty!

Owszem, prezenty też miał tam, gdzie całą choinkę, lecz tę myśl także przezornie zachował dla siebie, woląc nie ryzykować eksplozją czarnej zbiorowej rozpacz w wykonaniu wszystkich dożywotników.

– I prezenty.

– A... alle... a dostanę króliczka? – wydukało Licho.

Zrodzona w bólach doświadczenia ostatnich miesięcy podejrzliwość zmusiła Romańczuka do wykrzesania z siebie choć iskry zainteresowania.

– Jakiego znowu króliczka?

– Małego, puchatego, słodkiego. Takiego do przytulania, alleluja.

– Dobrze, dostaniesz króliczka. A teraz proszę...

– A bombki?

– No bombki to chyba masz?

– Ale nie wiem, jakie zawiesić – odparło cierpliwie. – Czerwone czy

niebieskie? Okrągłe czy podłużne? Zwykłe czy z dziurką?

– Ja bym powiesił te tamte bałwanki. A na czubku, hy, hy, hy, na czubku to bym zatknął takiego jednego aniołka... – Kusy postanowił rozładować resztki napięcia dowcipem, lecz zaraz ugryzł się w język, zgromiony pełnym potępienia spojrzeniem Licha, które nie potrafiło zrozumieć, że choinkowe aniołki naprawdę nie mają nic przeciwko... zatknięciu.

– Ależ alleluja! – fuknęło z oburzeniem.

– Licho, przecież już ci tyle razy tłumaczyłem, że one nie są prawdziwe, tylko z gipsu, a te tam dziurki to wcale nie...

Oddychaj, Konradzie, oddychaj, powtarzał sobie w duchu. Nie możesz przecież zadusić jowialnego starszego pana, a tym bardziej wyrwać skrzydełek własnemu aniołowi, to ponoć nie wypada, szczególnie tuż przed świętami. Tuż przed świętami należy się radować, a nie siać emocjonalne zniszczenie i obrażenia natury cielesnej, choćby miało to zagłuszyć, zadusić i zakopać pod płotem nad wyraz nieprzyjemną, bo narastającą od paru dni tęsknotę za Majką, duchem dawno minionych świąt. Wdech i wydech, wdech i wydech...

– Postawiłbym na radosny eklektyzm – zdecydował, wprawiając Licho w konsternację. Z braku lepszego pomysłu pociągnęło noskiem.

– Oj, bombek w takim kolorze to chyba nie mamy...

Jestem oazą spokoju, usilnie wmawiał sobie Konrad, oazą spokoju na burzliwym morzu agresji i desperacji. Wdech i wydech, wdech i wydech.

Prawie mu się udało. Brakowało naprawdę niewiele, by osiągnął upragniony, wielokrotnie sprawdzony w bojach stan „wszystko mi jedno”, lecz los najwyraźniej miał inne plany. Ich nieodłączną częścią była obudzona Zmora, przebiegająca po klawiaturze i wyłączająca komputer, a wraz z nim kilka plików, których oczywiście Romańczuk nie zdążył zapisać.

Droga od zen do furii okazała się znacznie krótsza, niż ktokolwiek przypuszczał.

Na skraju lasu pojawili się obcy. Zgodnie z obowiązującym etosem wędrowca byli utrudzeni, zmarznięci na kość i czasoprzestrzennie zagubieni. Starali się nie tyle iść, ile kroczyć dostojnie, co w panujących okolicznościach przyrody nie do końca im wychodziło. Miotali się w skomplikowanym tańcu potknięć, poślizgnięć i piruetów, nieświadomi tego, że są obserwowani przez zaintrygowane Licho.

Odkąd Konrada trafił ciężki szlag, który dla lokatorów oznaczał natychmiastową eksmisję z piętra i zakaz wydawania dźwięków głośniejszych niż westchnięcie, z zapalem odgarniało śnieg sprzed domu. W planach miało lepienie bałwana – specjalnie na tę okazję wzięło z kuchni marchewkę, a z przybudówki garść węgielków. Dopiero kończyło przekopywanie wysokich zasp wokół tico i nie zdążyło jeszcze posypać drogi piaskiem, czym mimowolnie zapewniło sobie niespodziewaną rozrywkę. Ekwilibrystyka na lodzie zaabsorbowała je do tego stopnia, że zapomniało o elementarnej ostrożności tudzież nieufności wobec obcych i nim się obejrzało, zostało dostrzeżone.

Obcy zastygli w dość niecodziennych pozach. Wyższy z mężczyzn, świński blondynek, poprawił okulary, puszczając paniusie w futrze i kapelusiku z wąskim rondem, co zaowocowało kolejnym pasmem komicznych wygibasów.

– Panie Migło! – fuknęła, święcie oburzona. – Pan będzie łaskaw mną tak nie pomiatać!

– Upraszam o wybaczenie, panno Bercikówno – blondynek stęknął pod ciężarem korpulentnej towarzyszki – ale w zaistniałej sytuacji nie mogę wziąć odpowiedzialności za aberracje w funkcjonowaniu mego, za przeproszeniem, ciała tudzież powstałe z tego powodu niedogodności.

– Łatwo mówić, kiedy to nie panu śnieg wpadł za kołnierz!

– Całuję rączki szanownej pani, jednakowoż...

– Proszę państwa, nie czas na jałowe, przyziemne dyskusje – zaskrzeczał ze zniecierpliwieniem drugi mężczyzna, siwowłosa staruszek w czarnym płaszczu. – Stoimy w obliczu istoty z pewnością niebiańskiej!

I trzy pary oczu jak na komendę zwróciły się w stronę Licha.



Na jego pucułowatej, zarumienionej od mrozu buzi natychmiast rozkwitnął najzyczliwszy z uśmiechów. Okrągłe oczy wielkości spodków promieniały, mieniając się na przemian wszystkimi kolorami tęczy. W czapce z pomponem, puchowej kurtce i rękawiczkach z dwoma palcami przypominało puchatą, błękitną kulkę. Tyle że ta kulka miała jeszcze skrzydła porośnięte białym pierzem i właśnie nimi pomachała.

– Cóż za śliczny aniołeczek! – Paniusia zapomniała o śniegu, który roztapiał jej się za kołnierzem, i wpadła w zachwyty na granicy obłądu.

– A aureola? Nie widzę aureoli. Może to anioł upadły? – zaniepokoił się blondynek. – Władzio wspominał wszak ze wzburzeniem o jakimś domestosie... Nie, to szło jakoś inaczej...

– Spokojnie, panie Migło, pewnie ma ją pod czapką. A Władziowi bym tak do końca nie ufał. Przepraszam – staruszek o fizjonomii sępa na ścistej diecie odchrząknął – czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy przyjęli choć trochę wygodniejszą pozycję?

– Ależ oczywiście, oczywiście. Proszę, to może ja najpierw spróbuję się wyprostować...

– Ach, jaki on uroczy! A ciu, ciu! Jaki słodziutki! – kwiliła tymczasem paniusia. – Milusi aniołek, no chodź, chodź do mnie, słoneczko, nie bój się, chcesz cukiereczka? Pyszniutką landryneczkę? Hm?

– Nie, dziękuję, alleluja. Od cukierków psują się zęby – wyjaśniło Licho uprzejmie. Poza tym zdecydowanie wolało czekoladę, ale tę informację postanowiło zachować dla siebie, by nie wyjść na natrętnego łakomczucha.

– No cudny, po prostu cudny! I w dodatku jaki bystry maluszek, kto by pomyślał! Ależ panie Migło, proszę mnie tak nie szarpać, ja sobie wypraszam takie szarpanie!

Mężczyźni stanęli wreszcie nieco pewniej, po czym przywrócili do pionu pannę Bercikównę, niemal zrzucając jej kapelusz z głowy.

– Gdzie nasze maniery... Dzień dobry. – Staruszek uklonił się lekko i skrzywił, prawdopodobnie w uśmiechu, dentystycznie zdekompletowanym. – Wybacz nam to najście, drogi aniołku, ale... ale...

– Ale utknęliśmy na drodze i szukamy kogoś, kto by nam pomógł – prędko wyjaśnił blondyn. – Kogoś z samochodem, ma się rozumieć – dodał, rzucając znaczące spojrzenie w kierunku tico i zaparkowanego kawałek dalej, przed przybudówką, poloneza.

W pierwszym odruchu Licho chciało zażądać od nich okazania kopytek, zaraz jednak się opamiętało. Hasło „pomoc” wykluczało nieufność i użycie patelni, sugerowało natomiast zastosowanie innych środków, na przykład herbaty z cukrem i cytryną. I mnóstwa ciasteczek.

Przybysze zostali więc wprowadzeni do Lichotki, odarci z okryć wierzchnich i usadzeni przy stole w saloniku, zanim zdążyli zgłosić choć słowo sprzeciwu. Zresztą na niewiele by się to zdało, ponieważ anioł był głuchy i ślepy na wszystko, co nie zgadzało się z jego wizją gościnności. Przeprosiwszy na moment, popędził do kuchni po niezbędne rekwizyty, a cała trójka natychmiast zaczęła się rozglądać po kątach.

– Miło tu, nie sądzicie państwo? – zagaił siwowłoso. – Schludnie, czysto...

– To jeszcze o niczym nie świadczy! – blondynek prychnął i poprawił nieznacznie przekrzywiony krawat, tak by leżał równolegle do pasków na koszuli, idealnie pośrodku. – Proszę mieć na uwadze, że rozwinięte w znacznym stopniu zamięłowanie do porządku charakteryzuje również jednostki dotknięte różnymi, często dość przykrymi dla otoczenia przypadłościami ducha, obsesjami, lękami...

– No co pan powie? – z powściągliwością wyraziła swe zdumienie paniusia. Sprawdzała właśnie, czy przykryty serwetą stół został wyglansowany nie mniej starannie niż kredens.

– Jednostki takie – ciągnął pan Migło, strzepując z mankietu koszuli nieistniejący pyłek – rekompensują sobie brak wewnętrznego, duchowego ładu potrzebą zaprowadzenia jak najdalej posuniętego ładu zewnętrznego.

– No proszę. Kto by pomyślał, że nawet za zwykłym zamięłowaniem do porządku kryć się może diabelskie knowanie. O, ładne te hafty, całkiem ładne – wzięła do ręki jedną z wielu poduszek leżących na sofie. – Oryginalne wzory...

– To? Ależ szanowna pani! – parsknął protekcyjnym śmiechem blondynek. – Stąd widzę, że to masowo produkowana tandeta! Proszę poszukać metki, bez wątplenia będzie na niej napis „Mejd in Republika Czajna”. Szczerze wątpię, by ktoś w tym domu kultywował szlachetną, lecz niestety szybko zanikającą sztukę robótek ręcznych. Jak, nie szukając daleko, pani!

Mile połączona tym komplementem panna Bercikówna pogładziła biały, koronkowy kołnierzyk, który własnoręcznie wydzierała, by dodać nutę wyrafinowanej elegancji granatowej garsonce. Nie z próżności, skądże znowu, pręcej wyzionęłaby ducha, niż dała się opętać tak grzesznemu uczuciu – kierowała nią wyłącznie schludność, skromność i głębokie upodobanie do przyzwoitości. Wszak od braku kołnierzyka bardzo blisko już do dekoltu, od dekoltu zaś do bezwstydnego, zwierzęcego obnażenia, a stan paniński, w którym Aurelia Bercikówna niezłomnie trwała od lat pięćdziesięciu z okładem, tę opcję wykluczał. Bez żadnych, absolutnie żadnych wyjątków.

Powrót anioła, dźwigającego ostrożnie tacę z serwisem i słodkościami, położył kres dalszej dyskusji nad wzornictwem rękodzielniczym. Po zwalczeniu początkowego szoku, jaki wywołała schowana dotychczas pod czapczką fryzura Licha, zasiedli wspólnie do stołu.

– Powiedz, mój ty promyczku, ti, ti, ti, sam tak w domciu mieszkasz, hm? – zagaiła słodko panna Aurelia i siorbnęła łyček herbaty. – Pusto tu jakoś,

ti, ti, ti, cicho...

– Oj, i dobrze, że cicho, alleluja.

– A dlaczego, aniołeczku mój maluśki? Ti, ti, ti...

Jej maniakalne gruchanie wprawiało Licho w zakłopotanie. Jeszcze nigdy nikt nad nim nie ciumkał, nie ćwierkał ani nie świergotał, dlatego nie za bardzo wiedziało, co w tej sytuacji ze sobą począć. Łypało tylko okrągłymi oczyskami to tu, to tam, poważnie rozważając, czyby jednak nie pójść po Konrada. Owszem, ryzykowałyby następną awanturę, ale...

– No spójrzcie, panowie, jaki on pocieszny, jak on ślicznie tymi nóżeczkami w bamboszkach majta...! A ta buziuchna – uszczypnęła je pieścotliwie w pyzaty policzek – czyż nie słodka? A tiu, tiu, tiu! No, weź jeszcze jedno ciasteczko! Musisz dużo jeść, żeby wyrosnąć na dobrego, silnego anioła.

– ...uję. Nie mieszkam samo, mieszkam z Konradem. No i ze Szczęsnym. – Chciało jeszcze dodać, że w kuchni mieszka Krakers, a w stawie utopce, ale ugryzło się w język.

Ponieważ pannę Bercikównę pochłoneło wycieranie resztek marmolady z kącika ust anioła, wyraz zdumieniu takim składem osobowym domowników dał pan Migło, wyposażony w zestaw różnorodnych obsesji.

– Ale jak to tak, we trzech, bez żadnej kobiety? Bez matczynej opieki, matczynej troski, matczynej piersi, matczynej...

– Panie Migło – machnął kościstą ręką staruszek – nie bądźmy drobiazgowi.

– Ale prawidłowe wzorce...

– Nie bądźmy, powiedziałem. Ważne, by żyć w domu pełnym wzajemnej miłości...

– W naszym domu nie ma miłości – Licho bardzo stanowczo weszło mu w słowo – odkąd ostatnim razem skończyło się na postrzale, alleluja, topieniu i ranach rozszarpanych.

I nim którykolwiek z gości zdążył na tyle dojść do siebie, by zapytać o szczegóły, odstawiło filiżankę z herbatą, po czym kichnęło gromką serią.

– Och, przeziębził się aniołeczek. – Panna Aurelia wyszarpnęła z torebki haftowaną chusteczkę. – Masz, słoneczko, ti, ti, ti, wytrzyj nosek.

– ...uję. Nie, to nie przeziębienie, tylko te piórka. Od ostatniej depilacji minęło trochę czasu, to odrosły, a ja mam alergię.

– Wyrzucasz sobie pióra ze skrzydeł? – staruszek sądził, że się przesłyszał.

– Tak, ale nie sam. Konrad mi pomaga – dodało zadowolone. – Tylko ostatnio nie było na to czasu, bo miałem dużo pracy. Wiecie państwo,

alleluja... Świąteczne porządki, zakupy, gotowanie, znów porządki... Ciągłe jakaś bieganina. I jeszcze trzeba opatrzyć rannych, rozwiesić dekoracje, ubrać choinkę. O, właśnie, gdzie ten Szymon się podziewa?

Zaniepokojone przedłużającą się nieobecnością Kusego wyjrzało przez okno na zewnątrz, a za jego plecami goście wymienili bardzo znaczące spojrzenia.

Tymczasem Szczęśny siedział w kuchni i grał z Krakersem w okręty. Ku jego niezadowoleniu pradawny stwór ciemności był bardzo dobry w sianiu zniszczenia na morzu, lepszy nawet niż w chińczyka i bierki, które zaliczyli wcześniej. Widać miał naturalny talent do destrukcji.

Potem do kuchni zajrzało Licho. W wielkim pośpiechu zaparzyło herbatę, przełożyło część świeżo upieczonych ciasteczek na patere, a potem, piszcząc coś o podejmowaniu gości, uciekło do saloniku z zestawem deserowym. Krakers z pomrukiem satysfakcji zatopił ostatni okręt panicza i wziął się do gotowania kompotu.

Wobec tego Szczęśny skończył czytać pierwszy tom *Trędowatej*, wypił dwa kubki kakao, policzył pozostałe ciasteczka, a na koniec posegregował je według smaku, kształtu i stopnia wypieczenia. Z niewiadomych przyczyn nie miał nastroju do pisania, konieczność zachowania ciszy pod groźbą doznania przemocy werbalnej i fizycznej coraz bardziej mu doskwierała. Pomału zaczynał się nudzić, to zaś oznaczało rychłe komplikacje.

– Otom ja sam, jak drzewo zwarzone do kiści... – westchnął.

Z głębi spiżarki dobiegło dudnienie.

– Tak, tak, pamiętam. Nie musisz mnie popędzać, na pewno zdążę.

Mniejsza z macek pogroziła mu łyżką.

– Dobrze, już się tak nie unoś, zaraz skończę haftować ten obrus. Niech no tylko pójde po tamborek...

W holu natknął się na Konrada. Półprzytomny i rozdrażniony mężczyzna wychodził właśnie z biblioteki.

– Gdzie znów posiałeś słownik? – warknął na widok panicza. – Ile razy powtarzałem, żebyś odkładał go na miejsce, jak skończysz te swoje dyrdymały?

– Słowa, słowa... – Szczęśny skrzywił się z pogardą.

– A palnąć cię w tę durną frotkę? Nie mam ani czasu, ani ochoty na wymianę cytatów. Oddawaj ten przeklęty słownik, muszę wracać do pracy.

– Już, już... Zostawiłem go na parapecie – wyjaśnił, otwierając drzwi do

salonu.

Siedzące tyłem do wejścia Licho przerwało rozmowę i odwróciło się.

– O, jest Szczęśny! Może herbatki?

– Czemu nie, chętnie się dołączę. Wszak gość w dom... – zaczął z uniesieniem i wtedy ujrzał... ujrzał... sam nie wiedział, co takiego ujrzał. Był natomiast pewien, że to coś na niego patrzy.

Siedziało między staruszką w zaawansowanym stadium przemiany w sępa oraz nadętym blondynkiem i sądząc po stroju, pretendowało do miana istoty płci żeńskiej. Zdecydowanie na wyrost. Wyglądało raczej na sporych rozmiarów ropuchę, której lata świetności minęły w okolicach mezozoiku, wciśniętą w okowy przymałej dzianinowej garsonki z kretyńskim kołnierzykiem, odprutym chyba ze szkolnego fartuszka. Uwięzione między tłustawymi, obwisłymi policzkami usteczka wymalowało pomadką w kolorze wściekłego rózu. Brwi narysowało sobie grubą kredką gdzieś w połowie czoła, przez co sprawiało wrażenie permanentnie zdumionego, nad nimi zaś miało szpakowaty kołtun podszywający się pod fryzurę.

Porażony tą kwalifikującą się do leczenia wariacją na temat kobiecości Szczęśny wydał z siebie pełen zgrozy pisk.

– ...gorzej niż Tatarzy – dokończył za jego plecami Konrad, nieświadomy, że w salonie jest ktoś jeszcze oprócz domowników. – No co tak piszczysz? Ruszysz się wreszcie czy zamierzasz tu paść na podłogę i koszulinę na piersi rozdzierać?

Panicz, który z wrażenia zapomniał języka w gębie, po prostu zrobił krok w bok, odsłaniając wejście do salonu.

– *Hubba-hubba* – zamruczały zgodnie atawizmy panny Bercikówny.

Obiekt ich żywego zainteresowania stanął w progu i z marsową miną zaczął się przyglądać niezapowiedzianym gościom. Sińce pod zmrużonymi, brązowymi oczami oraz ogólna bladeść nadawały jego pociągłej twarzy o nieco ostrych rysach iście wampiryczny charakter. Był przystojny, trochę w typie posepnego muszkietera, i od stóp do głów w czerni, co ogółem utwierdziło pannę Bercikównę w przekonaniu, że oto jej cnota została wystawiona na prawdziwą szatańską pokusę.

– *Come on, baby, light my fire!* – Atawizmy nie dawały za wygraną. Nie miały nic przeciwko całemu piekłu, a już na pewno nie przeciw temu jego przedstawicielowi. Opętana tak nagłymi i godnymi najsurowszego potępienia żądzami panna Bercikówna mogła tylko spłonąć dziewiczym rumieńcem i złożyć usteczka w równie dziewiczy ciup.

Na ten widok coś w duszy Konrada skrzyło się gwałtownie w mały węzeł gordyjski i na wszelki wypadek założyło jeszcze kłódeczkę. Owszem, trochę czasu minęło, odkąd ostatni raz miał bliżej do czynienia z kobietą płci przeciwnej, ale żeby aż tyle przez te miesiące zapomniał...? Nigdy też nie uważał, że puchem marnym, wietrzną istotą być powinna, na co komu eteryczne dziewczę z barankiem i badyłkiem, cielesność była znacznie przyjemniejsza i łatwiejsza w obsłudze... No, Szczęśny pewnie zaraz by po dubeltówkę poleciał, by się ze szczęścia na miejscu zastrzelić, lecz nie Konrad. Za nic w świecie. W kwestiach damsko-męskich Konrad był praktyczny, w zjawiskowe ideały zstępujące z niebios i sunące przez życie centymetr nad ziemią nie wierzył, a już zwłaszcza po ostatnich doświadczeniach natury osobistej, które go nauczyły, że w każdej kobiecie, ukryta raz płycej, raz głębiej, tkwić musi jakaś potwora, tylko czyhająca, by zrównać coś lub kogoś z ziemią. Ale bez przesady, litości! Tuż przed nim siedział daleki od ideału prehistoryczny stwór po... cholera wie, ile to ma lat, po pięćdziesiątce? Setce...? Podszywający się pod niewiastę koszmar wcielony w realne kształty, przeraźliwie namacalne. Niech to się lepiej nie zbliża, błagał w duchu, niech to lepiej ruszy na sabat, na Tokio, gdziekolwiek, byle daleko stąd!

– A państwo tu... – wydusił przez ściśnięte zgrozą gardło. Z wrażenia całkowicie wypadło mu z głowy, że spotkanie trzeciego stopnia w wersji na jednego anioła stróża i troje obcych przybyszów to bez wątpienia powód do zmartwień, i to sporych. – Co państwo...

– Ich samochód utknął w zaspie – pospieszyło z wyjaśnieniami Licho. – Szukali pomocy. Teraz czekamy, aż Szymon wróci z lasu, żeby ich, apsik, wyciągnął. Dobrze zrobiłem?

– Pan zapewne jest gospodarzem. – Świński blondynek podniósł się z godnością. – Pozwolę sobie dokonać prezentacji. Aurelia Bercikówna z kółka gospodyń podmiejskich, Tadeusz Żuber, miejscowy autorytet moralny – wskazał staruszka – a ja się nazywam Konstany Migło, działacz wszechstronny, do usług. – Potrząsnął energicznie, po dżentelmeńsku, dłonią Konrada.

– Romańczuk, dzień dobry...

– No ale dobrze zrobiłem czy nie? – dopytywał się anioł.

– He...? – Dotknięty nagłym atakiem masochizmu Konrad nie potrafił oderwać wzroku od panny Aurelii. Przypominała mu Największego Deszczowca udającego kobietę, zresztą bez większego powodzenia. Już nawet Dustin Hoffmann jako Tootsie był przy niej wręcz wstrząsająco

seksowny, gdyby się dłużej zastanović. – A, tak, dobrze zrobiłóś, Licho, dobrze.

– Szczerze panu zazdroszczę, panie Romańczuk, choć to niegodne uczucie – przyznał Żuber. Jego głos przywodził na myśl zgrzyt metalowej łyżki skrobiącej o garnek. – Mieć własnego anioła, a już zwłaszcza tak uroczego i zaradnego, to niebywałe szczęście. Musi pan być niezwykle bogobojnym człowiekiem.

– Z całym szacunkiem – wbrew własnym słowom Konrad uśmiechnął się ironicznie, doprowadzając tym atawizmy panny Bercikówny do wrzenia – ale w chwili obecnej moim jedynym bogiem jest *deadline*.

Staruszek zmarszczył krzaczaste brwi, lecz nic nie powiedział, przeniósł za to uwagę na Szczęsnego. I trzeba przyznać, że nie bez powodu. Z włosami spętanymi frotką, w rozchełstanej koszuli z fantazyjnym kołnierzem i mankietami oraz dość obcisłych błękitnych spodniach panicz robił wrażenie cokolwiek niekonwencjonalnego, wręcz szurniętego – czyli w zasadzie był sobą, o tym jednak Żuber nie mógł wiedzieć. Tacy młodzieńcy najwyraźniej nie mieścili się w jego światopoglądzie, bo z dezaprobatą wykrzywił usta.

Wszyscy umilkli i sytuacja stała się niezręczna. Pan Migło zawzięcie walczył z asymetrycznym ułożeniem krawata, staruszek łypał podejrzliwie na Szczęsnego, wstrząśnięty Szczęsny gapił się na pannę Bercikównę, a panna Bercikówna nie odrywała maślanych ocząt od Konrada, który z kolei zawzięcie kontemplował widoki za oknem. Pozostawiony samemu sobie anioł beztrósko poświęcił się konsumpcji.

W dość nieoczekiwanej dla siebie roli zbawcy wystąpił Szymon. Ledwie zdołał dotaszczyć ścięte drzewko przed werandę, gdy niczym grom z jasnego nieba spadli mu na głowę dziwni ludzie, proszący, by odpalił poloneza i wyciągnął ich samochód z zasy. Co najdziwniejsze, panicz, któremu obce było pojęcie bezinteresownej pomocy, jeszcze go popędział, mało tego – zaoferował, że sam wniesie choinkę do domu, byle Szymon czym prędzej zajął się przybyszami. Na szczęście Licho, zwykle w takich okolicznościach nieznośnie natarczywe, poprzestało na entuzjastycznym machaniu im na pożegnanie.

A Konrad stał w drzwiach z kostycznym uśmiezkiem na twarzy i rodzącą się powolutku, lecz już dręczącą myślą, że los znów szykuje mu jakąś niespodziankę.

Być może chodziło o Zmoreę, która właśnie brała rozpęd, aby wskoczyć niczego niespodziewającemu się mężczyźnie na ramię.

Ale niekoniecznie.

Wigilia należała do całkiem udanych, choć nie obyło się bez dodatkowych atrakcji. Konrad, choć co rusz popadał w posępną zadumę, zdołał wydusić z siebie resztki dobrego humoru, a nawet się parę razy uśmiechnąć, za to dwukrotnie zasnął nad talerzem, i to jeszcze zanim dotarł do połowy przepisowych dwunastu potraw. Anioł upaść się kutią i na dodatek obkleił siankiem spod obrusu, oczywiście niechcący, zaś kocica z uporem maniaka co rusz robiła sobie z choinki huśtawkę, siejąc spustoszenie w kolekcji bombek, ale przynajmniej Szczęśny bredził mniej niż zwykle i trzymał się prozy. Po kolacji, kiedy Krakiers sprzątnął ze stołu, nażarci po uszy domownicy postanowili trochę odsapnąć przed deserem i wręczyć sobie prezenty.

Pierwszy, z karteczką „Dla Licha od Konrada” zawieszoną na czerwonej wstążce, wykicał z kąta i w zasadzie wręczył się sam.

Widząc żądną krwi bestię sadzącą susy na dywanie, Zmora spadła z choinki i popędziła do spiżarni, prosto w bezpieczne objęcia Krakiersa. Pradawny stwór zabalgotał potępiająco.

– A, no tak... – Romańczuk z zakłopotaniem podrapał się po podbródku.
– Zapomniałem, że ona się boi takich kicających. – Odruchowo musnął palcami kilka drobnych blizn u nasady czoła, pozostawionych przez pazurki kocicy podczas jej ostatniego spotkania z zającem.

Tymczasem anioł i panicz rozplęwiali się z zachwyty nad królikiem. Był mały, biały i bardzo puchaty. Oczkami niczym szklane czarne paciorki oglądał świat z objęć wniebowziętego Licha.

– Musimy go jakoś nazwać – zarządziło. – Może Pimpus?
– Litawor?
– Duduś?
– Almanzor? – nie wiedzieć czemu Szczęśny bardzo chciał przeforsować własną propozycję i zostać ojcem chrzestnym zwierzaka.

– Gucio?
– Urodzony Jan Dęboróg?
Anioł zmarszczył czoło w skupieniu.
– Nawet ładnie, ale jak będziemy do niego wołać, alleluja? „Urodzony Janie Dęborogu, przestań zreć te skarpetki”?

– Chyba wystarczy „Jaśku”, choć to już żadna frajda.
– Rudolf Valentino? – ni stąd, ni zowąd zaproponował Konrad. – Proszę,

Krakers, to dla ciebie. Nowa patelnia. Teflonowa. Starą, tę ze śladem mojej czaszki, możesz już wyrzucić. Wesołych świąt i takie tam.

W podzięcie stwór ciemności poklepał go macką po policzku.

– Rudolf Valentino, Rudolf Valentino... Ładnie! Podoba mi się, alleluja. Pasuje.

– Pewnie, że pasuje. – Konrad zaczął wyciągać z paczki bardzo, bardzo długi szalik od Szczęsnego. – W końcu to był największy kochanek świata. O... jaki... jaki... hm... ciepły. Dziękuję.

– A co to ma wspólnego z króliczkiem?

– No jak to? Przecież wszyscy wiedzą, że króliczki myślą tylko o jednym.

– Tak? A o czym? – zapytali równocześnie Licho i Szczęsny.

Wobec ogromu bijącego od nich zaciekawienia i niewinności, której całkowicie obca była myśl, że pszczołka na kwiatku może robić coś więcej niż „bzzz”, Konradowi pozostawało jedynie skapitulować.

– O marchewce – odparł szybko i jeszcze szybciej zmienił temat. – Czy mi się wydaje, czy Krakers upiekł pierniczki? Chętnie bym przekąsił z tuzin albo i dwa. A mleko? Jest w domu mleko? – Miał wielką nadzieję, że nie zaczną dopytywać, czemu to Rudolf Valentino kojarzy mu się z warzywem. Uświadamianie anioła i poety było ostatnią rzeczą, jaką zamierzał robić w wigilijny wieczór.

Z kłopotu wybawił go Krakers, który zdołał wreszcie rozpakować podarunek od panicza, lecz ukryć zaskoczenia już nie. Z wrażenia aż zbladły mu przyssawki. Po krótkim wahaniu, starając się nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, chwycił w macki i ostrożnie rozpostarł coś, co przypominało dziergany ręcznie pasiasty pokrowiec na wyjątkowo dużego pająka.

– Szczęsny, ja ci chyba te druty skonfiskuję – stwierdził zaintrygowany, ale na wszelki wypadek także czujny Konrad. – Tak będzie bezpieczniej dla ludzkości. I środowiska naturalnego. Co to, u licha ciężkiego...

– Apsik!

– A, przepraszam. Co to, do stu demonów, jest?

– Rękawiczka! – oznajmił pokraśniały panicz. Z właściwą sobie niefrasobliwością nie zwracał uwagi na skonsternowane otoczenie. – Ciepła, wygodna i przede wszystkim niezwykle użyteczna.

– Ooo... I duża... – Anioł nie mógł wyjść z podziwu. Królik, bądź co bądź nowy w towarzystwie, postanowił się nie wtrącać i z zapałem żarł dalej papier. Najbardziej smakował mu ten w gwiazdki.

– Chyba raczej mackowiczka? – W okamgnieniu Konrad uznał, że

kilometr szalika z żółtego moheru wcale nie jest takim złym prezentem, jak jeszcze przed chwilą sądził. Mógł przecież otrzymać futerał na tico albo coś równie praktycznego i wełnianego. Pomysłowość Szczęsnego w zakresie robótek ręcznych najwidoczniej nie znała żadnych granic, z granicą absurdu włącznie.

Do późnych godzin nocnych dwaj nadnaturalni lokatorzy próbowali wspólnie przekonać trzeciego, że w zielonym i niebieskim mu do macek, a paski to w ogóle są modne i wyszczuplają. Niestety, Romańczukowi zabrakło sił i samozaparcia, by dotrzeć do końca świątecznej integracji, śmichów-chichów, szczebiotów i miziania się po pęczniejących od słodkości brzuskach. Odstawił talerzyk z niedojedzonym ciastem, nad którym bez przerwy przysypiał, potknął się o rozciągniętego na dywanie królika i pożegnawszy się ze wszystkimi, powlókł się na górę.

Musiał przyznać, że tej nocy gotyckie łóżyszczce, choć ewidentnie zimne i puste, prezentowało się nader atrakcyjnie, wręcz kusząco, oferując odpoczynek i parę godzin zapomnienia gratis. Zagięty róg kołdry przywoływał, zachęcał do zakopania się w pachnącej świeżością pościeli. Cichy głosik w umyśle Konrada bąknął coś o podstępnej rosiczkce wabiącej ofiarę, ale zaraz ziewnął i usnął, zaś jego jednoosobowa publiczność wzięła krótką kąpiel i wlaźła prosto w zastawioną pułapkę, by w ułamku sekundy zapaść w sen.

Sen o siedmiu Majkach.

Dwa dni po świętach Szymon ponownie zawitał do Lichotki, tu i tam zaokrąglony bardziej niż zwykle, w gustownym tureckim swetrze i nowych walonkach, prezencie od małżonki. Bez pośpiechu, wciąż czując w kościach świąteczne rozleniwienie, zapalił męskiego i wziął się do roboty. Zrzucił śnieg z dachu przybudówki, narąbał drewna na opał, na koniec poszedł nad staw i poszerzył przerębę, czym zaskarbił sobie wdzięczność utopców, które od pewnego czasu nie mogły już wystawiać głów przez otwór i zerkać, co też mniej lub bardziej ciekawego dzieje się na powierzchni.

Sam dom wydawałby się zupełnie opustoszały, gdyby nie szum wody dobiegający od strony kuchni.

– Dzień dobry! – zawołał Szymon, otrzepując na wycieraczkę walonki ze śniegu. – Jest tam kto?

Szum ustał. Najpierw rozległo się ciche, dość szybkie tupanie, następnie krzyk, brzęk i łoskot, a potem przez hol przekicał z godnością mały, biały

króliczek i przycupnął pod kredensem.

Wolnym krokiem z kuchni wyszedł Konrad. Na koszuli miał wielką plamę po kawie, w dłoni zaś ścisnął utłuczone ucho od kubka. Nie wyglądał na zadowolonego z życia, raczej sponiewieranego i z uporem pielęgnującego marne już resztki cierpliwości, co jednak umknęło uwadze zawsze tak czujnego Szymona.

– Dzień dobry, panie Romańczuk! No, jak tam pierwsze święta w Lichotce, hę? Miło było, tak we własnym domu, w głuszy, no, powiedz pan? Eee... Krew panu leci.

Konrad uśmiechnął się cierpko.

– Pewnie, że leci. – Przejechał palcami po rozciętej wardze. – Co ma nie lecieć, skoro wyrznąłem twarzą o podłogę. Niewiele brakowało, żebym się przez tego futrzaka zabił.

– A co?

– A co, a co... Ciągle się pod nogami płacze, złośliwe bydlę. Cholera, to był mój najlepszy kubek...

– Może pana lubi? – Szymon zajrzał pod kredens. Zajęty myciem pyszczka zwierzak ostentacyjnie odwrócił się tyłem, prezentując puchaty ogonek w całej jego okazałości. Aluzja nawet nie musnęła umysłu Kusego.

– Ta, kocha wręcz na zabój... – parsknął sarkastycznie Romańczuk. – Dlatego ciągle na mnie czyha. Najchętniej bym go zamknął w jakiejś klatce, ale Licho się uparło, żeby biegał luzem. Wciąż się o niego potykam. Wczoraj na przykład... Zostaw ten mebel, puchaty bydlaku!!!

Puchaty bydlak zastygł z zębami wbitymi w nogę kredensu. Przez chwilę królik i człowiek mierzyli się wzrokiem, po czym pierwszy wylazł z kryjówki i zaczął zapamiętale kicać wokół stóp drugiego.

– No i sam pan widzi. – Konrad westchnął ciężko. – Albo coś gryzie, albo zasuwa. Normalnie ręce opadają.

– A długo tak może?

– Przypuszczam, że w nieskończoność, ale trochę boję się sprawdzić.

Kółeczko za kółeczkiem niezmordowany Rudolf Valentino tłukł kolejne metry z zapalem godnym co najmniej posłańca spod Maratonu, a rytmiczny tupot jego łapek na parkiecie nabierał właściwości hipnotyzujących. Obaj mężczyźni nie mogli oderwać wzroku od białego demona szybkości. Szymon w końcu ośmielił się dojść do pewnego wniosku.

– On chyba jest na baterie. Jak te takie różowe, pluszowe z telewizji, kojarzysz pan? Te, co to niby – chrząknął – ciągle mogą.

– Zastanawiałem się, czyby go jakoś nie wykorzystać. Wie pan, taki mały

generator prądu... Fakt, że rachunków i tak nie płacimy, ale co się ma tyle bieganiny marnować, chociaż trochę pożytku z darmożjada by było. A, właśnie! Dobrze, że pan dziś przyjechał. Spizarnia nieco opustoszała przez święta i Krakery histeryzuje, jakbyśmy lada moment mieli tu umrzeć z głodu, a w tico znów padł akumulator. Lista leży w kuchni na stole – rzucił, ruszając schodami na piętro – zaraz przyniosę pieniądze.

– Ale to dzisiaj przywieźć? – zawołał za nim Kusy.

– Może być jutro, aż tak się nie spieszy!

Dopiero sięgając do szuflady sekretarzyka po portfel, zorientował się, że wciąż trzyma w dłoni ucho stłuczonego kubka. Ze smutkiem wyrzucił je do kosza. Żegnaj, Różowa Pantero. Po tylu szczęśliwych latach wykończył cię dopiero Rudolf Valentino. Spoczywaj w pokoju.

– Wredny sierściuch. A żeby go łysienie plackowate dopadło – wymamrotał życzliwie nad porcelanowymi szczątkami.

– Panie Romańczuk, tylko drobne pan daj! – usłyszał krzyk Szymona, szybko chwycił więc portfel i pognął na dół, mrużąc pod nosem:

– Drobne, drobne, czy ja mam drobne... Co to w ogóle znaczy, drobne? Po pięć groszy? – zapytał już głośnie. Całkowicie pochłonięty przeglądaniem zawartości portfela, przeszedł korytarzem i przystanął u szczytu schodów. – Mam siedem dych drobnymi, powinno wystarczyć – powiedział, robiąc krok na pierwszy, najwyższy stopień. Wtedy kątem oka dostrzegł, jak coś białego i włochatego wywija błyskawiczną ósemkę między jego stopami.

Deszcz bilonu posypał się na wszystkie strony, w ślad za nim pofrunął rozłożony portfel, niczym egzotyczny ptak z czarnej skóry. Konrad odruchowo machnął rękami, próbując odzyskać równowagę, złapać się poręczy, powietrza, czegokolwiek.

Prawie jak Scarlett O'Hara, przemknęło mu przez myśl.

I już leciał na bliskie spotkanie z grawitacją i parkietem ułożonym w klasyczną, gustowną jodełkę.

– Noga skrzyta w kostce, pęknięte dwa żebra, wybity palec i ogólne potłuczenia. Tańcować sobie nie potańcuje, i to długo, ale dekiel na szczęście ma cały – zaraportował Szymon, wchodząc do Lichotki. – A wściekły... – Przewrócił oczami. – Ho, ho! Bez kija nie podchodzi!

Kiedy obaj mężczyźni wreszcie wrócili ze szpitala, był już późny wieczór. Przez tych parę godzin, które zdążyły minąć, anioł i panicz siedzieli na

feralnych schodach i czekali w wielkim napięciu. Sprawca zamieszania jak gdyby nigdy nic przycupnął obok. Nie wyglądał na specjalnie przejętego, chyba że ogryzaniem trzeciej z kolei tekturowej rurki po papierze toaletowym. To nie on, to te podłe stopnie i zdradziecki dywan, tak, to one, jego tam wcale nie było, świadkowie potwierdzą, a kto mówi inaczej, że jak bura samica *Canis familiaris*. Bo czyż tyci, puchaty, wprost stworzony do przytulania króliczek mógłby kłamać lub spowodować obrażenia ciała?

Szymon podrapał się po brzuchu.

– Chodź, upiorze. – Skinał na Szczęsnego, który najpierw fuknął odruchowo, ale zaraz się opamiętał i zdusił w zarodku wzbierające oburzenie. – Przydaj się na coś. Pomożesz mi tę łamagę z samochodu przytaszczyć, bo się jeszcze na śniegu wywali i dopiero będzie klops. Hmmm. Licho...

– Apsik?

– Lepiej schowaj gdzieś tego małego mordercę – poradził Kusy. – Romańczuk ledwo kuśtyka, ale coś czuję, że na jego widok szybko nauczyłyby się choćby i latać...

– Rudolfie! – Niezwykle poruszone, nawet jak na siebie, Licho odwróciło się w stronę królika. – Rudolfie! Chodź do mnie, alleluja! W tej chwili! – dodało z całą surowością, na jaką zdołało się zdobyć.

Rudolf Valentino zastrzygł kudłatymi uszami i najzwyczajniej w świecie dał dyla.

– Rudolfie! Rudolfie, ja nie będę za tobą biegać, Rudolfie! – darło się Licho, wbrew deklaracjom pędząc za nim przez hol.

Mrozący krew w żyłach pościg rodem z amerykańskich filmów sensacyjnych ruszył skomplikowaną trasą wśród mebli, roślin w doniczkach i zasłon. W powietrze wzbiły się kłęby białej sierści oraz pierza. Królik kwiczał, jakby go żywcem ze skóry obdzierali, i galopował przez kolejne pomieszczenia, za nim zaś gnał anioł i co chwila wznosił pełne oburzenia okrzyki, próbując nie zaczepiać skrzydłami o każdy mijany sprzęt, co nie zawsze mu wychodziło, zwłaszcza na zakrętach.

– Do jasnej ciasnej, Rudolfie Valentino, uspokoisz się czy nie? – Osaczył go między fotelem a narożną szafką. Zwierzak położył uszy po sobie i skulił się, upodabniając do futrzanej kuleczki z czarnymi paciorkami lśniącej nieufnością oczu. – Jesteś dziś bardzo niesforny! Nieładnie, alleluja, nieładnie tak uciekać. – Nie przestając udzielać napomnień, złapał go pod pachę. – A teraz zaniosę cię do wieżyczki, ty niedobry króliku. Już dosyć narozrabiałeś.

Zgodnie z zasadą, że jeśli coś może się spieprzyć, to spieprzy się z pewnością, w tej samej chwili, gdy Licho z Rudolfem znaleźli się pośrodku holu i właśnie zmierzali ku schodom, w drzwiach stanął półżywy, ale za to pełnowściekły Konrad Romańczuk, z jednej strony podtrzymywany przez Szymona, z drugiej zaś przez Szczęsnego. Eufemistycznie rzecz ujmując, nie wyglądał najlepiej.

Mniej więcej od wysokości kolana lewa nogawka zwisała mu w strzępach, pomiędzy których przesiała biel grubego opatrunku na kostce. Koszulę miał wymiętą i potarganą, gorzej niż gdyby ją psu z gardła wyrwał, do tego fryzurę à la piorun w rabarbar oraz szeroką gamę znaków i barw wojennych na twarzy – do niedawna skutecznie zmiękczającej stawy kolanowe przedstawicielki płci przeciwnej, a teraz... No cóż. Dzięki zróżnicowaniu i fantazyjnemu rozmieszczeniu kolorów, zadrapań, opuchnięć i plastrów Konrad przypominał arcydzieło kubizmu. Określenie „porąbany Picasso” byłoby dla niego komplementem wysokiej miary, choć w takiej, na przykład, dżungli nie musiałyby się w ogóle przejmować kamuflażem.

Nagle Licho poczuło głęboki żal, że nie nosi spodenek. Najlepiej dużo za dużych ogrodniczek z wielkimi kieszeniami, akurat w sam raz do ukrywania króliczka przed zdolnym zabić i zbezczścić zwłoki wzrokiem Konrada.

– Zamorduję sierściucha! – wybełkotał zmaltretowany mężczyzna. Leki przeciwbólowe, którymi został nafaszerowany w szpitalu, trochę plątały mu język. – Z futra oskubię! Całego! Od przekłętego ogona aż po czubki jeszcze bardziej przekłętych uszu! Słyszysz? Słyszysz, parszywy padalcu? Dopadnę cię! Zobaczymy, co z ciebie zostanie, jak sobie z tych schodów sfruniesz raz czy dwa! Będziesz piszczął o litość! Słyszysz? Pięść moja, śmierć twoja! – Pogroził zagipsowanym na sztywno palcem wskazującym. – Szczęsny, dawaj tę kulę!

– Panie Romańczuk – Kusy uprzedził panicza, zanim ten choć pomyślał, by spełnić polecenie – pan się tak nie szarp, bo se pan coś jeszcze nadwyreżysz!

– Dawaj kulę, powiedziałem! O szlag...

– No i co ja mówiłem, no co? Że się pan doigrał, o!

Biedny anioł nie wiedział, co począc. Z jednej strony czuł niepohamowaną potrzebę otoczenia troskliwą opieką człowieka, któremu stróżował, a którego właśnie wygięło pod, trzeba przyznać, dość ciekawym kątem. Lecz z drugiej bał się o Rudolfa Valentino, chwilowo stanowiącego obiekt nienawiści oraz żądzy zemsty, co mogło się dla niego skończyć źle.

Bardzo źle. Na przykład pasztetem.

– On nie chciał, apsik. Prawda, Rudolfie? – zapytał anioł płacząco.

Królik, akurat zbyt zajęty myciem pyszczka, żeby odpowiedzieć, łypnął tylko na niedoszłą ofiarę zamachu. Było to łypnięcie z pozoru niewinne, w rzeczywistości jednak kryły się w nim potężne pokłady czystej złośliwości i obłądy właściwej tylko najmniejszym, najśliczniejszym, niby bezbronnym zwierzątkom. „No i co mi zrobisz, farfoclu jeden? – mówiły czarne oczka. – Jestem kwintesencją słodyczy, obiektem zachwyty i czułości, wszyscy się nade mną roztkliwiają i karmią mnie marchewką. A ciebie nie. Możesz mi naskoczyć”.

Mimo wszystko Konrad nie był ani ślepy, ani głupi, choć aktualnie nie całkiem panował nad własnym organizmem. Jego kręgosłup uznał, że paragraf to postawa niezbyt naturalna, ale w zaistniałych okolicznościach – najwygodniejsza z możliwych.

– Afekt czy premedytacja, żadna różnica – wycharczał – choć obstawiam to drugie. Liczy się efekt!

– Efekt jest taki, żeś się pan załatwił na całego.

– Się?!

W tym momencie Szymon, który od jakiejś godziny czy dwóch jechał na ostatnich oparach cierpliwości, wreszcie nie zdzierzył.

– A będziesz pan cicho? – huknął. – Bo tą kulą zdzieję i poprawię, co królik spartolił! Do łóżka, ale już, a nie polowanie po nocach urządać. Jeszcze pan zdążysz się zemścić, nie raz i nie dwa.

– Właśnie! – przytaknął Szczęsny.

– No co za złośliwiec, ledwie dycha, a mieli ozorem, że uszy puchną!

– Właśnie!

– A ty co, też chcesz w ten widmowy łeb? Powiedz tylko słowo, słyszysz? Jedno słowo, a będziecie się obaj kurować! Nie wytrzymam z wami, jak rany Julek! Licho, pościel sofę, przecież nie będziemy tego połamańca na górę targać, jeszcze go przypadkiem upuszczę... I szklanę wody przynieś, żeby proszki połknął, bo inaczej nie zaśnie i dopiero się zrobi nieznośny. Zostawże tego królika, po chusteczkę go ze sobą wleciesz?!

Jeszcze w samochodzie, jadąc wreszcie do domu, Szymon Kusy psioczył na całego. Poświęteczne zadowolenie, którym tryskał przed południem, było już tylko wyjątkowo pobladłym cieniem wspomnienia. Teraz z wielką przyjemnością rozjechałby nawet Bambiego albo Rogasia z Doliny Roztoki, gdyby mu przypadkiem wyskoczył przed maskę.

W podobnym, jeśli nie gorszym nastroju następnego dnia obudził się Konrad. Zaczął od wydania z siebie rozdzierającego jęku i dopiero potem otworzył oczy.

Na piersi stała mu Zmora i dotykając wilgotnym nosem czubka jego nosa, sprawdzała, czy jej ulubiony współspacz jeszcze dycha.

– Złaż ze mnie, sadystko.

Aha, żyjesz – mówiły kocie oczyska. To dobrze, przydasz się jeszcze, bez ciebie łóżko jakieś takie zimne, niewygodne. Coś kiepsko wyglądasz, wiesz? Jakiś taki potargany jesteś, pomięty... Ogarnij się trochę, dobra?

– Złaż, powiedziałem. – Trzepnął kocicę w tyłek, zmuszając ją, by zeskoczyła na podłogę. – Nie mam ochoty na czułości. O matko sadzonko, moja głowa... Moje żebra... Moja... moje wszystko...

Poziom adrenaliny i środków przeciwbólowych w jego organizmie spadł drastycznie i po raz pierwszy Konrad poczuł dosłownie każde stłuczenie, zadrapanie i obrażenie innego rodzaju, których doznał poprzedniego dnia. Tu go piekło, tam rwało, gdzie indziej paliło żywym ogniem, coś nawet swędziało nieznośnie. Za sprawą opuchlizny wokół oczu widział panoramicznie. Całe ciało, co do komórki, co do naczynia włosowatego, tętniło bólem. Najgorzej było przy wdechu, kiedy zdawało się, że jeszcze trochę i napełniające się powietrzem płuca rozsada pęknięte żebra.

– Jak dobrze wstać skoro świt... – Z wyraźnym trudem podniósł się na łokciach. Świat wokół zawirował gwałtownie, aż po paru sekundach wszystko wróciło na swoje miejsce.

Nie. Jednak nie wszystko.

Na jednym ze stojących przy stole krzesel siedział Rudolf Valentino i jakby mimochodem skubał serwetę. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że sierść zwierzaka, jeszcze wczoraj nieskazitelnie śnieżnobiała, teraz była po oczach różem, intensywnym jak upierzenie flaminga.

Konrada zatkało. Gapił się na królika i gapił, podczas gdy jego myśli galopowały niczym stado spłoszonych mustangów po prerii na tle zachodzącego słońca. Ani chybi wyrzniętem łbem w któryś stopień – dopadł pierwszego wniosku. No musiałem wyrznąć, nie ma mowy, żebym nie wyrznął, skoro widzę różowego królika. Nie, to już wolę białe myszki... Ale najpierw chyba musiałbym się czegoś napić, czegoś mocnego i w sporych ilościach... Nie, jakie znowu napić, leki przecież biorę. Ha! Leki! Tak, to na pewno przez leki – z nieskrywaną ulgą wyciągnął wniosek numer dwa. Jestem na farmaceutycznym haju i mam urojenia, podświadomość podsuwa

mi zmodyfikowaną kolorystycznie wersję tego przeklętego futrzaka. Tylko czemu akurat w różu? Wolałbym zieleń... Chociaż róż jest o wiele bardziej psychodeliczny, może więc dlatego...

– Pobudka! – Zapomniawszy na śmierć, że w środku spoczywa początkujący rekonwalescent, panicz z impetem wparował do salonu. – Dzień dobry, pora wstać! Ach! Okno, wpuść dzień, a zabierz życie moje! – szarpnął zasłony, za którymi już czekały promienie zimowego słońca.

Tym razem Konrad darował sobie uszczypliwy komentarz. Był bez reszty pochłonięty obserwacją różowego urojenia. Po jakiejś minucie zdołał wydusić tylko jedno słowo:

– Królik.

– Co królik? – Panicz schylił się, żeby podnieść leżącą na ziemi zużytą chusteczkę, już nie tak bardzo higieniczną.

– Różowy.

– Istotnie – przytaknął, zerknąwszy. – Nawet ciekawy odcień.

– Różowy... Ej, chwila, to ty też to widzisz? – Konrad momentalnie nawiązał kontakt z rzeczywistością.

– A czemuż miałbym nie widzieć? – zdumiał się Szczęsny. – Siedzi i skubie serwetę.

– Ale... ale... ale dlaczego?!

– Rolki po papierze się skończyły i już nie mamy mu czego podsuwać.

– Dlaczego różowy?!

– Zapewne Licho znów się bawiło plakatówkami. A może przypadkiem zawędrował do pralki i go zafarbowało? – Wzruszył ramionami na znak tumiwisizmu. – Białe czy różowe, co za różnica.

– Ja z wami oszaleję. I to raczej prędzej niż później, chyba że wcześniej zginę śmiercią bolesną i tragiczną.

– Bardzo możliwe – zgodził się z nim panicz, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. – Wprzód śniadanie czy kąpiel?

Przybycie wyposażonego w czepek, wielką gąbkę i żółtą, gumową kaczuszkę Licha pomogło ustalić kolejność podstawowych porannych czynności.

– Napuściłem wody do wanny! – poinformowało tryumfalnym tonem. – Utopce trochę protestowały, ale im wytłumaczyłem, że to ciężki przypadek przemocy schodowej, więc mamy jakieś pół godziny tylko dla siebie, alleluja! Dolać bąbelków?

Zachowując pełen spokój, wciąż nieco zamroczony Konrad zapytał:

– Licho, czy możesz mi powiedzieć, czemu Rudolf Valentino zmienił

kolor?

– Ładny, prawda? – Dumnie zamachało skrzydełkami i kichnęło. – Tak sobie w nocy pomyślałem, alleluja, że różowy bardziej pasuje małym, puchatym króliczkom niż biel. Mniej się wtedy brudzą, a są jeszcze słodsze.

– I...?

– I kiedy rano wstałem, to Rudolf był cały różowiutki. No nie, nie cały, nosek i oczka wciąż ma czarne – poprawiło gwoli ścisłości. – To jak z tymi bąbelkami? Zielone jabłuszko albo truskawka, co pan woli?

– A palnąć cię w upierzenie za to „panowanie”?

– ...praszam...

Lokatorzy dotaszczyli go do łazienki na parterze. Anioł już tam został, robiąc za kąpielowego, chociaż Romańczuk protestował, a panicz wrócił do salonu, by trochę w nim ogarnąć. W pracach domowych nie był może najlepszy, ale jakoś sobie poradził. Prześcielił barłóg na sofie, wyrzucił zużyte chusteczki, plastry i strzępy bandaży, przyniósł nawet tacę ze śniadaniem oraz porannym zestawem tabletek, głównie przeciwbólowych. W międzyczasie zerknął na zegar: sekundnik maszerował niestrudzenie, a pozostałe wskazówki przystanąły na dziewiątej siedemnaście. Otworzył okno na oścież, żeby jeszcze przewietrzyć pomieszczenie, i wówczas zauważył trzy postacie zmierzające rażno ku Lichotce.

Dzwonek u drzwi zabrzączał najpierw niezbyt głośno, lecz natarczywie. I zaraz potem znów, i jeszcze raz, już ponagłajaco, wyraźnie sugerując, że ten, kto go naciska, nie zamierza pocałować klamki. Struchlały Szczęsny nie był jednak w stanie oderwać się od okna – i tam ostatecznie dopadł go horror wcielony.

– Pokój temu domowi! – zaskrzeczał uroczyście Żuber. Dyskretny zapach medykamentów, zajmująca pół spodka garść kolorowych pigułek ani prowizoryczne legowisko na sofie nie uszły jego jak zawsze czujnej uwadze. Uniósł lekko brew, dając w ten sposób dobitny wyraz swej dezaprobaty.

– Cóż za pobojuwisko... – Pełen najwyższego potępienia szept pana Migły słychać było zapewne nie tylko w Lichotce, ale również w promieniu kilkuset metrów, jeśli nie dalej.

Jednak to nie ci dwaj sprawili, że panicz, bądź co bądź widmo powstałe z grobowej czeluści, telepał się ze strachu i nie mógł nawet zawołać cieniutkim głosem „ratunku”, lecz panna Bercikówna zrobiona na bóstwo, prawdopodobnie pradawne i pogańskie.

Pierwsze, co rzucało się w oczy, to zdechły, sfatygowany lis z wybałuszonymi gałami, którego owinęła sobie wokół szyi niczym trofeum.

Tuż nad truchłem rozciągały się szcudrze uróżowane policzki, a między nimi kusiły usteczka pociągnięte błyszczkiem – jakiś śmiałek o skłonnościach samobójczych mógłby sprawdzić organoleptycznie, że kosmetyk miał wyuzdany smak wanilii. Nieco wyżej trzepotały sklezione czarnym tuszem rzęsy, nad nimi zaś gięły się, niby kokieteryjnie, jeszcze czarniejsze brewki. Całość wieńczył wielki, szpakowaty tapir, zalakierowany na sztywno.

Taka dawka seksapilu, w dodatku przyklejona na amen do panny Bercikówny, skutecznie obezwładniła Szczęsnego. W akcie rozpaczony uwiesił się myśli, że nie w niego ów seksapil jest wycelowany, i wydobył z siebie głos:

– Państwo znów przejazdem?

– Nie. Mamy sprawę do pana Romańczuka – wyjaśnił staruszek. – Sprawę niecierpiącą zwłoki.

– Kon... Kon... Konrad właśnie dokonuje porannych ablucji.

– Och... – panna Bercikówna zalotnym gestem poprawiła tapira, podczas gdy jej atawizmy rozpoczęły próby mruzczenia. – Cóż, poczekamy zatem. A gdzie Licho, ti, ti, ti?

– Z Kon... Kon... ekhm... – panicz odkaszlnął – z Konradem.

– Słucham?! – pan Migło wyprostował się gwałtownie. – Chce pan powiedzieć, że ten... ten... ten człowiek kąpie się razem z aniołem?

– Niechże pan nie podnosi głosu, panie Migło. – Staruszek zazgrzytał odrobinę głośniejsze. – Proszę pamiętać, jesteśmy tu w arcyważnej sprawie, nie wolno nam się denerwować. Przede wszystkim obiektywizm, panie Migło, obiektywizm i chłodna kalkulacja!

– Ależ to wysoce niemoralne! – zapiał działacz. – Obnosić się z wulgarną, bezwstydną nagością...

Zarumieniona po czubki uszu panna Bercikówna wyszarpnęła z torebki chusteczkę i zaczęła się intensywnie wachlować.

– ...w obecności istoty tak kruchej i niewinnej? Protestuję, ja stanowczo protestuję!

Przez następny kwadrans pan Migło wznosił okrzyki, staruszek warkotał, a panna Aurelia walczyła z uderzeniami gorąca. Z kolei młodzieniec we fraczku, nie chcąc zmarnować takiego natchnienia, przycupnął na brzegu sofy i układał w myślach wersy, które najlepiej oddałyby trwogę, jaką właśnie odczuwał. Nie mógł się tylko zdecydować na konkretny gatunek. Sonet? Nie, sonet za krótki, no i klimat zupełnie nie ten, już powieść poetycka byłaby lepsza... Choć ta z kolei za długa. A może by

dytyrambik...? O, albo ballada! Tak! Fabuła osnuta wokół wątku ludowego, coś o upiorzycy pożerającej dzielnych młodzianów, nastrój sugestywnej grozy, kompozycja szkatułkowa i oczywiście mocne zakończenie z morałem...

Błękitne oczy panicza rozblęsnęły poetyckim szaleństwem. Dla Konrada lub Szymona byłby to wystarczająco wyraźny sygnał, że trzeba w te pędy zwiewać, gdzie pieprz rośnie, choćby tratując po drodze kobiety i dzieci, goście jednak trwali w bezruchu i nieświadomości – do momentu kiedy właściciel Lichotki i jego anioł wrócili z łazienki.

Żuber, choć w zaawansowanym stadium stetryczenia, zareagował najszybciej.

– Ależ... ależ panie Romańczuk, proszę się w tej chwili ubrać! – zawołał, podrywając się zza stołu. W stawach chrupnęło mu donośnie. – Wstydu pan nie ma? Kobieta przecież patrzy!

Pewnie, że patrzyła, a jakże! Co miała nie patrzeć? Oczami otwartymi szeroko, jak najszerzej – ktoś niezyczliwy rzekłby, że wręcz wybałuszonymi – chłoneła widok rodem ze snu: oto diaboliczny Konrad Romańczuk stał przed nią w samych bokserkach i koszulce, naturalnie czarnych. Świeży, z wciąż wilgotnymi włosami, pachnący zielonym jabłuszkiem...

– *Well, I guess it would be nice, if I could touch your body* – zanuciły atawizmy.

Dopiero po dłuższym namyśle panna Bercikówna spostrzegła, że „Konrad stał” nie do końca oddawało sytuację. Raczej „chwiał się, wsparty trochę na kuli, trochę na anielskim ramieniu”. I był jakiś taki... inny. Mniej kostyczny, za to bardziej zmęczony, zużyty – długo szukała właściwego słowa – o, sponiewierany. Właśnie tak. Ale czemu? Skąd ta nagła zmiana? Może to przez te sińce, obrzęki i opatrunki, pod którymi ginęła jego, wstrząsająca duszą i trochę też ciałem panny Aurelii, męska uroda?

Żuber nie miał żadnych problemów z dojściem do wniosku, że młody mężczyzna najwyraźniej wdał się w barbarzyńskie mordobicie i sromotnie przegrał, co samo w sobie zasługiwało na podwójne potępienie i w żaden sposób nie usprawiedliwiało niekompletnego stroju.

– Panie Romańczuk! Proszę bezzwłocznie coś na siebie narzucić! Jeśli wydaje się panu, że jesteśmy w jakiejś pijackiej melinie...

– Wydaje mi się – Konrad wszedł mu w słowo – że jesteśmy w moim domu. I chyba nikogo nie zapraszałem, o ile pamiętam.

– To żadne usprawiedliwienie! – nie ustępował sępi staruszek, rzuć przy tym jak rasowy gruźlik. – Nic nie zwalnia z obowiązku zadbania

o przyzwoity, schludny strój. Proszę tylko spojrzeć, jak pan wygląda! Trzy dni po świętach, a pan ledwo się trzyma na nogach, cały poobijany, półprzytomny i w dodatku półnagi! Co to za zwyczaje, paradować – zerknął na pannę Aurelię i ściszył głos – w samej bieliźnie?!

– Licho, pomóż mi dokuśtykać do sofy, bo się zaraz przewrócę, ani chybi siejąc przy tym zgorzenie... – Nie byłby sobą, gdyby nie rzucił choć jednej kąśliwej uwagi. Asekurowany przez wiernych lokatorów, usadowił się w pościeli, posykując z bólu. Żebra, choć odpowiednio usztywnione, bardzo go bolały. – Proszę mi wyświadczyć tę uprzejmość i powiedzieć, jakaż to znowu awaria sprowadziła państwa do mojego domu?

– Awaria moralności – odparł, nie oszczędzając na patosie, Konstanty Migło.

– Obawiam się, że nie rozumiem – przyznał sucho Konrad. – Proszę mi wybaczyć, oberwałem w głowę, i to kilkakrotnie.

Pan Migło nie zamierzał jednak niczego tłumaczyć. Od razu przeszedł do ataku.

– Dlaczego ten anioł jest bez spodenek?

– Że co?

– Dlaczego ten anioł chodzi bez spodenek, w samej koszulce?

– Ale ja nie mam spodenek... – wtrąciło spłoszone Licho.

– W ogóle?

– W ogóle.

– Dlaczego ten anioł w ogóle nie ma spodenek? – Migło zmodyfikował nieco swoje pytanie.

Romańczuk wzruszyła ramionami, gdyby go tak nie bolały.

– Bo nie nosi. Czego się pan tych spodenek czepił? Nie ma też smokingu ani kąpielówek i co z tego?

– Dlaczego obnażał się pan w obecności anioła?

– Jakże znowu obnażał?

– W kąpieli, panie Romańczuk, w kąpieli! Proszę nie udawać niewiniątka, my wszystko wiemy! Brał pan przed chwilą kąpiel w obecności tego oto anioła!

– Nie przeczę, sam nie dałbym rady nawet umyć zębów. Jeśli pan jeszcze nie zauważył, panie Śmigło...

– Migło!

– ...jestem tak jakby poturbowany przez los, potrzebuję pomocy przy najprostszyc czynnościach, również przy kąpieli. Z pewnością nie obnażałbym się, gdybym nie musiał. – Na razie zachowywał spokój, ale

zaczynał mieć dosyć niespodziewanych i natrętnych gości. Zamroczenie powoli ustępowało bólowi i złości.

– A co to za tabletki? – Działacz nagle zmienił temat.

– Antybiotyk, jakieś przeciwbólowe...

– Bierze pan?

– Owszem, obecnie trudno mi bez nich funkcjonować.

– Aha, zatem przyznaje się pan do uzależnienia!

– A skąd, do niczego się nie przyznaję! – Konrad stanowczo zaprotestował. – Spadłem wczoraj ze schodów, wyładowałem w szpitalu na ostrym dyżurze. Te tabletki przepisał mi lekarz.

– To pan tak twierdzi, panie Romańczuk. – Żuber spróbował wyprostować się jak struna, lecz bez powodzenia, więc tylko zabębnił palcami o blat stołu. – To pan tak twierdzi. Ale my wiemy, jakie są fakty, panie Romańczuk, nagie fakty! Wiemy, co tu się wyprawia, i nie damy się zwieść.

Jego pomarszczona niczym zmumifikowana rodzynka twarz wykrzywiła się w jaszczurczym uśmiechu, pozostała dwójka pokiwała zgodnie głowami. Nieuchwytny, dziwny niepokój, który od czasu ich ostatniej wizyty dręczył Konrada, natychmiast przybrał na sile.

– Przybyliśmy tu z misją, panie Romańczuk – ciągnął staruszek. Z każdym słowem mówił coraz bardziej uroczystym tonem, oscylującym gdzieś między jękiem bóleści a śpiewem. – Przybyliśmy, by wyzwolić wysłannika niebios z hańbiących jego świętą, przeczystą naturę oków wszeteczności wszelakiej, ze szczególnym uwzględnieniem szatanizmu i bicyklizmu!

A ja się martwiłem, że widzę różowe króliki, pomyślał cokolwiek zdębiały Konrad. I proszę, nie jest ze mną wcale aż tak źle, mam całkiem przyjemne urojenia. Niektórych dręczą znacznie większe problemy, i to nawet bez uprzednich urazów czaszki.

– Przepraszam, ale to mój anioł... – zaprotestował słabo. Pulsujący w każdym skrawku jego ciała ból wzrastał się z minuty na minutę i robił naprawdę nieznośny. – Zgodnie z prawem odziedziczyłem go po krewnym w dożywociu...

– Milcz, bezbożniku wszeteczny! Nikczemnym, przez piekło inspirowanym podstępem przywłaszczyłeś sobie tę oto cudowną, szlachetną istotę – z namaszczeniem wskazał skulone w kącie Licho – by wykorzystywać ją do niewolniczej pracy! Nie zaprzeczaj, nie jesteśmy ślepi! Nie bez powodu wybrałeś ten okultystyczny dom na uboczu, z dala od życia zdrowego społeczeństwa, które mogłoby się sprzeciwić twoim niecnym praktykom! Ty

i ten twój... utrzymanek w koronkach! – Obrzucił Szczęsnego spojrzeniem pełnym pogardy i potępienia. – Folgujecie swym nienaturalnym chuciom, narkotyzując się i oddając cześć demonom piekielnym, podczas gdy ów biedny, niewinny anioł haruje dniami i nocami, półnagi, oskubany z pierza, zadrażniony psychicznie i fizycznie, molestowany, całkowicie ubezwłasnowolniony i odcięty od świata! Od świata zdrowych wartości! Od moralności, miłości rodzinnej i prawidłowych wzorców! Ale niebiosa czuwają! Zaprawdę, powiadam wam, czuwają i mówią: dość! Oto nadszedł kres wyzyskiwaniu stworzenia niebiańskiego! Jako duchowy pasterz niewinnych owieczek oświadczam panu, że ta owca, znaczy, ten anioł, panie Romańczuk, ten anioł idzie z nami!

Gdy ostatnie słowa i kaszel staruszka przebrzmiały, na parę minut zapadła głucha cisza.

– Przepraszam, ale nie pojmuję tego fragmentu o utrzymanku i chuciach – odezwał się z kąta panicz.

– Później ci wyjaśnię – zbył go Konrad i zaraz tego pożałował. Zły pomysł, bardzo, bardzo zły. Trzeba było symulować głuchotę. – Chociaż... może lepiej, żebyś jednak tego nie pojmował. Wierz mi na słowo.

Naprawdę niewiele brakowało. W Szczęsnym już zaczynało kiełkować zainteresowanie, gdy do akcji wkroczyła panna Bercikówna, aktualnie w temacie chuci zorientowana doskonale.

– O, proszę! – Wyszarpnęła z torebeczki i rozłożyła wymięty arkusz papieru. – Tu, o, proszę, proszę spojrzeć! Jak żywy!

Plakat przedstawiał przystojnego, demonicznego mężczyznę z blond puklami związanymi aksamitką, ubranego w koszulę z dużą ilością koronki. Mroczny, pociągający, drapieżny... Romańczuk dopiero po chwili zrozumiał, na co patrzy.

– Proszę, no proszę! – Panna Bercikówna zatrzepotała rzęsami, nie mogła się jednak zdecydować, czy ma to być trzepotanie zalotne, czy dramatyczne, wyszedł jej więc lekki oczopląs. – Jak tylko go zobaczyłam, wiedziałam, co się święci. Wampiry! Przemoc! Ero... – odetchnęła spazmatycznie – erotyka! Jedno wielkie bezceństwo!

– Wszyscy wiemy, o czym jest ten film – odezwał się surowo staruszek.

– Tak? Wiemy? – śmiał zwałć Konrad.

– Tak. O wynaturzonym związku dwóch mężczyzn, którzy za rozkosz cielesną zaprzędali swe nieśmiertelne dusze diabłu i zniewolili niewinne dziecko, skazując je na śmierć w męczarniach i wieczne potępienie. Stąd pan czerpie wzorce, panie Romańczuk? Z bezbożnych historii o sługach zła?

I pan śmie twierdzić, że ten anioł jest pański? Że pan na niego zasługuje? Nie, panie Romańczuk! Nie zasługuje pan!

– Nie? – groźby nie do końca do niego docierały, tonąc po drodze w falach wzmagającego się bólu, ale złośliwość włączała się automatycznie w ramach reakcji obronnej.

– Nie!

Prawa brew Konrada powędrowała w górę czoła.

– Bo Szczęsny, mój najbardziej egzaltowany dożywotnik, którego istnienie i obecność w tym domu przeklinam regularnie każdego ranka, przypadkiem wygląda jak Tom Cruise w *Wywiadzie z wampirem*?

– Tak!

– Czy pan przypadkiem nie uderzył się w głowę? Mam dobre proszki, naprawdę chętnie się podzielę.

Pojedynek na spojrzenia zakończył się w drugiej minucie zwycięstwem szyderczego, choć nieco zamglonego, nad bardzo srogim, krótkowzrocznym.

– Pan sobie kpi? Własny upadek moralny tak pana bawi?

– Nie wiem, co mnie bawi, wiem, że nie wytrzymam, jeśli zaraz nie zażyję tych proszków – odburknął Konrad. Czoło zrosiły mu krople potu, z trudem brał oddech. Marzył tylko o pozbyciu się czym prędzej wścibskich gości. – Mam gdzie wasze fobie i teorie szatanistyczno-bicyklistycznego spisku. Wynoście się z mojego domu i zostawcie w spokoju mnie, mojego panicza w koronkach i przede wszystkim mojego anioła!

Powoli, z budzącą grozę stanowczością, niczym lawina ruszająca z górskiego szczytu, staruszek powstał.

– Dobrze, teraz odejdziemy. Lecz proszę nie myśleć, że się lękamy pańskich gróźb. Prawo moralne jest w nas, panie Romańczuk! Damy wam czas na przemyślenia. Komisyjne odebranie i przekazanie anioła w dobre, chrześcijańskie ręce nastąpi drugiego stycznia...

– Przepraszam, ale drugi to niedziela – szybko wtrącił Migło.

– Zatem trzeciego stycznia, w samo południe. I nie będziemy już z panem dyskutować. Ten anioł jest za mały dla nas dwóch! Znaczy, dla nas czworga! Odda go pan po dobroci albo...

– I co pan chcesz teraz zrobić?

Romańczuk i Kusy siedzieli w salonie, pijąc popołudniową kawę. Zza zamkniętych drzwi nie dobiegał żaden dźwięk. Cała Lichotka tonęła w ciężkiej, niemal grobowej ciszy.

– No bo zrobisz pan coś, nie?

– Nie wiem.

Nie miał siły nawet myśleć, choć srogie, niedopowiedziane „albo” trzeci dzień dźwięczało mu w uszach niczym wyrok. Wycieńczony zbyt długą pracą, pokiereszowany i otumaniony lekami organizm wciąż sunął powolutku i za nic nie chciał zwiększyć obrotów.

– Jakie znowu nie wiem? – zdumiał się Kusy. – Chcesz pan tak siedzieć i smęcić bez pożytku? Panie, przecież te dziwne ludzie zabierają Licho pojutrze, weź się pan obudź! No tak nie można! To rozbój w biały dzień! Przecież... przecież bez Licha nie będzie Lichotki!

– A tam, nie będzie... – W kółko mieszał kawę łyżeczką. – Przecież się pod ziemię nie zapadnie. Będzie, tylko inna. Pusta.

– Ja, panie, ja pamiętam, co mi mówił świętej pamięci ojciec, więc pan mi tu nie pierdziel, bo ja wiem, panie, że nie będzie i już! Zaraz się sypać zacznie, niszczyć, aż w końcu umrze i zostanie z niej tylko ruina. Ru-ji-na, rozumiesz pan? Pan nie możesz na to pozwolić, pan jesteś tu na dożywocie! Papier podpisałeś! Musisz pan bronić domu i dożywcotników przed złem!

– Ale to ja jestem tym złem, nie słuchał pan, co mówiłem? – wypalił Konrad. Zaczynał z wolna dochodzić do siebie, nauczył się nawet kuśtykać o kuli tak, by przypadkiem nie urazić bolących żeber ani zagipsowanego palca. Większość plastrów pozdejmował, cały był wesoły, żółto-zielono-fioletowe ciapki, ale samopoczucie miał fatalne. Znacznie gorsze niż fryzurę. – Ja! Podły, szatanistyczny bicyklista! Nie zasługuję ani na ten dom, ani na tego anioła. Zwłaszcza na anioła.

– Aleś go pan jednak dostał, nie?

– Z braku laku.

– Że co?

– Panie Kusy, byłem jedynym krewnym poprzedniego właściciela. I to dalekim. Nawet nie wiedziałem, że w ogóle istniał, póki nie dostałem zawiadomienia o śmierci i spadku. Nie pamiętam, jak facet miał na imię, chociaż od paru miesięcy mieszkam w jego domu! Równie dobrze mógł przekazać dożywocie pierwszemu lepszemu człowiekowi spotkanemu na ulicy, na pewno lepiej by sobie poradził. Ja tu w ogóle nie pasuję, to w ogóle nie jest moje miejsce!

– Panie Romańczuk, no co pan...?

– Przecież oni mają rację. No bo co ja wiem o zajmowaniu się kimkolwiek? Nawet chomika nigdy nie miałem, a co dopiero anioła! Co ja mu mogę zaoferować? Miłość? Dobrze sobie, ja i miłość, tego jeszcze nie

grali! Miłości to ja mam powyżej uszu na następne lata. Wzorce? Niby jakie? A może chociaż opiekę? Dniami i nocami ślęczę albo nad zleceniem, albo nad książką, nosa z pokoju nie wyściubiam, a Licho lata samopas i robi krzywdę komuś lub sobie. Próbowałem czytać mu bajki, jak dziecku, to się przejęło i dało mi w łeb patelnią, bo nie miałem kopytek. Nawet się nie zastanowiłem, czemu ono chodzi bez spodenek. Co ze mnie za opiekun? A jeśli się przeziębi? Albo zgubi w lesie? Wpadnie pod samochód? To możliwe, do szosy niedaleko... A jeśli spadnie z drabiny i złamie skrzydełko, co wtedy? Panie Kusy, przecież ja nie mam najbledszego pojęcia, jak wychowywać anioła!

– Ja też nie miałem pojęcia, jak wychowywać swojego syna, ale go nikomu nie oddałem ani w wanience nie utopiłem przy... przy...

– Przypadkiem?

– Nie, przy najbliższej okazji. Panie Romańczuk, przestań pan wreszcie tę kawę mieszać, bo mi się we łbie kręcić zaczyna! – Poburczał coś pod nosem przez chwilę, po czym odezwał się normalnym głosem. – Ja chyba już rozumiem, o co biega. Depresję żeś pan złapał, wiesz pan, modne toto takie ostatnio. Siedzisz pan na odludziu, na spacer nawet nie wychodzisz, gości z uwagi na Licho nie zapraszasz, tylko ślęczysz przy komputerze i praca, praca, praca.

– Jakimś cudem dom nie chce się sam utrzymać, chociaż pełnoletni jest od dawna – burknął Konrad znad kawy i wtedy jak zły szeląg z całą mocą wróciły do niego wspomnienia, z Majką i jej niekończącym się potępieniem na czele.

Tak na dobrą sprawę nie za bardzo pamiętał, gdzie i kiedy się poznali. Zstąpiła z niebios, to pewne, uśmiechnęła się do niego, to też pewne, i dobiła go kilkoma celnymi spojrzeniami spod podkreślonych rzęs, a wtedy owe niebiosy, wyraźnie będące z nią w zмовie, z hukiem zwały mu się na głowę, odbierając resztki rozumu. Nim się obejrzał, przestał występować w środowisku naturalnym jako Konrad Romańczuk, człowiek, sztuk jedna, i dla całego świata stał się Konradem-z-Majką. Gdzie on, tam ona, gdzie ona, tam on, nierozłączni jak gliniarz i prokurator, Statler i Waldorf, Hewlett i Packard. Po paru miesiącach doszło do tradycyjnej wymiany zapasowych szczoteczek do zębów, aż w końcu pewnego dnia nastąpiła zorganizowana inwazja kobiecości na męską przestrzeń życiową. W oknach jego mieszkania zawisły śnieżnobiałe firanki, na ścianach starannie oprawione zdjęcia krewnych i znajomych, zaś w sedesie kostka toaletowa o zapachu leśnym. Otumanionemu miłością i podkreślonymi rzęsami

Romańczukowi było wszystko jedno. Kiwał potakująco głową, nawet gdy rozmowy zbaczały na tematy pokoju dziecięcego i nieco większego środka lokomocji.

Za to koniec ich znajomości cierniem utkwiał mu w pamięci i od paru miesięcy żadnym sposobem nie dawał się wydlubać. Zaczęło się przy drugiej rocznicy od zgrzytu na tle jubilerskim – on wciąż kupował jej kolczyki i bransoletki, podczas gdy ona po cichu liczyła już tylko na jeden, jedyny pierścionek – a później...

Później przyszedł polecony z sądu, powiadamiający Romańczuka o toczącym się postępowaniu spadkowym. Na wieść o przeprowadzce na kilka miesięcy, może nawet dłużej, do odziedziczonego po nieznanym krewnym starego domu na odludziu Majka stanowczo pokręciła głową. Do koncepcji Dzieła Życia, którego napisanie wymaga odpoczynku od miejskiego hałasu, odniosła się nad wyraz niechętnie, po czym gładko przeszła do analizy niepewnego losu copywritera i pisarza, po drodze zahaczając o kwestię problemów z komunikacją międzyludzką. Ich doskonałym przykładem miał być niezaprzeczalny fakt, że swoich planów Konrad z nią nie skonsultował, a takich banałów jak jej praca i zobowiązania w ogóle nie wziął pod uwagę, oczekując, że bez słowa sprzeciwu porzuci całe swoje życie w imię jego mrzonek, bo on tak chce i już. Po czym dobiła swą ogłuszoną ofiarę dobitną konstatacją na temat syndromu Piotrusia Pana, skrajnego egoizmu oraz strachu przed odpowiedzialnością i jakimkolwiek głębszym zaangażowaniem.

Wtedy w Konrada Romańczuka jakby nagle złe wstąpiło. W ułamku sekundy zrzucił z siebie ciężar niebios i z coraz szerszym uśmiechem, plując jadem na odległość, wyjaśnił Majce ze szczegółami, gdzie dokładnie i jak głęboko ma rezygnację z marzeń na rzecz stabilnej pracy, legalizację związków, planowanie rodziny, przyszłościowe myślenie, samochód z miejscem na psa i fotelik oraz długoterminową lokatę na wysoki procent. W rezultacie firanki trafiły na śmietnik, zdjęcia powędrowały z Majką do mamusi, on zaś został z cierniem w sercu i kostką toaletową o zapachu leśnym w sedesie – chociaż zawsze wołał zielone jabłuszko.

Ale dopiero teraz, po paru miesiącach, jakie minęły od tamtego burzliwego dnia, poczuł, że w jej niekończących się pytaniach i pretensjach mogło kryć się choćby najmniejsze ziarenko prawdy. Że może wcale nie była taka Świecka Słuszna Jedyna, taka Bolesiwiwa Potępienia Pełna i tak dalej, w ten sam rozgoryczony, jadowity deseń – za to on... No cóż. On się nie popisał. Nie powinien był tu nigdy przyjeżdżać, a już z pewnością nie

brać się do opieki nad irytująco dziecinnymi aniołami czy szaleńczymi widmami o zmiennym stanie skupienia, nie mówiąc już o pozostałych domownikach. Należało zostać w mieście i ćwiczyć mocno kulejącą odpowiedzialność na kaktusach albo tamagotchi, a nie na żywych... lub nieżywych istotach.

Nieświadomy targających Konradem uczuć Kusy lekceważąco machnął ręką.

– Nie pitol pan, panie Romańczuk. Rachunków nie płacisz żadnych, czynszu też nie. Zostaje tylko jedzenie i ten pański śmieszny samochodzik.

– Ale życie to nie tylko rachunki i jedzenie. Muszę myśleć o przyszłości, o tym, żeby jakoś zabezpieczyć los każdego domownika. O swoim już nie wspomnę.

– E tam. Czasem trzeba dać na wstrzymanie, polenić się. Nie wolno się tak zajeżdzać. No i pamiętaj pan, żeś ostatnio dostał dwa razy porządnie w dekiel. Patelnią i schodami. To musiało zostawić jakiś ślad na psychiczności, nie? Panie Romańczuk, potrzebujesz pan trochę odsapnąć, rozerwać się. Młody pan przecież jesteś!

– Zamierzałem spędzić sylwestra w mieście, u znajomych...

– No i bardzo dobrze, spędzaj pan!

– ...ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że spadłem ze schodów – dokończył kąśliwie Konrad – i nie za bardzo nadaję się ani do podróżowania, ani do imprezowania. W zasadzie do niczego się chwilowo nie nadaję. Mam dosyć, panie Kusy. Wszystkiego. Gniecie mnie to, dusi od dawna... To nie jest moje miejsce.

O Szymonie wiele można by powiedzieć, lecz z pewnością nie to, że był intelektualistą ze skłonnością do zadumy i wewnętrznych szarpanin. Rozumował dość prosto i nie tracił czasu na zbędne jego zdaniem roztrząsanie drobiazgów. Drobiazgi tylko utrudniają życie, które i bez nich do łatwych nie należy, po co zatem się nimi dodatkowo przejmować, badać każdy szczegół wszystkiego, co się człowiekowi przydarza? Nie wolno zbyt dużo myśleć, tak uważał Kusy, z myślenia nigdy nic dobrego nie przychodzi, tylko same kłopoty. Jak teraz.

– Nie, no panie Romańczuk, pan chyba nie chcesz się wynieść z Lichotki? Nie masz pan przecież dokąd, prawda?

– W zasadzie to mam. Nie sprzedałem mieszkania, wynająłem je znajomemu. Za parę dni kończy się umowa, nic nie stoi na przeszkodzie, żebym po Nowym Roku wrócił do miasta. Ciągle się nad tym zastanawiam i chyba w końcu nadszedł czas podjąć męską decyzję.

– Toś mnie pan zagiął... – Kusy był wyraźnie zaskoczony. – Nie sądziłem... znaczy... wyglądałeś pan na całkiem szczęśliwego tu, w Lichotce. No, przynajmniej na początku... Ja wiem, że Szczęsny daje czasem mocno popalić... nawet nie czasem, dość często, no ale poza tym chyba nie jest tu panu źle?

– Źle może nie, ale dobrze też nie do końca. Poza tym wciąż nie mogę się pozbyć wrażenia, że się tu wcisnąłem na siłę. Że zająłem miejsce, które mi się nie należało.

– A co z Lichem? Olejesz pan testament i pozwolisz je tak po prostu zabrać jakimś obcym, bo nie możesz się pan pozbyć jakiegoś wrażenia? – zapytał uderzająco cicho.

Zmęczone, brązowe oczy spojrzały na niego bezradnie.

– Nie wiem, panie Kusy. Co ja mogę zrobić? Wywieźć je gdzieś i ukryć? Gdzie? W krzakach w lesie? W mieszkaniu w bloku z wielkiej płyty? Na jak długo? Jeśli ci ludzie się uprą, a sądzę, że tak będzie, po prostu mi je odbiorą. Bo co niby mogę zrobić? Żaden kodeks nie reguluje zasad opieki nad aniołami, rodzinny, karny, postępowania administracyjnego, żaden, nie mam na co się powołać. Przecież nie wyskoczę na nich z siekierą ani nie wezwę policji.

– Ja mógłbym.

– Wezwać policję?

– Wyskoczyć z siekierą.

– Wtedy to oni wezwą policję.

– Czemu nie? Oskarżymy ich o... o kidnaping!

– Tak, już to słyszę. „Halo, policja? Zgłaszam próbę porwania anioła. Rysopis – metr pięćdziesiąt wzrostu, pięćdziesiąt kilo wagi, oczy mieniące się kolorami tęczy, płeć nijaka. Znaki rozpoznawcze – celofanowe włosy, krzywo ostrzyżone na rozjechanego jeża, oskubane skrzydła, bamboszki, towarzyszy mu różowy królik”. Już widzę, jak wszystko rzucają i pędzą na złamanie karku. Niech się pan zastanowi, przecież każdy zdrowy na umyśle człowiek powie, że anioły nie istnieją. Wolałbym nie wylądować w psychiatryku. A przynajmniej nie przed pięćdziesiątką – dorzucił i w nerwicowym odruchu jeszcze raz zamieszał kawę.

– Podśluchiwałem – wypalił Szczęsny, oparłszy się plecami o zamknięte drzwi.

Oklapnięte ze smutku Licho siedziało po turecku na pralce i miętoszło

w objęciach psychodelicznie różowego królika. Na gwałt potrzebowało pocieszenia, mleko i ciasteczka już nie pomagały, nie wspominając o praniu. Było tak przygnębione, że nie miało nawet ochoty sprzątać.

– Słyszysz, Licho? Podśluchiwałem!

– To nieładnie, alleluja – odbąknęło.

– Trzeba być lisem i lwem! Posuń się. – Przysiadł półdupkiem na pralce. – Otóż Konrad złapał depresję. Nie wiem, gdzie i kiedy, niewykluczone, że w mieście, istna sodomia i gomoria tam panuje. Och, oby to nie było zaraźliwe...

– Na wszelki wypadek często myj ręce.

– Bez wątpienia wezmę to pod rozwagę, ale słuchaj dalej. Otóż owa depresja o nieustalonej proveniencji gniecie go i dusi, więc Konrad nie może wyskoczyć z siekierą w twojej obronie. I dlatego – sapnął dramatycznie – jest nieszczęśliwy.

– Nieszczęśliwy? – W ułamku sekundy anioł się ożywił, zapominając o własnym przygnębieniu.

– Tak! Głęboko, na wskroś, tragicznie nieszczęśliwy! Możesz mi wierzyć, znam się na tym – zaznaczył panicz. – Mam dwieście szesnaście lat praktyki i dwukrotnie popełniłem samobójstwo, nie znajdziesz lepszego fachowca. Na jego czole jakiś szatan miesza rozpacz ze śmiechem, śmiech błady z cierpieniem...

Kichnęło ponagłajaco.

– Ach, wybacz. Cierpisz, nieprawdaż? – Objął je ramieniem. – Tak, z pewnością. Cierpisz, gdyż czujesz się odrzucone, niechciane i zapomniane niczym... niczym... niczym coś odrzuconego, niechcianego i zapomnianego.

– Konrad mnie nie lubi. – Pociągnęło noskiem. – Zamyka się w salonie, a jak przychodzę, żeby mu w czymś pomóc, to milczy i patrzy w drugą stronę.

– Nic tak nie boli jak obojętność... Rozumiem, co czujesz, rozumiem doskonale. Ach! Lecz nie pozwól, Licho najmilsze, by przesywający twą duszę ból przesłonił pamięć o tym, że jesteś aniołem stróżem. Taką masz rolę. Życiową. Rzekłbym, że nawet dziejową. Licho – zniżył głos, spoglądając prosto w wielkie oczy anioła – to nie Konrad musi opiekować się tobą. To ty musisz opiekować się Konradem. Bo jakież go czeka los, jeśli ciebie zabraknie?

– Jakież?

– Marny. Marność nad marnościami i wszystko marność. Jeno nieszczęście, cierpienie, samotność... pewnie i samobójstwo... Tak, Licho,

tak! Nie ma co płakać. Możesz temu zapobiec, wszak jesteś zdolne do wielkich czynów! Dałeś przykład nadzwyczajnej odwagi, ruszając na włamywacza i broniąc spokoju swego domostwa. Czas, byś znów przejęło inicjatywę!

– Nie jestem pewne, czy tym razem mop i spray na mszyce wystarczą.

– Bo też wcale nie muszą, Licho drogie. Pomyśl tylko. Zgodnie z powszechnie panującym i jakże błędnym poglądem anioły nie istnieją. Jakim zatem sposobem można odebrać komuś coś, co nie istnieje...?

Poniedziałkowy poranek nadszedł nieubłaganie, ciągnąc za sobą siarczasty mróz.

Konrad przeleżał całą noc, gryziony i podszczypywany przez stado dzikich wątpliwości, które cierpiały na bezsenność i uważały, że on też powinien. W rezultacie mógłby z detalami opisać wygląd sufitu w salonie, ale powiedzieć, co powie Lichu, gdy po nie przyjdą, już nie. Nic dziwnego, że nie miał apetytu. Siorbnał trochę kawy, kanapki zignorował, połknął garść leków, po czym czasochłonną metodą prób i błędów przebrał się w strój niezobowiązujący, a jednocześnie mniej wymiętoszony niż piżama, i usiadł z powrotem na łóżku.

Tak będzie rozsądnie. I lepiej, powtarzał w myślach. Dla niego, dla Licha... przede wszystkim dla Licha. Na pewno trafi na lepszego opiekuna niż on. Żadna sztuka, zważywszy, że każdy był lepszy niż Konrad. Majka miała rację, co mu strzeliło do głowy, żeby temu zaprzeczać? Nie nadawał się do tej całej hecy z rodziną, odpowiedzialnością za innych i podobnymi pierdołami. Potrafił zająć się co najwyżej samym sobą, a i to nie zawsze. Najwyższa pora się z tym pogodzić, zanim komuś stanie się prawdziwa krzywda, poważniejsza niż cios patelnią czy gwóźdź w macce. Odda Licho w dobre... no, w każdym razie chętnie ręce i wróci do siebie, do miasta. A potem sprzeda ten dom. Zanim nowy właściciel się tu sprowadzi, Szczęsny zdąży się zdematerializować i wszyscy będą szczęśliwi.

A on znów będzie sam ze swoimi myślami.

Tak. Tak będzie lepiej. Najlepiej.

Teraz pozostało tylko czekać. Sięgnął po książkę i zaczął czytać.

Tuż po ósmej rozległo się ciche pukanie. Konrad wciąż był na tej samej stronie. Czy raczej na tym samym zdaniu.

– Już? Tak wcześniej?

– Nie, zostały jeszcze cztery godziny – uspokoił go Szczęsny, jakby mniej

paniczo-widmowaty niż zwykle. – Licho właśnie szykuje się do wojaży i w związku z tym wystąpiły pewne nieprzewidziane trudności.

– Jakie mianowicie?

– Nie potrafimy zapakować pralki.

– Aha. No tak. – Chwycił kulę i podniósł się, krzywiąc nieznacznie. – No dobrze, chodźmy więc na górę, zobaczymy, co da się z tym zrobić. Przy okazji może... może się pożegnám.

Ostrożnie, by nie wywinąć orła na parkiecie, przeszedł korytarzem do holu, trzymając się tuż za Szczęsnym, gdy ten naraz przystanął.

Konrada jakby coś chwyciło za gardło. Coś nieprzyjemnego, zdecydowanego raczej zadusić, a nigdy, przenigdy nie puścić.

Ciągnąc za sobą pękatą czerwoną walizeczkę w kwiatki, Licho człapało niczym skazaniec schodami na parter. Półtora nieszczęścia w bamboszkach, krzywo ostrzyżonego, ze zwisającymi smutno skrzydłami i różowym królikiem kicającym przy nodze. Na widok przypatrujących mu się mężczyzn znieruchomiało. Po jego pyzatyh policzkach ciurkiem płynęły łzy niczym grochy.

I to w zasadzie wystarczyło.

Jestem egoistycznym draniem, uznał Konrad. Draniem z zasuszoną śliwką zamiast serca. Chcę oddać rodzinnego anioła, anioła żyjącego w tym domu od samego początku, od dobrych dwustu lat, owszem, dziecinnego, natrętnego, ale przecież w gruncie rzeczy poczciwego i... no, po prostu kochanego, tego właśnie anioła chcę oddać zupełnie obcym ludziom, bo mi przydzwonił patelnią, a ja nie wiem, co z nim zrobić. I to ot tak, pierwszym lepszym, jacy się przypadkiem nawinęli i oznajmili, że mam im je oddać, bez walki, ale za to z miłusim, łzawym pożegnaniem. Miło było, ale się skończyło, tak? To ma być niby rozsądne? Odpowiedzialne? Rany jeża... I jeszcze się rozczulam nad sobą zamiast nad nim, bo jestem tu taki strasznie nieszczęśliwy! Cholera, czy ja upadłem na łeb?! A, no tak, racja... Ale to niczego nie tłumaczy. Jestem draniem i durniem do kwadratu, do sześcianu wręcz.

Nie, tak po prostu nie można. Tego się nie robi aniołom. Co z tego, że nie istnieją.

Decyzja podjęła się sama.

– Dobra. Pozostaje nam tylko akt rozpaczny. Schowamy Licho... sam nie wiem, może u Krakera? Do piwnicy chyba nie wleżą...? A sami będziemy strugać wariata, aż wióry polecą. Musimy ich przepłoszyć za wszelką cenę, choćby i godności osobistej. Szczęsny, ty się robisz na giętkiego w kibici

i odciągasz uwagę sępa i blondynka.

– Ale jak?

– Oliwka. Dużo oliwki. Wysmaruj sobie nią tors i narzuć na siebie koszulę, koniecznie z koronką. Pełna nonszalancja, zniewieścienie i seksapil od niechcienia, żeby ich zemdliło. Chcą wywiadu z wampirem, to go dostaną. Masz może puder? Niedobrze... Już wiem – powiedział po namyśle i wyjął z kieszeni komórkę. – Zadzwońię do Kusego, niech kupi w pierwszym lepszym kiosku czy sklepie puder, najlepiej taki z brokatem, czarną kredkę do oczu i jakieś tanie perfumy, byle mocne, i przyjeżdża tu raz-dwa. No, już, idź się oliwić! I zrób coś z włosami, żeby były... ja wiem... No, żeby ich dużo było, kręcone takie, frywolne. Jakaś mokra włoszka, Michael Bolton czy co...

– A ty?

– A ja... Ja biorę na siebie to... – z ledwością tłumiona groza wstrząsnęła jego poobijanym ciałem – to... trzecie... coś.

– O mamuniu...

– Tak. Wiem. Ale to jest mój anioł i nie zamierzam go nikomu oddawać.

Na pyzatej buzi Licha rozkwitł najbardziej pogodny ze wszystkich uśmiechów świata.

Na wszelki wypadek Szymon jednak wziął ze sobą siekiere. Trzymał ją z wprawą, pozornie od niechcienia, ale tak, by za bardzo nie rzucała się w oczy. Udając, że napawa się pięknem zimowego krajobrazu wokół Lichotki, tak naprawdę wypatrywał niechcianych gości. Średnio co pięć minut Szczęsny wystawiał łeb przez kuchenne okno i pytał:

– Jada?

– A krzychałem, że jada?

– Nie.

– No to nie jada! Idź się pacykować, a nie mi głowę zawracasz!

Aż wreszcie między drzewami mignęły światła samochodu i zgodnie z zapowiedzią Szymon krzyknął, że owszem, teraz rzeczywiście jada.

Pozostali domownicy, zgromadzeni w kuchni, w pierwszym odruchu struchleli, szczególnie Licho. Znów zebrało mu się na płacz. Rozpaczliwie zamachało skrzydełkami i poprosiło o chusteczkę.

– Masz tu trzy i nie bucz więcej. – Konrad wziął głęboki wdech. – A teraz...

– A teraz bądź dobrym Lichem – Szczęsny wtrącił się niespodziewanie –

i zmykaj stąd czym prędzej. Zrób te swoje czary-mary i nosa nie wyściubiaj, póki cię Konrad nie zawoła. Nie Szymon, nie ja, nie żaden obcy, choćby się waliło i paliło, tylko Konrad, zrozumiałoś?

– Tak, alleluja – pisnęło.

Romańczuk pogłaskał je niezdarnie po celofanych włosach drżącą lekko dłonią.

– Nie bój się. Licho zostanie w Lichotce.

– Obiecujesz?

Tęczowe oczy wpatrywały się w niego z nadzieją. Uśmiechnął się łagodnie.

– Obiecuje. A teraz zmykaj. No, Szczęsny – zwrócił się do panicza – pora na nas. *There is no spoon.*

Usłyszeli głosy i wyszli do holu, by jak najszybciej stanąć twarzą w twarz z wrogiem wprowadzonym przez Kusego. Trzech na troje, domownicy przeciwko obcym, przybyszom z zewnątrz. Kocica i królik przezornie zostali w wieżycze.

Pierwszy ruch należał do sępiego staruszka.

– Jak widzę, czuje się pan już lepiej, panie Romańczuk – zaskrzeczał.

– O, i to znacznie – odpowiedział ze spokojem i uśmiechnął się.

Panna Bercikówna poczuła, że jej słabo.

Nie był to zwykły uśmiech, na jaki stać każdego mężczyznę, tylko uśmiech bliskiego zasięgu, zabójczo skuteczna broń zagłady indywidualnej i masowej. Trochę ironiczny i niepokojący, lecz przy tym ciepły, przywodził na myśl jednocześnie bezpieczne ramiona i zabójcze sidła, z których ofiara za nic w świecie nie chce się wydostać. Budził dreszcze tu i ówdzie – a zwłaszcza ówdzie.

O tak, Konrad Romańczuk potrafił się uśmiechać do kobiet.

– O ile sobie przypominam – powiedział, nie odrywając oczu od drżącej niczym osikowy zagajnik panny Aurelii – ostatnio w dość prostych słowach oświadczyłem, że nie są tu państwo mile widziani.

– Niech pan nie będzie śmieszny. – Działacz Migło wydał pogardliwie usta. – Przyszliśmy wypełnić nasz moralno-obywatelski obowiązek. Proszę nie stawiać oporu, a obejdzie się bez nieprzyjemnych incydentów. Tu są papiery do podpisania...

– Niczego nie podpiszę.

– Ależ musi pan poświadczyć odbiór!

– Odbiór? A czego?

– Anioła, panie Romańczuk, anioła!

– Jakiego znowuż anioła?

Spojrzenia ludzi zwróciły się w stronę Szczęsnego, który wziął sobie do serca instrukcje Konrada. Śmierdział tanimi perfumami co najmniej na pół kilometra. Tors i szyję wysmarował szczodrze olejem roślinnym, jako że oliwką dla niemowląt nie dysponował, twarz upudrował, a wokół oczu narysował grube, czarne kreski. Ale największe wrażenie robiła fryzura a la wczesna Tina Turner po elektrowstrząsach. *Drag queens* czułyby się przy nim zażenowane.

– Jakiego znowuż anioła? – powtórzył, bawiąc się koronkowym żabotem rozchełstanej koszuli i tym samym zdobywając tytuł mistrza w dekoncentrowaniu oraz wprowadzaniu w osłupienie. – Państwu zapewne coś się uroiło. Anioły istnieją wyłącznie w nadmiernie rozpasanej wyobraźni poetów. Możecie dać mi wiarę, znam się na tym jak mało kto. To jest, na poetach, na rozpasaniu to już nie bardzo, trochę się w tym gubię...

– Zatem twierdzisz, ekhm, młodzieńcze, że w tym domu nie ma żadnego anioła? – zapytał z budzącą lęk, bardziej śmiertelną niż sama śmierć powagą staruszek.

– Hm... A ten gipsowy na czubku choinki się liczy...? Nie? W takim razie owszem, tak właśnie twierdzą – odparł ochoczo Szczęsny, zanim Konrad zdążył otworzyć usta. – Proszę, śmiało, możecie państwo poszukać, jeśli chcecie.

– O, nie omieszkamy skorzystać z zaproszenia – charknął Żuber. – Pan pójdzie ze mną, panie Migło, a pani, panno Aurelio, niech tu zostanie i czuwa, by pod naszą nieobecność nikt nie wymknął się z domu.

– Czyś ty oczadział?! Coś ty narobił najlepszego, przecież mieliśmy ich przepłoszyć, a nie oprowadzać! – Konrad syknął dyskretnie, niczym dobrze wychowany grzechotnik, zerkając przy tym wściekle na panicza, lecz ten ani myślał zamienić się w kamień, słup soli ani kupkę potulnie dymiących popiołów. Zamiast tego puścił do Konrada oko, czym mimowolnie wstrząsnął nim w poprzek, wzdłuż, na wskroś i na okrętkę.

– Nie bój nic – szepnął w odpowiedzi. – Już ja wiem, co czynię. Zaufaj mi!

– Zaufać? Tobie?! Tyś się chyba z własnym... e... tym tam... na łby pozamieniał!

– Moim tym tam...?

– Potem ci wyjaśnię – już po raz drugi tego miesiąca palnął odruchowo Konrad i sekundę później już tego pożałował. Nie mieli już jednak czasu na dalszą wymianę syknień. – No cóż... – Odchrząknął i ciągnął już głośniej. –

Panie Kusy, Szczęsny, w takim razie oprowadźcie panów, bo jeszcze się zgubią i przepadną w piekielnej otchłani zamieszkaney przez wampiry, wiewiórki i bicykle – rzucił bezzwłocznie, nie dając po sobie poznać, że w środku aż się gotuje. Najchętniej chwyciłby panicza za kudły i wytrzaskał po facjacie. Co ten bałwan znowu wyprawia? Po co ich zachęca?! A co jeśli trafią do piwnicy, znajdą Licho i... i pradawnego stwora ciemności na dodatek... Z trudem przełknął ślinę, odpędzając natrętą wizję starcia Krakera z panem Żubrem. Co za dureń z tego Szczęsnego, nie tak się umawiali, zupełnie nie tak!

Nie było czasu na ponowne omówienie planu, bo grupa poszukiwawczo-przeszkadzająca bezzwłocznie wzięła się do roboty i w holu został Konrad – sam na sam z bliską ekstazy panną Aurelią.

Płomienie prymitywnej żądz trawiły jej duszę, puszczając z dymem zasady moralne, jedna za drugą, po kolei, bez wyjątku. Kropla wody po czterdziestu dniach i nocach na pustyni nie kusiłaby równie skutecznie i nieodparcie, co ów wysłannik piekieł... Ten uśmiech! Te piękne, brązowe oczy w tej pociągłej, przystojnej twarzy! I ta smukła, lecz jakże męska sylwetka w czarnej koszuli i jeszcze czarniejszych spodniach... Panna Aurelia napawała się bliskością obiektu swych najskrytszych i najśmielszych marzeń, gdy wtem obiekt przemówił:

– Jak się pani miewa?

To wystarczyło. Z Lichotki mógłby wymaszerować pułk wojska z korowodem słoń, dla panny Bercikówny istniał tylko ten uśmiech, te oczy, ta twarz i tak dalej, i tak dalej, od czubka głowy po czubki butów. Próbując ukryć zmieszanie, zaintonowała pieśń:

– *Nie bój się miłości, która woła cię, fale morza rozstąpią się...*

– Aha... Ciekawe, doprawdy, ciekawe...

Za późno zorientowała się, że nie był to wybór zbyt fortunny, jak gdyby nic śpiewała dalej, gotowa przypomnieć sobie słowa *Międzynarodówki*, byle nie dać nic po sobie znać.

Konrad miał wielką ochotę usiąść na moment, pozwolić odpocząć obandażowanemu to tu, to tam ciału, lecz z drugiej strony narastający niepokój i zmieszanie kazały mu trwać na posterunku. Patrzył więc tylko, jak sękaty staruszek i pan Migło, a za nimi woniejący panicz i Kusy z siekierą w dłoni ganiają po parterze z pomieszczenia do pomieszczenia, pierwsi coraz bardziej rozzłoszczeni, drudzy zaś rozbawieni.

– *Oto się już głos rozchodzi: wstańcie, bracia, uspieni!* – piała tymczasem panna Aurelia. – *Zbawienie nasze nadchodzi, noc się w jasny dzień mieni.*

– Gdzie on jest?! – zapał histerycznie pan Żuber, tracąc w końcu cierpliwość. – Gdzieżeś go ukrył, przekłety bezbożniku?! Łapy precz, nierządniku babiloński, apage! Apage! – ledwo wyrwał się z czułych objęć Szczęsnego, który zgodnie ze swą nową rolą postanowił przytulić go do obnażonej piersi.

– Przepraszam, a o kim pan mówi? – Słodycz wręcz oblepiała słowa, które spłynęły z ust Konrada.

– *Precz odtąd dzieła niecnoty, wylęgnięte wśród ciemnoty, niech każdy z nas w przyszłości zbroję wdzieje światłości!*

– Milcz, Aurelio! To nie miejsce i pora na przyśpiewki! Wywieźliście anioła! – Żuber puknął Romańczuka sękatym paluchem w ramię. – Ukryliście gdzieś, byśmy go nie zabrali!

– Proszę mnie nie rozśmieszać, mam pęknięte zebra...

– A może pan go wcale nie ukrył? Może pan się go pozbył, co, panie Romańczuk? – Starzec obserwował go podejrzliwie spod półprzymkniętych powiek. – Wie pan, tak permanentnie? Może dlatego zabił pan tamte drzwi, tam, w kuchni, żebyśmy przypadkiem nie zeszli do piwnicy... żebyśmy nie znaleźli zwłok!

– Zwłok? – powtórzył mimowolnie Konrad. Reszta zresztą też powiedziała się sama, całkiem bez udziału jego woli, a już na pewno zdrowego rozsądku. – I czego jeszcze? Ośmiornicy giganta z talentem do wypieków?

Siekiera w rękach Szymona Kusego drgnęła niespokojnie.

– Nie, piwnica na pewno odpada – orzekł stanowczo działacz, zerkając w stronę kuchni. – Przecież Władzio mówił, że te drzwi były zabite już wtedy... Wieżyczka! – zapał niespodziewanie. – Tam jeszcze nie zaglądaliśmy!

Szczęśny spojrział uważnie na sapiącego, poczerwieniałego pana Migłę. Coś mu zaświtało głęboko pod wstrząśniętą i zmieszaną koafiurą, coś na kształt supernowej, myśli albo inszego skojarzenia...

– Władzio? Wtedy...? – zagaił ostrożnie działacza. – A kimże jest ów Władzio?

– Ach, mój kuzyn, dość daleki, ale w gruncie rzeczy dobry chłopiec. To on powiedział nam o kosmi...

– Panie Migło! Milcz pan lepiej i idź na tę wieżyczkę, sprawdzić, czy anioła tam przypadkiem nie ma!

By nie rozżłościć staruszka jeszcze bardziej, działacz w towarzystwie posapującego Kusego i jego siekiery wspięli się na wieżyczkę. Reszta czekała w napięciu.

Panicz tymczasem doznawał olśnienia w wersji *deluxe* – z fanfarami, blaskiem niebiańskim, pieniem chórów i wszelkimi możliwymi szykanami.

– Kondziu – szepnął konspiracyjnie – ja chyba wiem, skąd oni się tu wzięli.

– No?

– Ten Władzio... Pewnikiem to on się do nas włamał przed świętami.

Romańczuk zmarszczył brwi z niedowierzaniem.

– Jesteś pewien?

– Wziął Licho za kosmyka...

– Kosmitę... – odruchowo poprawił Konrad.

– ...kosmitę, takich rzeczy się nie zapomina. Zresztą kto inny by im doniósł, że w domu na odludziu mieszka prawdziwy anioł? Kusy? Marianna? Tylko ktoś obcy. Swoi potrafią trzymać język za zębami, robią to z dziada pradziada, od dobrych dwustu lat, już im w nawyk weszło, że się o Lichotce byle gdzie i byle komu nie mówi.

– No proszę... A jednak bywasz przydatny. – Konrad nie mógł wyjść ze zdumienia. – Teraz tylko się módlmy, żeby...

Modły, choć niedokończone, zostały rozpatrzone w trybie natychmiastowym.

– Nie ma go! – zawołał pan Migło ze szczytu schodów. – Wieżyczka jest pusta.

– Na pewno?

– Owszem, nie uwzględniając pralki oraz suszącego się na sznurku prania. Pościeli, mówiąc precyzyjnie. Satyna bawełniana, o ile się nie mylę, dość ciekawe wzornictwo...

– Las! Trzeba przeszukać las! Musimy sprowadzić tu Pumpernikla, on wytropi zbiega!

– Jamniki są chyba na lisy, nie anioły...?

Romańczuk, którego cierpliwość była już na wyczerpaniu, podobnie jak zbawienne działanie środków przeciwbólowych, postanowił zakończyć tę szopkę.

– Dobra, dosyć tego przedstawienia – rzekł twardo. – Wynoście się stąd, ale już. I żebym was więcej nie widział.

– Chyba nie sądzi pan, że to koniec?

– Tak, panie Żuber, tak właśnie sądzę. Niech was chociaż zobaczą kręcących się po okolicy, a będziecie mieć do czynienia z nieprzyjacielskim ostrzałem telewizyjnych kamer. Ma się te znajomości tu i tam.

– A o co zamierza nas pan przed tymi kamerami oskarżyć? O porwanie

anioła? – Staruszek zachichotał szyderczo, plując śliną na wszystkie strony.
– Jak pan widzi, panie Romańczuk, sięgnęliście po broń obosieczną.

– Cóż... Myślę, że zacznę od każących mocno wątpić w waszą poczytalność też, jakobym przetrzymywał i wykorzystywał jako tanią siłę roboczą prawdziwego anioła w równie prawdziwych bamboszkach, a potem zgrabnie przejdę do włamania, którego przed świętami dokonał niejaki Władzio, kuzyn Konstantego Migły, obecnego tu działacza. Świadek z pewnością rozpozna przestępcę.

– Świadek? Jaki znowu świadek?

– Mój nieżyciowy panicz – odparł Konrad, znów uśmiechnięty, lecz tym razem wyłącznie złowieszczo – lub, jak to pan określił, utrzymanek, domniemany szatanista i wielbiciel bicykli. Przyjrzałeś się Władziowi, prawda, mój drogi?

– Prawda, mój droższy.

– A potem wspólnie opowiemy panom z telewizji, oczywiście chlipiąc dyskretnie w chusteczkę, jak to nachodziliście nas wielokrotnie i nękaliście pod jakimś bzdurnym pretekstem, nawet wtedy, kiedy byłem dzień po wypadku. Nieładnie tak dyskryminować, oj, nieładnie... – westchnął. – Żegnam państwa. Drzwi macie za plecami.

– Słuchaj no pan...

W oczach Konrada błysnęła iście szatańska iskra.

– A Szymon ma nową siekierę, czy już wam ją pokazywał?

– Tośmy ich tyle widzieli. Dobra robota, panie Romańczuk.

Po tym, jak Konrad nagle opadł z sił i prawie przewrócił się w holu, pomogli mu dojść do sofy, a sami usiedli przy stole, czekając, aż Krakery zaparzy herbatę. Na szampana i inne trunki było jeszcze za wcześnie.

– Nie do mnie z tymi pochwałami, panie Kusy. To wyłącznie zasługa Szczęsnego.

– Aha... – Kusy sapnęła z konsternacją. – No, nieźle, całkiem nieźle. Mogło co prawda pójść lepiej...

– Dobra, dobra, niech się pan tak nie wysila – zaśmiał się Romańczuk. – Co za ulga, Licho uratowane... Ach, racja, gdzie ja mam głowę. Licho!

Wtedy rozległ się dziwny dźwięk, jakby puknięcie, a potem jednocześnie szelest i brzęk – i z czubka choinki, prosto na Konrada, spadł anioł. Już nie gipsowa ozdoba, niepozorna, zwyczajna, jaka jeszcze przez momentem tkwiła na czubku drzewka, lecz żywy, prawdziwy anioł, metr pięćdziesiąt

wzrostu, w mięciutkich różowych bamboszkach.

– Aleś się wkomponowało – wymruczał Kusy, drapiąc się po głowie. – No patrzcie państwo, tak się oburzało, tak fukało, a koniec końców samo się dało... ten tego, hy, hy... zatknąć.

– W słusznej sprawie, alleluja! – pisnęło, gramoląc się niezdarnie z powalonego na ziemię Konrada.

– Tak? A niby jakiej?

– No... no bo... bo ja chciałam popatrzeć...

– Zresztą piwnica była zbyt oczywista i taka... taka przyziemna. A gdzie by się człowiek prędzej aniołów spodziewał, jeśli nie na choince właśnie? – wyjaśnił zadowolony z własnej zmyślności panicz. – Przecież one nie istnieją...

– I tym sposobem zostałam aniołem upadłym! – stwierdziło rozpromienione Licho, pocierając stłuczony podczas upadku pośladek, i kichnęło donośnie.

– Może niezupełnie upadłym, ale z pewnością poobijanym – odparł Romańczuk i uśmiechnął się krzywo, bo właśnie pękło mu trzecie zebro.

3. Ujma na horrorze

Nie, nie, ja mam już tego powyżej uszu. On się musi stąd wynieść. Teraz. Zaraz. Natychmiast. Postanowiłem, żadnych dyskusji, skarg i zażaleń. Albo on, albo... Albo on. Zwariuję, jak rany Julek, ja tu po prostu zwariuję... No przecież to jakiś koszmar!

O ile pamięć nie płała mu figli, gdzieś pod rozwleczonymi z fantazją stosami wszelkiego autoramentu śmieci powinien kryć się salon. Jeszcze przed miesiącem, kiedy Konrad wyprowadzał się z powrotem na piętro, można tu było w dowolnej chwili usiąść, porozmawiać, ba, nawet wypić kawę bez obawy o własne zdrowie czy stan garderoby, lecz teraz... No cóż. Teraz wszystko wałało się wszędzie, pogniecione, porzucone w pośpiechu, okryte solidną warstwą kurzu, w którym jakieś nowe, nieznanie nauce formy życia właśnie wynalazły koło i myślały już o walucie. W powietrzu unosił się jeszcze niezbyt namolny, ale wyczuwalny zapach psujących się ogryzków i butwiejącego papieru. Wyświechtane stronice i świstki zalegały w każdym kącie razem z książkami, kłębkami wełny oraz włóczki. Z oparcia sofy sterczały drapieżnie zestawy drutów różnej grubości oraz igieł do haftowania, tworząc potencjalną pułapkę na pierwszą ofiarę, która się potknie i nadzieje, a ukończone metry kwadratowe szalików i poduszek piętrzyły się na podłodze pod oknem.

Podczas gdy Konrad i Szymon stali w drzwiach, wstrząśnięci i nieco zmieszani, zżerany ciekawością anioł kucnął z tyłu, przecisnął głowę między ich kolanami i z tej perspektywy podziwiał panujący w salonie Sajgon.

– Bałaganik, alleluja – pisnął wreszcie.

– Raczej burdel na kółkach. – Romańczuk zgrzytnął zębami. – Teraz już wiem, czemu nas tu od tygodnia nie wpuszczał. Czy on zawsze musi urządzać wnętrza w ten sposób? Nie może się przestawić na minimalizm, retro albo *feng shui*? Ciekawe, kto to teraz posprząta?

Światłość, jaka w ułamku sekundy rozlała się na pyzaty obliczu Licha, zdołałaby przyćmić eksplozję całego legionu supernowych.

– Dobra, cofam pytanie.

– To ja lecę po woreczki! – Popędziło ile sił w anielskich nogach do kuchni.

– I zmiotkę weź! – zawołał za nim Szymon, po czym zwrócił się do Konrada. – Znaczy co, eksmisja?

– Pewnie, że eksmisja. Co, już pan nie pamięta, do jakiego stanu ten

pajac doprowadził bibliotekę? I ile czasu nam zajęło jej odgruzowanie? To ma być salon, nie składnica makulatury czy odpadków organicznych. Zostały nam niecałe trzy godziny, gdzie niby się rozsiądziemy w tym bajzlu?

Korzystając z nieobecności tego pajaca, czyli nieszczęsnego panicza Szczęsnego, który od śniadania włóczył się po okolicznym lesie w poszukiwaniu natchnienia, domownicy szykowali mu podwieczorek-niespodziankę z okazji dwieście siedemnastych urodzin. Krakers kończył dekorować tort, Szymon Kusy właśnie przywiózł napoje, serpentyny czekały na rozwieszenie, a balony we frywolnych kształtach na nadmuchiwanie. Niespodziewany problem lokalowy wymagał jak najszybszego, zdecydowanego działania.

Szymon z iście intelektualną zadumą podrapał się po łysinie.

– No dobra, ale gdzie chcesz go pan wepchnąć?

– A żebym to ja wiedział...

Za ich plecami rozległ się rytmiczny łoskot. Gotowe do porządków Licho biegło korytarzem, ciągnąc za sobą odkurzacz. Drugą ręką przyciskało do piersi szmatki, zmiotkę, paczkę worków na śmieci oraz przeróżne spraye do czyszczenia wszelkich możliwych powierzchni.

– Nie dałam rady zabrać mopa i wiaderka z wodą – wyjaśniło przepaszającym tonem.

– Nic nie szkodzi, zaraz ci przyniosę. Zdążysz, powiedzmy, w godzinę?

Anioł spojrział na Konrada z politowaniem i kichnął. Dwukrotnie.

– No tak, kolejne głupie pytanie... Baw się dobrze.

Nie musiał powtarzać. W okamgnieniu i bez wahania jednoosobowe komando sprzątające ruszyło do ataku z podniosłą pieśnią na ustach, a za nim poleciało pierze.

– Dobra, panie Romańczuk, ale co z tą eksmisją?

– A co ma być? – odpowiedział w zamyśleniu, bardzo uważnie przyglądając się nabierającemu rozpędu aniołowi, który z euforią szalał wśród śmieci i kurzu, i zastanawiając, czy aby nie zacząć się już martwić tym nadmiernym pedantyzmem.

– No właśnie – z niezwykłą precyzją i elokwencją wyjaśnił Kusy. – Lichotka nie jest z gumy, tylko cegły i drewna, się nie weźmie i nie rozciągnie, a wolnych pokojów już nie ma. Gdzie go pan chcesz wepchnąć, do kuchni? Bo jakoś mi się nie wydaje, żebyś się pan własnym łóżkiem podzielił, nie?

Konradem aż zatrzęsło na samą myśl o waletowaniu ze Szczęsnym w tym samym gotyckim łożyszczu – owszem, wielkim, przepastnym wręcz, ale nie

aż tak, żeby dało się w nim wytrzymać we dwóch przez najkrótszą nawet noc, o coraz dłuższych dniach nie wspominając.

– Ale chwila... – kurczowo uczeplił się nieśmiałej myśli, która przyszła mu nagle do głowy. – Czym ja się w ogóle przejmuję, przecież to jest widmo. Byt, jakkolwiek by patrzeć, przynajmniej od czasu do czasu bezcielesny, na co mu w ogóle pokój? Co on, nie może się w piwnicy zagnieździć? Nie znam się na nawiedzeniach, horrorów nie czytam ani nie oglądam, ale zwykle widma mieszkają chyba właśnie w piwnicach... o, albo na strychach, prawda? I jakoś nie narzekają na warunki lokalowe.

Kusy zbladł.

– W piwnicy urzęduje Krakers i lepiej mu jaśnie panicza na głowę nie zwałać, bo to się jeszcze jakimś kulturystycznym zamieszanym na skalę zaświatową skończy. Ja się w żadne podejrzone praktyki mieszać nie zamierzam, co to, to nie, z głowy to pan sobie wybij, panie Romańczuk! – pogroził mu paluchem. – Ja człowiek wierzący jestem, może niezbyt głęboko, ale jednak, swoje lata mam, w biodrze mi już strzyka i żadnych kulturyzmów uprawiać nie będę!

Omówienie wcale nie tak drobnych różnic między okultyzmem a kulturystyką pochłonięło ich bez reszty, Licho w najlepsze szalało z detergentami, czyszcząc i nabłyszczając wszystko w zasięgu ręki i nikt nie zauważył, że na zewnątrz już dawno zapadł zmrok szczerze podlewany deszczem, a solenizanta wciąż ani widu, ani słyhu.

Nie żeby ktoś z tego powodu miał narzekać.

– Oto mój żywioł, ta ciemność ponura – wymamrotał Szczęsny, niezdarnie gramoląc się z chaszcy. Kilkugodzinne posiedzenie na własnym nagrobku pozwoliło mu znaleźć natchnienie, czyli innymi słowy, osiągnąć poziom zdrętwienia i ogólnego cierpiętnictwa niezbędnego, by stworzyć kolejny poemat o wielkiej miłości, jeszcze większym nieszczęściu i największych, najwznioślejszych ideałach sięgających bruku mieszczańskiej obłudy. Cierpiętnictwo to jednakże okazało się mieć również pewne nieprzewidziane skutki uboczne. Przemoczony na wylot, wręcz nasiąknięty wodą i zziębnięty Szczęsny nie czuł własnych pośladków ani ud, a przecież powinien, wszak od czasu przybycia Konrada z materializacją problemów już nie miał. Frak był może elegancki, ale z pewnością nie nadawał się na długie wieczorne spacerunki po cmentarzach pod wyjątkowo deszczowy koniec lutego. Koronkowe mankiety koszuli nie przetrwały

bliskiego spotkania z przyrodą, utyłane w błocie spodnie kleiły się do nóg, w butach chlupotała woda, przy każdym kroku tryskając małymi fontannami spomiędzy palców.

– Za grosz romantyzmu... Jakież to obrzydliwie przyziemne! – Zgrabiałymi dłońmi Szczęsny wyszarpnął z kieszeni chusteczkę, wykręcił i z impetem wydmuchał pełen kataru, lodowaty nos, rozglądając się naokoło w poszukiwaniu choćby najmniejszego światełka, które doprowadziłoby go z powrotem do Lichotki. Poszukiwanie natchnienia na łonie przyrody to jedno, a zapalenie płuc drugie. Nawet ucieleśnione widma z maniakalną skłonnością do kontemplacji nie lubiły snuć się nocą po lesie, kiedy temperatura szybko zbliżała się do zera, a woda hurtem lała z nieba.



Brnąc w błocie po kostki lub, dla odmiany, ślizgając się na podstępnie ukrytym na dnie kałuż lodzie i nadziewając na wystające zewsząd gałęzie, panicz przedzierał się przez las. Za przewodnika miał tylko wyjątkowo mgliste przecucie, że „do domu to chyba w tę stronę”, i już był skłonny mu wierzyć, gdy nagle grunt się skończył, ciemność zawirowała i Szczęsny wylądował w pełnym brudnej wody rowie.

– Już do otchłani myśl moja należy... – zbulgotał. Wbijając palce w rozmięktą ziemię, od stóp do głów cały w błocie, jakoś wypełznął na

szosę i powlókł się do mającego w oddali skrzyżowania na Lichotkę, jeszcze bardziej nieszczęsny i przygnębiony niż zwykle.

– Jak to jest, co to znaczy, że jest, jakim cudem jest, skoro jeszcze przed chwilą nie było, skoro...

– Panie Romańczuk, pan się tak nie stresuj, bo jeszcze panu żyłka w du... no, wiadomo gdzie pęknie – przerwał mu przeraźliwym szeptem Kusy. – Weź się pan stuknij w ten poobijany łeb. Chcesz pan, żeby usłyszało? Żeby mu się przykro zrobiło czy co?

Jak jeden mąż wygięli się pod dziwnym kątem, by zerknąć dyskretnie przez korytarz do salonu, gdzie Licho w najlepsze hałasowało odkurzaczem, przemocą wyciągając ostatnie koty kurzu spod mebli.

– Miałeś pan problem, gdzie wcisnąć Szczęsnego? No to proszę, już po problemie. Wstawi się jakieś łóżko i stolik, lampę powiesi i pokój jak ta lala. Ciasny, ale własny, a pan już nie musisz się dzielić własną sypialnią.

Konrad na moment ukrył twarz w dłoniach i parę razy głęboko odetchnął. To była jedna z tych chwil, kiedy życie w Lichotce wydawało się ponad jego skromne siły miejskiego intelektualisty. Brakuje pokoju? Proszę bardzo, mówisz – masz, oto jest, wcisnięty między kuchnię, schowek a schody na piętro. Może niezbyt wielki, z klaustrofobicznie niskim sufitem i bez okna, ale dla widma w sam raz. Przyzwyczajony do podobnych cudów Krakera już wsuwał do środka macki, w jednej trzymając zmiotkę, w drugiej szufelkę, a w trzeciej zapaloną świeczkę zapachową.

– Ja naprawdę, ale to naprawdę nie chciałbym się pewnego dnia obudzić i odkryć, że w domu przybyło wieżyczek albo pięter...

– Wspomnisz pan moje słowa, panie Romańczuk. – Starszy mężczyzna zaśmiał się jowialnie. – Jeszcze będziesz pan o tych dodatkowych metrach marzył, jak się panu dzieci rodzić zaczną.

– Dziękuję, nie skorzystam – odwarknął najeżony Konrad. – Nie planuję rozsiewać materiału genetycznego, mam ciekawsze sprawy na głowie.

– No przecież nie głową pan ten materiał będziesz rozsiewał, nie? I przestań pan wreszcie marudzić. Licho zrobiło to, co do niego należało, rozwiązało problem, żeby wszystkim domownikom żyło się lepiej. Taka już jego rola, od początku to powtarzałem. Aniołostróżyje profesjonalnie. A pan co? Kiedy pan wreszcie zrozumiesz, że życie nie zawsze musi się składać z samych problemów?

Konrad bardzo chętnie by o tym podyskutował, lecz w mgnieniu oka

został zagoniony do roboty, ponieważ Licho wreszcie skończyło porządki i razem wzięli się do szykowania dekoracji, świątecznej wyżerki i wykańczania nieplanowanego prezentu. W przybudówce znalazło się składane łóżko ze sprężynami, dość wygodne, w dobrym stanie i tylko trochę wystające z pokoju na korytarz, a także przykręcany do ściany blat i stary kinkiet. Nadęte baloniki zawisły w salonie pod sufitem w towarzystwie oślepiąco kolorowych serpentyn, stając się obiektem żywego zainteresowania Zmory i Rudolfa Valentino, gorących wielbicieli przedmiotów papierowych. Na koniec na stół w salonie wjechał kompot wiśniowy i przeraźliwie słodki tort czekoladowy, na którego widok anioł dostał ślinotoku, a mężczyznom poziom cukru podskoczył dwukrotnie. Pomysł zapalenia dwustu siedemnastu świeczek szybko został odrzucony jako graniczący z piromanią, dlatego postanowili poprzestać na jednej, symbolicznej i znacznie bezpieczniejszej dla otoczenia, choć dziwnie przypominającej gromnicę.

Świeczka zapłonęła, świeżo nalana oranżada wesoło szumiała w szklankach ulatującymi bąbelkami gazu i Licho już miało zapiać *Trzysta lat*, kiedy Konrad dokonał wiekopomnego odkrycia:

– Solenizant nam się chyba zapodział.

Dokładnie w tym samym momencie na progu stanął potwór z bagien.

Licho wrzasnęło i dało nura pod stół, zrzucając sztucce na podłogę; Zmora wydała z siebie przeraźliwy skrzek i w ułamku sekundy znalazła się w najbezpieczniejszym znanym sobie miejscu, czyli na głowie Konrada, wbijając pazurki w co popadnie; pod Kusym ugięły się nogi, opadł ciężko na krzesło, mamrocząc pod nosem przekleństwa – i tylko wściekle różowy królik nie zwrócił uwagi na przybysza, wciąż skupiony na zwisających tuż nad nim, pysznych serpentynach.

– Zbłądziłem pośród wzburzonych żywiołów, podążając za głosem poetyckiego natchnienia – oznajmił potwór i jak gdyby nigdy nic sięgnął po oranżadę. – Ależ mnie suszy...

– Głos poetyckiego natchnienia kazał ci wziąć kąpiel błotną? – zainteresował się Konrad, z sykiem odrywając kocicę od twarzy. – Przepraszam, mogłabyś od czasu do czasu spiłować pazury? Albo chociaż obgryźć?

– Zazdrosna o rozkosze bujania w poetyckich niebiosach przyziemność rzuciła się na mą duszę, by rozerwać ją na strzępy i skalać swym brudem.

– Wpadłeś do rowu?

– Też. I odczuwam nieodpartą chęć oczyszczenia.

– Ale nie kulturystycznego? – zapytał Kusy lekko zachrypłym z wrażenia głosem.

– Jak mniemam, gorący prysznic wystarczy.

Zdrapanie kilku warstw zaskorupiałego błota oraz rozplątanie skomplikowanej kompozycji z badyli i brudnych pukli zajęło mu sporo czasu. Wreszcie wyłonił się z łazienki w kłębach pachnącej migdałami pary i w turbanie z ręcznika na głowie przedefilował korytarzem do salonu, zostawiając mokre ślady stóp na parkiecie. Nieco ogłuszony radosnym *Trzysta lat, trzysta lat, apsik, niech nie żyje, nie żyje nam* w wykonaniu Licha wznosił toast odgazowaną oranżadą, pochłoniął za jednym zamachem dwa kawałki tortu i w towarzystwie domowych sierściuchów popędził ochać i achąć z zachwytu w swej nowej sypialence.

Szymon walczył z ostatnią porcją czekoladowej arcysłodkości, czekając, aż anioł pozbiera naczynia i pójdzie pozmywać.

– To co, panie Romańczuk, po kielonku na tę okoliczność? – Mrugnął szelmowsko. – W spizarni stoi jeszcze butelczyna nalewki, którą tymi rękami...

– O nie, żadnych kielonków. Pan prowadzi – przypomniał mu bezlitośnie Konrad i po chwili uśmiechnął się nad wyraz złośliwie. – Chociaż... sofa w salonie znów jest wolna i jeśli tylko przełamie pan strach przed ucieleśnionym Szczęsnym...

Pełnym namaszczenia gestem Szymon Kusy odłożył widelec na umazany czekoladą talerzyk i założył ręce na szerokiej piersi.

– Panie Romańczuk, czy to wyzwanie?

– Ależ skąd, jedynie skromna prowokacja.

Kielonków na tę okoliczność koniec końców było o wiele więcej niż jeden, panowie stracili rachubę, ale że trunek nie należał do mocnych i dość szybko się skończył, starszy pan zaległ na zwolnionej sofie, młodszy zaś spokojnie wdrapał się na piętro i tuż przed dziesiątą w domu zapadła błoga cisza.

Cisza, którą grubo po północy brutalnie przerwał śpiew równie fałszywy, co donośny i bez wątpienia pijacki. Dobiegał z zewnątrz, mniej więcej z poziomu piętra.

– *Szteery stooonie, sielone sło... poszekaj, jak to szło... nie-e, kaszdy ku... ku... ku... kukaaardkę ma na ogooonie. Ten py-zaaaty, ten pryszszaaaty...*

– Smarkaty! – zaprotestował dźwięczniejszy głosik, nieco trzeźwiejszy i jakby niżej umiejscowiony.

– Liszko, kl... kl... klnę się na własny nagrobek, f szyciu nie widziałem

smarkatego słonia, a szyję... to jest nie szyję jusz dwieszszsz... dwieśśś... dwieśśśsie... hik...! długo.

– Ale one mają takie dłuugieeee, dłuugieeee...

– No, mają. I takie... hik...! zajedwabiste futerko... *Ten pyzaaaty, ten smarkaaaty, ko-cha-ją się jak wa-ria-ty!*

Konrad wyplątał się z pościeli i usiadł na brzegu łóżka, walcząc z podsuwaną przez podświadomość wizją śpiewających zielonych słoni z zajedwabistym futerkiem. Uchylił okno i wyjrzał na zewnątrz.

Najpierw uznał, że ciągle śni, że z rosnącego obok domu drzewa nic, ale to nic nie zwisa ani nie macha do niego wesoło dzierżącą butelkę ręką.

Potem to nic ryknęło na całe gardło:

– Kooondziuuu...! Choś, Kondziu, choś do nas, naj-droszszsz... szszsz... y-y, nos jeszcze taka młoda i jusz wcale nie pada! Ras się szyje, Kondziu, choś!

Romańczuk musiał w końcu uwierzyć własnym oczom i uszom, choć bardzo, ale to bardzo nie miał na to ochoty. Spomiędzy gołych gałęzi zwisał panicz, narąbany jak stodoła, a pod drzewem siedział zalany w pesteczkę, nie do końca obecny na tym świecie anioł z królikiem w objęciach. Różowe futerko pochrapującego jak gdyby nigdy nic zwierzaka zdawało się świecić w ciemnościach. Całości dopełniały utopce, ochoczo płasające własną, bardzo dowolną interpretację *Singin' in the Rain*. Gene Kelly rażno przewracał się w grobie.

– Kooondziuuu! Chooóś!

– A żebyś wiedział, że się do ciebie wybieram – syknął i chwyciwszy szlafrok, pognął na dół, po drodze zgarniając Szymona w samych gatkach i podkoszulku.

Ululane Licho uśmiechnęło się na ich widok od ucha do ucha.

– Słosiutki soszek. – Czknęło. – I alleluja.

Kusy pociągnął fachowo nosem.

– Chyba wytrąbili całą wiśniówkę. No pięknie, narąbany anioł stróż. Tego tu jeszcze nie grali. – Podrapał się po wyglądającej spośród bielizny oponce. – Wiedziałem, po prostu wiedziałem, że to całe noclegowanie w Lichotce skończy się jakąś awanturą. Ja pitolę, ale zimno... Jak to upiorzysko zacnie jeszcze gadać poezją, nie ręczę za siebie. No, jak tam? – poklepał Licho po pyzatyj policzku.

– Jessst dopsie – odparło z radosną stanowczością. – Tylko troszku rzuca na zakrętach.

– Ach tak... No to czeka nas ciężki poranek.

- Kondziu, spójsz, spójsz na te gwizdy! Śliszne!
- Ja ci zaraz dam gwizdy, złaż z tego drzewa, słyszysz? Szczęśny, w tej chwili złaż na ziemię!
- Alesz Kondziu, czemu ty kszyszysz? Czysze jest ksz... hik... yk wobec miłosnego festchnienia, co duszę... co duszę... nie wiem, co duszę...
- Mam gdzieś te twoje westchnienia, duszenie i inne pierdoły, złazisz czy nie?!
- Ach! Hik... jaksze mam nie fstychać, kiedy w smutku tonę? Ups... – Pusta butelka wyślizgnęła się z dłoni panicza i z cichym pluskiem spoczęła w odmętach kałuży.
- Nie, on znowu zaczyna, panie Romańczuk, weźże pan coś z nim zrób, bo nie zdzierzę i jak wezmę siekierę...
- ...kiedy nocne minuty łzami pszeliczone! Tyś mój pszyjaciel, Kondziu, pszyjaciel jedyny, Kondziu, ja ciebie ko... hik... cham!
- Zamknij się wreszcie! – ryknął Romańczuk, budząc królika i Licho, które na moment przysnęło. – No i co pan tak stoisz, przecież on sam z tego drzewa nie zlezie. Leć pan po drabinę! Błagam, chociaż ty siedź spokojnie – zwrócił się nieco spokojniej do anioła, który próbował wstać, na razie bez większych sukcesów.
- A... a pośpiewasz mi o słońiach? – pisnęło Licho, posłusznie siadając w największej kałuży. – Sielonych?
- Nawet o różowych w błękitne ciapki, tylko się nie ruszaj, zrozumiałoś?
- Dopsie, dopsie... To ja... to ja pokicham.
- Po wielu próbach i jednym lądowaniu w błocie udało im się ustawić drabinę na rozmięklej ziemi. Dygoczący z zimna i wściekłości Romańczuk wspiął się aż na ostatni szczebel, złapał panicza za kudły i zaczął ściągać z drzewa, klnąc przy tym koszmarnie, acz monotonnie.
- Kondziuuu... – wymruczał mu wprost do ucha Szczęśny, który z fazy euforycznych wyznań przeszedł już w tempie przyspieszonym do fazy kiełkującego bólu istnienia.
- Co znowu?
- Ja... ja chyba będę szygał...
- Że jak?
- Szygał będę... ale i tak cię Kocham.
- Królik fuknął pogardliwie i pokicał do domu.

Zgodnie z przepowiednią Szymona poranek był ciężki dla wszystkich

domowników, choć dla niektórych bardziej. Znacznie bardziej.

Otumanione nazbyt żywymi wspomnieniami dnia poprzedniego Licho zwinęło się w kłębuszek pod kuchennym stołem, pokichując żałościwie, podczas gdy wielka macka głaskała je po pleckach i podsuwała kolejne kubki gorącej herbaty. Z kolei Szczęsny, który na wpół siedział na krześle, na wpół leżał na kwiecistym blacie, raz po raz wzdychał chrapliwie. Zdarte nocnymi śpiewami gardło dawało mu się we znaki nie gorzej niż głowa i żołądek.

– No proszę, ucieleśnione całodobowe widmo na ciężkim kacu. Jednak jest sprawiedliwość na tym świecie – stwierdził z satysfakcją Szymon, pochłaniając jajecznicę na boczku i obficie popychając chlebem.

– Na akwarycznych bogów, niechże pan ciszej przeżuwa... Ja cierpię...

– Cierp, bratku, cierp za miliony – zarechotał. – Będziesz miał o czym wierszem pitolić przez następny miesiąc.

– Jam niewinien...

– Winien jak cholera. Urznąłeś mi anioła, rozczochrańcu. – Konrad jeszcze przed pierwszą kawą, z podkrążonymi, przekrwionymi oczyma i zestawem świeżych strupków na bladej twarzy wyglądał bardziej upiornie niż skacowane widmo dogorywające na stole. Ale fryzurę na pewno miał lepszą, co wcale nie było takie trudne. Wystarczyło nie wyglądać jak ktoś, kogo właśnie niebiosy piorunem strzeliły i dla pewności poprawiły solidnym gradobiciem. – Obudziłem się z tym pod pachą. – Pomachał trzymanym za różowe uszy Rudolfem Valentino, któremu pozycja bezwładnego zwisu ani trochę nie przeszkadzała. – Proszę temu wytłumaczyć raz na zawsze, że nie jest tam mile widziane.

Wolną od pocieszania macką pradawny stwór najpierw zarekwirował królika, po czym przytknął ekspresem, pogrzebał w lodówce i wziął się do szykowania lżej strawnej wersji śniadania, którym wykańczał się Kusy, a Konrad z pełną mściwości premedytacją zaczął się tłuc po kuchni, trzaskać, tupać i brzęczeć, szukając kubka najwłaściwszego do porannej kawy. Albo filiżanki. I łyżeczki. I spodeczka, rzecz jasna. Skacowane istoty nadprzyrodzone, świadome, że właśnie ponoszą coś w rodzaju kary, znosiły ten koncert na sprzęt kuchenny i umeblowanie z wielkim samozaparciem, usiłując nie pojękiwać zbyt często.

– Urznąłeś mi anioła – powtórzył Konrad, starając się mieszać kawę tak głośno, jak tylko się dało. Aż żałował, że nie może użyć miksera, najlepiej takiego starego, zgrzytającego i wyjącego gorzej niż stara maszyna drukarska na pełnym biegu. – Mojego osobistego anioła moją osobistą

wiśniówką na moim osobistym drzewie przed moim osobistym domem.

– Pragnęliśmy uczcić okoliczność – wycharczało widmo i drżącą dłonią chwyciło szklanę z resztką wody. – Moją osobistą.

– Trzeba było poprzestać na torcie, główka by dziś nie bolała. Bo boli, prawda, Licho?

– Ojoj, alleluja... – dobiegło spod stołu.

– I bardzo dobrze. Krakers, rzuć no masłem.

Wyjątkowo hałaśliwe śniadanie upłynęło pod znakiem rozlicznych wyrafinowanych tortur, które obaj mężczyźni z lubością i pełnym okrucieństwem serwowali z trudem zmartwychwstającym imprezowiczom. Przez okno zaglądały utopce, spragnione ciągu dalszego lub chociaż powtórki nocnych atrakcji. Ich utyłane w szlamie dłonie wymalowały na szybie mozaikę oślizgłych śladów, co jeszcze bardziej dobiło i tak nieszczęśliwe Licho. Nie miało sił, by wyczołgać się spod stołu, a co dopiero wypucować szyby do połysku.

Wtedy leżący na szafce telefon rozdarł się na całego.

– Litości! – zawył panicz, zlatując z krzesła.

Świdrujący dźwięk z każdą sekundą narastał, wibrująca komórka z terkotem podskakiwała na drewnianym blacie. Konrad odczekał jeszcze parę sygnałów i zerknął na wyświetlacz. Nieznacznie zmarszczył brwi.

– Praca?

– Gorzej. Moja osobista wampirzyca. – Westchnął niczym skazaniec na widok lśniącego ostrza gilotyny i sięgnął po podrygującą komórkę. – Ja ciebie słucham.

Pomrukując „aha” na przemian z „uhm”, powędrował na schody, gdzie wszyscy go widzieli, ale nikt nie słyszał. Rudolf, wciąż spragniony bliskości, potuptał za nim.

– Osobisty anioł stróż, widmo, pradawny stwór ciemności, różowy królik, a teraz jeszcze wampirzyca do kompletu. Ten to ma... – Kusy pokiwał głową.

– Szcześnie? – Anioł wyjrzał spod stołu, mrużąc przekrwione oczka.

– Przepiórkowane. Ani chybi jakaś babeczka się na niego czai, a jemu to nie w smak.

– Nie rozumiem, alleluja. Czemu?

Kusy dopił herbatę, przetarł usta grzbietem dłoni, a potem się zamyślił.

– Licho, ile kobiet dostało tu dożywocie?

– Ani jedna.

– A ilu dożywoćników miało rodziny?

– Ani jeden.

– A czy choć jeden z nich miał na karku mniej niż pięćdziesiątkę?

Pokręciło głową.

– Ciekawe... Zbieg okoliczności czy jak...? Czyli przez ponad dwieście lat mieszkali tu samotni mężczyźni nie pierwszej młodości?

– Apsik.

– No to nic dziwnego, że nie rozumiesz, alleluja. Tfu, co ja gadam... Widzisz, każdemu chłopu trzeba baby, choćby tak dla zdrowotności. Niby się taki kryguje, że on nie, że na co mu baba, jemu najlepiej w pojedynkę, a baba to tylko kłopoty. Rozumiesz? Mus wewnętrzny taki, żeby się trochę przed babą bronić, ale prędzej czy później sobie jakąś znajduje i nim się obejrzy, już się bierze do... no... rozsiewania. I nagle dochodzi do wniosku, że z tą rodziną to wcale nie był taki zły pomysł. Albo dalej się sam po świecie tuła i w końcu dziwacznie, albo robi coś głupiego. Popatrz na Szczęsnego, kiełbie we łbie, romantyk z bożej łaski, tfu. Zero pożytku z takiego chłopca.

– Jestem twórczy! – zaprotestował panicz, wyjątkowo słabo i jakoś bez przekonania.

– Jesteś truteń i pajac, o! Właściwa kobieta raz-dwa by ci znalazła sens życia, tylko żeś sobie w łeb strzelił przy pierwszej okazji i przepadło. A Romańczuk... – Pokiwał głową. – Powoli kończy mu się gwarancja, najwyższy czas, żeby sobie kogoś znalazł, ożenił się, dzieci dorobił. Wtedy by mu te głupoty o powrocie do miasta całkiem z głowy wywietrzały. Bo człowiek z rodziną to zupełnie inaczej patrzy na życie, już nie myśli tylko „ja” i „ja”. Szuka spokoju, rozumiesz, bezpiecznej przystani, żeby w niej osiaść raz a dobrze, zapuścić głęboko korzenie...

– Korzenie...? – Markotne Licho wdrapało się na taboret i w zamyśleniu zaczęło sączyć podane przez Krakersa mleko.

Konrad wrócił do kuchni i zamaszystym gestem wręczył Kusemu namolnego królika.

– ...i rozumiem, że to tylko trzy dni, ale nie mogę ot tak sobie wyjechać, mam tu obowiązki. Co? Jakie obowiązki? – Anioł i wielokrotny samobójca, owinięci przez wielką mackę, przyglądali mu się z zainteresowaniem, czekając, co odpowie. Odstawił kubek do zlewu i oparł się o szafkę. – Specyficzne. Nie, wcale nie musisz wiedzieć. Co...? Bo to nie twoja sprawa i już. Tak, wiem, troszczysz się o moją przyszłość, ale ja też muszę... – Przewrócił oczyma i odsunął telefon od twarzy. – Panie Kusy, czy mógłby pan... przejąć moje obowiązki na trzy, cztery dni? Wychodzi na to, że nie

mam innego wyjścia, muszę wyjechać. Zostawię komórkę... no i pochowam pozostałe flaszki – rzucił winowajcom wielce znaczące spojrzenie.

Mężczyzna tylko pokiwał głową, Konrad odkiwał w niemym podziękowaniu.

– Dobra, możesz przestać trajkotać. Będę. – Rozłączył się bez pożegnania.

– Ja ją kiedyś zaduszę...

– Panna, co? – Brwi Kusego rozpoczęły pełną podtekstów gimnastykę.

– Skorpion, o ile kojarzę, wyjątkowo jadowity egzemplarz. Nie, panie Kusy, nie panna – wyjaśnił, widząc całkowity brak reakcji na sarkazm. – Wampirzyca, pijawka, koszmar wcielony, potwór, poganiacz niewolników, czyli moja agentka. Jakimś sposobem wcisnęła mnie na miejsce innego autora, który w ostatniej chwili musiał odwołać przyjazd, i ustawiła mi parę spotkań autorskich na jakichś tam arcyważnych targach książki w przyszłym tygodniu – parsknął. – Mam się promować, czyli robić za pseudointelektualnego błazna ku uciechu gawiedzi, przy okazji może jakimś cudem zwracając czyjąś uwagę na fakt, że napisałem książkę. Ale najpierw coś sobie z wami wyjaśnię, pijaczka. I z tobą też, potencjalny paszteciku – przytknął Rudolfa Valentino w nos.

A Rudolf Valentino z całej siły dziabnął go w palec.

Burza, jaka się rozpętała, w ułamku sekundy wymiotła obie ofiary kaca z kuchni. W ślad za nimi podążył Kusy, chichocząc radośnie z ich udręki. Romańczuk został sam z krwawiącym palcem. Plując jadem i inwektywami pod adresem schowanego pod stołem królika, a także jego licznych krewnych i znajomych, odłożył komórkę i zaczął przetrząsać jedną z szafek w poszukiwaniu wody utlenionej i plastra. Jak na złość, zostały same różowe.

W następny czwartek pogrążony w chmurnych myślach Konrad Romańczuk bez słowa zapakował się do tico i odjechał, zanim z mglistej, deszczowej szarówki wyłonił się kolejny bury dzień. Zaspany anioł, wciąż w pizamie i bamboszkach, stał na werandzie i przez mokre szyby patrzył, jak tylne światła samochodu oddalają się coraz bardziej, kolebiąc się na błotnistej drodze, by zniknąć za pierwszym zakrętem.

Nieskazitelną duszę Licha rozsadały wielkie emocje. W dodatku burczało mu w brzuchu, poczłapało więc do kuchni, posmutniałe i równie mocno spragnione pożywienia, co towarzystwa.

Panicz wciąż spał, zagrzebany głęboko w pościeli, z bosymi stopami

wystającymi na korytarz. Zresztą i tak nie był zbyt dobrym pocieszycielem, bo zwykle sam wymagał intensywnego wsparcia, ale Krakers już przeciągał macki, wydając z siebie różne pomruki i gulgoty.

– Pojechał – poinformowało potwora i przycupnęło na podłodze obok klapki. Kichnęło smętnie, a potem wyrwało sobie ze skrzydła piórko, które już za bardzo odrosło. – Nawet się z nami nie pożegnał. Tak całkiem sam, samiuteńki, do miasta. To daleko, wiesz?

Wielka macka owinęła się wokół torsu anioła, delikatnie uniosła w powietrze i usadowiła go obok zlewu, a następnie wręczyła kubek zimnego mleka i ciasteczko z kawałkami czekolady.

– ...uję. To daleko, droga dziurawa, no i jeszcze ten deszcz, alleluja. – Wzięło łyk mleka i mówiło dalej, z białymi wąsami nad górną wargą. – I tak szaro, nijako, słońce ciągle za chmurami... To nie jest dobry dzień na dalekie podróże, a on tylko wypił kawę, nic nie zjadł. Nie chciał nawet bułeczki z dżemem, a przecież to jego ulubiony, alleluja, malinowy. Jak myślisz, długo będzie jechał?

Krakers co prawda był czymś w rodzaju przerośniętej ośmiornicy mieszkającej w piwnicy i robiącej za gospodynię domową, a nie psychoanalitykiem z zestawem imponujących dyplomów na ścianie gabinetu, ale swój rozum miał. Potrafił poznać, kiedy pod natłokiem słów kryło się poczucie zagubienia, dlatego słuchał cierpliwie, od czasu do czasu coś mrużąc, klepiąc anioła pocieszająco i wciskając mu smakowite słodkości. A w międzyczasie zagniatał ciasto. Jego zdaniem nic tak nie pomagało w ataku późnozimowej melancholii jak solidna porcja placka z wiśniami oraz ciepłe kakao.

Zaś napchane po same uszy Licho czuło się coraz mizerniej, aż mu skrzydełka oklapły.

Choć za nic w świecie nie przyznałoby tego głośno, w głębi swej anielskiej duszy czuło, że przez te wszystkie miesiące, jakie minęły od jego przybycia do gotyckiego domu, Konrad wcale nie szukał z nim prawdziwej bliskości, tylko uparcie trzymał się na dystans, na wyciągnięcie ręki – niby blisko, a jednak zbyt daleko. Jakby Lichotka była dla niego zaledwie przystankiem, a nie ostatecznym celem podróży. Jakby lada moment zamierzał ruszyć dalej.

Niewiele brakowało, by oddał je tamtym obcym, w ostatniej chwili zmienił zdanie. Bez przerwy złościł się na Szczęsnego, unikał utopców, nie chciał grać w bierki z Krakerssem. Z samym Lichem też nie spędzał zbyt wiele czasu, zwykle zasłaniając się pracą, a jeśli nawet poświęcił mu chwilę,

to nigdy nie mówił o sobie, o swoim życiu przed Lichotką. Kiedy go o to pytało, zaciskał zęby, pochmurniał i szybko zmieniał temat. A teraz się okazało, że po cichu ciągle się zastanawiał, czy jednak nie wrócić do miasta... Tak mówił Kusy, a Kusy zawsze wiedział, co mówi, więc jeśli tak mówił, to znaczy, że tak było. Konrad naprawdę chciał odejść.

Licho zadrżało od czubka celofanowej fryzurki po koniuszki różowych bamboszków. Jeszcze nigdy żaden dożywotnik nie był z nimi nieszczęśliwy, jeszcze żaden nie odszedł, żeby szukać szczęścia gdzieś indziej. Wszyscy kochali Licho, a ono kochało ich. Co się z nim teraz stanie? Czy zniknie, tak jak Szczęsny? Na chwilę? Na zawsze? Bo w końcu czym jest anioł stróż, jeśli nie ma komu stróżować?

I czy jemu też skończą się paluszki...?

– Korzenie... – wymamrotało z kolejnym ciasteczkiem w ustach, prychnając okruszkami i patrząc na swoje pulchne łapki. Nagle w głowie zaświtała mu maleńka, lecz bardzo żywotna iskierka.

Żeby się zadomowić, zapuścić korzenie w Lichotce, Konrad najpierw musi się rozsiać. Anioł nie do końca pojmował, o co z tym rozsiewaniem chodzi, ze słów Szymona wynikało jednak niezbicie, że niezbędnym elementem tego tajemniczego czegoś była baba. Kobieta. Nie byle jaka, pierwsza lepsza kobieta. Żona.

Do obudzenia Szczęsnego potrzeba było sporo inwencji i wytrwałości, widmo miało bowiem sen kamienny, by nie rzec grobowy, jednak w obliczu erupcji entuzjazmu anioła nawet śmierć musiała ustąpić.

– Szczęsny! Szczęsny! Zbudź się, alleluja! Szczęsny, skąd się biorą żony?

– C...co?

– Żony! No wiesz, takie do rozsiewania, skąd się je bierze?

Rozczochrana głowa wyłoniła się z odmętów pościeli.

– A na co komu żona? – Panicz łypnął podejrzliwie. – Gdzie się obróć, wszyscy płaczą żony... Cóż za okrucieństwo.

– Czemu okrucieństwo? – Licho z wrażenia przestało go ciągnąć za nogawkę piżamy, przy okazji łaskocząc pierzem w stopę. – To bycie żoną boli?

– No jak to? Gdy na dziewczynę zawołają „żono!”, już ją żywcem pogrzebiono!

– A to nie jest karalne?

– Chyba nie. A powinno. Licho, zlituj się, do świtu siedziałem... – Z powrotem zawiął się w kołdrę i zasnął w okamgnieniu.

Wobec tak oczywistej niechęci do współpracy w temacie żony Lichu nie

pozostawało nic innego, jak zmierzyć się z wyzwaniem samodzielnie, zmobilizowało więc wszystkie pokłady optymizmu, zakasało rękawy, poprawiło bamboszki, żeby mu nie człapały, i dziarsko wzięło się do tradycyjnego, coczwartkowego sprzątanía. Porządkując kolejne pomieszczenia, przy okazji porządkowało myśli.

Jako anioł stróż poważne traktujący swoje obowiązki musiało jakimś sposobem znaleźć żonę dla dożywotnika, by na dobre zatrzymać go w Lichotce i by wszyscy żyli razem długo i szczęśliwie. Sęk w tym, że poza Marianną nigdy nie znało żadnej kobiety. No, była jeszcze ta dziwna paniusia od „ti, ti, ti”, z kołtunem na głowie i wiecznie zdziwioną miną przyklejoną do twarzy, ale co do jej płci Licho wciąż miało bardzo poważne wątpliwości i wolało nie ryzykować. O żonach, tajemniczych istotach służących do równie tajemniczego rozsiewania, wiedziało zatem niewiele – bez wątpienia istniały, bywały przydatne, a czasem nawet niezbędne, tylko po co? Dlaczego? I skąd się je brało? Poskrobało się po głowie w zamyśleniu. Szymon miał jedną, często na nią narzekał i psioczył, lecz równocześnie twierdził bardzo stanowczo, że bez żony ani rusz, żona to podstawa, jedyna szansa na prawdziwe szczęście. Z kolei zdaniem Szczęsnego żony robiło się z kobiet w jakiś okrutny sposób, który sprawiał im cierpienie. Skoro stanie się żoną bolało i posiadanie żony też bolało, to czemu bez nich nikt nie mógł być naprawdę szczęśliwy? Zafrasowane tym niespodziewanym odkryciem Licho wsparło się na miotle. To nie miało za grosz sensu. Może Szymon powie mu coś więcej, wytłumaczy, kiedy już przyjedzie...

Leżąca na szafce w holu komórka zaczęła brzęczeć i podskakiwać.

– Halo, tu alleluja – pisnęło z całą powagą. Po raz pierwszy w życiu odbierało telefon, duma aż je rozpieła. – To znaczy ja.

– Licho? – zatrzeszczało z drugiej strony. – Tu Konrad, dzwonię ze stacji. Licho, czy Kusy już przyjechał? Pojęcia nie mam, czemu nie odbiera, pewnie wciąż śpi albo znowu nie ma zasięgu...

– Oj nie, alleluja.

– Cholera... Pewnie nie przyjedzie wcześniej niż o dziewiątej. No dobra, Licho, słuchaj uważnie. Zostawiłem na sekretarzyku laptopa, na śmierć o nim zapomniałem, a nie dam rady już zawrócić. Powiedz Kusemu, żeby go gdzieś schował przed Szczęsnym. Za żadne skarby nie wolno mu w nim gmerać, bo znów coś namiesza, zrozumiałoś?

– Tak jest, alleluja, na śmierć i za żadne skarby.

– Albo wiesz co, może nie czekaj na Kusego i samo go gdzieś schowaj,

tylko dobrze. I tak, żeby Rudolf kabli nie pogryzł. No, to tyle, muszę już kończyć, bo się nie wyrobię na czas. Pa!

Licho nie zdążyło nawet odłożyć telefonu na szafkę, gdy ten znów zaczął dygotać, a na wyświetlaczu zamigotało „Sz. Kusy”. Ponownie wcisnęło zielony guziczek. Za drugim razem czuło się już pewniej.

– Halo??

– Licho...? – rozległ się słaby głos. – Licho, aniołku, dziś nie przyjadę. Mam tę... no... sraczkę jak stąd do nie widać i ledwo dycham... Poradzicie sobie jakoś do jutra?

Zapewniwszy Szymona, że nie ma się czym martwić, i podsunąwszy mu parę sprawdzonych sposobów na kłopotliwą dolegliwość, anioł dokończył sprzątanie, a potem z kubkiem herbaty cichutko, na paluszkach zakradł się na piętro, do chwilowo opustoszałej sypialni.

Ledwie chwycił laptopa w drżące rączki, doznał olśnienia.

– A niech mnie alleluja...

Na wszelki wypadek Licho zamknęło drzwi na klucz i dopiero wtedy rozsiadło się na krześle i otworzyło laptopa. Nie pamiętało, który guziczek uruchamia tę tajemniczą machinę, ale metodą prób i błędów znalazło właściwy. Machina zaszumiała, zamrugała zielonymi światełkami, przez ekran zaczęły przewijać się przeróżne napisy i obrazki. Wreszcie wszystko się uspokoiło, pojawił się za to nowy kłopot. Licho nie wiedziało, co dalej. Po namyśle postanowiło zrobić to, co zwykle w takich sytuacjach, czyli grzecznie poprosić o pomoc.

– Chciałbym się czegoś dowiedzieć.

Na ekranie natychmiast pojawiło się duże, białe okno z dziwnym litem, kolorowymi literkami i mniejszym, podłużnym okienkiem pośrodku.

– G-O-O-G-L-E – przeczytał anioł. – No dobrze, może ty wiesz, skąd się biorą żony?

Owszem, Google wiedział.

Pięć godzin i kilkaset stron później Licho umiało już obsługiwać przeglądarkę internetową, mniej więcej kojarzyło, co się robi z klawiaturą, niechcący nadrobiło zaległości w edukacji seksualnej i feministycznej, nadal jednak nie miało pojęcia, skąd się biorą żony. Google podsuwał mu różne podpowiedzi, począwszy od cytatów o miłości, skończywszy na egzotycznych afrodyzjach i akcesoriach z lateksu, a także przeciągnął przez fora, na których rozprawiano o wyższości matriarchatu nad patriachatem, samorealizacji, komediach romantycznych, bieliźnie albo niemowlęcych wysypkach, lecz żadna z tych informacji nie okazała się

przydatna. W efekcie nenufary mieszały się Lichu z Mickiewiczem i artykułami z „Cosmopolitan”. Znudzone tym ślęczeniem i bezowocnymi próbami ogarnięcia chaosu ziewnęło, przetarło zaczerwienione oczka i bez większego przekonania kliknęło na chybił trafił jedno z ostatnich haseł w podpowiedziach.

– Ojoj...

Szczesny nigdy nie narzekał na nadmiar zajęć. Do szczęścia – czy też nieszczęścia, co w jego przypadku oznaczało jedno i to samo – wystarczyło mu coś, na czym mógłby usiąść choćby półdupkiem, by pogрузić się w otchłani rozmyślań, obowiązkowo wzniosłych i smętnych aż do granic bólu. Uważał, że zajmowanie się czymś konstruktywnym uwłacza godności poety natchnionego, brzydził się przyziemnymi obowiązkami, dlatego nie widział nic niewłaściwego w wylegiwaniu się w łóżku i gapieniu w sufit co najmniej do południa.

Lecz tym razem coś go nieznośnie uwierało w duszę, a on nie potrafił określić co. Nici z rozkoszowania się słodką bezczynnością. Przewracał się z boku na bok i wzdychał potępieńczo, wyjątkowo nie mając z tego ani odrobiny przyjemności. Niemal słyszał głośne siorbanie czarnej melancholii, która zachłannie go wsysała. Niby wszystko było po staremu, jak zawsze – a jednak coś mu tu nie pasowało...

Długo tak nie wytrzymał. Wyplątał się z kołdry i usiadł po turecku, oparłszy brodę na pięści. Westchnął na próbę – i było to westchnięcie profesjonalne, na wskroś pesymistyczne, podszyte stuprocentowym bólem istnienia. I co z tego, skoro Szczesny czuł coraz wyraźniej, że to nie to samo westchnięcie co zwykle. Jakies takie... inne. Bez wyrazu.

Zebrał się w sobie.

– Otom ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści, sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści... – zawiesił głos i wywrócił gałami. – No nie, ja tak nie mogę!

Wypadł na werandę, szlochając rozdierająco i rwąc włosy z głowy, i wielce dramatycznym ruchem przykleił się do szyby. Świat tonął w deszczu i szarości, niebo zasnuwały ciężkie, ołowiane chmury, które zdawały się muskać korony ogołoconych drzew, gdzieś w oddali zakrakał posepnie kruk. Szczesny przerwał na moment rozpacz, aby skrupulatnie porównać stan ducha ze stanem krajobrazu – wszystko się zgadzało co do joty, w każdym szczególe. On był nieszczęśliwy i niespełniony, życie nie miało sensu,

marność nad marnościami i posąg człowieka na posągu świata... No, może nie na posągu, tylko na zwykłej oszklonej werandzie, ale liczyły się intencje, a wszelkie braki dało się nadrobić bujną wyobraźnią, nie w tym rzecz, tylko w tym, że... że... że Szczęśny był nieszczęśliwy.

Tak naprawdę.

Z wrażenia aż przykucnął, przytłoczony tym nagłym odkryciem.

Nie jak do tej pory, od dwustu siedemnastu lat, czyli zgodnie z etosem, poetycko i romantycznie, lecz jakoś tak... wbrew sobie, wbrew własnej woli i pragnieniom. Szczęśny prychnął z oburzeniem. To żadna przyjemność taplać się w takim nieszczęściu i melancholii, których się nawet nie chciało, które się po chamsku wręcz narzucały. I niby po co, na co? Dlaczego? No dobrze, od dwóch wieków z okładem czuł się niespełniony, ale nigdy dotąd nie uważał tego za powód do narzekań, wręcz przeciwnie. Przecież prawdziwy geniusz powinien być właśnie nieszczęśliwy, niespełniony i niezrozumiany, odrzucony wręcz przez przeciętny tłum hołdujący konsumpcji, nie zaś szukać poklasku czy dawać się kąsać przyziemnej, pospolitej zazdrości.

Tyle że do tej pory tak naprawdę nie miał komu i czego zazdrościć.

A tu nagle, pewnego dnia w jego niezyciu pojawił się Konrad, brutalnie odbierając mu tożsamość, dwustuletni monopol na bycie jedynym w Lichotce artystą. Mało tego! Był tym artystą lepiej niż Szczęśny, był nim tak bardzo, że nawet napisał książkę, całą, caluteńką, od początku do końca. I wydał. Teraz jechał do wielkiego miasta, pławić się w zachwycie i uwielbieniu tych, którzy tę napisaną i wydaną książkę przeczytali.

A on?

– Jam się w miłość nieszczęsną całym sercem wsączył... – mruknął, opluwając szybę.

Zebrał się w sobie i podjął całkiem męską decyzję. Miał już dwieście siedemnaście lat – najwyższy czas znaleźć cel w życiu po życiu, zmienić wizerunek, olśnić świat i maluczkich ogromem swego geniuszu, dokonać czegoś... czegokolwiek. Spełnić się chociaż trochę. Zacznie od przejrzenia paru książek, w końcu wiadomo, że w nich jest wszystko, a więc odpowiedź na pytanie o sens życia też. Wystarczy dobrze poszukać.

Ale najpierw zrobi coś z włosami. Koniecznie. Końcówki zaczęły mu się rozdawać.

– No nie, teraz to już przegiąłeś!

Jak zwykle niewzruszony Rudolf Valentino w najlepsze wtrząsał okładkę kryminału, który na wszelki wypadek Konrad zabrał ze sobą. Miejsca w torbie zostało w sam raz dla niego, więc wkomponował się niepostrzeżenie i całą drogę z Lichotki do miasta spędził między ręcznikiem a zapasem skarpetek. Było mu ciepło i miękko, pierwsze półtorej godziny przespał w komfortowych warunkach, a potem znalazł coś w sam raz do schrupania.

Odkrycie pasażera na gapę nie poprawiło zmęczonemu podróżą Romańczukowi humoru.

– Zobaczysz, pewnego dnia obedrę cię ze skóry i zrobię sobie rękawiczki – warknął mu prosto w mordkę, podnosząc za uszy. – Wycieczek ci się zachciało?

Dwa czarne, lśniące paciorki wpatrywały się w niego nieustraszenie, puchate łapki podrygiwały w powietrzu, a gdy to nie wywarło pożądanego efektu, do akcji wkroczył mięciutki ogonek, merdając z zapałem.

– Nie rznij niewiniątka, nie ze mną te numery. – Odstawił królika na podłogę i spojrzał na niego surowo. – Kicaj mi stąd i nie płacz się pod nogami, muszę się przebrać. Za godzinę zaczyna się cała ta szopka.

Szybko przebrał się w koszulę i garnitur, krawat po krótkim namyśle wrzucił z powrotem do torby, stawiając na nonszalancką elegancję. Zgarnął jeszcze dokumenty, poskromił już dawno niestrzyżone włosy.

– Masz być cicho, słyszysz? – Schylił się, by zetrzeć pyłek z wypastowanego buta. – W hotelach nie wolno trzymać zwierząt, lepiej, żeby nikt nie wiedział, że tu jesteś. W drodze powrotnej kupię jakieś gazety i marchewki. A policzymy się potem. I nawet nie myśl o tym, żeby mi się zeszcząć w jakimś kącie!

Konrad nie wziął jednak pod uwagę pewnego drobiazgu – Rudolf Valentino ani myślał siedzieć w pokoju, też chciał zobaczyć kawałek wielkiego świata. Gdy tylko drzwi uchyliły się choć trochę, czym prędzej czmychnął na korytarz i dalej w długą.

– Wracaj, padalcu jeden! – krzyknął Romańczuk i dziabnął się w język. Jeszcze tego mu brakowało, żeby się ktoś z gości lub obsługi zainteresował, co się wyprawia na korytarzu. Błyskawicznie przekręcił klucz w zamku i ruszył w pościg.

Pół godziny później do galerii, w której odbywały się targi, wkroczył nieco zdyszany mężczyzna w diabolicznej czerni z psychodelicznym królikiem pod pachą, wzbudzając zainteresowanie nielicznych przedstawicieli mediów, wyraźnie znudzonych archaiczną imprezą bez

szans na jakikolwiek skandal. Demoniczny debiutant wydał im się znacznie ciekawszy niż wciśnięty w kąta i przysypiający wiekowy literat z licznymi nagrodami na koncie. Przypałała się nawet ekipa miejscowej telewizji, złożona z kamerzysty i pretensjonalnej panienci ustylizowanej na Carmen, która rzucała na lewo i prawo powłóczyste spojrzenia.

– Świetnie, świetnie. – Jak spod ziemi tuż za Konradem wyrosła jego agentka, ubrana w obcisłe wdzianko, które dziwnie upodabniało ją do anorektycznej zebry w zabójczych kozaczkach, i z papierosem przyklejonym do uszminek ust. – Obiecujący debiutant, autor dobrze przyjętych opowiadań obyczajowych z elementami sensacji i silnym erotycznym podtekstem przybył z żywą wersją króliczka „Playboya”. Trochę kiczowate, ale całkiem niezłe, czytelnicy będą zachwyceni. Tylko następnym razem mnie uprzedź o podobnych eksperymentach, dobra?

– Wierz mi, nie planowałem robić za kuriozum. Zamierzałem zamknąć tego drania w pokoju. Albo metodami domowymi przerobić na pasztet – szepnął wprost do króliczego ucha.

– Żartujesz? Na wejściu przebiłeś nawet tych poecin od siedmiu boleści, którzy siedzą w głównej sali i w ramach happeningu skrobią pietruszkę pumeksem. To ciebie fotografują, nie ich. No, uśmiechnij się, wiesz jak. Zobaczysz, będziemy mieć jutro pełną salę.

Konrad już miał serdecznie dość tego cyrku, ale uśmiechał się dalej niczym dobrze wychowany grzechotnik, mrużąc lśniące kpina oczy, podczas gdy królik puszył swą różową, przesłodką osobę. Błysk fleszy i gwar nie robiły na nim zbyt wielkiego wrażenia. Spokojnie oglądał otoczenie, strzygąc postawionymi na baczność uszami, i niuchał. Od zapachu papieru, którym przesycone było powietrze w galerii, aż swędziały go zęby.

– Świetny początek. – Agentka pociągnęła go w stronę stromych schodów na piętro. – Najważniejsze to się czymś wyróżnić z tłumu, dać się zapamiętać. A teraz dość byczenia, bierzemy się do roboty.

– Tylko bez głupich pomysłów – mruknął do Rudolfa, przycisnął go nieco mocniej do boku i ostrożnie stanął na pierwszym stopniu.

Szczęśny i jego rozterki spędzili w bibliotece ponad dobę, z błyskiem szaleństwa w oczach przetrząsając półkę za półką, regał za regałem w poszukiwaniu nowej drogi niezycia. Zanim dogrzebali się do dzieła, które mogłoby posłużyć za drogowskaz, zdołali zaprowadzić twórczy chaos w każdym zakamarku, choć ktoś mniej wrażliwy zapewne by stwierdził, że

to zwykły bajzel i tyle.

Epokowym odkryciem okazała się niepozorna książeczka z wylatującymi kartkami, stary bryk z historii literatury. Panicz zaszył się z nią w najdalszym kącie biblioteki i pograżył w lekturze, na śmierć zapominając, że ma na głowie kolorowe lokówki, które wypadaloby w końcu zdjąć, zanim zrobi mu się trwała.

To było to. Tego właśnie szukał.

Z podniecenia aż nim zatrzęsło, poezja wzniosła sama pchała mu się na usta. Zrobiwszy na kolanie stos notatek z mnóstwem podkreśleń i wykrzykników, odłożył wspaniałą książkę na miejsce, całkowicie olewając pozostałe, które walały się gdzie popadnie, i w radosnych podskokach poleciał do sypialenki.

Po intensywnym namyśle metodologicznym postanowił przyjąć kolejność chronologiczną i zacząć od wizerunku wędrownego barda. Najpierw wygrzebał spod łóżka całą swoją garderobę. Nie było tego wiele. Zaledwie trzy fraczki z kamizelkami do kompletu, parę koszul, dwie piżamy, pikowany szlafrok, który odziedziczył po czwartym dożywotniku, wszystko co do sztuki stare i niemiłosiernie wymięte, gdzieniegdzie nadzarte zębem czasu i moli – ale i tak zdecydowanie zbyt eleganckie jak na strój poety włóczęgi. Niedobrze. Trudno zbudować nowy wizerunek, nie mając żadnych podstaw. Bardzo niedobrze. Przydałyby się jakieś buciory, poszarpane i wytarte spodnie, koszula bez koronek, za to z podrzędnego, szorstkiego materiału w plebejski wzór...

Szafa Konrada.

Zerwał się z łóżka, przyrznął głową o niski sufit i dosłownie wypadł na korytarz. Wypełniona po brzegi zszarganymi od nowości ubraniami szafa wabiła go syrenim głosem, wołała po imieniu w siedmiu językach. Tam kryły się skarby, godne pożałowania wytwory współczesnego krawiectwa, w sam raz do włóczenia się po wzgórzach i wądołach, bagnach i chaszczach, w sam raz dla odrodzonego Szczęsnego!

Z kuchni powiało pradawną grozą.

– Nie teraz, Krakers, nie teraz. – Panicz zebrał się z parkietu i chwiejnie ruszył ku schodom. – Zawołaj Licho, z pewnością...

Nic tak nie przekonuje do zajęcia się pracami domowymi teraz, zaraz, jak wielka macka zaciśnięta na gardle i druga, kiwająca ostrzegawczo tłuczkiem do mięsa. Szczęsny w mig załapał ten subtelny przekaz.

– To ja może wyniosę śmieci.

Macka czule poklepała go po policzku.

Zachęcony tłuczkiem przyniósł jeszcze drewno z przybudówki, wyczyścił kominek i obrał pół worka ziemniaków, a że przy okazji uświnił się jak nieboskie stworzenie, napad rabunkowy na szafę stał się nagle czynnością absolutnie zbędną. Panicz przedstawiał sobą doskonały obraz nędzy i rozpaczki w lokówkach – nic tylko ruszyć na wielką włóczęgę, by nieść poetycką pieśń pod strzechy, dachówki i blachę falistą.

– ...bo mi się wydaje, że w pańskiej twórczości pytanie o istotę człowieczeństwa i humanitaryzmu w czasach moralnego, intelektualnego i religijnego upadku to wyłącznie pretekst do snucia opowieści będącej w istocie narcystycznym bełkotem i promowaniem deprawacji w charakterystycznej stylistyce neofreudystów.

– No, bardzo możliwe. To dla kogo ma być?

Młodzieniec w charakterystycznej stylistyce gardzącego grzebieniem intelektualisty nieco się stropił, lecz natychmiast nadał z powrotem i z całą godnością osobistą poprawił zsuwające się z nosa okulary w rogowej oprawie.

– Dla Stanisława Pierdołki.

Z uśmiechem godnym piranii Konrad złożył zamaszysty autograf, po czym mruknął do tkwiącej na krześle obok agentki:

– Nie miałem pojęcia, że jestem neofreudystą, i to zdeprawowanym.

– I w dodatku bełkoczesz.

– Strach się bać, czego się jeszcze o sobie dowiem... Słuchaj, cholero, moja cierpliwość to nie Schengen, ma swoje granice – chwycił królika, który w poszukiwaniu rozrywki zawędrował mu aż na kark, i stanowczo posadził sobie na kolanach.

Rudolf wytrzymał w bezruchu pięć sekund. W sekundzie szóstej włożył Konradowi do kieszeni marynarki.

– Może on ma owsiki? Albo ADHD?

– Nie wiem, co ma, wiem, czego lada moment nie będzie miał, jeśli się wreszcie nie uspokoi...

Na szczęście dla Rudolfa kłębiący się w kolejce krwiożerczy tłum nie pozwolił Konradowi zająć się wprowadzeniem gróźb w życie. Organizatorzy targów wykazali się daleko posuniętą życzliwością, wyznaczając czas i miejsce spotkania z autorem na sobotni poranek w ciasnej pakamerze bez okien, tak więc warunki trudno było nazwać sprzyjającymi, czytelnicy jednak okazali się twardzi, nie miękczy. Sam autor z kolei silił się na

zblazowanie i nie dając po sobie poznać, że niedopasowana do wizerunku radość, duma i lekkie niedowierzanie rozsadzają go od środka, cierpliwie wypisywał dedykacje i odpowiadał na mniej lub bardziej inteligentne pytania, które zdawały się nie mieć końca.

Następna w kolejce była rozłożysta dziewczyna o posturze czołgu bojowego i policzkach godnych prawdziwej ruskiej baby. Rejony między podbródkiem a stopami owinęła sukienkopodobną płachtą w krzykliwy kwiecisty deseń. Uzbrojoną w złote pierścionki dłonią podsunęła Konradowi książkę.

– Dla Haniutki z wyrazami – poprosiła roznamiętnionym głosem. – Jestem pana największą wielbicieleką.

Nikt nie ośmielił się tego zakwestionować. Konrad czym prędzej namazał dedykację. Dziewczyna zamrugła frywolnie, dygnęła w podzięcie i podryfowała w swoją stronę, a dotychczas stłoczony tłumek rozstępował się przed nią niczym Morze Czerwone.

– Ej, coś zostawiła – zauważyła po chwili agentka.

Na stoliku leżała różowa, obficie skropiona perfumami koperta.

– Zaadresowana do ciebie, nie zajrzysz?

Romańczuk pokręcił głową.

– Potem. – Odsunął kopertę na bok i zajął się następną, znacznie drobniejszą czytelniczką.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, na stoliku piętrzył się stos kopert i złożonych karteczek, pozostałość po hordzie istot płci niewieściej, która przeszła defiladą przed Konradem, rzucając mu spojrzenia powłóczyście, znaczące lub, dla kontrastu, wielce onieśmiałe, lecz wszystkie, co do jednego, wygłodzone i pełne nadziei. Nad stosem zaś unosiła się toksyczna chmura – duszący zapach perfum mógłby z powodzeniem robić za broń chemiczną dowolnego zasięgu.

– Nic z tego nie rozumiem. To jakaś podstępnie zaplanowana akcja korespondencyjna? „Zapisz swego pisarza na śmierć” czy jak? – Romańczuk otworzył pierwszą kopertę z brzegu i wyciągnął z niej parę skąpych, koronkowych majteczek z doczepioną wizytówką.

Agentka gwizdnęła z podziwem, wydmuchując jednocześnie w atmosferę potężną dawkę dymu tytoniowego.

– No proszę, panny lecą na ciebie, aż furczy.

– Ale czemu?! Czy ja wyglądam na desperata? Jasne, może nie jestem już nastolatkiem, może nie mam żony byłej czy aktualnej, ale to, że łączę z różowym królikiem pod pachą, nie oznacza, że cierpię na syndrom Bridget Jones! O co tu w ogóle chodzi? – Rozerwał następną kopertę. – Matko

sadzonko... Posłuchaj tego. „Lubię posiedzieć u kosmetyczki jak każda prawdziwa kobieta, poznawać nowe znajomości, chodzić z ziomami do kina i fajowskich klubów. Jestem totalnie odjechana na punkcie wizażingu”. Co to jest wizażing?

– Nieważne, czytaj dalej.

– „Nie szukam przygód, bo jestem wartościowa i znam swoje znaczenie. Szukam mężczyzny, który docenia prawdziwe kobiety, jakimi ja siebie reprezentuję”. Podpisane: „Gosiaczek”. Przecież to jakiś bełkot!

– O, a ta napisała wierszem...

– Czy w tym mieście panuje jakaś epidemia? Te baby się na mnie uwzięły czy jak?

– Konrad, a czego się spodziewałeś? Miejsze trochę godności i przestań rżnąć głupa. To był chwyt poniżej pasa, ale jak widać skuteczny, niunie go kupiły.

– Jaki... znowu... chwyt...? – Starał się zapanować nad ogarniającą go trwogą i królikiem, który właśnie wspinał mu się na głowę, ciągnąc za włosy.

– Jak to jaki? – Wysupłała z czeluści torebeczki nowego papierosa i przykleiła sobie do uszmińkowanej wargi, by spokojnie i oburącz wziąć się do namierzania zapalniczki. – A kto skamlał w internecie, że czuje się samotny na tym łez padole i poszukuje prawdziwej miłości na dobre i na złe, łapka w łapkę aż po czasu kres, hm?

Na przekór fizyce i podobnym pierdołom świat zastygł w bezruchu i ani myślał kręcić się dalej, a siła wyższa całą uwagę skupiła na ogłuszonej doszczętnie mężczyźnie i jego króliku.

– O czym... – odkaszlnął – o czym ty mówisz?

Zamiast po prostu wyjaśnić, wyciągnęła telefon, poprząkała tipsami w klawisze i po chwili podsunęła Konradowi wyświetlacz pod nos.

W odruchu obronnym umysł mężczyzny przetwarzał to, co mu oczy przekazywały, po kawałeczku, okruszku wręcz. Adres: www.misie-pysie.pl. Strona główna cała w pikających serduszkach, gęsto usiana różnymi *love* i innymi *forever*, jak również girlandami kwiecia. Wszystko w orgii barw po minucie wywołującej drgawki. A na samej górze, pod migoczącym napisem „najczęściej odwiedzane” jako wół przy karocy stało „Konrad Romańczuk, pisarz”.

Konrad Romańczuk, pisarz, poczuł, że siwieje.

Drżącym palcem nacisnął klawisz i wszedł na podstronę. Już sam opis w profilu wystarczył, by go dobić. Łez padół, prawdziwa miłość

poszukiwana, samotność w miłych okolicznościach przyrody, a do tego zdjęcie wampirycznie pośpęnej, nieco wynędzniałej postaci w czerni na tle zimowego krajobrazu, zrobione jakiś czas po bliskim spotkaniu ze schodami.

– Trafiłam na to przypadkiem, robiąc wczoraj mały research. Co prawda jestem przeciwniczką emocjonalnego ekshibicjonizmu – zaciągnęła się mocno – i gdybyś mnie tylko zapytał o zdanie... A zresztą, co się stało itede. – Machnęła ręką. – Nawet nieźle wyszło: niestroniący od erotyki autor o demoniczno-magnetycznym czarze i złamanym sercu pragnie prawdziwej miłości do grobowej deski. I jeszcze ten perwersyjnie słodki królik – pogłaskała Rudolfa po łebku. – No cóż. Plan na ten weekend zrealizowany. Rozgłos zdobyty, przywiezione na targi egzemplarze sprzedane, czytelniczki szaleją. A książka jest na rynku zaledwie od miesiąca. Konrad, musisz w te pędy skończyć drugi zbiór i brać się do powieści, póki trwa passa. – Zmrużyła szczerze wymalowane oczęta i obrzuciła go zaciekawionym wzrokiem. – Majce to pewnie zaimponuje.

Romańczuk spojrział na nią z ukosa i na powrót skupił się na telefonie.

– Słucham, w czym możemy pani pomóc?

– Najmocniej przepraszam, co prawda spotkanie już się skończyło, ale czy jeszcze można...?

– Ależ oczywiście, oczywiście. Konrad. Halo, Konrad, pani prosi o autograf.

Powoli przesunął wzrok z telefonu własnej agentki na własną czytelniczkę.

Znał ten głos. Znał go aż za dobrze. A mimo to nie zdołał powstrzymać wrzasku, który przemocą wyrwał mu się z gardła, prawie pociągając za sobą płuca.

– Dzień dobry, panie Konradzie – zaćwierkała Aurelia Bercikówna, składając usteczka w ciup. Do ukrytej pod warstwami cnotliwej odzieży piersi przyciskała jego książkę i bardzo, naprawdę bardzo grubą kopertę formatu A4...

Szosa przez las z godnym podziwu samozaparciem jechało przerdzewiałe wspomnienie po fiacie 126p. Naderwany chlapacz nad tylnym kołem szurał po mokrym asfalcie, nad nim zaś w najlepsze rósł mech, któremu łagodna zima nie dała rady. Samochodzik rzeził straszliwie, kaszłąc spalinami, lecz dalej parł pod górkę. *I think I can, I think I can, I think I can*, brudnożółty maluch, który mógł, a przynajmniej bardzo się starał.

Udręczony silnik odetchnął, gdy po jeszcze dwóch górkach i paru kilometrach skomplikowanych zakrętów zaczęła się długa prosta. Kierowca, który jedną ręką kurczowo trzymał się kierownicy, drugą przecierał zaparowaną szybę i marzył o trzeciej, ośmielił się nawet odrobinę wyprostować, choć niewiele widział, a jeszcze mniej słyszał. W tych warunkach zamontowanie w maluchu radia można było nazwać wyłącznie kiepskim żartem na poziomie kolan.

Coś jednak nie zdołało ująć uwadze spoconego kierowcy – jakieś dwieście metrów przed nim na poboczu majaczyła plama wściekłej żółci z wściekle czerwonym czubkiem, nie do przeoczenia na tle szaroburej plamy lasu. Kontrast barw był tak intrygujący, że demon szybkości zdjął nogę z gazu. Grzechocząc karoserią i bebechami, maluch doturlał się do przydrożnego dziwa, po czym stanął.

Na betonowym słupku przycupnął mały gumowy wigwam.

Po dłuższych oględzinach wstrząśnięty i zmieszany kierowca pojął, że gapi się na młodzieńca w płaszczu przeciwdeszczowym i kaloszach, z rozłożonym parasolem opartym o ramię tak, by obie dłonie mieć wolne. Na ziemi obok słupka stał słusznych rozmiarów termos w kratkę i wypchana czymś foliowa torba.

Trzeba mieć nierówno pod sufitem, żeby o tej porze roku i w taką pogodę handlować przy drodze, pomyślał kierowca, kręcąc korbką z całych sił. Szyba trochę się opierała, lecz po dłuższych negocjacjach raczyła ustąpić.

– Chłopie, co ty, domu nie masz?

– To los mój na grobow... – szybko przemyślał sprawę, połykając ostatni kawałek chałwy z bakaliami – ...gdzie popadnie siadać.

– Przesrane. A co masz na zbyciu? Przetwory?

– Usługi natury odmiennej.

– Eee... co?

– Usługi natury odmiennej. Duchowej. Wzniosłą poezję ku odchamieniu ludu pracującego miast i wsi, by ich w aniołów przerobić. Ale takich prawdziwych, nie w bamboszkach – na wszelki wypadek uściślił. – Ci w bamboszkach za grosz się nie znają na poezji, wolą detergenty. To co, może sonecik? Albo elegijkę? – Sięgnął za pazuchę po kajecik.

Maluch odjechał z piskiem sparciałych opon, w kilka sekund osiągając zawrotną prędkość trzydziestu kilometrów na godzinę.

– Poezja coś nie ma brania – westchnął Szczęsny, z powrotem naciągając kaptur, który przypadkiem zsunął mu się z blond loczków.

Tkwiał na tym słupku już drugi dzień. Dalej od Lichotki nie mógł odejść,

a wracać nie miał ochoty, postanowił więc nieco zmodyfikować etos włóczęgo się poety i poczekać na potencjalne ofiary w jednym miejscu. Nauczony zesłotygodniowym posiedzeniem na nagrobku Szczęsny odpowiednio się wyposażył – miał nieprzemakalną odzież i parasol, gorącą herbatę i całą torbę chałwy w różnych smakach. Sęk w tym, że zwykle ruchliwa szosa w weekend świeciła pustkami, a jedyny kandydat na wielbiciela poezji przydrożnej właśnie oddalił się w pośpiechu. Zawiedziony brakiem zainteresowania ze strony ludu Szczęsny powzdychał trochę, pochłonął jeszcze dwie chałwy i wziął się do intensywnej kontemplacji, a zimny słupek z zapalem dostarczał mu natchnienia, coraz mocniej uwierając w tyłek.

Wniosek dość szybko nasunął się sam – uprawianie poezji wędrownej wymagało kondycji z gatunku żelaznych tudzież odpornych na przeziębienia i wiązało się z zaniedbaniem higieny osobistej, bezdomnością oraz pęcherzami. Co prawda panicz, choć czuł na punkcie estetyki, nigdy nie był fanatycznym wielbicielem czystości, ale niemożność prawdziwego oddalenia się od własnego grobu trochę psuła mu frajdę.

Z zaawansowanego stadium kontemplacji wyrwał go dźwięk klaksonu. Rozklekotany polonez z bledszym niż zwykle Szymonem Kusym za kierownicą zatrzymał się na poboczu.

– Nogi ci z tyłka powyrywam, bęcwale jeden! – Wyprysnął na zewnątrz i świńskim truchtem podbiegł do Szczęsnego słupnika. – Zbieraj te manele, ale już!

– Ależ bez nerwacji, o co te krzyki? – Panicz nalał sobie herbaty do kubeczka i spokojnie zaczął siorbać łyczek za łyczkiem.

– Niedziela dziś, patafianie plamkowany jeden, o to! Romańczuk po południu wraca, a tu widma nie ma, tego parszywego królika też gdzie wcięło, anioł zamknął się na klucz i nie chce wyleźć, a na dodatek utopce pod prysznicem szaleją w najlepsze. Jak on się dowie, że was samopas na dwa dni zostawiłem... Sraczka przy tym to będzie czysta przyjemność. – Kusy otrząsnął się i ponownie skupił na ogumowanym paniczu. – A tobie co do tego wyfiokowanego łba strzeliło, żeby się po szosie pałętać?

– Uprawiam poezję wędrowną, podstrzechową i aniołoprzetwórczą, ale chyba przestawię się na byronizm i styl grecki, bo nie jestem kontent z tego wizerunku – poczochnął się po wściekłych loczkach, które pod wpływem wilgoci powoli mu się prostowały. – Muszę tylko zdobyć jakieś podkolanówki z pomponami. I białą plisowaną spódniczkę.

Owszem, po kilkunastu latach pracy w Lichotce Kusy był przyzwyczajony

do podobnych rewelacji, nawet w pewnym stopniu uodporniony, jednak w obliczu ostatnich wydarzeń musiał sprawdzić jeszcze pewien szczegół.

– Chuchnij no.

– Słucham...?

– Chuchnij, mówię.

– Ależ... ależ... wypraszam sobie!

– Wypraszaj, przepraszaj, zapraszaj, rób, co chcesz, ale najpierw chuchnij, do stu diabłów rogatych, bo przysięgam, że cię do Lichotki w bagażniku zawiozę!

I zawiózł.

Wczesne niedzielne popołudnie w Lichotce prezentowało się następująco.

Szymon Kusy, którego eksmisja utopców z łazienki solidnie wykończyła, przykręcał obluzowane drzwiczki w kuchennych szafkach, podczas gdy Krakers gotował mu rosółek i parzył ziółka na niestrawność. W radiu jakaś bliżej nieokreślona panna zawodziła głosem udręczonej kozy na tematy damsko-męskie.

W holu z kolei szalał Szczęsny, przymierzając byronizm. Z braku gotowych rekwizytów postanowił być twórczy. Frak i kamizelkę cisnął w ką, pozostając w samej koszuli, stosownie rozchełstanej, do której założył białą spódniczkę z podartego prześcieradła, a do pocerowanych pończoch doczepił własnoręcznie wykonane, fioletowe pompony z włóczki. Tak wystrojony ćwiczył kroki greckich tańców ludowych, co w papuciach na śliskim parkiecie wcale nie było łatwe, stąd też urozmaicenie tradycyjnych figur różnorakimi piruetami i szpagatami, niejako nadprogramowymi.

Zmora, która wylegiwała się na wycieracze, nie odrywała wzroku od panicza i czekała na właściwy moment, by zrobić to, co każdy szanujący się kot zrobić powinien, czyli wbić zestaw pazurów w pompony. Aż się o to prosiły, podskakując zachęcająco, kusząc, prowokując bezwstydnie...

A na piętrze, w zamkniętej na klucz sypialni, mały, lecz za to bardzo samotny anioł siedział w kącie z haftowaną poduchą w objęciach i usiłował nie chlipać zbyt głośno.

Żaden domownik nie zauważył parkującego przed przybudówką tico.

Konrad Romańczuk wkroczył do Lichotki obładowany niczym juczna kobyła – z naręczem pękatych foliówek w objęciach, własną torbą przewieszoną przez ramię i różowym królikiem w zewnętrznej kieszeni

kurtki. Potknął się o Zmoreę, ledwie złapał równowagę i stanął przed wyginającym śmiało ciało paniczem.

– Widzę, że już cię kompletnie pogięło.

– Ćwiczę byronizm – wysapał Szczęsny, chwilowo w dość bolesnym rozkroku.

– Na twoim miejscu wymieniałbym słownik terminów literackich na bardziej aktualny. Tak na moje oko to nie byronizm, tylko pilates. Albo ten tam, no, callanetics. – Ustawił foliówki w długim rzędzie pod ścianą, torbę położył na szafce, a potem sięgnął do kieszeni po Rudolfa Valentino. – Zmykaj stąd, upierdliwy kurduplu. Co prawda załatwiłeś mi pełną salę, ale i tak cię nie lubię.

Królik chwilę niuchał w poszukiwaniu nowych zapachów, którymi pod jego nieobecność mógł wypełnić się dom, po czym zaczął się wspinać mozolnie na piętro, wypinając na świat zwieńczony puszystym ogonkiem zadek. Łapki bez przerwy ześlizgiwały mu się ze stopni, ale królik parł naprzód. Byle schody nie wystarczą, by go powstrzymać.

– Coś ci przywiozłem. – Konrad wyjął z torby ozdobne pudełeczko przewiązane czerwoną wstążką. – Ot, taki drobiażdżek. O, dzień dobry. – Skinął na powitanie Kusemu, który wyszedł z kuchni i lekko zbaraniał na widok oryginalnie przystrojonego panicza. – Wszystko w porządku? Miał pan z nimi jakieś problemy?

– Nie większe niż zwykle – odparł z namysłem Szymon Kusy, nie kłamiąc, ale też starannie omijając prawdę. – A ten co? Balcik...?

– Wariacje na temat Byrona w stylu dowolnym.

– Przypomina raczej gimnastykę ekstremalną. A jak pan myśli, jakby mu jeszcze dać takie fikuśne wstążeczki na patyczku...

– Śmieście się, filistrowie. – Panicz prychnął z całą pogardą, na jaką tylko było go stać. – Wy żyjecie byle jak, bez stylu, bez etosu, lecz mnie wyższa idea prowadzi! Gwiazdy mym krokom przyświecają! Ja się nie dam stłamsić, odzyskam dawną tożsamość, wreszcie spełnię się twórczo. Zostanę byronistą, rzucę świat na kolana poetyckim geniuszem i zmyję wszelki despekt, który mnie tu przez wieki spotykał!

– Patrz pan, ujma na honorze naszego wierszokletę spotkała – zachichotał Kusy. – A wystarczyło remoncik w Lichotce przeprowadzić, kto by pomyślał...

Panicz tymczasem zdołał wreszcie uporać się ze wstążką. Otworzył pudełko i wyjął z niego wielką, barchanową płachtę, sądząc po rozmiarze, w sam raz na małego słonia. Rozpostarł ją z trudem, ledwie starczyło mu

rąk.

– O... To namiot czy spadochron? – Oglądał ją z zainteresowaniem z każdej strony.

Aż do tej pory twarz Konrada nie wyrażała żadnych emocji, teraz jednak maska obojętności opadła, obnażając drapieżny uśmiech z samego szczytu perfidii i podłości.

– To, mój drogi Szczęsny, są seksowne majteczki panny Aurelii Bercikówny.

Na dźwięk tego nazwiska panicz zbladł śmiertelnie i z upiornym wrzaskiem rzucił gacie na podłogę, a potem wbił przerażony wzrok we własne, skalane dłonie, jakby się spodziewał, że mu lada moment odpadną albo staną w płomieniach.

– A tutaj – Konrad wyciągnął z foliówki opasłą kopertę – masz załączony do tychże majteczek list miłosny. Będzie nad czym wzdychać, łzy ronić, chlastać się, co tylko sobie zażyczysz. Jutro cię przepytam z treści, więc lepiej bierz się do dzieła.

– Ale... ale za co?! – wybełkotał Szczęsny, wstrząśnięty dogłębnie. Próbował przegnać precz wspomnienie fizjonomii tudzież ponętnej inaczey sylwetki panny Bercikówny, jednak z mizernym efektem.

– Za co? Za co?! Za to! – Poczerwieniały z gniewu Romańczuk wskazał na gacie. – Za to! – Potrzęsnał trzymaną kopertą. – I za to! – Machnął ręką w stronę rzędu foliówek. – Za osiemdziesiąt siedem listów miłosnych, trzydzieści dziewięć zdjęć, dwadzieścia osiem wizytówek i sześćdziesiąt dwie pary majtek, niekoniecznie upranych! Właśnie za to!

Kusy podrapał się po brzuchu.

– Dziwne... Skąd pan żeś to wszystko wytrzasnął?

– Znikąd, panie Kusy. Zostałem tym wszystkim obdarowany, ponieważ ktoś zamieścił w internecie ogłoszenie matrymonialne w moim imieniu! Że niby miłości poszukuję, żona mi się marzy i gromadka tłuściutkich bobasków! – Przymknął na moment oczy, by choć trochę ochłonać. – Czy pan wie, co ja przeżyłem, kiedy te napalone harpie zaczęły krążyć nade mną jak nad padliną? I kiedy zobaczyłem to przekłete ogłoszenie? Ten poecina od siedmiu boleści zafundował mi upokorzenie życia, a teraz pieprzy jak potłuczony o jakiejś ujmie na horrorze, co to go niby spotkała! Jego! Nie mnie!

– Ale że co? Że niby jak?

– Zapomniałem zabrać ze sobą komputer, o tak. – Wciąż podminowany,

Konrad przysiadł na stopniu. – Zostawiłem go w pokoju jak ostatni sklerotyk. A ten grafomański upiór pewnie znów w nim grzebał, kiedy pana nie było.

– Właśnie że nie grzebałem! – panicz ośmielił się zaprotestować. – To znaczy, grzebałem, ale w bibliotece. Przez cztery dni i trzy noce prowadziłem dogłębne poszukiwania twórcze, moja noga na piętrze nie powstała.

Z kuchni zabalgotało twierdząco.

– O, proszę, Krakers świadkiem!

– Na mnie pan nie patrz, nawet nie wiem, jak się to ustrojstwo włącza...

– Włącza – pisarz i poeta poprawili go zgodnie.

– A tam, jeden pies... Krakers też odpada, prędzej by pańskiego laptoka ugotował, niż włączył. I zostawił wyraźne ślady macek.

Stwór ciemności ponownie zabalgotał.

Konrad nic już z tego nie rozumiał. Z całkowitą bezradnością spoglądał to na Kusego, to na Szczęsnego. Stada myśli, wszystkie bez wyjątku posępne i przygnębiające, kotłowały mu się pod czaszką i spierały zazarcie, która pierwsza go dobije. Wreszcie jedna wygrała o krótki pysk.

– Pan... pan chyba nie sądzi...

– A żebyś pan wiedział, że sądzę. Bo niby czemu nie zeszło pana powitać, co? A takie było stęsknione. Dobrze wie, że nabroilo, i teraz gdzieś się chowa po kątach. Anioleczek z czarną dupką, hy.

Urażona niewinność w osobie Szczęsnego nadeła się, po czym nadeła się jeszcze bardziej, bo nikt nie zwracał na niego uwagi, nie mówiąc już o śpieszeniu z przeproszeniami, a wielka macka beztrósko przesunęła się między jego nogami, by podnieść straszliwe gacie i wrzucić do kominka na pastwę płomieni. Już miał dać wyraz oburzeniu, kiedy dostrzegł Zmore, skradającą się ze wzrokiem utkwionym w pomponach.

– Apsik! – parsknął na kocicę i czmychnął czym prędzej do sypialenki, pragnąc ocalić element nowego wizerunku.

– Apsik! – rozległo się do wtóru tuż nad nimi.

No dobra, raz kozie śmierć. Konrad zerwał się i popędził na piętro, po drodze zgarniając zasapanego królika, który właśnie z trudem wdrapywał się na przedostatni stopień.

Sprawdziwszy najpierw wieżyczkę, Konrad poszedł do swojej sypialni. Drzwi były zamknięte na klucz od środka. Zapukał delikatnie, nie chciał

wystraszyć anioła.

– Licho? Jesteś tam?

Przez dłuższą chwilę za drzwiami panowała cisza, aż w końcu usłyszał szybki, stłumiony tupot. Klucz gładko przekreślił się w zamku. Ułamek sekundy później mała, skrzydlata istota zawisła zaskoczonemu Konradowi u szyi, tuląc z całej siły i piszcząc coś niewyraźnie. Na wszelki wypadek królik pokicał pod przeciwległą ścianę. Nie życzył sobie skończyć w charakterze wdeptanej w parkiet mozaiki.

– ...cięż!

– Słucham?

– Wróciłeś, alleluja! – Siąknęło. – Naprawdę wróciłeś!

Łagodnym ruchem postawił anioła na ziemi i przykucnął, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. Tęcza, rozświetlona radością i pełne łez.

– Myślałeś, że nie wrócę?

Energicznie pokiwało głową, siąkając raz po raz, a Konrad poczuł, jak wyjątkowo zjadliwy wyrzut sumienia kąsa go po piętach. Nie mógł z ręką na sercu powiedzieć, że ten pomysł nie przyszedł mu do głowy. Bo przyszedł. Ba, od miesiący urządzał tam sobie regularne przechadzki.

Teraz, gdy patrzył na bezradne, usmarkane Licho, które najbardziej na świecie lękało się, wcale nie bezpodstawnie, że prędzej czy później Konrad je odtrąci na dobre, porzuci niczym psiaka pod sklepem, zrozumiał. Był egoistą. Niecierpliwym, nieodpowiedzialnym egoistą z cholerycznymi inklinacjami, skupionym wyłącznie na czubku własnego nosa. Chciał się pozbyć Szczęsnego, ponieważ ten irytował go wścibstwem i nieskrępowanym poetyckim szałem. Prawie pozwolił sobie odebrać rodzinnego anioła stróża, beztrąco uznawszy, że u pierwszych lepszych obcych będzie mu lepiej, bo on nie ma pojęcia o wychowywaniu i absolutnie nie nadaje się do tej roli, skoro nie przewidział akcji z patelnią i całego mnóstwa pomniejszych katastrof. W dodatku mimo grudniowych przeżyć, choć dały mu sporo do myślenia, wciąż się głowił, jak by się tu pozbyć zobowiązania, jakie na przekór Majce wziął na swoje barki, wmawiając sobie, że przecież tym razem postępuje naprawdę rozsądnie.

I nawet przez chwilę nie myślał o małym, zasmarkanym Lichu, którego może wcale nie potrzebował, lecz które za to bardzo, ale to bardzo potrzebowało jego.

Wziął głęboki wdech.

– Licho, to ty napisałeś ogłoszenie? – zapytał spokojnie. – To na misiach-pysiach?

– Uhm. Jesteś bardzo zły?

– No... nie, nie jestem – odparł po krótkim wahaniu. – Ani bardzo, ani odrobinę. Ale czemu to zrobiłeś? Dlaczego uznałeś, że jestem samotny i szukam miłości? – z kieszeni spodni wyciągnął trochę pomietą chusteczkę i niezdarnie wytarł pucułowate policzki anioła, po których spływały łzy jak grochy.

– Bo... bo ty ciągle byłeś taki smutny, a ja chciałem, żebyś wreszcie zapuścił u nas korzenie. Żebyś nie odchodził, tylko założył rodzinę, alleluja, bo... bo prawdziwemu chłopu do szczęścia trzeba rodziny, o! I tego takiego... o, rozsiewania, Szymon tak mówił.

Chyba muszę zamienić z Kusym parę słów, pomyślał Konrad. Takich męskich. I nauczyć go, jak się gryźć w język.

– Posłuchaj teraz uważnie, dobra? Wbrew temu, co ci nagadał Kusy, rodzina to niekoniecznie żona i rozsiane z nią dzieci. Rodzina to ludzie... no, nie zawsze, ale przeważnie ludzie, z którymi chcesz się dzielić każdą chwilą, dobrą lub nie. Może kiedyś się ożenię, nie wiem. – Pokręcił gwałtownie głową. – Zresztą, nieważne, i tak tego nie zrozumiesz. A rodzinę już w zasadzie mam. No, może trochę odbiegającą od normy, bardziej protetyczną, ale mam. Samo pomyśl. Ty jesteś trochę jak dziecko, z całym dobrodziejstwem inwentarza, Krakers zajmuje się domem lepiej niż większość żon i jeszcze lepiej marudzi, gdy mu czegoś w spiżarni zabraknie, Zmora grzeje mi łóżko, a ten obszczymurek parchaty – spojrział spode łba na Rudolfa Valentino – dba, żebym przypadkiem nie miał zbyt często dobrego humoru. A Szczęsny... no... – odetchnął. – Szczęsny... Cóż, miło, że jest, jaki jest. Bo mógłby być bardziej. – Przypomniał sobie panicza w spódnicy i aż nim zatrzęśło. – Teraz po prostu muszę się pogodzić z myślą, że pod wieloma względami moje życie potoczyło się trochę inaczej, niż planowałem, owszem, ale koniec końców może wcale nie tak źle, jak mi się do tej pory wydawało.

– A... alleluja, a czy ty jesteś z nami szczęśliwy? – pisnęło, już trochę suchsze.

Konrad odetchnął ciężko.

– Nie, Licho. Ja w ogóle nie jestem szczęśliwy – odparł szczerze po chwili głębokiego namysłu. – Ale... ale jeśli kiedykolwiek gdziekolwiek będę szczęśliwy, to równie dobrze mogę być właśnie tu, choć jeszcze dziś rano prawie dałbym sobie rękę uciąć, że raczej wybiorę miasto. – Pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć we własne słowa. – Dobra, dość tego smęcenia, idziemy na dół. Przywiozłem ci taką bajerancką szcnotkę do kurzu, teleskopową,

z różnymi końcówkami. Tylko najpierw mi coś obiecaj. Nigdy więcej misiów-pysiów, zgoda?

– Zgoda!

Mężczyzna chwycił anioła za rękę i powędrowali w stronę schodów, a za nimi pokicał różowy gryzoń, żądny towarzystwa i czegoś do chrupania.

Muszę wreszcie zapomnieć o Majce i zacząć z nim spędzać więcej czasu, pomyślał jeszcze Romańczuk, gdy byli już w połowie drogi na parter. Rozmawiać, wyjaśniać, o, może mu kupię jakieś gry planszowe czy puzzle...

– Konrad, a co to właściwie jest ten plemnik?

...i odciąć dostęp do internetu. Zdecydowanie.

4. Cierpienie i wielokropki

Po blisko trzydziestu minutach błądzenia we mgle Mieszko Natolski, świeżo upieczony kurier firmy Metropolia, był pewien już tylko jednego – droga biegła.

Dokładniej rzecz ujmując, biegła znikąd donikąd przez kompletne zadupie, gdzie diabeł mówi nie tylko „dobranoc”, lecz także „dzień dobry”, „do widzenia”, a w akcie rozpaczy nawet „kup pan cegłę”. Wydawała się nie mieć końca, brak ten nadrabiała jednak mnóstwem łagodnych zakrętów. Snuła się przez wiosenny las, monotonna, szara, otulona mgłą i jakaś taka dziwnie... równa. Bez dziur wielkości małego krateru wulkanicznego, bez kolein, z których nie sposób się wydostać bez drabiny strażackiej, oraz bez innych arcypodstępnych pułapek, jakie w tym województwie zwykły czyhać na Bogu ducha winne zawieszenie czy koła. Lepszej drogi kierowca nie mógłby sobie wymarzyć nawet w najśmielszych snach – czyli tych z klaksonem, wycieraczką i dywanikiem z fikuśnego filcu...

Mieszko trochę zbyt nerwowo zredukował bieg, pozwalając, by van sunął leniwie przed siebie, podczas gdy on sam toczył zaciekły bój z mapą.

– *Za. Pięćdziesiąt. Metrów. Skręć. W prawo.*

– Jadźka, weź ty się lepiej przymknij, co? – warknął na GPS, który uparcie kazał mu skręcać w nieistniejącą drogę. – Ja pitole, masakra...

– *Zjechałeś. Z trasy. Wyznaczam. Nową. Trasę. Za. Tysiąc. Dwieście. Metrów. Skręć. W lewo.*

Opony zapiszczały na asfalcie.

Mieszko zazgrzytał użębieniem, niechcący rozgryzając szczątki dawno wypalonego papierosa – bez filtra, takiego dla prawdziwych mężczyzn, co to w płucach mają kilkucentymetrową warstwę azbestu. Po pięciu minutach, gdy już przestał pluć na wszystkie strony tytoniem, zawrócił i podjął na nowo wyszukaną konwersację z Jadźką.

– *Zjechałeś. Z trasy. Wyznaczam. Nową. Trasę. Za. Pięćdziesiąt. Metrów. Skręć. W lewo.*

– No i co się wtrącasz? No co się wtrącasz? Jakie pięćdziesiąt metrów, w co mam skręcić, w te chabazie parchate czy co to za badył tam rośnie? Nie, to jakaś masakra jest... Ślepa komenda jedna, dać babie mapę, to cię prosto do rowu...

– *Za. Dwadzieścia. Metrów...*

– Za. Dwadzieścia. Metrów. Wpakuj. Się. Na. Drzewo. – Zatrzymał się na zwirowym poboczu i zaczął się wpatrywać intensywnie w skryty we mgle i chaszczach teoretyczny skręt niczym zezowata kobra w swój przyszły świeżutki obiad.

Chabazie parchate nie wykazały się ani krztyną obywatelskiej postawy i nie raczyły się rozstąpić. Wredna natura nie zamierzała współpracować.

– No w mordę jeża kopaną...

Mieszko był bliski hysterii. Drugi dzień w pracy, specjalnie wcześniej w trasę wyjechał, żeby ze wszystkimi przesyłkami się w czasie wyrobić, bo wiadomo, szefowie nowemu na ręce patrzą, oceniają, GPS, nówka nieśmigana, drze się w samochodzie, że teraz w lewo, mapy się ze schowka niemal wysypują, prostszej drogi być nie może... Jak nic wyjdzie na matoła, wywałą go, na pewno wywałą na zbity pysk! No nie, przecież nikt tej drogi przed nim nie schował, na pewno coś przeoczył! Zadzwoniliby do firmy, tyle że na komórce zasięgu ani śladu. No masakra...

Żując resztki papierosa, Mieszko to łupał podejrzliwie na las, dziwny jakiś taki, cichy i nieruchomy, to szarpał się z mapą, która uporczywie odmawiała udzielenia mu informacji, a Jadźka co chwila oznajmiała jednostajnym głosem, że ma skręcić w lewo i już. Tylko gdzie, skoro po lewej nie było nawet skrawka drogi?! Nic nie było, rów, badyle, a za badylami zasłona mleka jako element krajobrazu?!

Pewnie Mieszko zachowywałby się jak twardziel, a nie miękka ninja, gdyby nie ta cholerna mgła. Im bardziej się rozglądał, tym bardziej tam była – jakby coraz gęstsza, biało-sina... a może sino-biała? Sina, sina jak... jak... Nie, po prostu sina, tak, tak po prostu, normalnie, zwyczajnie, nie jak... Po prostu mgła. I wcale nie pochłaniała lasu drzewo po drzewie. Wcale. I jeszcze ta cisza, głucha, natrętnie dzwoniąca w uszach... Już dawno by wysiadł sprawdzić naocznie lub namacalnie, czy jednak nie ma tam jakiejś drogi, ścieżki chociaż, gdyby nie ta osaczająca go ze wszystkich stron cisza...

– Zza... zza... zzz... zzz... – zabyczała Jadźka, po czym zgasła.

Nad wyraz żywa wyobraźnia Mieszka, karmiona przez lata amerykańskimi horrorami klasy oznaczonej literkami, którym było znacznie bliżej do Z niż A, osiągnęła stan przedzawałowy. Odludzie jest? Jest. Mgła? Jest. Cisza upiorna? Bezruch całkowity? Ani żywego ducha, jak okiem sięgnąć? Telefon głuchy, znikąd pomocy? Wszystko jest, wszystko się zgadza, a to znaczy, że w lesie czyha zło. Zło wcielone, pierwotne, pradawne, oślizgłe, ale też trochę włochate, z dużą liczbą macek, rogów,

kłów i oczu, taki... taki... zmutowany pajak gigant! Zmutowany pajak gigant zombi żywiący się mózгами niewiniątek! Szeloba! Albo Tekla, największa zhora Mieszkowego dzieciństwa. Wszystkie dzieci *Pszczółkę Maję* oglądały, tylko nie on, bo się bał, że ten pajak nagle wysunie mechatę odnóże z telewizora i go dotknie...! Teraz co prawda Mieszko niejedno miał za uszami, jednak w tej chwili nie wątpił, że jest najbardziej niewinnym posiadaczem mózgu w okolicy, a to oznaczało, że bestia już się czai, już nadciąga, pełźnie... Nie, nie pełźnie, pajaki chyba nie pełzają... O, galopuje! Galopuje przez ten las, podstępnie, bo bezszelestnie, już, już wyciąga po niego owłosione macki...!!!

I wtedy rozległ się cichy, lecz przeraźliwy zgrzyt.

Wyobraźnia Mieszka natychmiast dostosowała wizję do okoliczności – ani chybi zmutowany pajak gigant galopował, zgrzytając zębami. I to galopował ręczo, bo zgrzyt się powtórzył, głośniejszy i jakby bliżej, a potem znów i jeszcze, i jeszcze, regularnie, raz za razem, coraz bliżej i bliżej oszołomionego Mieszka...

W oddali błysnęło światełko, słabe, blade i zimne, z trudem przebijało się przez gęstą mgłę. Kilkanaście zgrzytów później w ślad za nim z biało-sinych kłębow wyłoniła się rowerzystka od stóp do głów ubrana na szaro, z grubym warkoczem kołyszącym się na plecach.

Mieszko odważył się mrugnąć. Przełknął ślinę. Znów mrugnął. Nie dostrzegł żadnych macek ani innych nadprogramowych kończyn, rogów czy skrzydeł, za to rytmiczne zgrzyty słyszał coraz wyraźniej, w miarę jak rowerzystka się zbliżała. Zlewałaby się z mgłą, gdyby nie to migoczące przednie światełko i czerwona chustka owinięta wokół szyi... Ciekawe, co pod nią skrywa? Przedwczesne zmarszczki? Bliznę? Krwawiącą ranę? Dodatkową paszczę Szeloby...?

Rowerzystka zatrzymała się tuż obok vana i wbiła chłodny, martwy wzrok w Mieszka.

Słowa jakoś nie chciały się precyzować przez jego wyschnięte usta, więc po prostu wysunął przez okno rękę z kartką, na której miał zapisany adres. Nieznajoma nic nie powiedziała. Skinęła głową w stronę badyli, a potem odjechała, zgrzytając przeraźliwie pedałami.

– *Skreć. W lewo.*

No i to by było na tyle w kwestii galopujących pajaków.

Z westchnieniem ulgi Mieszko odpalił, przestawił światła na przeciwmgielne i bardzo, ale to bardzo ostrożnie skreślił prosto w badyle. Wbrew temu, co podszeptowała mu wyobraźnia, nie wjechał prosto do

bagna pełnego wygłodniałych zombi, odetchnął więc z wyraźną ulgą i przestał tak kurczowo trzymać się kierownicy.

Po kilkunastu metrach widoczność wyraźnie się poprawiła, jakby mgła przykleiła się do głównej drogi, boczne zostawiając w spokoju. Między drzewami wiła się szeroka ścieżka, w sam raz na samochód, tu i ówdzie naznaczona głębokimi koleinami, w których stała woda. Ktoś musiał tędy często jeździć, istniała zatem całkiem spora szansa, że na końcu tejże ścieżki nie czyha zmutowany pająk gigant – w końcu trudno by mu było prowadzić, nie mówiąc już o uzyskaniu prawa jazdy – lecz prawdziwy, żywy i całkiem normalny człowiek, adresat spoczywającej na tyłach wana przesyłki. Gdzieś w oddali odezwał się jakiś ptak, gałęzie z szelestem ocierały się o karoserię samochodu, a wysoko między nimi błysnęło nieśmiało słońce.

Wyraźnie rozpromieniony tym nagłym ożywieniem świata Mieszko wrzucił dwójkę i wyjechał pomiędzy drzew na rozległą polanę.

I natychmiast stanął jak wryty, a pieśń zwycięstwa zamarła mu na ustach.

Na wprost, widoczny jak na dłoni, był dom. Piętrowy, z przybudówką i oszkloną werandą, zadbane i najwyraźniej całkiem niedawno odnowiony. Z jednej strony rosło przed nim okazałe, posępne drzewo, z drugiej znajdował się staw. Bez wątpienia był to najprawdziwszy gotycki dom z najprawdziwszą wieżyczką, dość wiekowy, otulony pasmami rzednącej pomału mgły – i tylko rozwieszane z boku kolorowe pranie psuło podszyty grozą efekt ogólny, jednak wstrząśnięty do głębi Mieszko nie zwrócił na nie uwagi, tak bardzo pochłoneła go walka z wyobraźnią, która podsuwała mu wyłącznie najbardziej upiorne wizje tego, co czai się w środku. Ot, hordy domorosłych naukowców – głównie chemików, alchemików i saperów amatorów – ich asystenci z obowiązkowym garbem, zezem i wadą wymowy, czarnoksiężnicy mażący po ścianach pentagramy i okultystyczne napisy w rodzaju „hokus pokus, abrakadabra, ene, due, rike, fake”, mumie, zombi, wilkołaki i całe stada żądnych krwi nietoperzy.

I pająki. Mnóstwo mechatych, upasionych pajaków.

W zaistniałych okolicznościach przyrody wykręcenie i zaparkowanie tyłem do ganku niemal przekroczyło możliwości pobladłego Mieszka. Miotał się za kierownicą dobrych parę minut, zanim zdołał jako tako ustawić samochód. Wbrew zdrowemu rozsądkowi i kurierskim zwyczajom wypakowując zawczasu właściwe pudła, co rusz zerkał za siebie i niewiele brakowało, by w trybie przyspieszonym wyrobił sobie zeza rozbieżnego. Ani

chybi za drzwiami gotyckiego domu czaiło się zło, pradawne i głodne, gotowe zeżreć na surowo pierwszego niewinnego kuriera, jaki mu się nawinie pod odnóże.

I w dodatku zło na przymusowej diecie drobiowej – albowiem cała weranda usiana była białym pierzem...

Z głową pełną makabrycznych wizji rodem z dzieł sztuki filmowej typu *Moja macocha jest wilkołakiem z Marsa*, spocony jak mysz w połogu Mieszko zdobył się na tytaniczny wysiłek. Nacisnął dzwonek.

Spodziewał się ogłuszającego gongu. Mrocznego wycia. Jeżącego włos na głowie szatańskiego chichotu. A tu rozległo się najzwyklejsze ding-dong. I już.

Drzwi otworzyły się szybko, zbyt szybko, jakby postać, która w nich stała, czyhała zaraz po drugiej stronie, obserwując nadciągającą ofiarę przez dziurkę od klucza, by w mgnieniu oka wciągnąć ją do swego leża, połknąć, popić i strawić. Był to upiór, smętnie posępny i blady, ani chybi świeżo powstały z trumny czy inszej krypty. Spomiędzy wzburzonych pukli wyzierały na wpół nieprzytomne oczy, w których płonęło pozagrobowe szaleństwo i głód krwi – z pewnością konkretnej, tej Mieszkowej, smakowitego A Rh—. Upiór stał bosy, w rozchełstanej koszuli z dziwacznym kołnierzem i mankietami z koronki, przygarbiony pod niewidzialnym dla śmiertelnika ciężarem ponurych rozważań i żądz.

Mieszko pisnął i przycisnął tablet mocniej do piersi w bezwarunkowym odruchu chronienia najistotniejszych życiowo organów.

– Wielkiś uczynił hałas w domu moim – odezwał się upiór szeptem przejmującym i grobowym, mrużąc odwykłe od światła, przekrwione oczy. – Cóż cię do mnie przywiodło o porze tak nieludzkiej?

Gdzieś w najgłębszej czeluści Mieszkowej duszy odezwał się pewien instynkt. Wiekowy, niegdyś reagujący na najmniejszą nawet sugestię kłów i pazurów wyglądającą zza krzaczka. Teraz, choć zasuszony na wiór i zabalsamowany stuleciami zapomnienia, ruszał się wyjątkowo dziarsko jak na staruszka, machając do chłopaka i drąc się na całe gardło: MIESZKOOO, CHŁOPIE, CHODU, CHOODUUU!

– Przemówisz, człecze, czy po wsze tudzież wszawe czasy tak sterczeć będziemy? – upiór wykrzesał z siebie iskrę zainteresowania.

Wciąż niezdolny do wydania dźwięku bardziej skomplikowanego niż piśnięcie, Mieszko skinął głową w stronę piętrzących się na werandzie kartonów.

I wtedy ręka upiora wystrzeliła niczym żmija w stronę sparaliżowanej

strachem ofiary, łapiąc ją za nadgarstek, zaś na jego śmiertelnie bladej twarzy rozkwitnął krwiożerczy uśmiech...

Zbliżała się ósma trzydzieści, gdy Krakera obudziło nieznośne rwanie w mackach. Jak co roku za sprawą wiosennych opadów w piwnicy robiło się odrobinę za wilgotno, nawet jak na jego potworny gust. Ziewnął jedną paszczą, potem drugą, ukrytą w pierwszej, a na koniec obydwoma naraz, po czym przetarł zestaw czarnych oczek.

Coś się świeciło. Coś nadciągało w stronę Lichotki – coś znacznie młodszego i mniej oślizgłego niż Krakera o tej porze roku, lecz równie potwornego w swej złowrogiej naturze. Było jeszcze daleko, zbliżało się jednak rącho i nieuchronnie. Czuł to wyraźnie w każdej przyssawce.

Odlepiwszy się od legowiska przy akompaniamencie cichych plaśnień, Krakera wystawił macki na światło dzienne i zabulgotał pytająco.

– Szczęśny? W barłogu zalega, jeno mu kulasy spod pierzyny wystają – odparł bladej upiór, który siedział w holu na podłodze i z nożem do tapet w garści dobierał się do pancernie zapakowanego kartonu.

– Sam żeś kulas! – prychnął drugi upiór, wystawiając rozczochrany łeb na korytarz. – I przestań być mną! Ja sobie wypraszam!

Krakera z rezygnacją wzruszył mackami i wziął się do smażenia jajecznicy, podczas gdy jedno widmo, romantyczne i jasnowłose, darło paszczę z sypialenki, a drugie, bardziej współczesne i kolorystycznie mroczniejsze, prychało w odpowiedzi pomiędzy paczek.

Każdy poranek wyglądał właściwie tak samo, odkąd przed dwoma miesiącami Konrad, niespodziewanie zainspirowany atakami charakteru panicza, zaczął pisać powieść w dziewiętnastowiecznych klimatach. Praca pochłonięła go bez reszty. Dniami i nocami studiował źródła, tworzył hektary konspektów, snuł i wiązał ze sobą poszczególne nici intrygi w skomplikowaną sieć, której nie powstydziliby się żaden pająk. Spał mało, karmił się głównie kawą i praktycznie nie wyściubiał nosa z domu, przez co szybko zaczął przypominać upiora. Przy okazji przedawkował Mochnackiego i paru innych autorów z epoki, którzy od czasu do czasu, zwłaszcza po co bardziej pracowitej nocy, rzucali mu się na słownictwo i składnię. W rezultacie Konrad stał się poniekąd wersją panicza, bądź co bądź żywcem czy raczej trupem ze stosownej epoki wyjętego – wersją nie tylko utrzymaną w innej gamie kolorystycznej, lecz w dodatku udoskonaloną, bo całkowicie żywą i bez uciążliwego dla otoczenia pierdolca

– zaś Szczęsny i jego miłość własna cierpieli z tego powodu za całą ludzkość i jeszcze trochę bardziej. Zazdrość zżerała ich bez sztuców, zachłannie oblizując palce.

Wymiana poglądów na temat domniemanego zawłaszczenia tożsamości rozwijała się w najlepsze, kiedy z wieżyczki wydreptało zaspane Licho z królikiem pod pachą.

- Dzień dobry, alleluujaaa – ziewnęło. – A co to za pudła?
- Pamiątki młodości mej durnej i chmurnej – wyjaśnił Konrad.
- Plagiator!
- Pacan!

Licho odstawiło królika, przycupnęło obok otwartego kartonu i zaczęło w nim grzebać z rosnącym zaciekawieniem, podczas gdy nad jego aureolką Szczęsny i Konrad przerzucali się z zapałem inwektywami, z jakichś powodów trzymając się wyłącznie tych na P.

- Patafian!
- Pterodaktyl!

– O, a to coś się kręci... I kłuje! – Zafascynowane dziwnym znaleziskiem Licho odruchowo wpakowało skaleczony palec do buzi.

Kręcącym i kłującym urządzeniem okazał się nie kołowrotek rodem ze *Śpiącej królowy*, ale najzwyklejszy gramofon Unitra, spoczywający w pudle wraz z winylowymi płytami, które w okamgnieniu wzbudziły zachwyt anioła. W rezultacie równo z wybiciem dziewiętej domownicy zasiedli do śniadania przy dźwiękach pierwszej z wielu starych bajek muzycznych, zaś Konrad ze zdumieniem odkrył, że wciąż pamięta niektóre dialogi, a nawet całe piosenki.

Nim nadszedł wieczór, znało je również Licho. I, chcąc nie chcąc, cała okolica.

Wkrótce potem nadszedł koniec kwietnia, ku radości utopców ciągnąc za sobą obrzydliwą pluchę. Z dnia na dzień coraz chudszy i bledszy Konrad każdą chwilę przytomności poświęcał na pracę i prawie już nie wychodził ze swoich pokojów, za jedyne towarzystwo mając Zmoreę, która od rana do nocy niemal bez przerwy drzemała na jego kolanach. Resztę dożywotników, chcąc nie chcąc, pozostawił samym sobie.

Tak się jakoś złożyło, że żadne z nich nie miało nic przeciwko temu.

Krakers zdążył się oswoić ze złymi przecuciami. Jak gdyby nigdy nic zajmował się domem, głównie pod względem gastronomicznym, lecz na

wszelki wypadek zawsze miał pod macką przynajmniej jedno narzędzie do siania zagłady na skalę indywidualną. Stwór ciemności czuł coraz wyraźniej, że coś nadciąga.

Z kolei Rudolf Valentino poświęcał czas na recykling surowca wtórnego w postaci pustych już kartonów, które zalegały w rogu holu. Ich cudowny smak śnił mu się po nocach, sprawiał, że aż swędziały go zęby. Co prawda królik nigdy nawet nie słyszał o ekologii, biodegradacji i tym podobnych sprawach, lecz jako dziecię natury, tylko trochę zmodyfikowane kolorystycznie, czuł podskórnie, co należy robić. A że każda próba gryzienia mebli albo tapet kończyła się dla niego trzepaniem ogonka, zaś na konsumpcję kartonów nikt specjalnie nie reagował, jeśli nie liczyć zamiatania szczątków, wybór był dość prosty.

Licho natomiast... Cóż. Licho odkryło nową pasję i oddawało się jej z zapalem, co w tym przypadku oznaczało zdzieranie gardła od rana do nocy.

– Jasne słońce późno dziś wstało, zagrać na trąbie czasu nie miało, zagrać na trąbie czasu nie miało – piszczało wesoło, choć dość fałszywie, płasząc po pokojach i walcząc z nieśmiało gromadzącym się kurzem. Z kuchni dobiegało mrużąc Krakersa, który też lubił piosenkę z Alicji w Krainie Czarów. I anioł, i stwór ciemności mieli dziwną słabość do słońca. – Więc się zbierają zewsząd gromadnie, za chwilę pewnie zatrąbi ładnie, za chwilę pewnie zatrąbi ładnie.

Stare bajki muzyczne zawładnęły świadomością anioła i niemal wykończyły nieszczęsny gramofon. Pozostałe pamiątki Konrada wylądowały na dnie szafy, gdzie ponownie popadły w zapomnienie, podczas gdy płyty na przemian kręciły się jak oszalałe, rozgrzewając niemal do czerwoności.

Nikommu jednak nie przyszło do głowy zainteresować się, co porabia puszczony samopas Szczęsny. Już wkrótce miało się okazać, jak wielki był to błąd.

To znaczy większy niż zwykle.

W końcu chmury wycisnęły z siebie deszcz do ostatniej kropelki, a wietrzyko pohulało dalej, zostawiając pełne pole do popisu słońcu, które grzało, nadrabiając zaległości.. Zieleniejące z każdą chwilą drzewa szumiały rozkosznie, zaś w stawie taplały się utopce. Po niedawnym błocie nie został nawet ślad, droga od szosy była więc sucha jak wiór.

W tak sprzyjających okolicznościach przyrody złoty matiz zajechał pod Lichotkę bez najmniejszego trudu, nie wspominając o szpecących lśniący lakier nieestetycznych plamach błota.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się cicho, po czym z wnętrza złotego samochodu wyłoniły się nogi w kozaczkach. Nogi były bardzo długie i szczupłe, w kryjących rajstopach, kozaczki zaś godne muszkietera z ułańską fantazją i niebywałym zmysłem równowagi. W ślad za nimi wyłoniła się tak zwana reszta przedstawicielki płci pięknej. Tuż pod miejscem, w którym obleczone w czerń kończyny dolne bezpowrotnie traciły szlachetną nazwę, zaczynała się niebotycznie wąska sukienka typu skarpetka z golfem, cała w lamparci deseń. Kilogramy złotych bransolet na nadgarstkach, sięgające ramion kolczyki à la żyrandol, czerwone tipsy, makijaż na wściekłą pandę, urozmaicony przyklejonym do warg papierosem, oraz wyraźnie wstrząśnięta, dość krótka fryzurka dopełniały całości, konsekwentnie utrzymanej w konwencji „jestem widoczna, jestem bezpieczna”. York, którego tak odziana niewiasta trzymała pod pachą, z łatwością umknąłby uwadze najczujniejszego nawet obserwatora.

– Dzień dobry, alleluja. – Odstawiwszy miednicę z praniem na schodki werandy, Licho uśmiechnęło się przyjaźnie do nieznanym. Wewnętrzny przymus gościnności w okamgnieniu zadusił wspomnienia konsekwencji ostatniej rozmowy anioła z nieznanymi i skrętnie pogrzebał zwłoki.

Ta w odpowiedzi wypuściła nosem smugi papierosowego dymu, pstryknęła alarmem i ruszyła w jego stronę, balansując na szczycie niebotycznych szpilek.

– Espresso z odtłuszczonym mlekiem, pół na pół. Do tego kostka trzcinowego cukru, w najgorszym razie może być słodzik – oznajmiła Lichu, wciskając mu yorka w objęcia. – To dla mnie. A dla niego woda mineralna, lekko gazowana. Bagaż, wiadomo – dorzuciła aniołowi kluczyki do matiza, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem spod usztywnionych tuszem rzęs. – Czarna torba od razu do kuchni. Konrad?

Pytanie zawisło w powietrzu.

– Kon-rad? – wycedziła kobieta po chwili ciszy.

– Ro-mań-czuk? – upewniło się Licho, z zainteresowaniem oglądając kudłate pół psa we włóczkowym kaftaniku, które mu wręczono. York zaczął się telepać z emocji.

– Nie, Wallenrod.

– A to nie znam. – Kichnęło przeprasząco. – Ale zapytam naszego Konrada, na pewno będzie coś wiedział o tym pani Konradzie, bo on

w ogóle wszystko wie. I alleluja! – zawołało i już pędziło schodami na piętro.

Wszystkowiedzący Konrad Romańczuk właśnie z zapalem popełniał scenę o lekkim zabarwieniu erotycznym, kiedy niespodziewanie usłyszał za plecami cichy szelest piór. Lecz dopiero jazgotliwy, obrzydliwie znajomy warkot wyrwał go z zamyślenia.

Odwrócił się, tknięty bardzo, bardzo, naprawdę bardzo złym przecuciem.

– Bo tam jest taka pani, alleluja...

– Nie... – jęknęła boleściwie dusza Konrada.

– No tak, jest...

– Litości, nie...

Licho się stropiło.

– No jak nie, jak tak, na werandzie jest...

York zaczął warkotać na wyższych częstotliwościach. Teraz telepał się już cały, od mizernego ogonka aż po tradycyjną czerwoną kokardkę na czubku łepetynki.

Niewiele myśląc, Konrad zmrużył oczy, wyszczerzył zęby i wydobył z siebie dźwięk, który mógłby zawstydzić nawet samego Krakera.

– O, wy się znacie! – Rozpromienił się anioł, gdy pół psa w jego objęciach zaczęło miotać się i jazgotać przeraźliwie, usiłując skoczyć mężczyźnie do gardła, a przynajmniej do kostek, aby rozerwać mu jeśli nie tętnicę, to chociaż kilka naczyń włosowatych. Albo parę skarpetek.

Konrad bezczelnie zignorował krwawe żądze yorka. Szybko naciągnął bluzę i zbiegł na dół, niemal spychany ze schodów przez przecucia najczarniejsze z czarnych.



– Gorszego zadupia nie znalazłeś? – kobieta powitała go serdecznie z wyżyn swoich szpilek. – Mało dekli nie pogubiłam na tych wertepach. Rany boskie, Konrad, jak ty tu możesz mieszkać? W takiej dziurze! Przecież to zabytek, w dodatku w cokolwiek jarmarcznym guście. Nie mogę uwierzyć, że zamieniłeś mieszkanie w centrum miasta, siedem tysięcy za metr, na ten sypiący się strach w zameczku. I jak ty w ogóle wyglądasz? Ogolony byle jak, włosy do ramion, jak tyś się zapuścił! A do tej bluzy to ci już tylko łańcucha i beemki brakuje. Dziadziejiesz, Konrad, dziadziejiesz na

stare lata! Kawa, czy ja tu dostanę wreszcie jakąś kawę! – z tymi słowami wkroczyła do Lichotki, otoczona kłębem papierosowego dymu własnej produkcji.

– Raczysz mi zdradzić, po co tu przybyłaś, z czeluści piekieł uprzednio się wydobywszy, na domiar złego taszcząc ze sobą ten przenośny podnózek? – zapytał Konrad, otwierając kolejną szafkę w poszukiwaniu słodziku.

York zajazgotał spod kuchennego stołu. Pod względem niechęci do Romańczuka śmiało mógłby konkurować z królikiem, choć miał pod tym względem zdecydowanie dłuższy staż.

– Po książkę. Zamierzam cię motywować do wyteżonej pracy.

– Chyba raczej nadzorować? Batogiem subtelnie poganiać...?

Wzruszyła kościstymi ramionami.

– Też mi różnica. Ignorowanie moich maili opanowałeś do perfekcji, postanowiłam więc wykorzystać długi weekend i zmusić cię do pracy osobiście. – Agentka uśmiechnęła się złośliwie. – Najwyższa pora powtórzyć zbiórkę bielizny.

– Bardzo śmieszne... – mruknął Konrad, starając się wyprzeć ze świadomości wspomnienie pantalonów panny Bercikówny. Zamknął szafkę.

– Obawiam się, że w tym domu słodzik nie występuje. Służę za to białym cukrem w zatrważających ilościach.

– Białą cukier to biała śmierć.

– No właśnie.

Wymienili jadowite uśmiechy.

– Chcę książkę. – Agentka wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa. – Drugi tom opowiadań, dawno obiecany. Teraz, zaraz. Kilka wydawnictw się nim interesuje. Pamiętają targi, kojarzą cię, twoje teksty i futrzaka, chcą negocjować umowę, ale do tego muszę mieć już gotową książkę w dłoni. Nie pozwolę ci tego spierdzielić, masz pisać, wydawać.

– Piszę wszak nieustannie. A ty zważ, co mówisz, w tym domu są... hm... dzieci.

– Mówisz o tym matołku w bamboszach?

– To nie jest żaden matołek, tylko Licho. Anioł. – Po paru latach znajomości z agentką Konrad wiedział doskonale, że może przy niej mówić otwarcie nie tylko o własnym aniele stróżu, potworze w piwnicy czy utopcach w stawie, ale choćby o wpadających regularnie na kawę i ciasteczko zielonych ludzikach z Saturna. W jej prywatnym wszechświecie

zjawiska nadprzyrodzone po prostu nie istniały. I już. To zaś załatwiało wszystko – przecież trudno widzieć czy uznawać za rzeczywiste coś, co nie istnieje. O wiele łatwiej to po prostu racjonalnie zignorować. – I zważ z łaski swojej, co przy nim mówisz. – Pogroził jej palcem.

Wzruszyła ramionami.

– Jasne, anioł. A ja jestem Maria Antonina. Po dekapitacji – dodała, po czym zaczęła wyliczać na uzbrojonych w tipsy palcach. – Chodzi w bamboszach i peruce z celofanu, nosi sztuczne skrzydła i doczepioną aureolę. Jak na mój gust, dzieciak ma równo narąbane pod deklek.

Od razu widać, że jeszcze Szczęsnego nie poznała, pomyślał Konrad. Z niezrozumiałych przyczyn od razu zrobiło mu się raźniej na duchu, choć tak naprawdę powinien zacząć się niepokoić. I to bardzo.

– Na twoim miejscu pozbyłabym się tego idiotycznego domu razem z tymi, no, męczennikami.

– Dożywotnikami.

– Jeden pies. Masz pisać – postukała tipsami po kuchennym stole – i wracać do miasta, gdzie jest twoje miejsce, a nie tkwić na tym parchatym zadupiu w towarzystwie jakiegoś Liszaja.

– Licha. Moje miejsce jest tutaj i tylko tutaj. – Wziął głęboki oddech i zdobył się na wyznanie. – Zresztą klamka zapadła, mieszkanie w mieście w końcu sprzedałem znajomemu. Dopiero co odesłał resztę moich rzeczy, jeszcze się po domu kartony walają. Nic mnie już w mieście nie trzyma.

– Doprawdy?

– Doprawdy. – Postawił przed agentką kubek w kwiatki. – Proszę bardzo, espresso po lichocku. Rozpuszczalna lura ze zwykłym mlekiem i białą śmiercią w ilościach zdolnych powalić słonia. A tak poza tym piszę cały czas. Powieść.

– Za wolno.

Konrad zazgrzytał zębami.

– Białka oczu zetną mi się niedługo, tyle przed komputerem ślęcę. Szybciej już nie daję rady, muszę czasem sypiać.

– No, tu bym z tobą polemizowała. I nie marudź, Konrad, ty ostatnio nic tylko marudzisz. No, nic dziwnego, w tej ruderze, z dala od normalnych ludzi i normalnego życia pewnie też się nabawię depresji... Co my dzisiaj mamy? A, czwartek, pierwszego. Czyli w niedzielę wieczorem wracam do miasta. Z plikiem na piórku... i odpowiedziami na parę pytań. No, na co czekasz? Przestań na chwilę marudzić i weź się wreszcie do prawdziwej roboty. Dawaj to powieścicidło, raz, raz, niech no zobaczą, na co tracisz czas.

Jatkę czas zacząć!

– Raczej niehonorowe krwiodawstwo – mruknął pod wąsem Romańczuk, posłusznie wędrując na piętro po laptopa i notatki. Nie bez powodu nazywał agentkę wampirzycą – w jakiś tajemniczy sposób wysysała z niego cały entuzjazm i siły życiowe, a przy okazji teksty. Bez mrugnięcia okiem zmieniała go w jednoosobową wytwórnę słów, po czym wyrywała prosto z gardła akapit za akapitem, stronę za stroną i ciągle żądała więcej. Szybciej. Lepiej. Bardziej.

Rozłożyli się przy kuchennym stole i zabrali do pracy. Konrad warczał nad klawiaturą, coraz bledszy i wścieklejszy, że ktoś ośmiela się deprecjonować kolejne dzieło jego życia, zaś agentka skupiła się na odmianie rzeczownika „chłam” przez wszystkie przypadki, od czasu do czasu dodając jakiś przymiotnik, zwykle „wyjątkowy”. W ruch poszedł krwiście czerwony cienkopis, dzbanek kawy i resztki ciasta orzechowego, uzupełnione paluszkami.

Żarli się właśnie zawzięcie nad przyjętą przez Konrada konwencją, kiedy do kuchni zawitało Licho. Uśmiechnąwszy się przyjaźnie do kobiety, dyskretnie psiknęło tu i ówdzie cytrynowym odświeżaczem powietrza, po czym uklękło przed drzwiami do spiżarki, wsadziło głowę przez klapkę i jak gdyby nigdy nic zaczęło ustalać z Krakersem plan obowiązkowo wielkich, późnowiosennych porządków.

– ...i trzeba by jeszcze umyć szyby na werandzie, alleluja, bo je strasznie deszcz upaprał i teraz są całe w ciapki.

W spiżarni zabulgotało donośnie, aż również upačkane szyby w kuchennych oknach zadrżały.

– Hm... – W zamyśleniu pomachało skrzydełkami. – To rzeczywiście problem. Ale zawsze mogę cię potem nakremować. – Wyciągnęło głowę ze spiżarni i spojrzało na Konrada tęczowymi oczyma. – Czy robią gumowe rękawiczki na Krakersy?

– XXXXXXL z jednym palcem?

– Albo z dziesięcioma. Krakers nie będzie wybrzydzał, może się ogumować w całości.

– Szczerze wątpię.

– Oj, to niedobrze... Planujemy wielkie mycie okien, a Krakersowi od detergentów ostatnio przyssawki wysychają...

I dla potwierdzenia tych słów wielka macka wyłoniła się ze spiżarni i zaprezentowała Konradowi poniesione szkody natury cielesnej.

– Kupię ci myjkę z rączką. I krem dla niemowląt, powinien pomóc –

zawyrokował Konrad, dokonawszy oględzin. Z wielkim zaciekawieniem zerkał na agentkę. Uznanie najprawdziwszego anioła za zwykłe, tylko średnio rozgarnięte dziecko przyszło jej z łatwością – i w zasadzie niezbyt minęła się z prawdą – jednak wielka, czarna macka wijąca się nad stołem to coś, co naprawdę trudno zignorować.

Agentka nie miała z tym jednak najmniejszego problemu.

– Nie, ta stylizacja w ogóle mi nie leży. „Po wieleż to razy przez tworzydła fantazji omamion”. Jak ja niby mam to sprzedać? I komu? No kto tak mówi, no kto? Skąd tyś to w ogóle wziął?

– Z życia, moja droga, z życia...

Licho tymczasem wdrapało się na szafkę i majtając wesoło nóżkami w bamboszkach, wyciągnęło pincetę z szuflady, która wypadła akurat na wysokości jego kolan, i zaczęło nucić:

– *Chcesz czy nie chcesz, chcesz czy nie chcesz, bardzo proszę się zastaaanóóów...*

– *Chcesz czy nie chcesz, chcesz czy nie chcesz nauczyć mnie modnych taaanóóów* – odruchowo zawtórował mu Konrad, wklepując do pliku kolejną notatkę.

Agentka uniosła wyskubaną brew w wyrazie zdumienia i dezaprobaty dla wokalnych talentów tego duetu. Złapała pierwszy z brzegu długopis i ostentacyjnie zaczęła nim pstrykać.

– Dziecko, tu się pracuje. Idź się gdzieś pobaw, poczytaj, podręcz mamunię...

– Apsik! Kiedy ja nie mam mamuni – odparło zgodnie z prawdą Licho, piórko za piórkiem depilując sobie skrzydło i od czasu do czasu popsikując odświeżaczem.

Makijaż na twarzy agentki lekko się pofałdował, gdy ukryte gdzieś pod spodem czoło się zmarszczyło. Kobieta zlustrowała anioła krytycznym wzrokiem, począwszy od różowych bamboszków, przez zdecydowanie za duży T-shirt z Myszka Miki, na lśniącej aureolce kończąc.

– No cóż, to wiele tłumaczy.

Świat zrobił się obrzydliwy. Wszystko naokoło zieleniło się na potęgę, różnorakie badyle z rosnącą śmiałością wystawiały się ku słońcu, które świeciło jak oszalałe na błękitnym niebie, a ptactwo coraz głośniej darło dzioby po chaszczach. Brakowało tylko wielkookich jelonków, hasających radośnie to tu, to tam, ewentualnie pływającej z koszyczkiem w garści

i pieśnią na karminowych ustach nadobnej dziewoi o królewskim rodowodzie. W okolicy grasowała tylko jedna nadpobudliwa wiewiórka na orzechowym głodzie i kilka zajęcy, wyraźnie zafiksowanych na punkcie przedłużania gatunku. Żaden z wymienionych elementów pejzażu, bez względu na stopień ruchliwości, nie pasował ni w ząb do ponurego mroku, jaki panował w czeluściach wielce zbolałej duszy Szczęsnego.

Pałętanie się bez celu weszło mu w nawyk. Przez parę miesięcy każdego ranka, niemalże skoro świt – który w jego przypadku wypadał mniej więcej w południe – panicz bez śniadania wyruszał na poszukiwanie źródeł natchnienia. Póki pogoda zniechęcała do życia, wszystko było dobrze, czyli niedobrze, smętnie, tęsknie i tak pesymistycznie, że niemal grobowo, w sam raz dla widma rozmiłowanego w stanach depresyjnych. Potem jednak przyszła obrzydliwie wiosenna wiosna i posępna wena przepadła bez śladu. Stan ten bezwzględnie wymagał interwencji stanowczej i bezzwłocznej.

Pewnej nocy, w ramach walki z coraz bardziej przyjazną aurą, zdesperowany Szczęsny zabrał się w końcu do wytężonej pracy nad nowym wizerunkiem. Uprawiania poezji przydrożno-wędrownej miał już po dziurki w nosie, nie tylko z uwagi na wszechobecną, obrzydliwą wiosenność, która z każdym dniem tylko się potęgowała, ale także wpisaną w ten model twórczości perspektywę trwałej bezdomności, zaniedbania higieny osobistej, pęcherze oraz zbyt bliskie spotkania z dziką zwierzyną w postaci bzyjących bądź pełzających robaczków, istot niezmiernie agresywnych. Najbardziej jednak deprymował go fakt, że nie za bardzo miał gdzie się pałętać z poezją z takim trudem z duszy wyciśniętą – nie mógł ruszyć się od domu dalej, niż wynosiła odległość od Lichotki do jego grobu, czyli niespełna mizerny kilometr w każdą stronę, przez niezbyt dzikie ostępy lasu wybitnie liściastego, w którym prędzej znalazłaby się chyba chatka na kurzej nóżce albo zastęp krasnoludków niż wielbiciel rytmów i rymów. Czajenie się przy szosie też spełzło na niczym. Nieliczne przejeżdżające tędy samochody, widząc panicza na horyzoncie, z niewiadomych powodów przyspieszały gwałtownie albo zawracały z piskiem opon.

W tak wrogiej kleceni wierszy sytuacji bytowej Szczęsny musiał znaleźć dla siebie wizerunek poety gardzącego ludzkością, przyrodą, zwierzątkami różnych rozmiarów, spacerami, wytworami przemysłu motoryzacyjnego, ogólnie wszystkim, czym tylko pogardzać się dało. Po długim i dogłębnym wysilaniu szarych komórek zdecydowanie odrzucił przetestowany już na nieżywym organizmie byronizm. Jak by nie patrzeć, trudno mieć w głębokim poważaniu cały świat, płasząc w spódnicy i pomponach, na

które bez przerwy poluje kocica z zestawem pazurów ostrych jak brzytwa. Lecz wiekopomne i brzemiennie w skutki odkrycie kompatybilnej z wewnętrzną smętnością i maniakalnym natchnieniem wizji nowego, poetyckiego ja jakoś nie nadchodziło. Mijały minuty, godziny, dni, a chwilowo ogołoceny z tożsamości Szczęsny przeżywał piekielne katusze. Trzecią z rzędu noc miotał się w pościeli, wzdychając rozdzierająco i rwąc pukle z głowy, aż wreszcie doznał objawienia.

Zerwał się grubo przed świtem i wyciągnąwszy spod łóżka przykurzony kartonik z akcesoriami, cichaczem przemknął do łazienki na parterze. Ostrożnie, tak by nie słyszał go już pracujący na piętrze Konrad ani wciąż chrapiący w piwnicy Krakers, nie mówiąc już o śpiącym w wieżyczce ciekawskim aniele, zamknął za sobą drzwi. Przepoczwarczenie się we właściwą formę poety sprawiło mu nieco więcej problemów, niż mógł przypuszczać, lecz zakończyło się pełnym sukcesem. Tuż przed ósmą rano odmieniony panicz wyruszył na ostatnią przechadzkę po lesie, aby zasiąść na swym grobie i powiadomić najbliższy skrawek świata, jak bardzo i w jakim stylu nim teraz gardzi.

Z mrocznymi myślami kłębiącymi się w głowie i paprochami w potarganych włosach wczesnym popołudniem wrócił do Lichotki. Na widok utopców, które radośnie taplały się w stawie, fuknął z pogardą. Ułamek sekundy później wielki kleks błota rozkwitł mu na plecach.

– Patrzcie go, jaki nadęty! A żebyś pękł, balonie! – zawołał jeden utopiec, a pozostałe zgodnie wywalily ozory.

– A żeby was, czarty, reumatyzm pokręcił! – wrzasnął równie życzliwie Szczęsny, znikając za drzwiami Lichotki. Dramatycznym gestem zdarł z siebie ubłocony frak i rzuciwszy go nonszalancko na podłogę, wkroczył do kuchni.

I zaraz zawrócił, trzymany za kołnierz przez wielką mackę, podczas gdy druga łagodnie sugerowała, by jednak nieco bardziej zadbał o własną garderobę.

– Wzrok dziki, suknia plugawa, fryzura pierunem wstrząśnięta – ocenił Konrad, odwracając się od stołu i zerkając na panicza w czułych objęciach potwora. – Ani śladu pompona, a zatem, jak mniemam, zbuntowany Zorba odchodzi do lamusa. Ale ten image to ja już chyba skądś znam – dodał po krótkim namyśle. – Będiesz znów kogoś wypłaszać? – W tym pytaniu kryła się wielka, niespecjalnie skrywana nadzieja.

Panicz prychnął na tyle pogardliwie, na ile pozwalała mu macka owinięta wokół klatki piersiowej.

– Od dziś jestem poetą przeklętym! – zapał dumnie i czym prędzej podniósł frak, by zawiesić go równo na kołku w sypialence.

Z cichym plaśnięciem macki poklepały go dobrotliwie po policzkach i zniknęły w spiżarni.

Konrad pokręcił głową, nie do końca przekonany.

– Raczej przeklinanym. I to bynajmniej nie od dziś – sprecyzował i wyszczerzył się złośliwie. – Nie chcę cię martwić, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że sam makijaż na posępnego szopa poetą przeklętym nie czyni...?

– Doprawdy, dziwne masz o mnie mniemanie. – Szczęsny potrząsnął puklami. – Kryteria wszelakie spełniam co do joty. Jestem oczywiście genialny, niezrozumiany przez motłoch, jak również posępny, nieszczęsny i już od dawna świętej pamięci. Po dwakroć samobójca, po dwakroć przez niebiosy i piekła odrzucony! I wciąż tworzę w szale natchnienia! – zakrzyknął tryumfalnie. – Tym sposobem, ku zawstydzeniu niegodnych konkurentów, rychło zyskam należne mi miejsce w literackim panteonie. Na początek planuję rozwinąć swą mroczność i złożyć ofiarę.

– Słucham...?

– Ofiarę. Ku czci. Jeszcze nie wiem czego, ale ku czci. Grób już mam, muszę jeszcze pożyczyć od Krakera garnków parę i znaleźć Zmorę. Kiedy najbliższa pełnia?

– Trzy noce temu. Wiem, że rychło tego pożałuję, muszę jednak zapytać. Szczęsny, po diabła ci te garnki? Chcesz eliksir na rozum warzyć?

Panicz wzniosł oczy ku niebiosom, co go po dwakroć psami poszczuły, odmawiając prawa wstępu, i westchnął.

– Cóż za uszczerbek na imaginacji... Gwoli stworzenia nastroju mroczności muszę dysponować posępną muzyką metalową. Ach, odczuwam potrzebę natychmiastowej konsultacji ze źródłem! – Z tymi słowami padł na kolana i wsadził głowę do spiżarki. – Krakersie nadobny! Z całego serca, co je ból istnienia ostrzami okrutnymi pochlastał, gara pragnę wielkiego, by rytuały cmentarne ku czci odczynić. Może być ten do bigosu. Gar, nie rytuał.

W odpowiedzi domem wstrząsnął potężny ryk, od którego pukle panicza jakby skrzyły się trochę bardziej.

– Ależ po co się tak unosić, wszak jestem otwarty na sugestie. Ten do jajek też się nada, czemu nie. Ach, i powiedz mi jeszcze, mości potworze, czym kota ofiarnego poczernić?

– Ofiarnego? Poczernić? – Dzierżąca kubek z kawą dłoń Konrada zastygła w połowie drogi do ust, zaś umysł pochwycił dziarsko kołowrotek i zaczął snuć domysły.

– Twa imaginacja nie tylko uszczuploną, lecz również cokolwiek dziurawą się dziś zdaje – odparł panicz, nie wyciągając łąba ze spiżarni. – Innym kotem niż Zmora nie dysponuję, a kot w rytuale udział brać musi, w dodatku czarny. Szary się nie liczy, choć przyznać muszę, że w ciapki byłby jeszcze gorszy. Ciapki są mało mistyczne. Może pasta do butów się nada?

Konrad bardzo ostrożnie odstawił kubek.

– Szczęśny – wycedził przez zaciśnięte zęby – zbliż się no tylko do Zmory z tą pastą, nie mówiąc już o próbach składania z niej jakiegokolwiek ofiary, a przysięgam na twój własny nagrobek, będziesz mieć przewalone niczym drzewo w poprzek drogi.

– Licho ma farbowanego królika, czemuż zatem ja nie mogę mieć pastowanego kota? – ton panicza znajdował się w połowie drogi między żałościwością a buntem, nie mogąc się zdecydować, w którą stronę ruszyć dalej.

– Kota to ty już masz, pozwolę sobie zauważyć. Zawsze jednak możesz złożyć ofiarę z dziewicy, będzie jeszcze mroczniej. Świetnie się w głównej roli odnajdziesz. Przyobleczesz jakieś gieżło, wianek na loczki wetkniesz i będziesz mógł się tarzać po nagrobku, waląc w garnuszek, ile dusza zapagnie.

– A żebyś wiedział, że będę! – Panicz tupnął buntowniczo nóżką obutą w lakierki. – Tak właśnie zrobię! Będę się przyoblekać, tarzać i walić w garnuszek, gdy tylko przyjdzie mi na to ochota! A nawet częściej, o! I choćbyś pękł, stanę się prawdziwym poetą przeklętym!

– Ależ proszę bardzo, bądź sobie nawet poetą z piekła rodem! – zakrzyknął Konrad z lekką irytacją. – Masz ku temu wyśmienite kwalifikacje, makijażu, mroczności czy ofiar wcale ci nie trzeba. A mojego kota racz zostawić w spokoju.

– Zawiść! – W pianiu panicza pobrzmiwała wyraźna nuta hysterii. – Te ustawiczne szykany, szyderstwa, to wszystko zawiść, zawiść przez ciebie przemawia! Podstępem kradzieży mego jestestwa dokonawszy, nie chcesz, bym nowe, lepsze zdobył!

– Czyś ty bez reszty oczadział? A na kij mi twoje jestestwo?!

– No proszę, a więc w tej rupieciarni są jeszcze jakieś ślady życia – odezwała się agentka, która powróciwszy z łazienki, od pewnego czasu stała w wejściu i przysłuchiwała się z uwagą męskiej wymianie poglądów. – Najpierw anioł domowej roboty, potem potępieńczo zawodzące rury, a teraz kuchenne walki kogucików. Nie wiem, czy mój organizm zniesie tyle

atrakcji jednego dnia. Kolejny męczennik? – zapytała, wskazując palcem blond młodzieńca.

– I owszem. Ten egzemplarz akurat męczy i siebie, i wszystkich naokoło – przytaknął Konrad. – Nieszczęsny panicz Szczęsny, widmo, niestety, niemilczące, seryjny samobójca. A to moja rozmówiana w krwi niewiniątek agentka, Carmilla Jekiełek...

– Ja ci dam Carmille!

– Och, przepraszam jaśnie panią. Kamilla – poprawił się, usiłując wetknąć w to imię tyle L, ile tylko się dało bez ciężkiej kontuzji języka. – No. Teraz, kiedy już się znacie, mogę spokojnie iść po dubeltówkę – wstał od stołu i bezzwłocznie pognał na piętro.

– Dubeltówkę? A po co? – zainteresowała się Carmilla, za późno jednak, by uzyskać odpowiedź, zaczęła więc taksować krytycznym wzrokiem kolejnego mieszkańca domu na zadupiu. Burza jasnych loków, które prawdopodobnie nigdy nie zaznały grzebienia, rozchełstana koronkowa koszula, odsłaniająca rachityczną klatkę piersiową, obcisłe niebieskie spodnie i dziwne, przykurzone laczki nie sugerowały nawet dalekich związków młodzieńca z bronią palną. Całości w stylu wstrząśniętego retro dopełniał posępny makijaż sporządzony na zasadzie rozmazania i nadmiaru. W grubej obwódce czarnego cienia do powiek i tuszu do rzęs lśniły niebieskie, cokolwiek maślane w wyrazie oczy.

– Szczęsny, tak? – Fachowo przykleiła papierosa do uszminkowanych ust.

– Robisz coś, poza tym, że jesteś i wyglądasz... jak wyglądasz?

– Miłuję i tworzę – wyszeptał młodzieniec. Potrząsnął owłosieniem, dłoń na piersi rozczapierzył i westchnął głęboko.

– A, czyli kolega z branży. – Jeszcze raz obrzuciła go pełnym wątpliwości spojrzaniem. – Niech zgadnę. Dużo cierpienia i wielokropków?

Gdzieś wysoko nad skołtunioną fryzurą panicza chóry anielskie ryknęły gromko, po czym z całych sił zadęły w trąby nie gorsze od jerychońskich, budząc żądze nad wyraz mroczne a z dawien dawna uśpione. A trochę niżej, bo na piętrze Lichotki, Konrad Romańczuk szykował dubeltówkę na trzecie samobójstwo Szczęsnego, nucąc rażno pod nosem: *Już za parę dni, za dni paaaręę...*

Zegar w holu wybił pierwszą nad ranem.

Na wpół rozbudzony york ostrożnie wychylił kudłatą mordkę spod kołdry i poniuchał raz, drugi, a potem jeszcze trzeci, tak dla pewności. Stary dom

pośród lasu pachniał dziwnie, zupełnie inaczej niż mieszkanie w bloku w mieście. Nie betonem, metalem i panelami, lecz naznaczonym przez upływ czasu drewnem, ogniem, liśćmi i... i... i czymś, czego pół psa nie potrafiło nazwać, czymś niezwykle niepokojącym. Do tego jeszcze ta ciemność, naprawdę nieprzenikniona i czarna, nie zaś szarawa, rozjaśniona światłami ulicznych latarni, neonów i migającej na skrzyżowaniach sygnalizacji, oraz cisza, która aż dzwoniła w uszach. Wszystko było nie tak, jak powinno.

Trzęsąc się po części ze strachu, po części zaś z przyzwyczajenia, york wygramolił się spod ciężkiej kołdry. Bezradnie pisnął na swoją panią, ta jednak spała w najlepsze, musiał więc sam, na własnych nóżkach zeskoczyć z kanapy. Na szczęście miękki dywan zamortyzował lądowanie i york nieco raźniej podreptał przed siebie, w stronę wąskiej smugi bardzo bladego światła, które wślizgiwało się do salonu przez szparę między futryną a niedomkniętymi drzwiami.

Wtem zastygł z łapką w powietrzu i zastrzygł uszami. Jego wątym ciałkiem wstrząsnął dreszcz przerażenia.

W salonie coś było. Owo nienazwane, niezwykle niepokojące coś, którego zapach unosił się w powietrzu. Było tam, bez wątpienia. Siedziało w jakimś kącie, czyhając, ostrząc zęby, pazury i co tam jeszcze miało do ostrzenia, by w decydującym momencie rzucić się na niewinnego yorka i bezlitośnie potargać mu futerko, tak starannie przystrzyżone w salonie psiej piękności!

Dygocząc coraz bardziej, wydobył z siebie ostrzegawczy warkot. Jako zwolennik teorii reinkarnacji wierzył głęboko, że w poprzednim wcieleniu był co najmniej bernardynem. Niestety, we wcieleniu obecnym, dość mizernym, dysponował zbyt skromnymi możliwościami technicznymi, by dać stosowny wyraz drzemiącej w nim głęboko duszy prawdziwego wojownika. W praktyce oznaczało to zdolność do warkotu nie tyle mrożącego krew w żyłach, ile jazgotliwego, wywołującego powszechną wesołość, pobłażliwe poklepywanie po łepetyncie oraz inwektywy w rodzaju „cóż za uroczy psiaczek”. Obrzydliwość.

Skuliwszy się nieco w celu ochrony cennego ogonka i uszu przed ewentualnym atakiem krwiożerczych bestii, york zaczął powolutku posuwać się w stronę drzwi, łypiąc na boki.

Nic. Nigdzie ani śladu tajemniczego czegoś – tylko ten zapach, coraz bardziej wyraźny, coraz bardziej kręcący w nosie.

Jednocześnie przerażone i żądne przygód pół psa przecisnęło się między drzwiami i futryną, a potem krok po kroku przeszło korytarzykiem do holu.

Tam, dokładnie w plamie bladego światła, jakie padało z sufitowej lampy, czekało na niego coś.

Demoniczne.

Posepne.

Krwiożercze.

COŚ.

I łypnęło okiem.

Z prędkością błyskawicy i przeraźliwym piskiem york zawrócił, potykając się o własne nogi, po czym pognał z powrotem do sypialni.

A różowy królik, tryumfalnie strzygąc uszami, jak gdyby nigdy nic spokojnie wrócił do nocnej przekąski w postaci kawałka kartonu. Ziarno międzygatunkowej trwogi zostało zasiane.

Natura nie zwykła wybrzydzać. Przygarniała na swe łono każdego, jak leci, nie przebierając w kandydatach bez względu na ich płeć, wiek czy status społeczny, jak również z pobłażaniem podchodząc do mniej lub bardziej niewinnych form aktywności fizycznej uprawianych w zaroślach.

Każdego oprócz Carmilli Jekiełek. Natura wolała omijać ją łukiem najszerszym z możliwych. Ot, tak na wszelki wypadek. Nie żeby Carmilla miała coś przeciwko naturze, skądże znowu. Uznawała ją za wymysł wysoce niepraktyczny, a zatem niegodny uwagi, wierząc w ewolucyjną wyższość stali, betonu i tworzyw sztucznych. Wystarczyło, że natura nie wchodziła jej w drogę, a żaden gatunek nie był zagrożony.

Co innego, gdy dochodziło do bezpośredniej konfrontacji. Wówczas natura nie miała żadnych szans.

Tuż po szóstej rano, opatulona wściekle czerwonym szlafrokiem w złote smoki, Carmilla w wersji *sauté* wkroczyła do kuchni, by wspomóc organizm pierwszą z wielu dawek kofeiny. Nie dostrzegając, jak usługna macka kołysze kubkiem gorącej kawy na powitanie, włączyła czajnik. Woda szybko zaczęła szumieć.

– Śmieci, śmieci, śmieci – mruzczała Carmilla, przetrząsając zawartość kolejnych szafek. – Jak widać, nie wszystkim dane było poznać łaskę żywności organicznej.

– Znamy za to łaskę kruchego ciasteczka, alleluja – oznajmiło pogodnie Licho. Klęcząc na taborecie, z łokciami opartymi na stole, patrzyło, jak dwie macki rozwałkowują pachnące ciasto na cieniutki placek. Na samym skraju blatu leżały już w gotowości foremki w kształcie zwierzątek.

– Zwaną również klątwą pustych kalorii – burknęła Carmilla znad puszki z kawą. – Gdzie Konrad?

– Wallenrod?

Carmilla przewróciła oczyma. Nie miała ochoty na gierki słowne z tym nawiedzonym dzieciakiem – a już zwłaszcza nie o tak barbarzyńskiej porze w tak barbarzyńskich warunkach. Jej ciało gromkim głosem domagało się kofeiny i makijażu, umysł zaś pracy i rozmowy z Konradem na temat Majki.

Przyjaźniły się przecież od dawna, i to wbrew sprzecznym interesom – Carmilla zawsze usiłowała zagonić Konrada do pisania w imię sławy i procentu od honorarium, Majka zaś od niego odciągnąć, głosząc kult etatu i stałego źródła dochodu. Carmilla była zdania, że dobrej muzy nigdy nie należy lekceważyć, a co dopiero muzy, która powoduje cierpienia i nurza autora w rozterkach. Tak, serdecznych rozterek nigdy nie jest dość. Dlatego starała się podtrzymać kontakt z Majką, kiedy Romańczuk najpierw niespodziewanie porzucił swą niedoszłą narzeczoną, a potem rodzinne miasto na rzecz gotyckiego domu na odludziu. Carmilla nie zamierzała jednak tego tak zostawić. Z jak najbardziej egoistycznych pobudek życzyła sobie mieć swojego osobistego autora na miejscu, pod ręką, a najchętniej pod kluczem i w kajdanach, choćby i małżeńskich, by móc go w każdej chwili męczyć i dręczyć na sposoby rozliczne i dowolne. Do tego potrzebowała jednak dwóch wabików, na które uparty jak osioł Konrad dałby się złapać i zaciągnąć z powrotem do miasta – obiecującej kariery i pięknej kobiety. O ile z tą pierwszą Carmilli szło niezgorzej, o tyle tę drugą musiała wesprzeć z większą stanowczością. Starannie zaplanowanym przypadkiem wpadła na Majkę, gdy ta akurat wychodziła z pracy, i dostrzegłszy błysk goryczy pod jej wywiniętymi rzęsami, chwyciła ofiarę w starannie pomalowane szpony i już nie wypuściła. Najpierw namówiła ją na kawę, następnie na zwierzenia. Następną godzinę spędziła, tłumacząc marketingowe i finansowe zalety zamieszczania oferty na misiach-pysiach. Po owej godzinie dostrzegła, że błysk goryczy ustąpił na rzecz bladziutkiej iskierki zainteresowania. Majka porzuciła myśl o ostatecznym i całkowitym upadku swego niedoszętego narzeczonego i nawet zdobyła się na pytanie, jak też Konrad radzi sobie w nowej przestrzeni życiowej. Tu Carmilli nieco zaczęło zbywać na elokwencji, dlatego czym prędzej zakończyła spotkanie, obiecując Majce, że wkrótce się do niej odezwie, a w myślach już szykując się do dalekiej drogi. Musiała przecież kuć żelazo póki gorące, krótko mówiąc – powtórzyć magiczną sztuczkę przemieniania goryczy w zainteresowanie, lecz tym razem z Romańczukiem. A teraz wszelkie znaki

na ziemi i niebie dowodziły niezbiecie, że była skazana na sukces. Wierzyła święcie, że gdy przyjdzie co do czego, nie będzie miał wątpliwości, kogo wybrać: kuszące karierą i kobietą miasto czy tę straszącą wystrojem rudere wraz z cudacznymi męczennikami, którzy nie wiedzieli nawet, kto to Konrad Wallenrod...

– Wolałam się upewnić... – Licho kichnęło przeprasząc.

Wyciągnąwszy w końcu z anioła, że Konrad, ten Konrad, Romańczuk, nie zaś żaden inny, nadal śpi, wyszła przed dom uzbrojona w kawę i papierosa. W ślad za nią, z podkulonym ogonem, potruchtał york.

Podczas gdy namiastka psa badała organoleptycznie kolejne kępy trawy czy inszych chwastów, Carmilla popijała obrzydliwą lurę, kopciała niczym smok i rozglądała się z wysokości najwyższego schodka, w myślach z lubością siejąc spustoszenie w najbliższej okolicy. Za dużo natury, za mało zagospodarowania przestrzennego. Zdecydowanie. Wszędzie naokoło, jak okiem sięgnąć, alergen na alergenie alergenem poganiał, istny koszmar alergika. Kwiatki, krzaczki, drzewa w straszliwych ilościach co do jednego pyliły na potęgę, a w dodatku przyciągały hordy najrozmaitszych owadów, brzęczących, natrętnych, które tylko patrzyły, gdzie by tu dziabnąć smakowitą jednostkę ludzką. Jednostka ludzka zaś, w tym przypadku w postaci Carmilli, żadnego dziabania sobie nie życzyła, spoglądała zatem złowrogo nawet na bogu ducha winne motylki, marząc o środkach insektobójczych w ilościach hurtowych. Chyba miała w torbie jakiś morderczy spray w opakowaniu typu „drugie tyle gratis plus worek na owadzie zwłoki”. Natura bez wątpienia popełniła błąd, podchodząc tak blisko.

Straszliwy jazgot nagle wyrwał Carmillę z błogich rozmyślań o całkowitej zagładzie fauny i flory w promieniu kilometra. Marszcząc wyskubane brwi, odwróciła głowę w stronę źródła hałasu.

Na samym brzegu powoli zarastającego tatarakiem stawu szalał york. Targany wielkimi emocjami, z każdym szcęknięciem podskakiwał niczym gumowa piłeczka, to w lewo, to w prawo, do przodu i w tył, uważając, by przypadkiem nie zamoczyć łapek. Jakies dwa metry przed nim z wody wystawał obiekt jego agresji w postaci czterech zielonych łbów. Wielkie oczy łypały złośliwie w stronę ani chybi opętanego zwierzaka.

– Rozum ci od nadmiaru świeżego powietrza odebrało? – ryknęła Carmilla. – Zostaw te ropuchy w spokoju!

York natychmiast zawarł paszczę, nie przestawał jednak wojowniczo podskakiwać. Tak zwane ropuchy zbulgotały zgodnie i przewróciły

wyłupiastymi gałami. Jedna z nich mruknęła coś na temat ślepoty, po czym cała czwórka zniknęła pod powierzchnią wody, zaś Carmilla wróciła do zatruwania organizmu i snucia demonicznych planów z buldożerem i roundupem w roli głównej.

Spędziwszy całą noc na wyjątkowo ponurych i pogardliwych rozmyślaniach, mocno niewyspany Szczęsny odemknął drzwi swojej sypialenki i rączym krokiem popędził do łazienki.

Kontrola wizerunku wypadła nader pomyślnie. Dzięki bezsenności i intensywnym rozważaniom wewnętrznym na tematy mroczne pod oczyma panicza rozkwitły przepiękne sińce, mieszając się z rozmazanym makijażem sprzed dwóch dni i dodając jego obliczu tajemniczej pociągłości, skóra wydawała się łącie trupioblada, niemal przezroczysta, zaś w oczach tlił się gorączkowy żar – i to bez ani wersu poezji! Ze zdumieniem i radością Szczęsny stwierdził, że po raz pierwszy w życiu po życiu zaczyna wyglądać tak, jak wyglądać zawsze powinien, czyli jak świeżo z grobu powstałe, posępne widmo, w dodatku dręczone przez galopujące suchoty.

Przez następną godzinę pracował intensywnie nad złowrogim rozwichrzeniem pukli i pogłębieniem zasinienia pod oczyma. Gdy był już niemal kontent z osiągniętych efektów, nagle łazienką wstrząsnęło łomotanie do drzwi.

– Śpisz czy cię wciągnęło? – nie do końca wdzięczny, lecz zdecydowanie damski głos zdawał się z kąśliwym zgrzytem przewiercać do środka.

Bez namysłu, za to przy wtórze anielskich chórów Szczęsny jednym szarpnięciem otworzył drzwi i stanął oko w oko z Carmillą.

– Kon... – urwała potok pretensji, który pchał jej się na usta, ujrawszy zmroczniałego młodzieńca. – A, to ty. Dosyć tej okupacji, muszę się wreszcie upodobnić do człowieka.

Bezskutecznie usiłując dobrać słowa, Szczęsny patrzył na Carmillę i napatrzyć się nie mógł. Niby wszystko się zgadzało, a jednocześnie nic nie było jak trzeba. Postać została ta sama, wdzięczna i wiotka niczym u sylfidy, twarz jednak nie była tą twarzą, w którą z nabożnym zachwytem wpatrywał się dnia poprzedniego. Jak gdyby wąpierz czy inszy dusiołek przez noc pomiał aksamitną cerę okrutnymi łapskami, wyssał z niej życie, młodość i przepiękne kolory, pozostawiając chorobliwą, lekko żółtawą bladość, siatkę zmarszczek oraz rozmaite plamki, kropki i kropeczki w wielkiej obfitości. Panicz, znawca i piewca niewieściej urody

z doświadczeniem liczonym już w dwóch wiekach z okładem, nigdy dotąd nie widział takiego kuriozum – wieczorem bogini, rankiem zaś... już tak jakby nie bardzo. Nie żeby od razu poczwara, skądże znowu, aż tak źle z nią nie było, ale bez wątpienia mogło być też znacznie lepiej. Karmiona wzniosła poezją z motywami ludowymi i morałem wyobraźnia szybko przetrząsnęła zasoby skojarzeń i podsunęła mu wyjaśnienie. Czyżby kłątwa...? Zgodnie ze źródłami, kanoniczny sposób na jej zdjęcie istniał tylko jeden, nie licząc dziergania w milczeniu koszul z pokrzyw. Dzierganie nie stanowiło problemu, lecz milczenie? Na takie poświęcenie Szczęsny nie był przygotowany, pozostawał zatem tylko pocałunek.

– A... a... a cóż ci się, o pani, w lico nadobne stało? – przemówił wreszcie. Czuł pewne opory przed pogwałceniem czystości dziewiczych ust pocałunkiem, nawet zbawczym, bez ucięcia uprzednio kurtuazyjnej pogawędki na dowolny temat.

– Jeszcze nic – odparła, ładując się przed lustro z kosmetyczką pod pachą i jeszcze tłącym się niedopałkiem w zębach. – I właśnie w tym kłopot. Chyba zacznę spać w pełnym makijażu. Zmarszczek się dorobię głębokich jak Wielki Kanion, ale przynajmniej rano nie będę wyglądać, jak gdyby mnie ktoś wyjął i w kącie porzucił do obeschnięcia.

Cisnęła niedopałek do sedesu i przystąpiła do pacykowania, a coraz bardziej zdumiony panicz patrzył, jak wraz z kolejnymi warstwami rozmaitych specyfików na świat powoli wyłania się znane mu, świeże i piękne oblicze. Ani chybi był świadkiem cudu, przemiany niewiasty w... bardziej niewiastę, i to bez całowania! Z każdym pociągnięciem wacika i gąbeczki bogini wracała na ziemski padół, budząc zachwyt Szczęsnego.

A gdy Carmilla sięgnęła do kosmetyczki i po krótkich poszukiwaniach wyciągnęła zalotkę, panicz zadygotał i pobladł jeszcze bardziej. Nie cofnął się jednak ani o krok, gotów znieść najsroźsze nawet męczarnie, byle tylko zgłębić tajniki kobiecego przepoczwarczenia.

Blisko trzydzieści trzy lata życia Konrada Romańczuka nie były może pasmem niekończących się triumfów nad materią albo czynnikiem ludzkim, o siłach wyższych nie wspominając, z pewnością jednak znalazłoby się kilka naprawdę szczęśliwych chwil, o których za nic w świecie nie chciałby zapomnieć. Ot, chociażby pierwsza przejażdżka na własnym rowerze – nowym, ewidentnie dziewczynskim, bo białym pelikanie – zakończona również pierwszym, bardzo bliskim spotkaniem gołych kolan ze zwirową

ścieżką. I ten podszyty zazdrością podziw, z jakim koledzy z podwórka oglądali jego jakże imponujące rany. Albo pierwszy pocałunek – pospieszny, nerwowy i nieco zbyt obśliniony, z Patrysią Gicką z trzeciej ef. Owszem, była piegowata jak indyjskie jajo i nosiła okulary à la denka od butelek, w taniej plastikowej oprawce, za to jak wspaniale pluła pestkami! O, i tamten moment, w którym postanowił zostać pisarzem, niemal tak piękny, jak widok własnego nazwiska na okładce literackiego czasopisma. Nie mógł się wtedy zdecydować, co rozsądzi go najpierw, duma czy radość, dzięki czemu zachował resztki zdrowego rozsądku i powstrzymał się, choć z trudem, przed płasaniem pośrodku wielkiej księgarni.

Nic jednak, nawet przybycie do Lichotki, nie mogło się równać z piątkowym porankiem, kiedy Konrad, nie do końca przytomny, poczłapał schodami na parter, by stać się świadkiem pewnej wstrząsającej sceny.

Zanim jednak dotarł do połowy schodów, usłyszał dobiegający z kuchni ożywiony głos Carmilli. Westchnął z rezygnacją. Miał cichą nadzieję, że przynajmniej kawę wypije jak człowiek, w spokoju, przy gazecie, bez upierdliwej agentki nad głową, gładzącej bez chwili przerwy o konstrukcji bohaterów drugoplanowych i wyższości moralnej narracji pierwszoosobowej nad każdą inną. Nie to jednak martwiło go najbardziej.

A Carmilla, ta gadzina podstępna, wampirzyca nienasycona, już czekała z rozczapierzonymi szponami, by mu umeblować życie na obraz i podobieństwo własnego. Może nawet planowała wcisnąć mu yorka! Zaraza jedna...

Nie, na tę rozmowę nie był jeszcze gotowy, na pewno nie bez potężnej dawki cukru i kofeiny krążącej w organizmie. Już miał cichaczem wycofać się z powrotem do swojej sypialni, by tam wykombinować, jak namówić Licho do przemycenia kubka kawy z kuchni, gdy usłyszał coś, co sprawiło, że zastygł w bezruchu.

– ...chuchro z ciebie straszliwe, sama skóra i kości.

– Bycie widmem do czegoś zobowiązuje. Nie mogę wyglądać jak pączek w maśle, to nie przystaje do mego wizerunku.

– Przeklęty pączek w maśle recytujący wiersze o miłości, nienawiści i śmierci... Coś w tym jest, wiesz? Jakaś taka... przekora. Bunt przeciwko stereotypom. Innowacyjność, rozumiesz. Ale nad makijażem musisz jeszcze popracować. – Jest dość subtelny....

– Nie ma być subtelnie, ma być sugestywnie. Podaj mi kosmetyczkę, chyba zabrałam biały błyszczczyk. Będzie w sam raz. Kilka precyzyjnych pociągnięć i zaraz będziesz wyglądał bardziej trupio.

- Ale czy to przystoi mężczyźnie, usta szminką malować?
- A tam, przystoi, nie przystoi. Wizerunek ma być dopracowany w każdym szczególe, konsekwentny. Idziemy na całość. No, zrób dzióbek.
- Jednakowoż...
- Dzióbek zrób, mówię!

Oczyrna duszy swojej, wybitnie rozanielonej, Konrad ujrzał, jak panicz posłusznie składa usta w dzióbek, a Carmilla bierze się za pacykowanie ich trupią bielą.

Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że jego osobista wampirzyca dopadła świeżutką ofiarę i nie zamierzała jej zbyt szybko ze swych malowanych szponów wypuścić. A zatem Konrad miał chwilowo z głowy nie tylko rozpoetyzowane widmo, ale i czyhającą na niego agentkę. Mógł zatem zastanowić się spokojnie nad tym i owym – a nawet wyspać...

Tak, to bez wątpienia była jedna z najpiękniejszych chwil w jego życiu.

Wystarczyło zaledwie parę godzin, by zdanie zmienił, i to diametralnie.

Tak na dobrą sprawę już sama Carmilla, trajkocząca o peelingach azjatyckich i maseczkach z glinki, to było zdecydowanie zbyt wiele jak na jego nerwy. Zdążył już zapomnieć, ile słów na minutę może produkować ta kobieta, gdy rozmowa zejdzie na tematy kosmetyczne, nigdy nie podejrzewał jednak, nawet w najstraszniejszych koszmarach, że widmo dziewiętnastowiecznego poeciny od siedmiu boleści wykaże się pod tym względem jeszcze większym entuzjazmem. Między jednym zdaniem powieści Konrada a drugim, mimochodem rozszarpując ją na strzepy podczas lektury, Carmilla wprowadzała Szczęsnego w świat współczesnej kobiecości, szczególną uwagę, nie wiedzieć czemu, przykładając do kwestii martwego naskórka i depilacji.

- ...i widzisz, ja na przykład wolę zimny wosk od gorącego, bo tak nie masakruje naczynek, a naczynka mam delikatne, rozumiesz, i nie chcę się dorobić pajęczków. No nie, co to jest? Jedno zdanie na raz... dwa... trzy... pięć wersów? Dłuższego się nie dało, Word się wieszał przy siódmym podrzędnym czy co? I jeszcze te imiesłowy, nie, one mnie wykończą. Czym sobie ci biedni czytelnicy na to wszystko zasłużyli? W ogóle całą skórę mam bardzo delikatną, a dłonie to już w szczególności. O, patrz, ostatnio sobie robiłam. Robią wrazenie, co? Konrad, przecież ja widzę, że ty się obcyndalasz, co ty myślisz, że ja oczu nie mam? Długo będziesz się w ten akapit wpatrywał? Samo się nie napisze, więc może weź się łaskawie do jakiejś uczciwej roboty. Niektórzy tu pracują, jeśli jeszcze nie zauważyłeś. I zrób coś z tymi „izami”, bo mnie krew jasna zaleje, jak jeszcze jedno „ize”

w tym tekście zobaczą. Wiesz, Szczęśny, widmowość widmowością, ale nie chcesz chyba wyglądać jak ostatni obszarpaniec ze stogiem siana na głowie... czy jak, nie przymierzając, niektórzy tu obecni... Tak, trupia cera, podkrążone oczy, blade, bezkrwiste usta... Tak, to jest to. Czy to widzisz, Szczęśny? Czy ty to widzisz?

– Widzę! – zakrzyknął panicz, z rumorem zrywając się z krzesła. Lewe oko miał opuchnięte i zaczerwienione wskutek niefortunnych eksperymentów z zalotką. – Zaprawdę, powiadam wam, iż... znaczy, że widzę. Jakże potrzebną mi była ta dusza siostrzana, bym własne jestestwo odnalazł! Witajże, życie! Witajże, świecie! Oto nadchodzę, poezją niczym kielich winem przepelnion po brzegi!!!

– O jeżu kolczasty... – jęknął cicho Konrad, wznosząc oczy ku niebiosom.

– Hola, hola, wstrzymaj konie, mój poeto, musimy to jeszcze dopracować.

– Carmilla zaciągnęła się papierosem. –Trzeba ci jeszcze dodać mroku... Masz jakieś blizny?

Szczęśny pomarkotniał.

– Ani jednej...

– A to się chyba da załatwić bez większych problemów, za to z dziką przyjemnością... – mruknął pod nosem Konrad i z wielką satysfakcją wcisnął kolejne „iż” do pisanego właśnie zdania.

– Niedobrze. – Carmilla dmuchnęła dymem. – Żadnych blizn, żadnych fizycznych deformacji...

– Za to psychicznych od groma...

– Konrad, może byś się tekstem łaskawie zajął, zamiast nam tu bruździć? No, jeżeli tak wygląda twoja praca, to ja się wcale nie dziwię, że wciąż mieszkasz na tym zadupiu. Nic w ten sposób nie osiągniesz, nic! No, już, już, pomykaj po tych klawiszach. I nie mruż do mnie, ja doskonale słyszę, że mrużysz, nie znoszę tego twojego mrużenia. A ty słuchaj – zwróciła się ponownie do Szczęśnego, zapatrzonego w nią jak ciełą w malowane wrota. – Konrad to zły autor. Zły! Nie pisze, marudzi, nie słucha, jak mu mówię, co ma robić, choć sam przyznasz, że robię to niezmiernie rzadko. Jestem z natury dość ugodowa, a to, niestety, pracy mi nie ułatwia. No cóż, jak się ma miękki kręgosłup, to trzeba mieć twardą dupę. O czym to ja mówiłam... a, tak. Zły autor. Ale jak już pisze, to pisze dobrze. I ma coś, co ty również musisz mieć!

– Dożywotni wyrok...?

Carmilla zgromiła Konrada wzrokiem.

– Musisz mieć różowego królika.

Jak jeden mąż wszyscy spojrzeli w stronę Rudolfa Valentino, który siedział przy lodówce i oddawał się porannym ablucjom. W skupieniu najpierw ślinił łapki, a potem tarł nimi o uszy, rozpostarte na łepku niczym wielkie śmigła.

– A... a używany się nada? – zapytał Szczęsny, gdy w końcu odzyskał głos. – Zapewne zdołałbym Rudolfa na pewien czas wypożyczyć, bo inaczej to może być trudno...

– Nie, no skąd, jakie pożyczyć, ja ci go chętnie oddam – natychmiast wtrącił Konrad. – Żywy czy martwy, bez różnicy, wszystko w imię... tej, no... poezji.

Królik fuknął między jednym a drugim liźnięciem, zaś Carmilla pokręciła głową.

– Zaściankowi literaci od siedmiu boleści – prychnęła, aż końcówka papierosa, którego trzymała w ustach, rozżarzyła się gwałtownie. – Zawsze wiedziałam, że zadupia szkodzą na umysł, ale żeby aż tak? Nie rozpoznałibyście metafory, nawet gdybyście się o nią potknęli. Różowy królik to metafora znaku. Cechy charakterystycznej. Czegoś niepowtarzalnego, czegoś, po czym w mgnieniu oka ludzie będą cię rozpoznawać, kojarzyć. Przykład siedzi przy tym stole i udaje, że tworzy. Konrad Romańczuk, facet z różowym królikiem, przy okazji pisarz. I o to właśnie chodzi. Pisarzy jest jak psów, a różowy królik jeden. Tak, dobry różowy królik to połowa sukcesu.

– A to pierdolec już nie wystarczy? – zapytało wcielenie niewinności zwane Konradem.

– Wśród artystów? Kpisz czy o drogę pytasz?

– A talent? – wtrącił Szczęsny. – Wyróżniać, jak mniemam, jednostkę spośród tłumów winna wybitność duchowa, moralna tudzież intelektualna, nie zaś byle zwierzę w ekstraordinaryjnym ubarwieniu. Zwierzę, dodam, nie do tej jednostki przynależne... – dodał z pewną taką kąśliwością.

– Może i nie, za to przyczepione na amen z własnej nieprzymuszonej woli. – Konrad wzruszył ramionami. – Cóż poradzę, iż tak mnie miłuje i za Chiny Ludowe odczepić się nie zamierza. Proszę bardzo, chcesz? Jest twój. Ja zawsze mogę się lansować jako facet z aniołem. – Wyszczrzył się radośnie. – Albo pradawnym stworem ciemności. Ewentualnie z utopcami. Jak sam widzisz, dysponuję szerokim wachlarzem metaforycznych różowych królików.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał panicz. Zerwał się na równe nogi.

– Wszystko to jeno puste rekwizyty! – z oburzeniem huknął pięścią w stół.

– Wykorzystywane bezmyślnie protezy prawdziwego talentu, który winien zyskać bezwzględne pierwszeństwo! Z królikiem pod pachą chadzać każdy może, choćby liter składać nie umiał, lecz by tworzyć! By tworzyć...! – powtórzył z emfazą, po czym najwyraźniej się zawiesił, gdyż umilkł i stał tak, z ręką wyciągniętą w stronę sufitu i płomieniami szaleństwa w szczerze umalowanych oczach.

Romańczuk był pod wrażeniem.

– Rany... – gwizdnął. – Szczęśny, nie trzęś tak puklami, bo wyłysiejesz przedwcześnie...

– Nieźle – skwitowała Carmilla. – Całkiem nieźle, zwłaszcza jak na debiutanta. Musimy jeszcze coś dodać, czymś dopełnić wizerunek... – Przesunęła pytający wzrok na Konrada, który właśnie doszedł do wniosku, że zaczyna się dobrze bawić. Odruchowo zapisał plik i odchylił się na krześle, splatając ramiona na piersi.

– Przedwczesną śmierć już zaliczył, przeto... tfu, więc powtórkę możemy sobie darować. – Zerknął na Carmillę, ciekawy, czy w jakikolwiek sposób zareaguje na tak niecodzienną informację, agentka była jednak twardsza niż otaczająca ją, zdecydowanie inna niż wszystkie rzeczywistość. Nawet jej powieka nie drgnęła. – Chyba że się uprzesz, wtedy polecam dubeltówkę. Bardzo efektowna. Hm ... Myślisz o czymś dziewiętnastowiecznym czy raczej współczesnym?

– No właśnie sama nie wiem... Ten gotycki, wampiryczny makijaż wydaje się dość uniwersalny. Gdyby jeszcze zamienić wyświechtane koronki i surducik na skórę i ćwieki...

– Litości, kto uwierzy w Szczęśnego z ćwiekami? Mroczny niemowlak recytujący heavymetalowe ballady o miłości? Gotycki dla zaawansowanych?

– Myślałam raczej o elegiach...

– Ponoć jesteś profesjonalistką? Elegia to gatunek klasyczny, a to jest nieszczęśny panicz Szczęśny i jego romantyczna szajba. Jeszcze nie tak dawno płasali zgodnie w spódnicy i pomponach, ćwicząc callanetics.

– Byronizm! – wtrącił panicz.

– W twoim przypadku wychodzi na jedno i to samo – odparował Konrad i zwrócił się ponownie do Carmilli. – Idź raczej w romantyzm, wyjdzie o wiele bardziej naturalnie i przekonująco. – Dopił zimną kawę. – O, mam! Co powiesz na cykl wielkich improwizacji w centrach handlowych? Sama pomyśl. Ten ogień! Ten zapach! Te pukle! I te tłumy, bezmyślnie przyjmujące wszystko, co im się wciśnie w ramach hipermarketowego performance'u, nieudolnych klaunów, panny na wrotkach serwujące serek

czy szurniętych poetów. Wielka improwizacja między jogurtami a śledziami w occie. A obok... – na sekundę zawiesił głos – ...stand z radosną twórczością naszego poeciny.

– Komercja, w dodatku tandetna. – Uśmiechnęła się złośliwie.

– Czy ja już kwestionowałem dzisiaj twój profesjonalizm? Coś mi dobrze idzie. Carmillo moja krwiożercza, współcześnie nawet Mickiewicz musiałyby kręcić kiepskie filmiki autopromocyjne i rzucać je gdzie popadnie w sieci, coby się wybić, a wstęp do *Ballad i romansów* zapewne zamieściłby na swoim blogasku. Dostawałyby shtaśne komcie, a jakiś palant o przeroście ambicji bądź pragnienia intelektu krytykowałby go za to, że pisze ballady zamiast haiku, i bredził coś o zaprzepaszczaniu tradycji kogoś tam przez dwudziestoletnich grafomanów, którzy nie potrafią przyjąć słów krytyki na klatę. Przepraszam, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Owszem, aczkolwiek masz teraz silną konkurencję. Szczęśny coś bierze.

– Nie, on tak sam z siebie. To całkowicie naturalny obłęd.

– Nie, ja nie pytam, czy Szczęśny coś bierze, ja stwierdzam, że Szczęśny coś bierze.

Konrad zerknął przez ramię na panicza, który stał przy otwartej szafeczce w rogu ze stosem rozmaitych blistrów w dłoniach i pochłaniał zachłannie jakiś lek, pigułka po pigułce. Chyba musujące wapno, sądząc po pianie powoli wypływającej mu kącikami ust. Konrad machnął lekceważąco ręką.

– A, nie zwracaj na niego uwagi, znowu dobrał się do witamin. Ostatnio tak ma. Naczytał się gdzieś, że prawdziwie przekłęci poeci i rockandrollowcy biorą prochy garściami. W zeszłym tygodniu pochłonął cały raphacholin, bo spodobało mu się, że tabletki są tak posepnie czarne.

– Już wiem! – Niespodziewanie Carmilla wyprostowała się jak struna. W mgnieniu oka zdusiła niedopałek w popielniczce, wzięła łyk kawy i uzbroiła się w kolejnego papierosa. – Wiem, czym domknąć jego wizerunek. Arystokratyczna wada wymowy. Nieco retro, ale pasuje do ekstrawaganckiego, szalonego poety upiора, niby to rodem, żywcem czy nieżywcem z dziewiętnastego wieku. Klasycznie i wampirycznie, będzie mówił h zamiast r. Mhok. Zghoza. Khew.

– Homantyczność! – natychmiast podchwycił Szczęśny, tocząc coraz obfitszą pianę z pyska.

– I shaczka. Też klasyczna, acz za wampiryzm nie ręczę.

– Konrad, ty wcale nie pomagasz.

– Och, dziękuję. Jak to miło, gdy ktoś cię docenia.

Panicz prychnął, plując na wszystkie strony szczątkami tabletek.

– Zazdhość kąśliwością przez ciebie przemawia! – wybełkotał. – Zazdhość, zem nie tylko jednostką wielce twóhczą, wybitną, ale i wspahciem się cieszącą. W końcu zyskałem przyjaciela, któhy i dobhym słowem, i hadą służyć mi jest gotowy w imię wyższych celów! W imię poezji! O, Cahmillo miła, aniele mój zbawicielu! – Dopadł siedzącej przy stole agentki i runął przed nią na kolana. – Niebiosa to ghomkim głosem przemówiły, zsyłając cię na ten łez gorzkich padół, byśmy hamię w hamię huszyli z posad bhylę zmuhszałego świata. Zaklinam cię, rzeknij, tu i tehas, że mnie nie opuścisz! Nigdy, przenigdy!

– Nigdy, przenigdy – odparła machinalnie, oglądając paznokcie i usuwając spod nich paproszki. – Co najmniej do niedzieli.

– A później? Cóż później...?

– Tradycyjnie, poniedziałek. – Lekko już znudzony atakiem panicza, za to żywo zainteresowany obiadem, Konrad zajrzał do lodówki. – Krakers, co dzisiaj mamy?

Zza drzwi spiżarni dobiegł cichy pomruk.

– E, ogórkowa...

Pomruk przybrał na sile.

– No już, już, nie marudź, czy ja powiedziałem, że nie zjem?

Szczęśny tymczasem, nie zwracając uwagi na dialog Romańczuka z potworem, ujął dłonie agentki i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Na wszystko, co twemu sehcu dhogie – wyszeptał żarliwie – nie zapomnij o mnie, gdy phóg tego domu przekhoczysz. Tyś tu jedyną duszą mi życzliwą. Tyś... tyś ostatnią nadzieją dla mej poezji, któhą tłamsi okhutna codzienność.

– Codzienność w rozsądnych dawkach jeszcze nikomu nie zaszkodziła – wtrąciła Carmilla, wrywając jedną dłoń z uścisku, by strzepać popiół z papierosa. – Nic tak nie napędza artystycznego ducha jak solidny kop od rzeczywistości.

– Słuchaj tej kobiety, Szczęśny, słuchaj uważnie. Na kopaniu ducha w celach wzbudzenia natchnienia zna się jak mało kto. – Konrad uniósł pokrywkę i zajrzał do garnka. – O, jest i marchewka w tej zupie.

– Dom ten przekłety po stokhoć, piętnem bezmyślnej hutyny naznaczon! Na klęczkach błagam, przysięgnij, że do mnie powhócisz! – zakrzyknął Szczęśny łamiącym się głosem.

Carmilla ściągnęła usta w ciup. Wracać? Tutaj? Na to zadupie? Do tych wertepów, chaszczy, wszędobylskich robaczków i szurniętego Liszaja w puchatych papuciach? Nie, to jej się kompletnie nie widziało. Chociaż...

Chociaż gdyby się tak zastanowić... Mogłaby przecież upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Zanim Majka metodą łagodnej perswazji przekona Konrada do powrotu w miejskie pielesze, co pewnie zajmie jej parę ładnych miesięcy, ona zdąży wydusić z niego kolejne teksty, o tak, całe mnóstwo tekstów... a przy okazji urobi sobie tego blond pocinę. Nie żeby przepadała za wierszokletami czy ich rymowanymi urojeniami, po prostu potrzebowała odmiany i lubiła wyzwania. Szczęśny kontra współczesny czytelnik – to by mogło być całkiem ciekawe...

– No cóż... – zaczęła, już gotowa ulec tej pokusie, gdy nagle rozległ się huk. To Konrad nieco zbyt gwałtownie odstawił na blat garnek z zupą ogórkową.

– A może byś tak, z łaski swojej, najpierw mnie zapytał o zdanie, zanim zaczniesz gości spraszać? – zwrócił się do Szczęśnego głosem podszytym lekkim niepokojem. Kierunek, w którym podążała kiełkująca w trybie przyspieszonym znajomość Carmilli i Szczęśnego, właśnie zaczął mu się tak jakby nie podobać. – O ile mnie pamięć nie myli, mieszkasz pod moim dachem, więc byłoby miło...

– Dach ten jest moim dachem już trzecie z rzędu stulecie – przerwał mu beztrąsko panicz w ataku samobójczego buntu. – Najpiehw z zaphoszenia gospodarzy, później z woli niebios! Mam więc tu chyba jakieś phawa, czyż nie?

– Niebios, powiadasz? – Prawa brew Konrada powędrowała w górę. – Włączysz się po tym świecie, podnosisz MOJE ciśnienie, zżerasz MOJE witaminy, opróżniasz MOJE flaszki – wyliczał na palcach – upijasz MOJEGO anioła, próbujesz MOJEGO kota MOJĄ pastą do butów smarować i podprowadzasz MOJEGO potworowi MOJE garnki, żeby jakieś gusła durnowate odczyniać, marnujesz MOJE długopisy, papier i życie, bo jakaś dziewczucha ciężkie dupsko nie na tym nagrobku posadziła. Jeśli to była wola niebios, to ja jestem Psztymucel Nulec!

– Ach, tak?!

– A żebyś wiedział, że ach, tak!!!

Tego było stanowczo zbyt wiele jak na stargane nerwy Szczęśnego. Nie znalazłszy równie wyszukanej riposty na słowa Konrada, wstrząsnął puklami, tupnął nóżką i wypadł z kuchni jak oparzony, rozsypując po drodze tabletki, których nie zdążył pochłonąć.

– Pasjonująca scena – po chwili obopólnego milczenia odezwała się Carmilla. – I taka rozdzierająca. Jedna z najbardziej histerycznych kłótni, jakie w życiu widziałam. Musisz to wcisnąć do jakiegoś tekstu. Dam ci jedną

radę na przyszłość – odpuść nieco.

– No co ty – zaprotestował Romańczuk. – Kraina łagodności to przy mnie pole bitwy.

Carmilla wstawiła pusty kubek do zlewu i ruszyła w stronę kuchennych drzwi.

– Konrad, dziadziejesz z dala od miasta i normalnych ludzi. Dziadziejesz zewnątrz i wewnątrz. Nie dość, że się zapuściłeś i wyglądasz jak psu z pyska wyrwany, to jeszcze miewasz problemy ze składnią, w kółko zrzedzisz, wyzłośliwiasz się bezsensownie i czepiasz o byle pierdołę. Bardziej niż zwykle, rzecz jasna – dodała po krótkim zastanowieniu. – Mówię ci, odpuść. Jemu i sobie. A, i może spróbuj zapanować nad zaimkami, zwłaszcza dzierżawczymi – powiedziała, odwracając się, już na progu. – Mój, moja, moje. Stanowczo ich nadużywasz.

I po tych słowach wyszła.

– No cóż... Wychodzi na to, że zostaliśmy sami – rzekł Konrad do zupy ogórkowej.

Zupa, jak to miała w zwyczaju, milczała niczym zaklęta, aczkolwiek w tym milczeniu dało się wyczuć wyraźne potępienie.

Pomny traumatycznych przeżyć ostatniej nocy, wciąż roztrzęsiony bardziej, niż było to wpisane w jego naturę, york ani na krok nie odstępował swojej pani. Najpierw poszedł w jej asyście na krótki spacer przed dom i do łazienki na parterze, a później przez cały dzień siedział cicho niczym trusia i ani na moment nie wyściubiał nosa spod kuchennego krzesła, na którym siedziała Carmilla, tak że nawet niechętnie do niego nastawiony Konrad nie zauważył jego kudłatej obecności. Póki ludzie pracowali, kłócąc się co chwila z niezrozumiałych dla zwierzaka powodów, wszystko było w porządku. Żadne potwory nie czaiły się po kątach, przerośnięte żaby nie wpełzały ze stawu, by dorwać psiaka i wciągnąć w głębiny, a różowy demon z piekła rodem ani razu nigdzie nie przemknął, szczerząc lśniące, białe zębiszczą. Z godziny na godzinę york powoli się uspokajał, aż w końcu, zmęczony po pełnej wrażeń nocy, stracił czujność, przymknął na chwilę powieki i nie wiedzieć kiedy przysnął.

Gdy w końcu otworzył oczy po krótkiej drzemce, która tak naprawdę trwała bite trzy godziny, odkrył, że opustoszała kuchnia tonie już w cieniach zapadającego zmierzchu. Wydawszy z siebie cichy pisk, struchlał.

Wtedy gdzieś za nim rozległo się miękkie, miarowe *tup-tup, tup-tup, tup-tup*, a zaraz potem mlaskające, wilgotne *klap, klap, klap*.

York w mgnieniu oka przywarł do kuchennej podłogi, usiłując rozpląszczyć się tak bardzo, jak to tylko możliwe, niemal wtłoczyć drżące ciało w stare, lakierowane drewno, jednak bez większych efektów. Pisnął ponownie. Znikąd ratunku, znikąd pomocy.

Tup-tup, tup-tup, tup-tup.

Klap, klap, klap.

Zgodnie z najlepszą tradycją filmów grozy york zignorował instynkt nakazujący mu w te pędy spierniczać gdzie pieprz rośnie, dopuszczając do głosu całkowicie sprzeczną z instynktem zachowawczym, zgubną ciekawość. Z podkulonym kurczowo ogonkiem, ostrożnie, powolutku zaczął odwracać głowę w stronę źródła straszliwych dźwięków.

Naprzeciw kuchennych drzwi, po drugiej stronie korytarza przycupnął różowy królik w otoczeniu czterech ociekających wodą utopców. Cała piątka nie odrywała hipnotyzującego wzroku od skulonej pod krzesłem namiastki psa, ani chybi knując potworną zbrodnię.

– Kici, kici, taś, taś, pieseczku... – wymruczał największy utopiec, szczerząc się niby to przymilnie.

– Chodź, sierściuszk, pobawimy się w małą syrenkę.

Sierść stanęła yorkowi dęba. Z rosącym przerażeniem ujrzał, jak królik najpierw strzyże uszami i drapie się od niechcienia tylną łapką w kark, po czym zaczyna kicać w jego stronę, a w ślad za nim człapią utopce, już, już wyciągając oślizgłe, błoniaste dłonie...

Lecz zamiast ich obrzydliwego dotyku psiak poczuł, jak coś niespodziewanie owija się wokół niego, wydobywa spod krzesła i błyskawicznie ciągnie w przeciwnym do złoczyńców kierunku, na drugi koniec kuchni.

– Ej, byliśmy pierwsi! – Usłyszał jeszcze pełen protestu okrzyk utopców, potem trzask zamykanych drzwiczek i nagle otoczyła go całkowita, nieprzenikniona ciemność.

W pierwszej chwili zeszywniał, zaraz jednak zaczął się panicznie szarpać i wić, usiłując wydostać się z pułapki, w którą niespodziewanie został wciągnięty przez, ani chybi, siły zła. Tajemnicze coś odrobinę rozluźniło uścisk, lecz niosło go dalej, coraz głębiej i głębiej w mrok. York piszczał i wierzgał łapkami, jak na prawdziwego wojownika przystało, odważył się nawet raz szczerknąć, niewiele to jednak dało. Zawył żałośnie, oczyma duszy widząc już nadciągającą śmierć i swe kolejne wcielenia. Wówczas

tajemnicze coś zamruczało dobrotliwie i zaczęło uspokajająco kołysać yorkiem to w lewo, to w prawo. Psiak umilkł, zaskoczony. Poczł obok siebie niespieszny ruch potężnego, lekko falującego ciała. Poniuchał ostrożnie. W powietrzu unosił się delikatny aromat wanilii, cynamonu i pomarańczy. Drugie coś pogłaskało yorka najpierw po brzuszku, potem po łepku, a na koniec podsunęło pod sam pyszczek smakowicie pachnące ciasteczko, nie przerywając mruzcanda.

Krakers lubił dokarmiać zwierzątka.

– Nie bajeruj mnie tu. Widma nie mają ciał, a ty jesteś cielesny jak w mordę strzelił. Poza tym nikt nie może umrzeć dwa razy i dalej żyć.

– Haczaj... nietypowy. Ależ bo hóżne są śmiehci hodzaje...

– Mówiłam, nie bajeruj. Masz pisać te swoje dyrdymały ku czci i chwale mego honorarium, a nie wciskać gratis komu popadnie.

Szczęśny wykonał serię westchnień, po czym sięgnął po kieliszek.

– Jestże się poetą, czyli haczej tylko bywa się? Znikąd zhozumienia... – zbulgotał, popijając czerwone wino, świętokradczo wymieszane z colą dla zabicia szlachetnej kwaśności trunku.

– Sranie w banie. No co? – prychnęła Carmilla, dostrzegając w oczach panicza mieszaninę konsternacji i oburzenia. – Nie wierzę w widma, tak samo jak nie wierzę w romantyczne bzdety z całym tym wzdychaniem, rozpaczą i targaniem odzieży albo owłosienia. Wszystkie te Wertery, Gustawy Konrady, Widma Milczące przyprawiają mnie o ból zębów. O, i w kredyt hipoteczny w złotówkach też nie wierzę. Widziałeś moje fajki? Gdzieś tu leżała pełna paczka...

Zapatrzywszy się smętnie w dno kieliszka, Szczęśny przez dłuższą chwilę trawił jej słowa. Przez cały wieczór siedzieli przy stole w salonie, popijając wino i dyskutując. W pewnym momencie rozmowa zeszła z makijażu na życie, po drodze zahaczając o literaturę. Panicz, jak zwykle niespecjalnie skrępowany własną śmiercią, zaczął snuć opowieści o dawno minionych czasach, przebrzmiałych ideałach oraz dwukrotnie sprawdzonej metodzie przemiany z człowieka oddychającego w widmo co najwyżej posępnie wzdychające. Carmilla z kpiącym uśmiechem dołała mu wina i coli, a następnie, nie patyczkując się za bardzo, wyraziła swoje powątpiewanie.

– No, ale w jedno na pewno wierzę. W pecha Konrada do dziwnych współlokatorów – dodała, odnalazszy w końcu zaginione papierosy. – Na studiach dzielił pokój w akademiku z fakirem amatorem i kucharzem

eksperymentalnym. Facet miał ponoć wyjątkowy talent do deserów i zbiorowych zatruć – wyjaśniła. – No. Potem przez rok wynajmował mieszkanie od wróżki, a teraz proszę. Rozgarnięty jak kupa liści Liszaj w celofanie, farbowany królik i teoretycznie mroczny poeta z urojeniami... Uroczo.

– Kiedy ja nie mam uhojeń... – Szczęsny bąknął bez przekonania.

– Ty masz urojenia, one mają ciebie, co za różnica. – Wzruszyła ramionami. – Tak czy siak, decyzja o przyjęciu tego spadku była błędem. Wielkim błędem. Takie było moje zdanie... i nie tylko moje, ale Konrad, rzecz jasna, jak zwykle wiedział lepiej. A w mieście... w mieście miał perspektywy. Przestrzeń, środowisko, które dawało mu natchnienie, kopa wzwyż, że tak powiem. Motywowało intelektualnie, twórczo. A tu? Brud, smród i sami wariaci. Dobrze, że Majka nie wie, w co się może wpakować...

Szczęsny zmarszczył brwi.

– A kimże jest owa Majka...?

– Narzeczona Konrada. No, niedoszła przyszła narzeczona – doprecyzowała.

– Jakże to? Niedoszła i przyszła zahazem...?

– Powiedzmy, że tak gdzieś pomiędzy. – Chuchnęła kłębem dymu. – Długo by opowiadać...

Dusza panicza, wietrząc jedyną słuszną miłość nieszczęśliwą na horyzoncie, w mgnieniu oka wierzgnęła, po czym stanęła poetyckiego dęba.

– W skhytości sehca jego bolejącego nade wszystko umiłowana bogdanka? – wyszeptał namiętnie znad kieliszka. – Dulcynea najmilejsza...?

– Mniej więcej coś w tym stylu – odparła po krótkim, lecz intensywnym namyśle Carmilla. – Najmilejsza, tyle że z przerwami.

Pławiąc się w niespodziewanym szczęściu, dusza panicza kontynuowała.

– A zatem bhatem mi on! – zapięła ustami wniebowziętego Szczęsnego. – Bhatem mi w nieszczęściu, bo i jego los okhutny toh... tohtuhą miłosnego niespełnienia doświadczył...!

– Rany... Mówię ci, rzuć to romantyczne pitolenie wierszem w cholere i przerzuć się na romantyczne pitolenie prozą.

– To już nie będzie to samo...

– Jasne, że nie. – Wywróciła oczyma. – I właśnie o to chodzi, Szczęsny, o to chodzi. Zrezygnuj z rymów, postaw na dialogi. Dużo dialogów, dialogi się dobrze czyta. Już coś dla ciebie wybrałam. Romans typu harlequin, koniecznie w historycznym sztafażu. Będiesz mógł się trochę wyżyć, rozumiesz, romantycznie. Takie książki same się piszą, a potem sprzedają

w oszałamiających nakładach. Kobiety za tym szaleją. Silnie zarysowany wątek awanturczo-miłosny, klimat retro, wiesz, dziewiętnastowieczne kostiumy, te sprawy. Do tego odrobina sensacji, jakaś mroczna tajemnica, fizyczna deformacja, szaleństwo, złowróżbne przepowiednie, kochankowie rozdzieleni przez okrutny los... A na koniec tragiczna śmierć głównego złoczyńcy, ślub i scena konsumpcji w jakiejś nietypowej scenerii. O, na przykład na wrzosowisku, w strugach letniego deszczu.

– A któż by chciał cokolwiek w deszczu konsumować? – zdumiał się panicz. – Za moich czasów konsumowano na świeżym powietrzu jeno przy pięknej pogodzie, a i tak niektórzy mahudzili, że im mhówki włożą.

Carmillę na moment zatkało. Wizja mrówek włożących komuś tu i ówdzie w czasie akrobatyki damsko-męskiej na łonie przyrody nieco ją przytłoczyła.

– Włożą... do czego...?

– No jak to do czego. Do desehu!

Odetchnęła z nieskrywaną ulgą.

– Szczęśny, my chyba nie mówimy o tym samym. Konsumpcja. Fizyczna konsumpcja. Erotyka. – Nadal nie łapał. – Seks, Szczęśny, seks!

Zrozumienie nie tylko nie przemknęło po jego znękanym obliczu, lecz nawet nie raczyło leniwie przepełznąć. Lekko wstrząśnięta Carmilla powoli odstawiła kieliszek. Nagle ciekawość i pasja, z jakimi panicz wypytywał ją rano w łazience o atrybuty współczesnej kobiecości, zyskały zupełnie nowy, nieromantyczny wymiar.

– Szczęśny, powiedz mi, czy ty miałeś już kiedyś do czynienia z kobietą?

– Oczywiście! Ile kobiet, tyle samobójstw! – odparł z dumą panicz. – Czyniłem im wyznania, kwiecie znosiłem, hecytowałem poezje własnego autohstwa, jak hównież wielbiłem ziemię, po któhej stąpały, pożądałem ich dusz i sehc, czci ich jednakowoż nie uchybiając. Dzentelmenem się mienię – dodał z dumą, po czym z lekka oklapnął – aczkolwiek Konhad ostatnio, z przyczyn mi nieznanych, liliją niewinną mnie obwieścił. Bezustannie usiłuję dociec dlaczego.

Niewiele myśląc, Carmilla sięgnęła po butelkę i szcudrze uzupełniła pustki w kieliszku panicza czystym winem.

– Postaram się to wyjaśnić w miarę obrazowo...

Uporawszy się z ostatnimi notatkami, jakimi w ciągu dnia szcudrze upstrzył swój tekst, Konrad z ulgą zamknął laptopa. Dochodziła czwarta

nad ranem, a on zdecydowanie miał dość. Już w okolicach północy zaczął zerkać tęsknie w stronę łóżka, ale teraz, gdy mógł wreszcie zagrzebać się w chłodnej pościeli, poczuł, że jest zbyt zmęczony, by zasnąć bez wspomagania, najlepiej w postaci kubka gorącego, słodkiego kakao.

Oderwawszy się z trudem od miejsca pracy, poczłapał korytarzem. Nauczony bolesnym doświadczeniem, że w takich okolicznościach pod nogi należy patrzeć bezwzględnie, przystanął na chwilę w bezpiecznej odległości od szczytu schodów, trąc oczy, gdy jego uszu dobiegł dziwny tupot. Odsunął dłonie od twarzy, spojrzął, po czym osłupiał.

O nie, o nie, nienienie... – powtarzała jego zdjęta trwogą dusza, a wyobraźnia wtórowała jej z zapałem, usiłując się zaprzeć i wyprzeć straszliwy obraz, który za nic w świecie nie zamierzał ustąpić.

O tak, o tak, taktaktak... – powtarzał nagle przebudzony umysł, chichocząc przy tym szatańsko. Tak, to był Szczęsny, bez najmniejszych wątpliwości, zawsze i wszędzie poznałby te blond kudły. I tak, owszem, płasał sobie radośnie, niczym rusałeczka z zaburzeniami błędnika, przez holl od strony kuchni w stronę bocznego korytarza, podskakując, kręcąc piruety, podśpiewując przy tym *Gdybym ja była słońcem na niebie* – i świecąc dupskiem.

Gołym.

Równie gołym co cała, caluteńka reszta panicza.

Reszta tak goła, że bardziej się już nie dało.

Odwróciwszy się automatycznie na pięcie, Konrad wrócił do siebie, wydobył z przepastnej szafy zakonspirowaną na tak zwany wszelki wypadek piersiówkę, po czym gołnął sobie zdrowo, aż nim zatrzepało.

Co jak co, ale naturyzm w wykonaniu Szczęsnego to nie było coś, co zdołałby znieść na trzeźwo...

– Sobota. – Z tym słowem na ustach otworzył przekrwione, zaspane oczy.
– Sobota. Dzisiaj jest sobota. A skoro dzisiaj jest sobota, to znaczy, że jutro jest niedziela. – Odwrócił ciężką głowę w prawo i spojrzął prosto w czarne oczka Rudolfa Valentino, który przycupnął na brzegu poduszki. – Jutro... już jutro... Matko sadzonko, jutro będę wolny!

W odpowiedzi Rudolf Valentino z całą życzliwością dziabnął go tradycyjnie, tym razem na dzień dobry w sam czubek nosa.

Pół godziny później Konrad zszedł na dół mocno niewyspany, ale świeży i pachnący, z plastrem w Muminki przyklejonym w stosownym miejscu,

a za nim chyżo pokicał królik, wyraźnie rozochocony porannym sukcesem.

Z kuchni dobiegały dźwięki z rodzaju straszliwych – energiczny, wyraźnie radosny głos Carmilli i gorączkowe, zduszone mamrotanie Szczęsnego.

Konrada jakby piorun trafił, przy okazji waląc go przez łeb wspomnieniem, które nie tak dawno usiłował utopić w alkoholu. Zamarł bez ruchu na najniższym stopniu, sparaliżowany wizją... wizją... no, tą wizją, bojąc się postąpić choćby krok dalej, by znów nie ujrzeć... ujrzeć... no, tego, czego za żadne skarby nigdy, przenigdy oglądać nie chciał i nie zamierzał. A już na pewno nie po raz drugi w ciągu tej samej doby.

Pierwszy odwagą wykazał się Rudolf Valentino – jakby nie patrzeć królik – który wyciągnął szyję, by zerknąć do środka, zastrzygł uszami na znak, że droga wolna, po czym jak gdyby nigdy nic pokicał do kuchni.

Przewyciężywszy wewnętrzny opór i zewnętrzną niemoc, Konrad w końcu ruszył w ślad za królikiem, choć najchętniej zapuściłby na tym stopniu korzenie, zakwitnął, a nawet wydał owoce. Choćby i kokosy.

– Alleluja... – wyrwało mu się wraz z głębokim westchnieniem ulgi na widok panicza w jak zwykle nonszalancko rozchełstanej koszuli, choć wyjątkowo bez makijażu. – A coś ty dzisiaj taki bledziutki?

– Bładość niepokój miłosny dowodzi, bładości phędzej niż słowom się wierzy... – odparł Szczęsny głębokim basem, nie odrywając żarliwego spojrzenia od Carmilli, która z zapalem piłowała paznokcie nad zlewem. Tego ranka zaszalała i nakręciła sobie na głowie mnóstwo loczków. Przypominała teraz połączenie wielkanocnego baranka i wyjątkowo krzykliwej pisanki.

– ...a twoja bładość, bardzo wiarygodna, ryczy teraz głosem gromkim niczym trąba jerychońska, że wczoraj znowu nadużyłeś – dokończył tryumfalnie Romańczuk, czym prędzej dodawszy sobie nocne płąsy w wersji *sauté* do porannej bładości i w rezultacie uzyskawszy nie naturyzm, ale zwykłe, cudownie zwykłe pijaństwo. – I wiesz, tak się teraz zastanawiam, nie do końca bezpodstawnie, czy i tym razem znalazłeś sobie kompana.

Panicz spojrział na niego z niemym wyrzutem i prychnął, odrzucając wzburzone pukle z czoła.

– Owszem, przyznaję – odchylił się nonszalancko na krześle – iże w stanie upojenia minioną noc spędzić mi przyszło, i to w nad wyhaz giętkim... chciałem rzec, zacnym towarzystwie, lecz upojenie owo nie winem z colą, a żarem cielesności spowodowane było. O, luba, zginąłem w niebie, kiedym haz piehwszy posia... pocałował ciebie! – Zerwał się od stołu, po czym buchnął na kolana przed niewzruszoną agentką, przywierając obliczem

tam, gdzie teoretycznie powinna mieć kształt łona, i zbulgotał żarliwie: – Płomienne wspomnienie wspólnych chwil uniesienia pozostanie w mej wdzięcznej pamięci aż po ghób... albo i dłużej.

Carmilla pogroziła mu pilniczką.

– Ile razy mam jeszcze powtarzać, żeby ta informacja przebiła się przez te twoje loczki? Przestań wreszcie strzelać gratisami i bierz się do tego harlequina wszech czasów.

– Ach! Jestże to ból lub rozkosz? Gdy czuję ściśnienia twych dłoni, kiedy z ustek zachwyce płomienia...

– Chwila, moment. Ja... ja się chyba przesłyszałem... – rzekł słabym głosem Konrad. Nogi się pod nim lekko ugięły, lecz tytanicznym wysiłkiem woli zdołał utrzymać się w pionie, podczas gdy jego umysł wstawiał Szczęsnego *sauté* do zupełnie nowego równania. – Żarem cielesności...? Posia... Pocałował...? Uniesienia...?

– Serce ogniste mary zapala w mej głowie – bulgotał dalej Szczęsny na wysokości łona, nie zwracając uwagi na toczącą się powyżej wymianę poglądów.

Carmilla beztrąsko wzruszyła ramionami.

– Cóż, musiałam mu przecież wyjaśnić, jak się pisze sceny konsumpcji. Wiesz, że nie uznaję półśrodków.

– Przecież on ma... – Romańczuk szybko przeliczył wiek panicza z prawdziwego na wiarygodny – ...siedemnaście lat! To niemal pedofilia!

– Dwieście siedemnaście, jeśli wierzyć w te historie z samobójstwami.

– Wiecznie miota się serce i płaczą się myśli...

– Więc twoim zdaniem nekrofilia brzmi lepiej?! – W głosie Romańczuka ewidentnie dało się usłyszeć nutę radośnie pączkującej hysterii.

– Konrad, dajże sobie na wstrzymanie, co? Nawet postrzeleni panicze, martwi od dwustu lat, mają prawo do odrobiny... powiedzmy, że miłości i własnych błędów, a co dopiero Szczęsny. Nie dyskryminuj żywych i przeciętnych inaczej. Przynajmniej nauczył się, co to są tak zwane momenty. I może teraz przestanie choć trochę truć o magnetyzmie serc i innych takich pierdołach, a weźmie się do konkretów. Naprawdę, stanowczo przesadzasz z tą swoją opiekuńczością...

Krew w Romańczuku zawrzała. Już miał na końcu języka krótką, dosadną ripostę, gdy ich uszu dobiegł rozdzierający krzyk.

Dopiero wraz z nadejściem nocy w Lichotce zapanował spokój. Cicho

było i ciemno niczym w grobie. Utopce zaprzestały harców i zaszyły się na dnie stawu, skąd tylko od czasu do czasu jeden z nich nieśmiało wystawiał głowę, by sprawdzić, czy wywrócony do góry nogami świat już wrócił na swoje miejsce. Nawet okoliczne drzewa jakby zamarły w bezruchu.

Jedynie w zamkniętej na głucho sypialni na piętrze paliło się słabe światło. W środku, u stóp gotyckiego łóżyszcza, siedziała Zmora, nerwowo bijąc ogonem na boki, przy niej zaś przycupnął Rudolf Valentino, wyjątkowo nikogo nie irytując.

– Boli...

– Już, już. – Konrad szybko odłożył książkę i sięgnął po stojący na nocnej szafce pantenol. Zatrzepotał mocno pojemnikiem. – No dobra. Gotowe? Psikamy.

Licho piszczało cichutko, gdy warstwa białej pianki zaczęła na nowo pokrywać długą, czerwoną oparzelinę.

– Nie płacz, maleństwo, nie płacz – powtarzał ciągle Konrad, miękko, łagodnie, by choć trochę uspokoić biednego anioła, lecz w środku cały się aż gotował. Przerażliwy krzyk Licha wciąż dźwięczał mu w uszach.

Nigdy dotąd nie biegł tak szybko co tego ranka. Usłyszawszy krzyk, w ułamku sekundy wypadł z kuchni, a potem runął korytarzem do gościnnej łazienki.

Zapłakane, drżące Licho stało w kącie, zawodząc przeraźliwie, zaś na podłodze przy wannie leżała wciąż włączona do kontaktu lokówka. Kilka białych piór przywarło do gorącego metalu.

W Konrada jakby nie jeden diabeł, ale całe hordy piekielne wstąpiły. Przez następną godzinę to darł się jak opętany, ciskając gromy na Carmillę, która zostawiła włączoną lokówkę na brzegu wanny i na śmierć o niej zapomniała, to z obłądnym strachem w oczach usiłował jakoś pomóc poparzonemu aniołowi. Starając się nie zadać dodatkowego bólu, czym prędzej zdjął mu spodenki, by materiał nie przywarł do świeżej rany na lewym pośladku. Żałował teraz, że go przekonał do ich noszenia. Licho zanosilo się płaczem, gubiąc pierze, roztrzęsiony Konrad chciał oszaleć z nerwów, a Carmilla nie wiedziała, jak przeproszać, nie mówiła więc nic. Szczęsny po raz pierwszy w życiu i niezyciu wykazał się zdrowym rozsądkiem i, nieproszony, poleciał z powrotem do kuchni po apteczkę, którą Krakera już wyciągał z właściwej szafki. Zdoławszy jakoś wziąć je na ręce, Konrad ostrożnie zaniósł półnagie, telepiące się Licho do swojej sypialni i tam zabrał się do opatrywania oparzeliny. Nikt, oprócz futrzaków, nie odważył się pójść za nimi.

Choć od tamtej chwili minęło już dobrych parę godzin, Romańczuk wciąż był kłębkim nerwów. Książkę w dłoniach trzymał chyba tylko po to, by nie rwać włosów z głowy. Od czasu do czasu odrywał wzrok od boazerii i spoglądał na Licho. Jego Licho. Próbowało zasnąć, lecz za każdym razem, gdy tylko poruszyło się odrobinę, ból zaraz przywracał je do przytomności.

– Poślizgnęłam się... i upadłam... – powtarzało wtedy żałośliwym, przeprasającym głosikiem, roniąc łzy jak grochy.

– Wiem, Licho, wiem. – Konrad cierpliwie głaskał je po główce, póki znowu nie przysnęło. Wyjątkowo nie protestował, kiedy czuwające futrzaki, bezlitośnie zaciągając pazurkami satynową pościel, w końcu wdrapały się na łóżko i przytuliły do anioła, by go pocieszyć i ogrzać.

Dochodziła dziewiąta, gdy usłyszał ciche kroki w pokoju przechodnim. Drzwi uchyliły się bezszelestnie i do środka zajrzał Kusy.

– Panie Romańczuk...? – wyszeptał nieco lękliwie. – Dobry wieczór.

– Jak dla kogo... – Konrad zaczął się unosić, ostrożnie, by nie obudzić drzemiącego anioła. – A pan co tu robi?

– Pantenol przywiozłem i takie tam różne, bo pewnie się przyda. – Machnął trzymaną w dłoni foliówką, nie przekraczając progu. – Szczęsny zadzwonił z komórki tej tam pani, powiedział, co się stało. Jak... jak ono się miewa?

Stąpając na palcach, Romańczuk wyszedł z pokoju i przymknął za sobą drzwi.

– Jak anioł z poparzonym pupkiem. Nie ma go jak przykryć, więc leży prawie golusieńki. – Z rezygnacją wzniosł oczy ku sufitowi. – Jeszcze mi się przeziębi na dodatek...

– Pan się nic nie martw. W przybudówce jest grzejnik, zaraz go panu przytaszczę. Masz pan. – Wcisnął Romańczukowi foliówkę. – Medykamenty na tę smutną okoliczność. Małżonka moja szanowna jeszcze tam jakieś słodkości dołożyła. Jak znam Licho, jutro będzie ich potrzebowało równie bardzo co tego białego psikacza. – Uśmiechnął się nieznacznie, po czym znów spoważniał. – A tamta pani...

– Łeb cholerze bym najchętniej ukrecił – warknął Konrad. – Zapomniała, wyobraża to sobie pan? Zostawiła włączoną lokówkę na wannie i po prostu o niej zapomniała! Zresztą nic dziwnego, całą noc deprawowała mi panicza, uświadamiając go w teorii i praktyce, na jej miejscu też bym zaczął cierpieć na chroniczne luki w pamięci... A lokówka spadła na ziemię i czekała tam cierpliwie na bliski kontakt z poślądkiem pierwszego anioła, który się nawinie. I tak się składa, że to był mój anioł!

– A tam. Zdarza się, panie Romańczuk. Wypadki chodzą po ludziach, widać po aniołach też.

– Tyle że cała zasługa za ten akurat wypadek należy się Carmilli.

– Panie Romańczuk, pan dzieci jeszcze nie masz, to nie wiesz, jak to z nimi bywa. Człowiek się stara, pilnuje, różne pomysły im z głowy w ostatniej chwili wybija, a i tak nie zawsze mu się udaje. Nad wszystkim się nie da zapanować, pogódź się pan z tym. Widać Licho też musi sobie parę guzów nabić.

– Łatwo panu mówić...

– A co, moje dzieci krzywdy sobie nie robiły? Panie! – Machnął ręką. – Byś pan się zgubił w rachunkach. A to guz nabity, a to kolano rozwalone, a to o jednego mleczaka mniej, a to limo pod okiem, a to łapa oparzona... Nie upilnujesz pan, choćbyś na głowie stanął. Zawsze się coś przydarzyć może, chcący czy nie. Nie ma się co tak na siebie złościć.

Na siebie? Jakie znowu na siebie? Na nią! Na tę wampirzycę przekłętą, a żeby jej w biodra poszło! Już miał zaprotestować z całą mocą i godnością osobistą, kiedy uświadomił sobie, że przecież Kusy ma rację. Czy mu się to podoba, czy nie – to na siebie się złościł, nie na Carmillę. A przynajmniej nie tylko, nie przede wszystkim na nią. Zamiast wbić Carmilli do głowy, że anioł, prawdziwy czy nie, ma pod wieloma względami mentalność dziecka i jak dziecka należy go pilnować, machnął na to ręką. Tak dla świętego spokoju, byle szybciej się jej pozbyć.

– Niech pan idzie po ten grzejnik – mruknął, usiłując ukryć zakłopotanie.

– Szczęśny się przejął, pewnie panu bez prośzenia pomoże. Ja mam tu ранego anioła pod opieką... i parę ważnych spraw do przemyślenia.

Gdy za Kusym zamknęły się drzwi, Konrad po cichu wyciągnął z głębi szafy nieco zniszczone pudełko po butach, które przyjechało do Lichotki wraz z gramofonem i innymi pamiątkami młodości durnej i chmurnej. W środku leżały dziesiątki zdjęć, większych i mniejszych, starych i nowszych. Wszystkie bez wyjątku były czarno-białe, niektóre miały nawet ozdobnie powycinane brzegi i stemple dawno zamkniętych zakładów fotograficznych na odwrocie. Roześmiane od ucha do ucha dziecko z blond loczkami do ramion, siedzące na dziwnym rowerku, czyli dziadek jako mała dziewczynka. Szczerzący się berbec, który pewnego dnia został matką Konrada. Miała wtedy łeb jak telewizor i zęby jak kasownik. Wujostwo, dziadostwo, nieliczni krewni bliżsi i dalsi. Wszyscy odeszli, w ten czy inny sposób. Niektórzy zdecydowanie zbyt wcześnie, ale cóż. Nie da się zatrzymać na siłę kogoś, komu śpieszno w świat. Ten czy inny.

Romańczuk nigdy nie był szczególnie sentymentalny, nie gromadził pamiątek, bo też niespecjalnie miał co wspominać. Po dawno minionych czasach i utraconej lub zapomnianej rodzinie zostały mu tylko stare winyle i te właśnie zdjęcia. Kiedyś mu to nie przeszkadzało, ale teraz... Teraz już wiedział, na pewno, na bank, na amen w pacierzu, że zostanie w Lichotce, razem z Lichem, z Krakersem, z utopcami... a niech to, nawet ze Szczęsnym, choć serdecznie go nie znosił. Lecz wraz z tą pewnością nadciągnęły myśli o przyszłości jej mieszkańców, która zależała od tego, czy obecny pan z dożywociem znajdzie sobie następcę, kogoś, komu będzie naprawdę zależeć. Zastanawiał się, czy temu podoła – sam jak palec, bez Majki i jej drobiazgowego planu na życie, również pozagrobowe. I co się stanie z mieszkańcami gotyckiego domu, gdy pewnego dnia zabraknie w nim Konrada Romańczuka – tak jak zabrakło jego rodziny, którą miał już tylko na zdjęciach.

Całą noc siedział przy aniele, walcząc z własnymi dylematami wewnętrznymi i nakładając coraz to nową warstwę pantenolu na dylemat zewnętrzny Licha, które jakoś zdołało zasnąć. Także kocica i królik, zwinawszy się w futrzane kulki, poszli w jego ślady. W końcu i Konrad przysnął, zmęczony złością i strachem. Śniły mu się lokówki i gołe pośladki panicza.

Pierwsze, co ujrzał, gdy po zaledwie trzech godzinach niespokojnego snu zaszedł do kuchni po kawę, to niemiłosiernie upačkany błotem matiz. Utopce w ramach brudnej zemsty za wypadek Licha przez całą noc zdobiły złotą karoserię odciskami wielkich, błoniastych łap. Niespecjalnie się tym przejął.

– Całkiem udany deseń – odezwał się starannie wypacykowany Szczęsny, który siedział pod oknem i na znak nowo odkrytego oblicza swej widmowej cielesności kończył haftować płonące serca i żarliwe wersety na wielkim kąpielowym ręczniku Carmilli. – Początkowo próbowały wykąpać ów automobil w stawie, ale bez większych sukcesów. Złe są od wczohaj jak osy.

Konrad tylko wzruszył ramionami i zabrał się do parzenia kawy.

– Wyglądasz niczym potwóh z czeluści piekielnych przemocą wyciągnion – ciągnął panicz. – I to bez śladu makijażu, a to nie lada sztuka. Wiem z doświadczenia.

– Czuwałem.

– A, to wiele tłumaczy... Jak się miewa Licho?

– Trochę lepiej. Spało jak suseł, kiedy wychodziłem, a rana wygląda dobrze. Dzięki, że pomyślałeś o powiadomieniu Kusego – dodał po krótkim wahaniu. – Zupełnie mi to z głowy wyleciało.

– Zawsze się nad wyhaz przejmujesz, gdy Lichu dzieje się krzywda. Inne sphawy ci wtedy nie w głowie. – Zerknąwszy ukradkiem na zamyślonego Konrada, odłożył robótkę na parapet. – Ze mnie pożytek masz zwykle mizehny, za to kłopoty niewątpliwie, skoho się nieustannie złościsz...

– Szczęsny, ja się po prostu czuję za was odpowiedzialny, a ty bez przerwy coś... – zaczął niemrawo Romańczuk, lecz panicz nie pozwolił mu dokończyć.

– Ani słowa więcej! – zakrzyknął żarliwie. – Wiem, że niechęcią do mej osoby od początku pałasz, a i wspanie znajdujesz we mnie znikome, przyznaję – zadudnił stosownie pięścią w wątlą pierś. – Zaś tehaz, gdy na domiah złego kahiehe pisahską hozpocząć zamierzam...

– Widzę, że Carmilla namieszala ci skutecznie nie tylko w porciętach – mruknał kąśliwie Konrad, zalewając kawę wrzątkiem. – Naprawdę zamierzasz oddać się w jej chciwe szpony... ponownie? – ostatnie słowo z trudem przeszło mu przez gardło, nasuwając na myśl całą serię wstrząsających wizji i skojarzeń.

Szczęsny, którym owe wizje i skojarzenia również wstrząsały, lecz zdecydowanie inaczej, na znak męskiej i twórczej dumy majtnął puklami.

– A cóż lepszego mógłby mi zaofehować los? Wheszcie mogę się spełnić, zhealizować twóhczu, wykorzystać nieznane dotąd, świezo obudzone żądze, poczuć, że choć mahtwy od dwóch wieków z okładem, po haz piehwszy żyję pełnią życia! Możność udania się, gdzie mnie nogi poniosą, została mi odebhana poniekąd odgóhnie, zostanę tu, póki... no cóż, póki śmiehc nas nie hozłączy. Twoja, nie moja, wybacz szcehość. Nie żądam, byś mnie wspiehał w kahierze czy hozumiał me niezyciowe wybohy, wystahczy, że... – odetchnął głęboko – że pozwolisz mi hozwinąć skrzydła. Być... sobą.

– Nieszczęsnym paniczem Szczęsnym z makijażem na mroczną pandę i wyjątkowo irytującą wadą wymowy?

– Tak jest. – Z dumą potrząsnął loczkami. – Właśnie tym.

Konrad pokiwał głową, merdając łyżeczką w kubku.

– Póki śmierć nas nie rozłączy, powiadasz? – Na jego zmęczonej twarzy powoli rozkwitł złośliwy uśmieszek. – Ale nie muszę cię chyba tulić do snu, głaskać czule po główce i tak dalej?

– Te elementa możesz sobie dahować.

– To miło. Rozumiesz, rzecz jasna, że rozejm będzie wymagał poświęceń

również z twojej strony?

– A jakich to?

– Milczeć, nie mdleć, nie wzdychać. I przeprosić się z r.

– Kiedy to tak ładnie do mego wizehunku pasuje... – zasmucił się panicz. Odruchowo chciał westchnąć, lecz w ostatniej chwili zdołał się powstrzymać. – Cóż... Chyba będę musiał nauczyć się z tym nie żyć. A... – urwał, by zebrać całą swą gromadzoną przez wieki podstępność, po czym odetchnął i niby to niewinnie zawołał za zmierzającym ku schodom Konradem: – A czy i ty zamierzasz ze swej szansy od losu skorzystać...?

Romańczuk przystanął i odwrócił się do panicza z wyrazem podejrzliwego niezrozumienia na pobladłej twarzy.

– A ten los oferuje mi...?

– Niedoszłą przyszlą narzeczoną – usłużnie uświadomił go Szczęsny.

– Widzę, że Carmilla naprawdę nie marnowała czasu i uświadomiła cię wszechstronnie... Nie, z tej szansy skorzystać nie zamierzam.

– Na pewno?

W drzwiach salonu stała Carmilla, wymalowana, wystrojona, gotowa do drogi. Spojrzała Konradowi prosto w oczy, czekając na odpowiedź.

– Na pewno – odparł spokojnie, choć chłodno.

– Może jeszcze się zastanów...

– Myślałem o tym całą noc – wszedł jej w słowo. – Wiem, że chcesz mnie za wszelką cenę ściągnąć z powrotem do miasta, choćby w dybach ponownego związku. Parę osób pewnie by się z tego ucieszyło. Ty, Majka... troje znajomych oszołomów... – Kątem oka dostrzegł, że Szczęsny drgnął gwałtownie na wspomnienie zimowych gości. – Ale jest też ktoś, kto zasmarkałby się na śmierć, rwąc sobie włosy z głowy i pióra ze skrzydełek. I kto nie oczekuje ode mnie, że się zmienię i zacznę spełniać jego oczekiwania, tylko akceptuje z całym dobrodziejstwem inwentarza. Ten ktoś właśnie śpi w moim łóżku z gołym pupkiem i wrednym różowym królikiem pod pachą. Nie mówiąc już o obecnym tu nieszczęsnym paniczu, któremu znowu skończyłyby się palce, zanim zdążyłby popełnić tak pożądane przez ciebie dzieło swojego życia po życiu. I tak sobie myślę... że oni są jednak dla mnie ważniejsi niż twoje widzimię. Dla Majki z czystej przekory nie chciałem się zmienić za nic w świecie, a dla nich... – wzruszył ramionami – ...jakoś tak samo wychodzi.

– Więc chcesz tu zostać, tu, na tym parchatym odludziu, tak?

Konrad uśmiechnął się do siebie w zamyśleniu, po czym skinął głową.

– Tak, chyba właśnie tego chcę. Zostać i dalej dziadzić w spokoju,

zaprzyjaźniając się z całym stadem zaimków dzierzawczych, snując się po domu w powyciąganej bluzie, pisząc kolejne książki przy oknie z widokiem na staw i las, oglądając wschody słońca z perspektywy werandy i piekąc upiornie kaloryczne ciasteczka w każdy weekend.

– Cóż... Szkoda. W takim razie pożegnaj w moim imieniu tego twojego Lisz... Licho. Całkiem... sympatyczny. Przyślę mu coś na Dzień Dziecka.

Znając Carmillę od paru dobrych lat, Romańczuk wiedział, że bliższa szczerych przeprosin już bardziej nie będzie. Przyjął je zatem do wiadomości w tak zawołowanej formie, docinki na temat samotnie wałęsających się lokówek zostawiając sobie na następną okazję.

– Puzzle.

– Słucham?

– Puzzle – powtórzył Konrad. – Licho i jego umiłowanie porządku je uwielbiają. Uprzedzam, dwa tysiące kawałków to absolutne minimum.

– Da się zrobić. Ty, autor! – Wskazała panicza wymalowanym szponem. – Za miesiąc chcę dostać tekst, co najmniej dziesięć arkuszy, bez dyskusji.

– Jam niewolnik z mojej rad niewoli...! – zarzęził namiętym głosem Szczęsny, w okamgnieniu nadymając się niczym purchawka i z dumą wręczając jej haftowany ręcznik, bawełniany dowód swego oddania.

– Ależ proszę cię bardzo, protestować nie zamierzam. A z tobą – przesunęła palec w stronę Konrada – jeszcze sobie pogadam. Najwcześniej w przyszłym tygodniu, jak już się skontaktuję z pierwszymi wydawcami. No. Cóż, miło było i z pewnością... inaczej, ale pora na mnie.

Schyliła się po bagaże. Romańczuk bezwolnie skinął głową, po czym zapytał:

– Przyznaj szczerze. Przyjechałaś po teksty czy wywrócić moje życie do góry nogami?

– Jedno i drugie, rzecz jasna. W końcu podpisałeś cyrograf, prawda? Ze mną ten sam numer co z Majką nie przejdzie. Będziemy razem na dobre, złe i jeszcze gorsze. – Odwracając się w drzwiach, dmuchnęła szczerze papierosowym dymem. – Ach, byłabym zapomniała. Widzieliście może mojego psa? Wołałam go i wołałam, ale nigdzie nie mogłam tego małego powsinogi znaleźć.

Klapka w drzwiach do spizarni drgnęła i odchyliła się szeroko. Z wnętrza wyłoniła się wielka macka, na której siedział najszczęśliwszy york pod słońcem. Przeciągnął się leniwie, szczerknął i zamerdał na widok zebranych w kuchni osób. Oczka mu lśniły jak nigdy przedtem. Macka tymczasem zatrzymała się tuż przed Carmillą, druga zaś delikatnie chwyciła pieska

i wręczyła kobiecie. Na pożegnanie poklepała oboje po głowie, po czym obie macki zniknęły w ciemnościach spiżarni. W środku dało się słyszeć coś jakby tubalne łkanie. York odpowiedział mu cichym skomleniem.

– Chyba muszę zmienić fajki... – mruknęła Carmilla Jekiełek, opuszczając gotycki dom na odludziu.

5. Mroczna tajemnica Rudolfa Valentino

Siła wyższa, chwilowo dzierzżąca stery tego świata, nudziła się jak mops. Z każdym dniem gorącego lata życie zdawało się ciągnąć niczym sparciała guma w majtkach. Upał męczył i dręczył coraz bardziej bezlitośnie. Ludzie snuli się ospale ulicami miast i miasteczek, dyszeli w samochodach, złorzecząc na wszechobecny skwar i duchotę, które wyciskały z nich siódme poty, lub rozkoszowali się cudem klimatyzacji. Czasem ktoś na kogoś zatrąbił, ktoś komuś zaprezentował palec lub całą pięść albo życzył bliźniemu wszystkiego najgorszego. Nudy na pudy.

Wodząc wzrokiem od człowieka do człowieka, z braku lepszego zajęcia siła wyższa poszukiwała obiektu, który dostarczyłby jej rozrywki na nieco dłużej niż parę sekund. Obejrzała imponujący korek w centrum, oblężenie lodziarni przez grupę rozszalałych kolonistów, po czym zaczęła podziwiać leżakujących na trawniku przed dworcem miejscowych koneserów wina marki wino, rocznik zeszła środa, gdy w pewnym momencie zauważyła pokraczny samochodzik mknący asfaltowymi wertepami w stronę południowo-zachodnich granic miasta i dalej, przez wsie i opłotki. Wyglądał dziwnie znajomo. Zaciekawiona zerknęła do środka i natychmiast poznała mężczyznę wciśniętego w przestrzeń między siedzeniem, kierownicą i dachem. Wciąż był posepnie śniady, lecz jeszcze szczuplejszy niż wtedy, gdy siła wyższa spotkała go po raz pierwszy, zaś jego czarną, zmierzwioną czuprynę znaczyły pojedyncze siwe włosy. Mimo to sprawiał wrażenie mniej spiętego i znacznie szczęśliwszego. Nie kłął pod nosem, nie walczył z mapą i swawolnymi bagażami, nie wzruszały go nawet tabuny rowerzystów chwiejnie sunących poboczem. Przez całą drogę siedział rozluźniony, chociaż nie mogło mu być specjalnie wygodnie, uśmiechał się lekko i podśpiewywał, wybijając palcami rytm na kierownicy. Ani chybi jechał do domu. Do starego, ceglanego domu z upiorną gotycką wieżyczką, przypomniawszy sobie siła wyższa, domu, którego widok przed rokiem zaparł mu dech w piersiach i odebrał mowę.

W istocie, spędziwszy pół dnia na staniu co rusz w nowym korku i użeraniu się z różnymi specjalistami, menedżerami i innymi mistrzami urzędniczych zawłości, Konrad Romańczuk wracał do Lichotki z pieśnią radosną na ustach, stosem dokumentów w plecaku i bagażnikiem pełnym zakupów. Wiatr, który wpadał przez otwarte okna, hulał po wnętrzu tico, majtając nim nieco po szosie, a rozmaite żuczki, muszki i inne robaczki

obficie pstrzyły przednią szybę mozaiką włók. Oślepiające słońce świeciło na tle błękitu nieba, soczyście zielone drzewa szumiały. Do kompletu brakowało jedynie nadpobudliwej guwernantki ogłaszającej wszem i wobec świdrującym trelem, że wzgórze ożyły dźwiękami muzyki.

Tak czy siak, dzień był piękny, a Konrad w wyśmienitym humorze. Tytanicznym wysiłkiem woli, dzięki któremu obyło się bez rozlewu krwi i ofiar w ludziach, oraz paroma celnie wymierzonymi uśmiechami udało mu się od ręki załatwić kilka ważnych spraw, co oznaczało, że następna wizyta w mieście wiecznych korków czekała go najwcześniej na jesieni. Już sam ten fakt stanowił wystarczający powód do radości.

Tico dalej mknęło przed siebie. Szosa zaczęła wic się łagodnie, zaś rosnący po obu jej stronach las stopniowo gęstniał. Minąwszy zakręt, Konrad spostrzegł pozostawiony na poboczu samochód. Po kierowcy i ewentualnych pasażerach nie został nawet ślad. Kolejny zakręt – kolejny samochód, a potem następne, coraz liczniejsze, poupychane między szosą a leśną gęstwiną.

– Co u licha... – mruknął Romańczuk, widząc autobus zaparkowany na skraju przeciwnego pasa w długim sznurze samochodów. Za przednią szybą jak wół widniał wielki szyld z napisem AKCJA ANTYPROTESTACYJNA. Po drugiej stronie od szosy odbijała piaszczysta droga, naznaczona świeżymi śladami opon. Biegła gdzieś dalej, ginąc w lesie, skąd dochodził zwykle niespotykany w tych okolicach gwar. Z czystej ciekawości Konrad wcisnął tico między dwa większe samochody, chwycił plecak, pozamykał, co trzeba, po czym ruszył sprawdzić, co też się w sąsiedztwie Lichotki wyprawia.

Po przejściu niespełna dwustu metrów dotarł do polany pośród drzew. Na samym środku stała półciężarówka, która wyznaczała coś na kształt osi tego małego wszechświata. Przed nią wylegiwali się robotnicy, nudząc się z wprawą, pracując nad opalenizną i bez większych emocji obserwując to, co działo się przed ich oczyma. Po obu stronach kłębiły się niezależnie od siebie dwie, bez wątpienia antagonistyczne grupy.

– O, wyrodne dzieci Ziemi! Czyż chcecie wbić okrutne szpadle w łono Matki, która własną piersią, owocami własnego znoju was wykarmiła? – zawodziło długowłose, bosc dziewczę w powłóczystych szatach i z kilogramami koralu na szyi, wymachując trzymanymi w dłoniach karczidłami. – Padnijcie na kolana, oddajcie jej cześć w podzięce za te hojne dary, którymi was obdarowała! Oto nadszedł czas oprzytomnienia! Zbudźcie się, zbudźcie ze snu zaklętego w betonie i spójrzcie na tę ostoję życia, na

której stopa cywilizacji nie powstała! Na piękny świat, który was otacza! Czymże się stanie, jeśli nie pustynią jałową, gdy wycięte zostanie ostatnie drzewo, zatruta zostanie ostatnia rzeka i ostatni łąbądź wyzionie ducha z pieśnią łąbądzią na dziobie!

Zgromadzeni za jej plecami kosmaci młodzieńcy w haftowanych pumpach i szarawarach zaczęli walić w bębunki i tamburyny, zaś smętne panny w powłóczystych gieżłach chóralnie lamentować nad powszechnym upadkiem ludzkości.

– Towarzysze i towarzyszki! Obywatele i obywatelki! – w odpowiedzi zapiał przez megafon tłustawy jegomość w garniturku i rozwichrzoną pożyczką na głowie, w którym Konrad z przerażeniem rozpoznał pana Migłę. – Jako człowiek prawy i sprawiedliwy wzywam was, tu i teraz, stańcie na barykadach przeciwko pogaństwu! Ratujcie nienarodzone miejsca pracy przed barbarzyńską hordą! Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei i przed ludem pracującym miast i wsi niosą oświaty, elektryfikacji i dróg o europejskim standardzie kaganek!

Rozległa się burza oklasków w wykonaniu statecznych dżentelmenów w gumiakach oraz zatroskanych wszechświatem panius w kieckach w grochy.

– Miłujcie się, bracia i siostry w naturze, miłujcie kwiecie, miłujcie ziele! Zrzućcie okowy drobnomieszczańskiej moralności, uwolnijcie swe ciała i dusze z niewoli genetycznie modyfikowanych kłamstw i konserwantów, jakimi karmią was wielkie korporacje. Dajcie się ponieść czystej, nieskrępowanej miłości Matki Ziemi!

Zwolennicy jegomościa w garniturku eksplodowali świętym oburzeniem.

– A to szpetne zбочeńce!

– Słyszeliście? Higieny im się zachciewa!

– I kajdanek! Wyraźnie słyszałam, jak mówili coś o kajdankach!

– Matkoboskoczęstochowsko! Do broni, rodacy, do broni!

Po obu stronach ciężarówki podniosła się wrzawa i tumany kurzu. Transparenty wojowniczo załopotwały na wietrze, dziesiątki głosów zaczęły się wzajemnie przekrzykiwać, siejąc zamęt i spustoszenie wśród okolicznego ptactwa.

– Przepraszam – skonsternowany Konrad zaczepił pierwszą z brzegu osobę, która nie brała udziału w zbiorowej kotłowaniu, tylko filmowała całe zajście telefonem komórkowym. – Ta przyjacielska wymiana poglądów to...

– Pole bitwy o przyrodę naszą i waszą – dokończył ze smutkiem rudy

młodzieniec o fizjonomii Koziółka Matołka. – Miejscowi decydenci, oślepieni mamoną i wizją korzyści majątkowych w postaci stałego dostępu do żywności genetycznie zmodyfikowanej, pakowanej w zabójcze dla środowiska foliowe opakowania, oddali tę oto polanę, ostoję dzikiego, pierwotnego zwierza, w pazerne łapska krwio pijnych przedsiębiorców, którzy chcą postawić tu hipermarket. Przybyliśmy bronić tego skrawka ziemi przed śmiercią przez zabetonowanie. Obecnie trwa pokojowa dyskusja...

– A żeby was pchły oblaży, lenie niedomyte! – wrzeszczała nieopodal jakaś dobrotliwa staruszka, kręcąc młynka torebką.

– ...po której przejdziemy do również pokojowego pochodu wokół polanki, zakończonego pokojowym przykuciem się do drzew, braci naszych liściastych.

– Aha... A o jakim to dzikim, pierwotnym zwierzu mowa?

– O świrdzykach stępionych. – Młodzieniec jakby się ożywił, bo zamrugał.

– To takie ślimaczki, które...

– SZATAN!!! – ryknął naraz megafon, ogłuszając wszystkie żywe dusze w promieniu kilometra. – Tam, tam stoi! Spójrzcie, ludzie, inni szatani są tutaj czynni! Precz spomiędzy chrześcijany, Konradzie Szatanie Romańczuku!!!

Z zastygłego w bezruchu ekologiczno-hipermarketowego tłumu wyłoniła się chuda jak szczapa postać w czerni, dzierżąca megafon i z potępieniem wskazująca Konrada Szatana Romańczuka, cokolwiek wstrząśniętego i zmieszanego, sękatym paluchem.

– Przybyłeś, by nas wodzić na pokuszenie, ty i ci twoi poganianie! – wysyczał.

– No nie, tylko bez takich... – skrzywił się Romańczuk, poznawszy, kto taki pluje na niego przez megafon.

Między zmarszczki pokrywające oblicze starca zdołał się wepchnąć uśmiech z gatunku podstępnych.

– Oprawco niewiniątek...! – wyrzeźbił tryumfująco Żuber. – Kusicielu dziewic...! Milcz, Aurelio! I bez wzdychania mi tu, gdzie twoja godność! Tyś! – sycząc, zwrócił się z powrotem do Romańczuka. – Anioła żeś wbrew jego naturze zbałamucił! Tę zasnę niewiastę zwiódł na manowce cielesnego, tfu, pokuszenia! – Dramatycznie zawiesił głos, wybałuszył oczy, po czym kontynuował cichszym, charczącym głosem: – A teraz przybyłeś tu, w leśne ostępy, by powieść tę dzicz pogańską ku orgiom, rozpustom i wszetecznościom wszelakim! Mało ci było anioła, mało?! Szatanie! Już nie

zwiedzie nas jakże obmierzała twa postać, gdyż otom cię zdemas... Aurelio, co ja mówiłem o wzdychaniu?!

Siła wyższa zamarła. W przeciwieństwie do kompletnie ogłupiałych ludzi widziała, co dzieje się w umyśle i duszy Konrada. Słyszała złowrogie skrzypienie, z jakim kręciły się trybiki, otwierając z wolna zamknięte na cztery spusty drzwiczki, za którymi kryły się nieskończone pokłady czystej złośliwości.

Romańczuk wyciągnął telefon z kieszeni i wybierając numer, uśmiechnął się leniwie, z szatańskim błyskiem w brązowych oczach.

Z cichym jękiem Aurelia Bercikówna runęła bezwładnie na najbliższego robotnika, mało go nie przygniatając.

– Słabości, imię twe kobieta! – obwieścił zniesmaczony Żuber.

– Dzień dobry, panie Kusy – jak gdyby nigdy nic rzekł do telefonu Szatan wcielony, obmierzły uwodziciel aniołów i dziewic. – Mam taką tycią prośbę. Czy mógłby pan wpaść do domu i powiedzieć... wszystkim, że nie wrócę na noc? Co...? Nie, nic się nie stało. Po prostu... przykuła mnie pewna sprawa.

– Że coś pan robił? – Szymon Kusy był pewien, że się przesłyszał.

– Siedzdzdziałemmm całłą noccc nna dddrzewwwie – zaszczekał zębami Konrad.

Telepał się na kuchennym krześle, owinięty grubym kocem, i usiłował popijać gorącą herbatę z kubka, który trzymała mu pod samym nosem jedna z macek Krakera.

– A po kiego czorta?

– Ddd... ddd... dddla zzzasadddy.

Dzieciństwo spędziwszy w przestrzeni blokowiska, gdzie samochodów było więcej niż źdźbeł trawy, Konrad nigdy nie nauczył się wspinać na drzewa. W dodatku tego dnia miał na sobie strój niby bojowo-sportowy w wersji letniej, lecz nie do końca idealny do tego typu rozrywek. Ociekające jadem uwagi sępiego starca i pana Migły, jak również pożądlive spojrzenia spod rzęs, które ciskała w jego kierunku panna Bercikówna, działały jednak cuda. Z wdziękiem pijanego leniwca Konrad wlaź w końcu na wysoką gałąź i czepił się kory niczym wiewiórka z lękiem wysokości, póki Koziołek Matołek nie przypiął go do pnia mocnymi linkami. Jasne, nie było mu może zbyt wygodnie, w dodatku po drodze na szczyty drzewostanu odniósł kilka drobnych ran otartych, wszystko to jednak bledło w starciu z precudnej urody wrażeniami wzrokowo-słuchowymi, jakich dostarczał

mu zgromadzony w dole tłum, któremu przewodził coraz bardziej wściekły Zuber. Miłe, acz niecodzienne okoliczności przyrody sprzyjały kontemplacji i wszelkiej maści rozmyślaniom nad sensem życia, miejscem człowieka na ziemi i tym podobnymi pierdołami. Koziołek Matołek, który przykuł się na drzewie obok, okazał się całkiem sympatycznym i odczytanym rozmówcą, czas mijał im zatem szybko i w przyjemnej atmosferze intelektualnej dyskusji, dopóki z nocnego nieba nie lunął na protestujących chłodny, rześisty deszcz.

Nad ranem przemoczony na wylot, skostniały Romańczuk zlął z drzewa i dokuśtykał do samochodu. Z włączonym na najwyższe obroty ogrzewaniem, szczękając zębami i telepiąc się za kierownicą, ledwo dojechał do Lichotki, gdzie runął niczym kłoda prosto w opiekuńcze objęcia macek.

– No toś się pan pięknie załatwił dla tej zasady. – Kusy cmoknął z dezaprobatą. – Żeby całą noc na drzewie w sandałach, byle koszulinie i krótkich majtach przesiedzieć, to trzeba mieć nierówno pod sufitem.

– Napaliłom na górze w kominku – oznajmiło Licho, wpadając do kuchni z naręczem wielgachnych ręczników – i wyciągnęłom dodatkowe koce, alleluja. Krakersik zaraz zagrzeje rosołku, a ja naplumkam świeże kluseczki.

– No, na co pan jeszcze czekasz, na zapalenie płuc? Już, pakuj się pan w bety.

Dygocząc, szczękając i kichając, Konrad potulnie dał się zaprowadzić na piętro, przebrać w piżamę i wpakować pod warstwy kołder i koców, a następnie napić rosołkiem z kluseczkami. Rozleniwiające ciepło powoli rozplýwało się po jego udręczonym zimnem i niewygoda ciele. Powieki zaczęły mu się kleić. Westchnął z wyraźną błogością i jeszcze bardziej zagłębił się w odmętach pościeli. Nie zaprotestował nawet przeciwko turbanowi z ręcznika, który Licho postanowiło mu zamotać na głowie.

– O, badylek ci się zaplątał. – Wyciągnęło spomiędzy mokrych włosów Konrada giętką gałązkę z trzema jasnozielonymi listkami. – Jeszcze całkiem świeży, apsik. Wyrzucić?

– Nie, zostaw – zdążył jeszcze mruknąć na wpół świadomie Konrad, po czym zapadł w głęboki sen.

Gdy po tygodniu zmagania z gorączką i przeziębieniem Konrad w końcu spojrział na świat nieco przytomniejszym wzrokiem, włożona do szklanki z wodą gałązka zieleniła się soczyście na parapecie, dumnie prezentując

świata pierwsze nieśmiałe korzonki.

– Doglądałam badyłka codziennie! – wyjaśniło z dumą Licho, szorując z zapalem kominek i dumnie prezentując światu nowe bambosze, które Konrad specjalnie przywiózł mu z miasta. Były puchate, wściekle różowe, zdobione wielkim kwiatkiem z żółtej i zielonej włóczki każdy oraz wyposażone w antypoślizgowe podeszwy. – Podlewałam i rozmawiałam z nim, alleluja, żeby się nie czuł samotny bez innych, znajomych badyłków. A Kusy mówił, że może kiedyś wyrośnie z niego prawdziwe drzewo. Z badyłka, nie z Kusego – dodało po chwili celem uzupełnienia. – Jak myślisz, jakie?

– Liściaste – odrzekł Konrad. Nie miał nawet pojęcia o wyobrażeniu, jakie drzewo tulił czule w objęciach przez całą noc, a nie przyszło mu wtedy do głowy zapytać o to Koziółka Matołka. Pewnie zresztą w odpowiedzi usłyszałby kolejny wykład o nietypowych ślimaczkach. Albo o rzadkich gatunkach korników. No, nie była to brzoza ani wierzba, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Tylko te dwa drzewa liściaste potrafił rozpoznać, w dodatku bez większego namysłu, ale jego oszałamiająca znajomość dendrologii na tym się kończyła. Na szczęście Licho nie miało zbyt wielkich wymagań i zadowolilo się odpowiedzią najmniej konkretną z możliwych.

– A duże?

– Pewnie tak.

Wesoła zieleń badyłka przez cały dzień przyciągała wzrok Konrada niczym magnes. Co rusz się przyłapywał na tym, że zamiast czytać czy drzemać, w ramach walki z niedobitkami choroby gapi się na gałązkę, a na twarzy powoli rozkwita mu mimowolny i dość durnowaty uśmiech. Sam nie wiedział, czemu chciał ją zachować, czuł jednak, że tak właśnie powinno być. W końcu przestał sobie tym zaprzętać głowę i po prostu napawał się widokiem młodych listków.

Pod wieczór do sypialni zapukał Kusy. Sprawiał wrażenie jednocześnie strapionego i wzburzonego. Bez przerwy miętosił trzymaną w dłoniach starą czapkę baseballową i ocierał nerwowo wysokie czoło chusteczką w szkocką kratę.

– Panie... – wydusił, ciężko opadając na stojące w kącie krzesło. – Panie Romańczuk, my musimy porozmawiać.

– Jasne. – Konrad odłożył książkę i wygrzebał się z wymiętoszonej pościeli, by usiąść nieco bardziej po ludzku. – Skoro musimy, to musimy.

– Ale tak po męsku! – zaznaczył Kusy. – Bez żadnego tam pitolenia naokoło Wojciech i w koło Macieju!

– Jasne – powtórzył Romańczuk, przybierając poważny wyraz twarzy, choć w środku cały chichotał.

Kusy wziął głęboki wdech.

– Jak żeś pan z tych noclegów na drzewach wrócił – zaczął – toś pan miał plecak, nie? O, ten tam. – Wskazał na leżący obok szafy plecak Konrada. – I jak pan żeś poszedł spać, to myśmy, ja z Lichem znaczy, wyładowali zakupy z bagażnika, rozumiesz pan, no i z rozpędu do plecaka też zajrzeliśmy, czy się aby nic nie zamoczyło, bo on mokry był, ten plecak, a tam w środku to... – głos mu się lekko załamał – ...to papiery różne takie były. I ja... ja zerknąłem przypadkiem, wiesz pan, tak niechcący, nie żebym się do cudzych spraw wtrącał... – Coś go ścisnęło za gardło, ledwo przełknął ślinę. – Panie Romańczuk... pan żeś spisał testament...?

– A, więc o to chodzi... – Dusza Konrada stłumiła chichot, który już pchał mu się na usta. – Ano spisałem. Do tego wykupiłem jeszcze polisę na życie i ubezpieczyłem dom, tak na wszelki wypadek.

– Rany boskie... – Nagle pobladły Kusy chwycił się za przepocony podkoszulek w miejscu, w którym, jak przypuszczał, gdzieś pod warstwą cielesności powinien mieć serce. – Panie Romańczuk, powiedz pan, że pan nie umierasz!

– No nie, jeszcze nie, ale...

– Jeszcze?!

– ...ale kiedyś na pewno zwinę manatki z tego świata – dokończył spokojnie. – Może jutro, a może za rok lub dopiero za pół wieku – wzruszył ramionami. – Tak czy siak, pewnego dnia szlag mnie bez wątpienia trafi.

– Ale żeby od razu testament...? – wysapał wstrząśnięty Kusy. – Panie, pan to jeszcze gołowąs jesteś przecież, a już ze szczegółami podróz na tamten świat planujesz! Nie, to się nie godzi, to się po prostu nie godzi!

– Mam trzydzieści trzy lata i dożywotników na karku – odparł Konrad niewzruszony. – Gołowąs czy nie, muszę poważnie myśleć o ich zabezpieczeniu na przyszłość. Proszę pamiętać, że w przeciwieństwie do poprzednich spadkobierców nie mam żadnych krewnych, ani bliższych, ani dalszych, którzy mogliby zaopiekować się tymi utrapieńcami i całą Lichotką. Co się z nimi stanie, jeśli mnie nagle zabraknie?

Z westchnieniem godnym Szczęsnego starszy mężczyzna otarł spocone czoło.

– Znaczy, nie jesteś pan chory? – upewnił się.

– Wyłącznie na głowę, ale to od urodzenia.

– I nie umierasz pan?

– Chwilowo nigdzie się nie wybieram. – Tym razem obaj westchnęli zgodnie. – Ale skoro już poruszyliśmy temat mojego testamentu... jest jeszcze pewna sprawa, którą powinniśmy omówić. Im wcześniej, tym lepiej.

W miarę jak Romańczuk tłumaczył, w czym rzecz, oczy Kusego stopniowo zwiększały średnicę, jednocześnie wychodząc z orbit, a bladość i rumieńce walczyły o dominację na jego nalanej twarzy.

– Pan... pan żeś się szaleju nażarł czy umysłowość panu na tym drzewie przewiało...? – zapytał słabym głosem.

– Ani jedno, ani drugie. No niech się pan sam zastanowi, panie Kusy. Od tylu lat się pan Lichotką zajmuje, a w dodatku już raz miał ją pan wyłącznie na swojej głowie. Ufał panu poprzedni dożywotnik, ufam panu ja. I co najważniejsze, ufają panu dożywotnicy. Znacicie się jak łyse konie, pan umie wszystkiego dopilnować, dochować tajemnicy. Nie ma szans, żebym znalazł kogoś lepszego.

Lecz Kusy ani myślał zaniechać rozpaczliwych protestów.

– Panie Romańczuk, przecież ja mam już prawie sześćdziesiątkę na karku! Ja... ja bym pańskim ojcem mógł być! Rękę sobie dam odrębać, tu i teraz sobie dam, że na długo przed panem kopnę w kalendarz!

– Dlatego w testamencie stoi jak wół, że Lichotkę wraz z dobrodziejstwem inwentarza odziedziczy albo pan, albo pańscy spadkobiercy.

– Nie, to się nie godzi, nie, ja tu tylko pomagam, ja nie mogę, no nie mogę i już...

– Panie Kusy, proszę – przerwał mu Romańczuk. – Niech pan od razu nie mówi nie, koniec, kropka. Niech się pan chociaż nad tym dobrze zastanowi. Ja naprawdę nie mam nikogo innego, a Licha jakimś obcym za Chiny Wiecznie Ludowe nie zostawię. Nie po tej hecy z lokówką.

Miętoszenie czapki przeszło w decydującą fazę. Kilka szwów nie wytrzymało i puściło, gumka z tyłu napięła się do granic możliwości, lecz się nie poddała.

– Dobra, niech panu będzie, panie Romańczuk. Zastanowię się jeszcze – tymczasowo skapitulowałam Kusy. – Ale spróbuj pan tylko kojfnąć przede mną! – pogroził mu palcem. – Spróbuj pan, panie Romańczuk, to niech mnie pierun na miejscu trzaśnie, a zabiję! I to na śmierć!

Testamentowe przymierze zostało zawarte, a następnie zerwane i ponownie zawarte jeszcze kilkakrotnie, póki starczyło pigwówki z zeszłorocznego pędzenia. Co rusz padając sobie w ramiona, obaj panowie

czynili sobie rozmaite wyznania, rzewnie łkali, przepijali do siebie i deklarowali, zaklinając się na wszystko, co święte, szczerę męskie oddanie, szczerą męską przyjaźń i jeszcze wiele innych uczuć, co do jednego szczerych i męskich aż do bólu, który niewątpliwie już czekał, niecierpliwie przebierając odnóżami, na ich poranne przebudzenie. Dopiero gdy ponury zegar wybił drugą nad ranem, Kusy podryfował w kierunku sofy w salonie, Konrad zaś, wciąż siedząc na łóżku, gładko przeszedł z pozycji wertykalnej w horyzontalną.

Prawie świtało, kiedy obudził go dziwny szelest. Skrzywił się, lecz nawet nie otworzył oczu, tylko naciągnął kołdrę na głowę i zaczął odpływać z powrotem do krainy snu.

Po chwili szelest się powtórzył, tym razem nieco ciszej, a potem rozległo się ciche, jakby nieśmiałe stukanie o szybę i okno uchyliło się odrobinę. Konrad spał już jednak głęboko, w dodatku wydając z siebie straszliwe dźwięki godne tartaku na pełnych obrotach, niczego więc nie usłyszał. Nie poczuł również słodkiego zapachu wilgotnej ziemi, który wślizgnął się do sypialni i zniknął dopiero o poranku.

Nieszczęsny panicz Szczęsny siedział w zamkniętej na cztery spusty bibliotece i osiągał spełnienie.

Tak jak za dawnych czasów, w erze przedkonradowskiej, na parapecie, podłodze, a przede wszystkim na dębowym stole piętrzyły się stosy zapisanych drobnym maczkiem kartek w różnych stadiach upačkania i wymiętoszenia. Dziesiątki zużytych na śmierć długopisów w rozmaitych kolorach walały się gdzie popadnie, służąc jednocześnie za element oryginalnego wystroju wnętrza i pułapkę na każdego, kto nieproszony zajrzy do biblioteki i ośmieli się po nich stąpać. Z regałów, przytwierdzone do brzegów półek kilometrami taśmy klejącej, zwisały wielkie arkusze papieru z notatkami i zapiskami, ozdobionymi mnóstwem wykrzykników i znaków zapytania.

W starym fotelu przy stole siedział po turecku twórca tego lokalnego chaosu i zawzięcie robił na drutach. Pukle miał upięte niedbale na czubku głowy, a na twarzy wymalowaną starannie pudrem, cieniami, kredką i tuszem posepność oraz bladeść z gatunku śmiertelnych. Dodatkowy efekt złowrogiej mroczności osiągnął dzięki smoliście czarnym smugom, które spływały mu z zewnętrznych kącików oczu przez policzki aż na brodę. Był to efekt niezwykle dramatyczny i wstrząsający, lecz całkowicie

niezamierzony, gdyż powstał wskutek niespodziewanego uczulenia na tusz do rzes, które ustawicznie dręczyło panicza i nosiło znamiona jego osobistej tragedii. Przekrwione, opuchnięte oczy nijak nie pasowały mu do gotyckiego wizerunku.

Uparcie ignorując rozmazującą staranny makijaż alergię, Szczęsny dziergał z szaleńczym zapałem, by dać odpocząć przemęczonej weni. Już trzeci miesiąc za łaskawym pozwoleniem Konrada koczował w bibliotece całymi dniami i nocami, tworząc na przemian arcydzieła literatury popularnej i robótek ręcznych. Zapomniał o całym świecie, włącznie z corocznym smażeniem nowego zapasu konfitur, co wielce zasmuciło łakomy brzuszek Licha. Malował się regularnie, by spotęgować wewnętrzny mrok, lecz na tym jego dbałość o estetykę się kończyła. W imię Sztuki przez duże SZ konsekwentnie przeistaczał się z dandysa w rachitycznego intelektualistę z awersją do mydła i żelazka. Lakierki cisnął w kąt i zaczął nosić wygodne moherowe bambosze, które sam sobie zrobił na drutach. Niebieski frak i żółtą kamizelkę zawiesił na okiennej klamce, gdzie beztrąsko porastały kurzem. Jego koszula, niegdyś śnieżnobiała, była teraz szara i upstrzona różnobarwnymi śladami długopisów, zaś koronki kołnierza i mankietów zwisały w strzępach. W chłodniejsze wieczory opatulał się bezkształtnym poncho wielkości małego namiotu w nieokreślonym kolorze. Krótko mówiąc, Szczęsny prezentował sobą obraz nędzy i rozpacz z wyraźną nutą alergii i gotycyzmu.

Nie zmieniało to jednak faktu, że tworzył jak opętany. Po krótkich zmaganiach wewnętrznych postanowił podjąć wyzwanie, jakie rzuciła mu Carmilla, i przerzucić się z poezji na prozę. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że jego wena nie tylko nie miała nic przeciwko tej zmianie, lecz nawet przyjęła ją z niespotykanym entuzjazmem. Po zaledwie dwóch dniach intensywnych rozważań zasiadł za stołem, by popełnić pierwszą w swym życiu po życiu powieść.

Po miesiącu powieść przez pączkowanie stała się trylogią. Wątki rozrastały mu się jak oszalałe, fabuła wiła się i kluczyła, skracając się w wyjątkowo skomplikowany paragraf, a bohaterowie najpierw mnożyli się niczym króliki, po czym ginęli masowo lub indywidualnie wskutek wszelkiej maści chorób, zbrodni i katastrof naturalnych. Główną postacią uczyniwszy nad wyraz piękną, wyzwoloną dziewczynę, dzielną potomkinię upadłego szlacheckiego rodu, rozdartą podwójnie między rolą narzucaną jej przez skostniałe społeczeństwo a pragnieniem przygód oraz między głębokim uduchowieniem a przyziemnymi żądzami, Szczęsny snuł w jej

imieniu wielostronicowe rozważania, stawiając czoła dylematom, wyzwaniom i podstępny męczyznom, którym w głowie było tylko jedno. Z rozdziału na rozdział wyobraźnia – przy czynnym, wręcz gorliwym udziale bardzo świeżych i bardzo, bardzo, bardzo przyjemnych wspomnień – podsuwała mu coraz to nowe wizje, w związku z czym rzeczony „jedno”, na początku zaledwie nieśmiało wzmiankowane, niedopowiedziane i wyposażone w obowiązkowy wianek, badyłek i koszyk z malinami, zyskiwało na rozbuchaniu, rozmachu i rozwiążności, a także coraz bardziej rozbudowanej warstwie szczegółów natury technicznej. Aby dodatkowo ożywić akcję, panicz wciskał gdzie popadnie sceny szermierczych pojedynków, brawurowych ucieczek z rozmaitych więzień, pościgów i bitew na mniejszą lub większą skalę, a nawet napad na pociągi w wykonaniu Indian, sztorm na pełnym morzu i strzelaninę w samo południe. I opisy przyrody. Bardzo dużo opisów przyrody. Nie zapomniał również o czyhających na każdym kroku zbrodniarzach, złowrogich cudzoziemcach, kanibalach, tajemniczych nieznanym i broczących krwią upiorach, które mówiły wierszem i domagały się niesprecyzowanej zemsty za swoje równie niesprecyzowane krzywdy. Do tego dorzucił jeszcze mroczne sekrety przeszłości, ukryte przejścia, posępne lochy, kilka scen wymyślnych tortur, jedną orgię oraz cudowne rozpoznanie kolejno: dawno zaginionego brata, zarażonego trędem kochanka i kuzyna sąsiadów, który przeszedł na ciemną stronę mocy – cokolwiek miałyby to oznaczać. W rezultacie, aby zamknąć wszystkie wątki godnym całości spektakularnym zakończeniem, był zmuszony wysłać połowę pozostałych przy życiu bohaterów na wycieczkę statkiem SS „Titanic”, resztę zaś dobić hiszpanką.

Powstałe tym sposobem dzieło było opasłe nad wyraz i romantyczno-awanturnicze aż do granic bólu. Szczęsny musiał tylko opatrzyć je stosownym tytułem – i tu zaczęły się schody. Dziergając beret z pomponem dla Krakera, usiłował znaleźć kompromis między potrzebą własnego ducha a wymaganiami współczesnego czytelnika. Osobiście uważał, że najlepszy byłby tytuł *Burzliwe dzieje nadobnej ciętym i wielkiej duchem panny Dominique de Carrolle, czyli pełna przygód rozmaitych podróży awanturnicza przez kraje i lądy w poszukiwaniu przeznaczenia, prawdziwej miłości i paru zaginionych osób*, który jednak mógłby nie zmieścić się na okładce wydania kieszonkowego. Myślał więc dalej, produkując kolejne oczka celem pobudzenia weny do tego ostatniego, niewielkiego, lecz jakże istotnego wysiłku. Tak go to pochłonoło, że ani razu nie spostrzegł, jak każdej nocy coś cichaczem włazi do biblioteki i systematycznie podkrada mu włóczkę

kłębek po kłębku.

Pewnego ranka Konrad uznał, że najwyższa pora przesadzić badyłka.

Po krótkich poszukiwaniach znalazł w przybudówce starą glinianą doniczkę, z której był zmuszony eksmitować długonogiego pajęczka, blaszaną konewkę, lekko rdzewiejącą łopatkę i napoczęty worek ziemi ogrodniczej. Tak wyposażony rozsiadł się na werandzie i wziął do eksperymentalnego, bo pierwszego w swoim życiu, sadzenia roślinki. Obok przykucnęło zafascynowane Licho, a przez lśniące szyby z zaciekawieniem zerkały utopce.

Dzień był słoneczny, ale wietrzny. Korony drzew poddawały się silnym podmuchom i gięły, szumiąc zielonym listowiem. Manipulacje z ziemią i badyłkiem bez reszty pochłoneły Romańczuka i jego wiernych kibiców. Dopiero gdy na głowie jednego z utopców spoczęła para wilgotnych męskich majtek, zorientowali się, że rozwieszone pranie sztuka po sztuce szybuje ze sznurka i ląduje gdzie popadnie, głównie w stawie.

Utopce, zwłaszcza ten niespodziewanie obdarowany garderobą, zaczęły stanowczo protestować przeciwko zaśmiecaniu ich przestrzeni życiowej, nie zamierzały jednak kiwnąć w ten sprawie nawet błoniastym palcem. Konrad nie miał zatem innego wyjścia, jak powierzyć świeżo przesadzonego i podlanego badyłka opiece anioła i wziąć się do wyławiania prania wędkarskim czerpakiem, podobnie jak ogrodnicze utensylia odziedziczonym wraz z domem po poprzednich właścicielach.

Przy tej niecodziennej czynności zastali go dwaj mężczyźni, którzy zajechali pod Lichotkę żółtym busem z pstrokatym logo na masce.

– Konradku! Kopę lat! – ryknął radośnie jeden z nich, wysiadając i machając mu energicznie. Drugi został w samochodzie sam na sam z gazetą.

– Mieciu...? – zdziwił się Romańczuk, rozpoznając w nadchodzącym przybyszu Miecia Kurzawskiego, kolegę ze studiów.

– No a jak! – Błysnął olśniewająco wybielonym uzębieniem i poprawił na nosie markowe okulary przeciwsłoneczne. – Co tam, co tam? Pranie robisz?

– Wyławiam – poprawił, wyciągając z wody kolejną koszulkę Licha, tę z Myszka Mickey. – A ciebie jakie lichy tu przygnało?

– Ty, Konradku, jakżeby inaczej! – Mieciu zaśmiał się hałaśliwie. – Jak wiesz, od paru lat robię za dziennikarza śledczego w miejscowej telewizji – nonszalanckim ruchem głowy skinął na busa.

– Żet... gie... ce... – Romańczuk z trudem rozszyfrowywał poszczególne elementy skomplikowanego logo. – Żet Gie Ce Dwadzieścia Cztery? Pierwsze słyszę o takiej stacji. I co niby ten skrót ma oznaczać?

Mieciu wzruszył ramionami.

– A kogo to obchodzi? Złośliwi twierdzą, że Żółte Gumowe Coś. Nieważne, co to znaczy, ważne, że jest oryginalnie, nie? No, Konradku, Konradku! Ptaszki na drzewach ćwierkają, że się do ekologii wzięłeś, wiesz, protesty, łańcuchy, starcia z miejscową ludnością i służbami porządkowymi, te sprawy. Mało ci pisanie książek, co? Szukasz mocniejszych wrażeń? – mrugnął znacząco. – No, powiedz koledze, ponoć było ostro, co? Poleciały wyzwiska? Obelgi? Petardy może albo kamienie? Jakieś skargi na brutalność policji?

– Nie było tam nawet pół policjanta, a ja nie wzięłem się do żadnej ekologii – zaprzeczył Romańczuk. – Po prostu przejeżdżałem obok i się zainteresowałem. Czysty przypadek.

– Ale na drzewie siedziałeś?

– No siedziałem. I co w związku z tym?

– Jak to co? Konradku, na jakim świecie ty żyjesz? Tu się szykuje grubsza afeta, chłopie! Miejscowi krawaciarze chcą sobie nabić kabzę i zafundować ciemnym masom katastrofę naturalną w wersji mini! A ty, czujesz to, przedstawiciel tutejszej inteligencji, literat, autor błyskotliwych opowiadań obyczajowych, w porywie serca stajesz w obronie przyszłości tej ziemi! Przykuwasz się do drzewa w niemym proteście przeciwko korupcji i globalnemu ociepleniu!

Konrad miał ochotę sprostować, że raczej przeciwko pewnym indywidualnościom, lecz w ostatniej chwili ugryzł się w język. Kto jak kto, ale Miecio z rozkoszą by ten temat rozwinął i odpowiednio wyeksponował, zasłaniając się przymusem zachowania dziennikarskiej obiektywności. A on nie zamierzał się nikomu tłumaczyć, dlaczego pan Żuber nazwał go szatanem.

– No, Konradku, ty ci wywiadzik, co? – marudził dalej Miecio. – Nie bądź żyła, pomóż koledze. No i zagrożonej przyrodzie, ma się rozumieć. Te oszołomy w kieckach na pewno nie odpuszczą. Nadal siedzą na tych drzewach, afeta z tego będzie tak czy inaczej, zobaczysz. A ty przemówisz jako głos rozsądku w walce z bezdusznym koncernem i urzędnikami, przy okazji zaistniejesz w mediach jako skłonny do najwyższych poświęceń obrońca zuczków. Zaraz ci sprzedaż książek podskoczy. No, Konradku, ty wiesz, ile czasu mi zajęło znalezienie tego zadupia? Nie daj się prosić, zrób

coś dla środowiska naturalnego. Na drzewo wlałeś, całą noc na nim przesiedziałeś, a koledze na parę pytań nie odpowiesz...?

Wśród szerokiej gamy wad, jaką dysponował Miecio Kurzawski, największą i najgorszą była jego upierdliwość. Tak długo marudził, kwękał i stękał, aż wreszcie Konrad skapitulował i poszedł się przebrać.

– Panie Wiciu, pan da tę kamerę! – zawołał Miecio do swego towarzysza, po czym zaczął rozglądać się po okolicy. – No, całkiem tu przyjemnie, nie ma co... Cisza, spokój, rustykalne klimaty. Wypadnie wiarygodnie, dobrze, dobrze.

– To gdzie go ustawiamy? – zapytał pan Wicio, taszcząc kamerę z samochodu. – Może na tle stawu? Ekologicznie będzie, zielska dużo, czysta woda...

Nagle ich wzrok przykuł zielony łeb, który wystawał spomiędzy tataraku i wybałuszał na nich wyjątkowo wyłupiaste gały. Mieciem aż wstrząsnęło z obrzydzenia.

– Ale bez żaby, panie Wiciu, tylko bez tej żaby. Jest jakaś taka... wybitnie nefotogeniczna.

Żaba w odpowiedzi wywalila na nich jęzor i tyle ją widzieli.

W środku nocy drzwi do sypialni na piętrze uchylły się z cichym jękiem. Do środka wślizgnęła się przygarbiona postać, po czym wlała na łóżko i przycupnęła przy śpiącym Konradzie.

– Kondziuuu... Kooondziuuu...

Postać zaczęła potrząsać Romańczukiem, zdeterminowana, by czym prędzej wyrwać go z objęć głębokiego snu.

– Kooondziuuu...!

– Ssso... o ssso... – wymruczał.

– Kondziu, zbudźże się!

Chcąc nie chcąc, Romańczuk w końcu otworzył oczy i ujrzał panicza w straszliwym poncho i jeszcze straszniejszym makijażu.

– No i czego mnie budzisz...

– Kondziu, słyszysz to? Słyszysz?

– Nie, nic nie sły... – zaczął poirytowany Romańczuk i umilkł raptownie. Usiadł na łóżku. Jednak coś słyszał. Z dołu dochodziło przeraźliwe, przeciągłe zgrzytanie, od którego aż zęby bolały.

Zgrzyyyt. Zgrzyyyt. Zgrzyyyt.

– Nie mogłeś sam powiedzieć Krakersowi, żeby po nocy noży nie ostrzył?

– Krakers śpi niczym ubity, jużem sprawdził. Takoz i Licho. Po domu się ani chybi upiór jakowyś pałeta!

– No to idź z nim pogadaj jak na pewno widmo z ani chybi upiorem i daj mi spać! – Padł z powrotem na poduszkę i obwinął się kołdrą jak kokonem.

– Kiedy ja się duchów lękam!

Konrad wyściubił nos z pościeli.

– Jak się możesz duchów lękać, skoro sam jesteś widmem?!

– Ale nietypowym! Lękam się i basta!

Zgrzyyyt. Zgrzyyyt. Zgrzyyyt.

– Kondziu – wyszeptał Szczęsny – czy ja mogę tu z tobą spać...?

Więcej nie było trzeba. Błyskawicznie oprzytomniawszy, Konrad wyrwał się z objęć pościeli, chwycił panicza za poncho i bez ceregieli zawlókł na parter. Obeszli kolejno wszystkie pomieszczenia, lecz nigdzie nie natrafili nawet na ślad zgrzytającego upiora. Znaleźli tylko kilka ścinków włóczki, walających się po parkiecie.

– Pusto? – zapytał Konrad, sprawdziwszy na koniec, czy drzwi wejściowe są dobrze zamknięte. – Pusto. Zgrzyta jeszcze? Nie zgrzyta. Nowych upiorów nie stwierdzono, możemy się położyć w poczuciu dobrze wypełnionego obowiązku.

– Kiedy zgrzytało, słyszałem wyraźnie! – miauknął panicz, przestraszony i dezorientowany.

– Najwyraźniej pozgrzytało, pozgrzytało i poszło w cholerę. Idź spać, tworzyć, poprawiać makijaż, cokolwiek, zanim coś mnie trafi!

Zostawiwszy panicza na pastwę jego duchofobii, Romańczuk wrócił do łóżka i ledwo przyłożył głowę do poduszki, już spał.

Zgrzyyyt – rozległo się na parterze.

Następnego dnia okazało się, że w domu jest za mało ziemniaków, by Krakers mógł przyrządzić taką liczbę placków, która by go satysfakcjonowała, zatem daleki od wyspania Konrad musiał wsiąść w samochód i pojechać do miasteczka na zakupy. Korzystając z okazji, w drodze powrotnej zajrzał do Kusego, by jeszcze raz, tym razem na trzeźwo i z wsparciem znacznie mniej przerażonej wizją dożywocia pani Kusej, przekonać go do pomysłu z testamentem. Pochłonął zestaw obowiązkowy, czyli kawę i ciasteczko, podziękował i ruszył do Lichotki, zaspokoić ziemniaczane żądania Krakersa.

Jakież było jego zdumienie, gdy parę kilometrów od celu, na usianym

zakrętami odcinku szosy, utknął w może niezbyt długim, ale najprawdźniejszym korku. Zgasił silnik i wysiadł, by się rozejrzeć.

Przejazd blokowały dwie ciężarówki. Pierwsza, załadowana pniami ściętych drzew, usiłowała wyjechać z piaszczystej drogi, która prowadziła na plac spornej budowy, druga zaś, betoniarka, chciała się właśnie tam dostać. Oba pojazdy przesuwwały się trochę do przodu, trochę do tyłu, to w lewo, to w prawo, próbując się jakoś wyminąć i odstawiając na skrzyżowaniu coś w rodzaju zmechanizowanego baleciku, zaś między nimi uwijali się robotnicy i ekolodzy, przeszkadzając ile wlezie.

– Siemasz, bracie!

Na poboczu stał Koziółek Matołek, brudny jak święta ziemia, i tradycyjnie dokumentował całe zajście telefonem. Ani na moment nie spuszczał obiektywu z samochodów, podszedł do Konrada.

– Zaczęło się – oznajmił smutnym głosem. – Z samego rana przemocą zerwali nas z drzew niczym jabłuszka niedojrzałe i zabrali się do wycinki. Znikąd nadziei, znikąd ratunku...

– I siedziałeś tam przez cały czas? Od samego początku? – W zasadzie Konrad nie musiał pytać. Powietrze wokół brodatego młodzieńca było jakby bardziej gęste, a jego ubranie sztywne od brudu.

– Bite dziesięć dni – z dumą potwierdził Koziółek Matołek. – Ni słońce, ni deszcz, ni głód, ni pragnienie, ni komary, ni przyziemna potrzeba fizjologiczna mnie stamtąd nie przepędziły. Ale z tępym osiłkiem uzbrojonym w siekiere trudno dyskutować, zwłaszcza gdy zaczyna rąbać pień, na którym siedzisz. Twoje drzewo ścięli jako pierwsze, wiesz? Leży teraz tam, na tej ciężarówce, nagie, odarte z gałęzi i listowia...

Ku swemu zaskoczeniu Konrad poczuł lekkie ukłucie smutku. Trudno przywiązać się do obcego drzewa, na którym spędziło się zaledwie jedną noc, ba, w ogóle do drzewa jako takiego, zwłaszcza jednego z wielu rosnących w wielkim lesie, a mimo to... Mimo to zrobiło mu się przykro.

– Mam w domu gałązkę z tego drzewa – powiedział. – Mówimy na nią badylek. Puściła korzenie, więc wczoraj ją posadziliśmy do doniczki.

– A więc nie umarło! – rozpogodził się Koziółek Matołek. – Drzewna reanimacja! Recykling zamordowanej przyrody! Ha! To jest myśl! Spróbuję nazbierać gałęzi ze swojego, może też się uda. Cześć, bracie! – krzyknął na pożegnanie już w biegu i popędził w stronę polany, a w ślad za nim ruszył dziesięciodniowy zapaszek.

Pląsy ciężarówek powoli dobiegały końca i kierowcy zaczęli szykować się do dalszej drogi. Pomachawszy brodaczowi, Konrad wsiadł z powrotem do

tico i odpalił. Gdy ruszał, kątem oka dostrzegł w lusterku smukłą postać, która stała w cieniu na skraju lasu. Może tylko mu się zdawało, miał jednak wrażenie, że spoglądała w jego kierunku. Obejrzał się, zaciekawiony, lecz nikogo tam nie było.

– Kooondziuuu... – wśród nocnej ciszy rozległ się przejmujący szept Szczęsnego.

– Zabiję... – dobiegło w odpowiedzi spomiędzy pościeli.

Krwiożercze zapędy Konrada miały pewne, całkiem racjonalne uzasadnienie. To była jego piąta nieprzespana noc z rzędu. Miał już serdecznie dość tych ciągłych pobudek. Wszystko przez tajemniczego zgrzytającego upióra, którego nikt nigdy nie widział, za to każdy słyszał, i to aż nazbyt wyraźnie. Trzeciej nocy oprócz panicza do sypialni przyczłapało również Licho z najeżoną Zmorą w objęciach, skarżąc się na hałas w wykonaniu nieproszonego gościa, piątej zaś nie zabrakło również różowego królika i utopców.

– A Krakera? – zapytał Konrad, ujrawszy zgromadzonych wokół łóższcza dożywotników.

Z dołu dobiegł wyraźnie zaspany pomruk. A to oznaczało, że jeśli nawet zgrzytanie było wyłącznie halucynacją, to przynajmniej sprawiedliwie zbiorową. Nikt nie czuł się pominięty.

Chcąc nie chcąc – bardziej nie chcąc – Romańczuk po raz kolejny w tym tygodniu zwłóknął się z łóżka, by odbyć już niemal tradycyjną nocną przechadzkę po domu, a za nim zgodnie poczłapali pozostali mieszkańcy.

– Naprawdę potrzebujecie mojej obstawy? – zapytał, zaglądając w nawet najmniejszy kąt. – Jest was razem sześcioro, nie licząc obu futrzaków i Krakera. A z nim żaden upiór nie ma szans... o ile trzyma się parteru.

– Z tobą czujemy się pewniej – odrzekły zgodnie utopce, szczerząc poźółkłe kły.

– Poza tym jesteś naszym dożywotnym opiekunem. Męczenie ciebie nie tylko dniami, ale i nocami, żebyś nie sparciał do reszty i zachował żywość ciała i umysłu, to nasz moralny obowiązek – dodał największy z nich.

– Wzruszyłem się aż po pięty...

Udowodniwszy niezbitcie, że zgrzytający upiór nie czyha w jakimś zakamarku, by przy pierwszej okazji wyssać z nich krew lub wysiorbać mózg przez słomkę, Konrad uprzejmie, lecz stanowczo pożegnał Lichotkowe towarzystwo i wrócił w pielesze. Zasypiał w nadziei, że dane mu będzie

wstać nie wcześniej niż tuż przed dziewiątą. Albo najlepiej przed południem.

Nadzieja jednak, jak powszechnie wiadomo, słynie z tego, że matkuje osobom, którym natura poskąpiła inteligencji, braki nadrabiając naiwnością. Nim zegar wybił czwartą, Konrad Romańczuk otworzył oczy.

W pierwszej chwili był pewien, że znowu obudził go głos Szczęsnego. Zgrzytnął zębami, dusząc przekleństwo. Zaraz potem zdał sobie jednak sprawę, że wcale nie słyszał żadnego dźwięku. Żadnych zgrzytów, szeptów, ostrożnych kroków czy obrzydliwego „Kooondziuuu” – niczego. W całym domu panowała cisza jak makiem zasiał. A jednak nie mógł się oprzeć wrażeniu, że oprócz niego w sypialni ktoś jest. I nie spuszcza z niego wzroku.

Na chwilę wstrzymał oddech. Dobra. Nie ma co się pieścić, to tylko wyobraźnia płata mu figle. Upiorne. Tak, to prawda, upiorne, ale figle, nic ponadto. A ten chłód, który czuł na karku, to żaden oddech, tylko nocne powietrze, które wpadało przez otwarte okno. I nic, naprawdę nic nie czyhało pod łóżyszczem, czekając, by złapać Konrada za nogi i wciągnąć prosto do jednej z wielu solidnie uzębionych paszczy. Absolutnie.

Jednym zdecydowanym ruchem odrzucił kołdrę i usiadł, jednocześnie zapalając nocną lampkę, by przy jej świetle stawić czoła wytworowi własnej wyobraźni i czym prędzej móc zasnąć z powrotem. Ułamek sekundy później kompletnie zbaraniał.

W stopach łóżyszczka siedziała, podkuliwszy kolana pod brodę, dziewczyna o wielkich migdałowych oczach. Patrzyła na Konrada, uśmiechając się miękko, a jej skóra delikatnie opalizowała w świetle księżyca. Lecz nie jej obecność odebrała Romańczukowi mowę – a przynajmniej nie tylko ona. Dziewczyna była naga jak ją Matka Natura stworzyła, a za jedyne ubranie służyły jej własne włosy, lśniące i długie, które spływały falami aż na pościel.

No cóż. Przynajmniej jedno było pewne – Konrad natychmiast zapomniał, jak bardzo jeszcze przed chwilą chciało mu się spać.

- Na antropomorficznych bogów... Naga?
- Aha.
- Nagusieńka?
- Aha.
- Tak... całkiem, całkiem, alleluja?

– Bardziej już się chyba nie dało.

Zgromadzeni przy kuchennym stole jak jeden mąż wychylili się, by zerknąć do holu.

Dziewczyna, teraz już ubrana w jedną z koszul Konrada, klęczała na podłodze i ze zdumieniem w oczach przesuwała długimi, szczupłymi palcami po parkiecie, próbując zdrapać lakier. Co chwilę pochylała się jeszcze bardziej i przykładała ucho do drewna, jakby czegoś nasłuchiwała, a potem prostowała się i zaczynała kiwać delikatnie. I tak od godziny. W jej nieustannie falujących miękkich włosach igrało światło poranka. Była wysoka i bardzo szczupła, wręcz patykowata, sprawiała wrażenie kruchej niczym chrust.



– Ani chybi dziwożona jakowaś...

– Skąd ten pomysł?

– No... jest niewiastą. I jest... no, dziwna – oświadczył panicz w poncho, a następnie wziął się do poprawiania niedostatecznie rozmazanego makijażu za pomocą gąbki do mycia naczyń.

– Czy to ona tak zgrzytała? – Licho kichnęło, majtając pod stołem nóżkami w bamboszkach.

– Nie. Raczej nie – poprawił się Konrad. – Przy mnie nie zgrzytała ani

razu. Chociaż wąpię – wymruczał już pod nosem – czybym zauważył, gdyby zaczęła uszami ognie puszczać...

Gdy w końcu otrząsnął się z pierwszego szoku, a potem z paru następnych, zdołał wydusić z siebie kilka podstawowych, acz nieco bełkotliwych pytań w rodzaju „Z kim mam przyjemność mieć przyjemność?”, lecz na żadne nie uzyskał odpowiedzi. Dziewczyna nie odezwała się ani słowem, tylko uśmiechała się łagodnie, wodząc wielkimi, niebieskimi oczyma za Konradem, który miotał się po pokoju i usiłował nie patrzeć na nią wcale, a nawet jeszcze bardziej, by wykrzesać z siebie choć resztki zdrowego rozsądku. Słowno-ręczne wyjaśnienie, co powinna czym prędzej zrobić z otrzymaną koszulą, zajęło mu ponad kwadrans, lecz zakończyło się sukcesem i pozytywnie wpłynęło na jego zdolność koncentracji i logicznego myślenia. Ponownie zadał dziewczynie kilka pytań, tym razem znacznie rozsądniejszych, i ponownie odpowiedziało mu całkowite milczenie.

W ramach słodkiej zemsty, nie czekając ranka, zbudził pozostałych domowników i przedstawił im swój urodziwy problem. Po cichu liczył, że jako istoty nie do końca – czy raczej nie tylko – z tego świata coś wymyślą, mądrego czy też nie.

Licho zaczęło od tej drugiej możliwości.

– Zatrzymamy ją? Proooszęęę, alleluuuujaaa... – Tęczowe oczy anioła zrobiły się wielkie niczym spodki.

– Licho, to nie jest zbłąkany piesek czy kotek, tylko żywy, pełnowymiarowy człowiek. Ludzi się, ot tak, nie przygarnia. Ona na pewno ma gdzieś jakiś dom, rodzinę, jakąś... jakąś odzież. Poza tym Lichotka nie jest z gumy, nie pomieści każdego, kto się nawinie! – dokończył, w pełni świadomy, że ten argument nie ma najmniejszych nawet szans w starciu z możliwościami i zapalem Licha. – Trzeba będzie zawiadomić policję.

– W jakimż to celu? – zdumiał się panicz.

– W jakimż, w jakimż... Może jechała gdzieś samochodem i miała wypadek? Albo ktoś ją napadł, uderzył w głowę? I tak się błąkała w szoku, aż trafiła do nas? Jej trzeba pomóc! Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie pałęta się nago po lesie...

– No tak, kleszcze.

– ...a tym bardziej nie włazi przez okno do cudzych sypialni! Męskich w dodatku!

– Ja tam wciąż uważam, że to dziwożona. Ani chybi.

– I co, tylko czyha, żeby mnie ani chybi do stawu wciągnąć?

– O! Lubo pod prysznic bądź do umywalki! Takie rzeczy się zdarzają. Pamiętam, kiedy byłem jeszcze żywy i młody...

– Słuchajcie, ona szumi! – zdziwione Licho aż rozdziawiło buzię. – Alleluja!

Rzeczywiście, dopiero teraz spostrzegli, że każdemu ruchowi dziewczyny towarzyszył ni to szum, ni to szelest, raz głośniejszy, a raz na granicy słyszalności.

– I tak dziwnie się kiwa – dodał Szczęsny. – Jakby... jakby tak gnie miękko w kibici. Czy to aby zdrowe dla niewiasty...?

Nim przebrzmiało ostatnie słowo panicza, dziewczyna znieruchomiała, wyraźnie czegoś nasłuchując. Na jej twarzy powoli rozkwitał uśmiech – najpierw pojawił się w kącikach ust, potem rozciągnął na całe wargi, delikatnie naznaczył zmarszczkami policzki, aż wreszcie rozbłysnął pełną mocą w oczach, wielkich, pięknych oczach o kształcie migdałów, niebieskich niczym niebo, niczym jeziora toń, tak, jeziora, ale nie byle jakiego, pierwszego lepszego, tylko jeziora nieskażonego brudem cywilizacji, górskiego, krystalicznie czystego i przejrzystego, chłodnego, lecz o temperaturze sprzyjającej życiu we wszelkich jego aspektach...

W pewnym momencie Konrad zdał sobie sprawę, że stoi w bezruchu z wyjątkowo bezmyślną miną i bredzi w myślach jak potłuczony, a dziewczyna właśnie znika na piętrze. Zanim jednak zdążył przejść z całkowitego otumanienia na normalną aktywność intelektualno-ruchową, wróciła na parter, tuląc w objęciach doniczkę z badylką, i po krótkiej szarpaninie z drzwiami, które nie chciały ustąpić pod naciskiem dłoni, bez namysłu wyskoczyła na zewnątrz przez otwarte okno.

– Samobójczyni! – krzyknął panicz wniebogłosy, łapiąc się za serce.

– Dureń – prychnął Konrad, postanowiwszy popaść w gburowatość w ramach kontrastu wobec dziwnego rozanielenia, jakiemu uległ przed momentem, i razem z aniołem rzucił się na werandę.

Świat na zewnątrz zalewały promienie słońca i strumienie wody. Gdzieś w oddali grzmiało. Wyciągając wysoko w górę trzymaną w dłoniach doniczkę, dziewczyna płaśała po trawie, a wraz z nią zgodnie hasały utopce. Śmiała się przy tym bezgłośnie i szeleściła coraz głośniej i głośniej. Wiatr na przemian rozwiewał i płatał jej długie włosy, zaś światło dnia rzucało refleksy na opalizującą skórę, miękką, jasną, połyskującą niczym drogocenna perła...

Konrad zacisnął powieki i z niejakim trudem przełknął ślinę, usiłując przemóc kolejny atak ogłupienia, a przy okazji wyprzeć ze świadomości

fakt, że pod wpływem deszczu koszula, którą miała na sobie dziewczyna, zaczynała się robić tu i ówdzie nieco zbyt przezroczysta jak na jego... eee... nerwy. Tak. Nerwy. Zdecydowanie tak.

– Ej...! – zakrzyknął, lecz natychmiast urwał, zdezorientowany, i zwrócił się do anioła: – To pewnie głupio zabrzmiało, zważywszy, że mieszkam tu już rok, ale... czy one mają jakoś na imię?

– Oczywiście, że alleluja – odparło Licho. – Znaczący, że mają. Utopiec pierwszy, utopiec drugi, utopiec...

– Dobra, już chyba załapałem. A po czym ustalono, który jest który?

– Po liczbie brodawek na plecach. Apsik.

– Aha... No dobra... Ej, utopiec trzeci! – zakrzyknął na chybił trafił.

Najgrubszy z całej czwórki odłączył się od tancerzy i niechętnie przyczłapał pod werandę.

– Czego? – zapytał grzecznie.

– Znać ją? – Wskazał dziewczynę z badyłkiem.

– Nie, bo co?

– Bo to – Konrad zgrzytnął uzębieniem – że znalazłem ją w nocy nagą w swoim łóżku, a nawet nie wiem, jak ma na imię.

– I co, mam ci pogratulować czy jak? – Trzeci uśmiechnął się złośliwie. – Chcesz medal z kartofla?

– Nie, czekaj, to nie to, co myślisz...

– Jaaasne.

– Nie, naprawdę, ona sama... Zresztą nieważne. Skoro jej nie znacie, to czemu z nią tańczycie?

– Bo ona się cieszy i my się cieszymy, więc cieszymy się razem – odparł, po czym odwrócił na pięcie i pocłapał z powrotem do pozostałych. – A tak w ogóle to hamadriady imion nie mają. Nie są im potrzebne.

– Co? Ej, czekaj no! – Romańczuk w paru susach dopadł utopca i chwycił za oślizgłe ramię. – Jakże znowu hamadriady? – Z lekkim obrzydzeniem cofnął upačkaną szlamem dłoń.

Trzeci skrzywił się paskudnie.

– Hamadriada, mówi ci to coś? Nie za bardzo? Co, ich też w tych waszych mięscinach nie macie? To panna drzewna, matołku.

– Czyli duch? – zapytało zaciekawione Licho.

– Czyli dusza. Dusza drzewa.

– A jakiego?

– W tym przypadku świętego.

– W takim razie powinna być już martwa – powiedział Romańczuk,

odnalazłszy w pamięci resztki wiedzy z mitologii. – Ponoć hamadriada ginie wraz ze swoim drzewem.

– A, więc nie wszystkie szare komóreczki umarły z nudów? No to powiedz mi w takim razie, mistrzu dedukcji, władco intelektu, co nasza panna drzewna trzyma w dłoniach.

– Doniczkę.

– Brawo, mądry chłopiec. A z czym?

„A więc nie umarło! Drzewna reanimacja! Recykling zamordowanej przyrody!” – radosne słowa Koziołka Matołka huknęły w umyśle Konrada niczym grom z jasnego nieba.

– Z badyłkiem – wyszeptał. – Z drzewem. Drzewem hamadriady.

Kiedy deszcz ustał i niebo przecięła tęcza, przemoczona, lecz roześmiana hamadriada pożegnała utopce i wróciła do domu, gdzie już czekało na nią Licho z solidną porcją gościnności.

– Panna drzewna... – powtórzył w zamyśleniu Szczęsny, obserwując z kuchni, jak anioł usiłuje wytłumaczyć dziewczynie, na czym polega idea ręcznika. – Cóż, niewątpliwie jest jakaś taka... patykowata i drętwa. Dostrzegam u niej również pewną omszałość. Ciekawe, czy wskazuje północ... Ale czemu nie mówi?

– Przecież mówi. Mówi cały czas.

Szczęśny nabzdyczył się nieco.

– Ja tam nie słyszałem, żeby z jej ust choć słowo padło...

– A spotkałeś kiedyś gadające po ludzku drzewo? Nie, to z filmu się nie liczy, nie było prawdziwe – Konrad ubiegł panicza. – Drzewo mówi po swojemu. Szumi, trzeszczy...

– ...zgrzyta?

– Jasne, zgrzyta, furczy i warkocze. Weź ty się puknij w pukle. A tak poza tym to nie powinieneś przypadkiem tworzyć w jakimś odosobnieniu, zamiast snuć rozważania nad mową hamadriad?

– Przyganiał kocioł garnkowi – burknął panicz. – Moja wena przechodzi kryzys, nawet dzierganie jej nie pomaga. Potrzebuję zatrudnienia dla imaginacji jakowego, które by ją pobudziło do działania.

Wciąż patrzył na hamadriadę. Siedziała teraz na schodach, zawinięta w wielki ręcznik, i głaskała Zmoreę, która wpakowała jej się na kolana. Po chwili z salonu przykicał Rudolf Valentino. Stanął słupka i ostrożnie, zachowując bezpieczną odległość, by móc w razie czego salwować się

ucieczką, obwąchał nieznajomą. Pachniała... kusząco. Nieco papierowo, nieco trocinowo... Smakowicie. Różowy królik przykicał bliżej i nim się spostrzegł, już leżał u hamadriady na podołku, a rozkosz, jaką dawało drapanie za uszkiem, odebrała mu władzę nad puchatymi łapkami.

Imaginacja panicza ziewnęła i wierzgnęła ospale. Zmarszczył przyczernione brwi.

– Skoro panna drzewna nijak się z natury swej nie zowie... to jakże ją my zwać będziemy? O! Może... może... Goplana! Albo... Świtezianka!

– Drzewa od jeziora nie odróżniasz?

– Lilla? Róża? Gardenia? – panicz ani myślał ustąpić.

– To panna drzewna, nie kwietna – odparł cierpliwie Konrad.

– No to... o, proszę! Kora!

– Pierwotna czy wtórna?

– Patysia! – zapiszczało z holu Licho, które również postanowiło podjąć onomastyczne wyzwanie. – Albo... albo Topcia!

– Jakaż tam z niej Topcia, toż to istna Lorelei!

W duszy Konrada coś jęknęło, cicho, lecz boleśnie. Potem była jeszcze Dalia, Flora, Hortensja, Jagoda, Kalina, Maja, Malwina, Rozalia i Ruta, po czym niezrażony ciągłymi odmowami panicz przeszedł z imion roślinnych na poetyckie, wyjątkowo upierając się przy Dafne, która Romańczukowi kojarzyła się w sposób pokretny wyłącznie z drzewem bobkowym.

Z każdą minutą atmosfera stawała się coraz bardziej nerwowa, aż nagle Licho doznało olśnienia.

– Puk.

– Puk? – Konrad zmarszczył brwi w namyśle.

– Puk, alleluja – potwierdziło równie stanowczo.

– A wiesz, że ładnie...

– Ale... ale czemu Puk?

– Bo Szum już nie brzmi tak dobrze – wyjaśniło Szczęsnemu tonem świadczącym, że jest to oczywista oczywistość, a pytanie, które zadał, nawet przy wielkiej dozie życzliwości można zaliczyć jedynie do głupawych.

– Kiedy to takie... prostackie. Nijakie. Bez wyrazu. Gdzież temu imieniu do nadobnego Lorelei?

Romańczuk i Licho wymienili zgodne spojrzenia.

– Powiedz to Szekspirowi, może też zmartwychwstał za sprawą czyjegóż zadu i przyjmie reklamację. Puk. Podoba mi się. Niech będzie Puk.

Sama Puk też nie miała nic przeciwko. Trochę potrwało, zanim metodą inscenizacyjną wyjaśnili hamadriadzie, że ten dźwięk odpowiada jej osobie,

anioł to Licho, czupiradło w poncho – Szczęsny, zaś różowy królik, w zależności od sytuacji, to futrzak, padalec, ten cholerny gryzoń lub, od czasu do czasu, Rudolf Valentino. Imię Konrad od razu powiązała, z kim trzeba. Prezentację pradawnego stwora ciemności zostawili na później.

Siedząc wieczorem w wannie, Romańczuk zastanawiał się, co zrobić z hamadriadą. Przez tę całą hecę z badyłkiem czuł się odpowiedzialny za jej los. Jakkolwiek by patrzeć, to on przyniósł gałązkę do domu i zabronił Lichu wyrzucać, nieświadomie ratując w ten sposób duszę drzewa – Puk. Teraz nadali jej imię, pościelili na kanapie w salonie, dali ubranie, pokazali, jak się otwiera i zamyka drzwi, żeby nie musiała wychodzić oknem... Przyjęli ją pod swój dach i bezwiednie uznali za jedną z nich, jakby to było oczywiste. Licho już się zastanawiało, jaki prezent dać jej pod choinkę.

A przecież miejsce drzewa jest w lesie. Pewnie Puk szybko zacznie za nim tęsknić i odejdzie tak, jak przybyła – niepostrzeżenie, siejąc zamęt wśród mieszkańców Lichotki. Zresztą gdyby nawet postanowiła zostać, w co Konrad wątpił... Pewnego dnia nawet największa doniczka stanie się za mała i trzeba będzie badyłka posadzić w prawdziwej, żywej ziemi, gdzieś na zewnątrz. A co jeśli uschnie, nie wytrzyma pierwszych przymrozków albo zeżrą go jakieś robaczki? Co się wtedy stanie z hamadriadą?

Wziął głęboki wdech i osunął się na dno wanny, zanurzając głowę pod wodę i obserwując wędrujące ku powierzchni bąbelki powietrza. Miał dziwne wrażenie, że w ten sposób próbuje się ukryć przed pewnymi myślami, które natrętnie mu przypominały o swojej obecności.

Puk.

Owszem, nie mogli jej przygarnąć jak zbłąkanego kociaka, a Lichotka nie była z gumy. Tyle że w odpowiedzi na te wymyślne argumenty wszystko w Konradzie darło się jak opętane: I CO Z TEGO, DURNIU GĘSTO PLAMKOWANY?! Na widok wiotkiej, rozszumianej hamadriady głupiał doszczętnie i musiał się bardzo pilnować, żeby się nie ślinić. Cóż, życie na uboczu miało również swoje złe strony – co prawda skutecznie wyleczyło go z myśli o Majce, lecz permanentny brak towarzystwa płci przeciwnej wywarł niekorzystny wpływ na jego odporność na kobiece wdzięki. Bardzo, bardzo niekorzystny. Chociaż, gdyby się tak głębiej zastanowić, chyba nie było z nim jeszcze aż tak źle... Bądź co bądź widok Carmilli nie ruszył go nawet kijem od miotły. Ha, mało tego! Kij od miotły ruszyłyby go bardziej niż Carmilla... Odruchowo odetchnął z ulgą i zaraz zerwał się na równe nogi, charcząc i plując wodą. Tak, mogło być gorzej, skoro myśli o Carmilli

jako istocie wyposażonej w konkretną płęć pchała go ku instynktownej próbie samobójczej.

Wycierając się hektarami ręcznika, któremu Licho nie poskąpiło środków piorących, usiłował nie patrzeć w lustro, by przypadkiem nie spojrzeć sobie w oczy. Przecież nawet jej nie znał, nic o niej nie wiedział. No dobrze, może nie do końca nic. Wiedział już, że bała się ognia. Gdy zobaczyła zapaloną zapałkę, wpadła w panikę, ledwo zdołali ją potem wyciągnąć z opiekuńczych objęć Krakera. Ten drobiazg nie zmieniał jednak faktu, że Konrad i Puk spotkali się zaledwie dobiegając temu i w dodatku przez ten czas nie zamienili nawet słowa. To znaczy on mówił, mówił całkiem sporo, ale ona nie odpowiadała, tylko... tylko na niego patrzyła, ale za to jak patrzyła, rany, tak patrzyła, że...

...że na samo wspomnienie tracił resztki rozumu, a wraz z nimi ostatnie strzępy godności.

Zgrzyyyt. Zgrzyyyt. Zgrzyyyt.

Za to ten dźwięk natychmiast przywrócił mu rozsądek. Szybko naciągnawszy spodnie, Konrad popędził na parter. Z wieżyczki wyskoczyło Licho z kocicą pod pachą i potruczało w ślad za nim.

– Azaliż panna drzewna hałas ów poczyniła? – przywitał ich panicz, wychylając łeb z biblioteki. – Wyraźnie słyszałem, że zgrzytała!

Zanim Konrad zdążył cokolwiek powiedzieć, od strony salonu dobiegło łomotanie. Po dłuższej, niezwykle zaciętej walce z klamką hamadriada w końcu zdołała otworzyć drzwi. Ujrawszy Konrada, zaczęła z przejęciem wymachiwać rękoma, co chwilę wskazując na uszy i podłogę.

– Też to słyszałaś – domyślił się – ale nie rozumiem, o co chodzi z... – Jego wzrok w końcu odkleił się od zarumienionej hamadriady i zaczął błądzić po parkiecie. – O...

W kilku miejscach lakier był zmatowiony lub wręcz zdarty, a drewno pod spodem przetarte, jakby ktoś ciągnął za sobą jakiś przedmiot, ciężki albo o dość ostrych, metalowych brzegach.

– No i gustowną jodełkę diabli wzięli... – mruknął Romańczuk, drapiąc się po głowie.

Lecz hamadriada wciąż była niespokojna. W pewnej chwili chwyciła Konrada za łokieć i zaczęła ciągnąć w stronę drzwi na werandę, wolną ręką gorączkowo coś pokazując.

– Znalazła posepnego zgrzytacza, alleluja!

– Szczęsny, weź z szafki latarkę! – zarządził Konrad. – Już, Puk, już idę, spokojnie...

– Do czorta z wymysłami współczesności, wszak dysponuję świeczką!

Trzasnęła zapałka, w powietrzu pojawił się wąty zapach siarki. Gdy zamigotał płomień, hamadriada zbladła jak śmierć na chorągwi i przywarła do Romańczuka, dygocząc ze strachu.

– Szczęsny, do diabła, zgaś tę zapałkę! – syknął Konrad, odruchowo otaczając hamadriadę opiekuńczymi ramionami. – Pokręciło cię bez reszty, że rozpalasz ogień przy panie drzewnej? Latarkę weź, mówię!

Sploszony panicz wybąkał słowa przeprosin i posłusznie chwycił latarkę. Cała czwórka, uzbrojona w Zmorę, wyszła na zewnątrz, prosto w noc. Kiedy tylko zesli z werandy na trawę, Puk natychmiast wskazała na przybudówkę i przyspieszyła kroku. Podążyli w jej ślady, stąpając na palcach i na wszelki wypadek wstrzymując oddech.

Zardzewiałe zawiasy zgrzytnęły, gdy drzwi otworzyły się z lekkim oporem. W środku panowała kompletna ciemność. Nie odwracając się, Konrad wyciągnął rękę w stronę panicza.

– Dawaj latarkę – szepnął przenikliwie.

Strumień chłodnego światła zaczął błądzić po wnętrzu przybudówki, wyławiając z ciemności dziesiątki rozmaitych skrzynek i pudeł, narzędzia ogrodnicze, stare wędki, resztki materiałów budowlanych, jakie zostały po zeszłorocznym remoncie, i mnóstwo innych rupieci.

– Zgrzyta...? – zapytało szeptem Licho, zerkając do środka spod ramienia Konrada.

– Nie zgrzyta. A także nie świszczy, nie sapie, nie warczy – ubiegł kolejne pytania anioła. – Nic tam nie widzę... Puk, o co chodzi? Czego tu szukamy?

Hamadriada przytknęła patykowaty palec do ust, dając tym sposobem znać, żeby byli cicho, po czym zręcznie wślizgnęła się między rupiecie i bardzo ostrożnie podniosła sporych rozmiarów wiklinowy kosz.

Oczom zebranych ukazała się wielka żeliwna miska, która zazwyczaj stała pod wanną w gościnnej łazience, teraz wypełniona aż po brzegi ścinkami zmechaconej włóczki w rozmaitych kolorach. Pośrodku tej orgii barw tkwił jak gdyby nigdy nic Rudolf Valentino we własnej puchatej osobie, mrużąc czarne oczka przed niespodziewanym światłem.

– No i macie swojego upiora – parsknął Konrad. – Pewnie ciągał tę miskę za sobą po całym domu. Zrujnowałeś mi parkiet, bestio przekłeta!

Królik fuknął pod nosem.

– Już ty na mnie nie fukaj! Czekaaj, niech no ci się do futra dobiore...

Odstawiwszy natychmiast kosz, Puk z surową miną pogroziła Konradowi palcem.

– Nie patrz tak na mnie, Puk. Cały dom przez niego nie spał po nocach. Kara musi być!

– Moja włóczka! Czort jeden, włóczkę mi gwizdnął, widziałaś? – oburzał się tymczasem panicz. – A ja w głowę zachodziłem, czemu mi żółtej na pompon nie wystarczyło!

– O, i jeszcze kradł na dodatek!

– Patrzcie, alleluja, tam coś jest!

Rzeczywiście, w kilku miejscach ścinki wydawały się poruszać. Konrad przykucnął i poświecił bliżej, po czym w ułamku sekundy doszczętnie zbaraniał.

– O żeż ty futrzaku podstępny... – szepnął. – Ty... ty jesteś dziewczynką!

Rudolf Valentino, osobnik płci wbrew powszechnemu mniemaniu niewieściej, z dumą zastrzygła uszami. Siedem małych króliczków, jeszcze ślepych, lecz już intensywnie różowych, gramoliło się wokół niej, popiskując cicho.

– No cóż, to wiele tłumaczy – mruknął Konrad, drapiąc się w zamyśleniu po głowie. – Żaden facet nie mógłby być aż tak wredny...

W odpowiedzi Rudolf Valentino fuknęła pogardliwie.

– A więc na to mu fikuśne leże z miednicy i włóczki podstępem gwizdniętej potrzebne było...

– Rudolfie, zostałeś mamunią! – ucieszyło się Licho i z rozdziawioną buzią zaczęło przyglądać się ślicznym Rudolfiątkom. Słyszac to, Konrad tylko jęknął w duszy. Czekąło go objaśnianie aniołowi, czemu królik płci męskiej nie ma szans na macierzyństwo. I tym razem nijak nie mógł się od tego wykręcić.

Upał powoli się kończył i w stronę Lichotki zaczęła nadciągać bardziej jesienna pogoda. Coraz częściej siąpił deszcz, noce stawały się chłodniejsze, a Krakers wspiał się na wyżyny stanowczości i pewnego ranka zapędził panicza do szykowania ostatnich przetworów na zimę.

Zmagając się dzielnie z muszem gruszkowym z cynamonem, imbirem i kardamonem, Szczęsny co rusz zerkał przez okno na werandę, gdzie na schodkach siedziała Puk. Włosy miała splecione w sięgający daleko za pas gruby warkocz, a na sobie jedną z koszulek anioła i krótkie spodenki. Mimo pogarszającej się pogody nadal biegąła boso. Podparłszy podbródek rękoma, przyglądała się z uwagą, jak Konrad pakuje rzeczy do bagażnika.

Szczęsny westchnął boleściwie, rozdmuchując cynamon po całej kuchni.

W głębi swego z grobu powstałego jestestwa czuł ból wielki i rozdzierający, a wszystko to przez słodką hamadriadę. Jej obecność w Lichotce dla pozostałych stała się czymś na kształt błogosławieństwa, dla niego zaś przekleństwem nad przekleństwami. Inni śmiali się razem z nią, pomagali troszczyć się o badyłka i na nowo odkrywali sprawy i rzeczy najzwyklejsze pod słońcem, o których istnieniu Puk nie miała pojęcia, a które koniec końców często okazywały się wcale nie takie zwyczajne, jak im się zawsze wydawało. Panicz nie miał nic przeciwko temu, ba – sam postanowił wtajemniczyć hamadriadę w tajniki makijażu nad wyraz dramatycznego. Rezultaty tych nauk nie wzbudziły niczyjzego zachwyty, raczej okrzyki zgrozy. Lecz nawet ta porażka by go nie zraziła, nie odarła z zapału, gdyby nie pewien drobiazg, który początkowo mu umykał, by naraz wkręcić się prosto w serce korkociągiem okrucieństwa.

Piękne oczy hamadriady marzycielsko błądziły za Konradem.

Byle jakie gały Konrada łypały pazernie na hamadriadę.

Jedno ciągle szukało drugiego spojrzeniem, muskało niby to przypadkiem dłoń albo włosy. Mieli się ku sobie, choć jeszcze nie do końca byli tego świadomi, a panicz cierpiał. Cierpiał, bo wiedział, jak to powinno wyglądać. Jak to szło? A, tak. Jakież to chłopiec piękny i młody? Jaka to obok dziewczica? Właśnie tak, nie inaczej. Chłopiec piękny i młody, wrażliwy poeta, nie zaś przeżarty cynizmem niczym rdzą, siwiejący już maruder bez cienia romantyzmu w duszy. Szczęśny, nie Konrad. Szczęśny i hamadriada, jak w balladzie...

– Ona mu z kosza daje maliny, a on jej kwiatki do wianka – wyszeptał żarliwie. – Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny, pewnie to jego kochanka...

Westchnął ponownie i w ułamku sekundy dostał przez łeb mokrą szmatą. Macka pogroziła mu i wskazała na rozsypany cynamon, wyraźnie sugerując, by panicz wziął się do sprzątania.

Jako że Krakers nie widział najmniejszego powodu, by dalsze prace nad musem zostały wstrzymane z powodu tragedii natury osobistej, Szczęśny musiał zabrać się do czynności przyziemnych. Obrał i wypatroszył gruszki i właśnie przystępował do ich masakrowania na stosowną ciapkę, gdy na podwórku rozległy się krzyki. Podbiegł do okna, znowu rozsypując cynamon.

– Na mój omszały nagrobek...! – Zdarł z siebie fartuszek i cisnął na podłogę. – Krakers! Czym prędzej ukryj Licho!

Szybko skontrolował stan swej zewnętrżności – mroczny makijaż stylowo

rozmazany, loki związane na czubku głowy wściekle różową frotką i wzburzone jak należy, rozchełstana koszulina ze wspomnieniem koronek, demoniczne poncho i wstrząsające moherowe bambosze – ze schowka pod schodami wyciągnął siekiere, a potem ruszył na odsiecz Konradowi.

– ...skandal, panie! Skandal! Do telewizji, tak, przeciwko ludowi?! Przeciwko postępowi?! Przeciwko taniej żywności w promocji?! Pan za to odpowie, panie Romańczuk, za to i za inne swoje ciemne sprawy i zbrodnicze machinacje!

– Niech pan zabierze mi sprzed nosa tę parasolkę!

– To jest parasol!

– W kwiatki?!

– To żadne kwiatki, to drobny wzór geometryczny! I niech pan nie zmienia tematu, panie Romańczuk! Tym razem się pan byle czym nie wykpi!

Cicho zamknąwszy za sobą drzwi, Szczęsny wyszedł na werandę. Jego wymalowanym i przekrwionym oczom ukazał się widok rodem z najstraszliwszych snów, którego miał nadzieję już nigdy nie oglądać.

Tracący cierpliwość w tempie nadprzyrodzonym Romańczuk stał przy tico, własnym ciałem odruchowo zasłaniając przestraszoną hamadriadę przed rozwścieczonym panem Żubrem i jego parasolką. Starzec, wspierany na flankach przez pana Migłę i niejakiego Władzia, jedną ręką wymachiwał kwiecistym orężem, w drugiej zaś ścisnął kurczowo jakiś papier.

– Pan jesteś szkodnik społeczny! – skrzeczał na Konrada. – Truteń rozbestwiony! Bezbożnik nadrzewny! A do tego wszetecznik nad wszetecznikami! Oto przybywam do tego siedliska szatanistycznej rozpusty i co widzę? Najpierw Aurelię, a teraz tę dziewczuszkę, to dziecko zabiedzone pan bałamucisz?!

Puk skuliła się za plecami Konrada.

– I czemu ta dziewczuszka, to dziecko zabiedzone nie ma butów?! – wtrącił pan Migło.

– Bo nie nosi! Platfusa ma, chyba może?! – ryknął Konrad pełną pierśią.

– Pan ma jakąś obsesję odzieżową czy co? I czego żeście się mnie znów czepili?! Mało wam hecy na drzewie było?!

– Przybyliśmy, by pomścić krzywdę społeczną! Przez pańskie szatańskie knowania, przez te pańskie wywiady we wrogich prawu i sprawiedliwości telewizjach zło się stało, zło nad złami!

– Mnie, mnie się stało, mnie osobiście! – Pan Migło energicznie poklepał się po zdobionej krawatem klatce piersiowej. – O, sam pan posłuchaj! –

wyrwał Żubrowi kartkę i zaczął czytać: – NINIEJSZYM ZAWIADAMIA SIĘ, ŻE BUDOWA HIPERMARKETU „ŻUCZEK” ZOSTAJE WSTRZYMANA DO MOMENTU WYJAŚNIENIA LICZNYCH NIEPRAWIDŁOWOŚCI, UJAWNIONYCH W TRAKCIE KONTROLI PRZEPROWADZONEJ NA WNIOSEK OPINII SPOŁECZNEJ, W TYM LOKALNYCH ŚRODOWISK TWÓRCZYCH I MEDIÓW. Lokalne środowiska twórcze i media to pan, panie Romańczuk! Cześć ma i godność działacza społecznego ucierpiała wskutek pańskich bezczelnych insynuacji!

– A te liczne nieprawidłowości to pewnie też moja sprawka, co? Niech mnie pan nie rozśmiesza...

– Pan jesteś jak... jak chwast! – wyrzeźił Żuber. – Jak perz! Pana by należało wyplewić, ogniem do samiuśkich korzeni wypalić i na koniec trucizną spryskać, żebyś pan więcej zła po świecie nie rozsiewał!

Czując drżenie hamadriady, wściekły Konrad zacisnął zęby, aż mu pociemniało przed oczyma. Za godzinę miał jechać na spotkanie autorskie, gdy nagle przytruchtały te oszołomy i zaczęły robić raban nie z tej ziemi. W innych okolicznościach przyrody zapewne by się nimi nie przejął, ale strach Puk działał na niego jak płachta na byka. Kusilo go, kusilo straszliwie, by wyrwać Żubrowi parasolkę w kwiatki i zdzielić nią wszystkich trzech niechcianych gości parę razy przez te zakute łby.

Ten właśnie moment wybrał Szczęsny, by się wreszcie wtrącić. Poprawił fryz i ruszył w stronę zgromadzenia przy tico. Na widok jego makijażu w stylu *emo gothic* i moherowych bamboszy staruszek aż zsiniał, Konrad zaś niemalże się udławił, usiłując nie parsknąć śmiechem.

– Salami olejkum. – Zadowolony z efektu panicz dygnął cudacznie, trzepiąc upiętymi puklami, po czym zwrócił się do Romańczuka doskonale słyszalnym szeptem: – Przyniosłem siekierę, ale może tą haza dubeltówka cokolwiek stosowniejszą się okaże...?

– A mamy jeszcze naboje czy już wszystkie wystrzelałeś? – zapytał równie cicho Konrad.

– Ależ skąd, w ciągu ostatniego hoku zużyłem zaledwie jeden. Przy mojej celności wystarczy aż nadto! – odparł z dumą panicz.

– A wiesz, że to nie jest taki głupi pomysł...

– Pan... pan... pan chyba nie zamierza uciec się do przemocy fizycznej?! – wysapał Żuber.

– Ja? – zapytała wcielona w Romańczuka niewinność. – Ależ skąd. Osobiście preferuję terror psychiczny, za to mój szanowny utrzymanek ma już na koncie dwie ofiary śmiertelne. Może się pochwalić stuprocentową

skutecznością.

Szczęśny uśmiechnął się tak psychodelicznie, jak tylko zdołał, co przy jego wizerunku okazało się niemal dziecinnie proste.

– To jak, panowie? – Z zapalem zatarł ręce. – Cel stateczny lubo huhomy stanowić wolicie?

Wysysając nikotynę z kolejnego z rzędu papierosa, Carmilla sterczała na szczycie obcasów przed księgarnią w centrum i ciskała niewinnym przechodniom mordercze spojrzenia. Autor jej się spóźniał, bezczelnie i bez uzgodnienia. Miał tu być wczesnym popołudniem temu i co? Nico. Gdy do niego zadzwoniła, by go subtelnie ochrzanić, warknął coś i się rozłączył, a następnych połączeń w ogóle nie odbierał. Od dobrej godziny go wypatrywała, dobierając w myślach stosowne złośliwości i zastanawiając się, ile dodać do nich jadu. Uratować przed zagadaniem mógl wyrodnego autora tylko własny zgon, a i to niekoniecznie, jeśli spóźnienie jeszcze bardziej by się przeciągnęło.

Do rozpoczęcia spotkania został zaledwie kwadrans, kiedy Romańczuk ukazał się na horyzoncie. W obu rękach niósł spętane sznurkiem wielkie paczki i już z daleka było widać, że klnie na czym świat stoi. Ludzie odruchowo omijali go szerokim łukiem.

Carmilla odruchy miała jednak nieprawidłowe. Wzięła głęboki wdech, by rozpocząć opiernicz wszech czasów, i...

– Milcz, jak do mnie mówisz! – warknął, mijając ją, i wpadł do księgarni niczym burza. Skonsternowana Carmilla podreptała za nim prosto na zaplecze. – Wiem, że jestem spóźniony, nie musisz mi tego uświadamiać. Mam dość wrażeń jak na jeden dzień. Najpierw od rana kicało za mną osiem różowych królików, domagając się, żebym zabrał je ze sobą na wycieczkę. Później musiałem się użerać z brygadą uzbrojonych w parasolki i święte oburzenie matolek, dobrze schować broń palną przed Szczęśnym, który nie do końca załapał, na czym polegał jego własny dowcip, a na koniec przez bitą godzinę czekałem na odsiecz. – Awantura z Żubrem i jego poplecznikami bardzo przestraszyła Puk. Za nic w świecie nie chcąc zostawiać jej samej w takim stanie, Konrad zadzwonił po Kusego, który właśnie wybierał się z małżonką na zakupy do pobliskiego miasteczka i chętnie zgodził się zabrać także hamadriadę. Pani Kusa, usłyszawszy o jej brakach odzieżowych, postanowiła skorzystać z nadarzającej się okazji i wziąć ich nadrabianie na swoje barki. Tym sposobem Konrad wyruszył

z Lichotki, już na starcie mając prawie dwie godziny spóźnienia. – Na koniec wpakowałem się w piękny korek na trasie wylotowej z miasta, a jeszcze dziś muszę przebić się przez niego z powrotem, więc uwierz mi, naprawdę nie chcesz się ze mną teraz mierzyć na kąśliwość. Jesteś. Bez Szans. Proszę, romantyczno-erotyczne arcydzieło Szczęsnego. – Paczki z hukiem spoczęły na stole. – Możesz się na nim wyżyć, proponuję zacząć od tytułu. *Burzliwe dzieje nadobnej ciałem i wielkiej duchem panny Dominique de Carrolle, czyli...* wybacz, dalej nie pamiętam, ale jest tego więcej. Dużo, dużo więcej.

Samo spotkanie z czytelnikami w ramach akcji ABY POLSKA CAŁA KSIĄŻKĄ STAŁA przebiegło na szczęście w znacznie spokojniejszej atmosferze. Napojony słodką kawą Konrad się rozluźnił, odzyskał dobry humor. Przez cztery kwadranse miotał dowcipami i gadał jak nakreślony, nikomu nie skacząc do gardła, podczas gdy Carmilla siedziała pod ścianą i mierzyła się z obfitującą w momenty romantyczną twórczością panicza. Kiedy po części właściwej obie strony spotkania przystąpiły do bazgrania po książkach, agentka patrzyła na otrzymane pakunki z jednoczesną zgrozą i fascynacją, a Romańczuk zerkał na nią, chichocząc szatańsko z radości. Zapewne nie byłoby mu tak do śmiechu, gdyby dostrzegł siedzącą w ostatnim rzędzie, nieco posuniętą w latach i kilogramach kobietę w żałobie, która co rusz wtykała dłoń z chusteczką pod gęstą woalę i ocierała rześiste łzy, chlipiąc pod nosem coś o patykowatych dziewczyskach o wątpliwej moralności, zakradających się podstępem, zapewne przez łóżko, do serca mężczyzny najcudniejszego z cudnych.

Wyjazd z centrum, a następnie sterczenie w korku na trasie wylotowej i ćwiczenie płynnego ruszania zajęło Konradowi sporo czasu. Kiedy mijał ostatnią miejscowość, jaka dzieliła go od Lichotki, była już noc. Księżyc skrył się za gęstymi chmurami, a że światła tico, nawet długie, nie należały do szczególnie mocarnych, Romańczuk zwolnił nieco, wjeżdżając między ciemną leśną gęstwinę, by nie potrącić przypadkiem jakiegoś zbłąkanego ekologa czy inszej sarenki. I to prawdopodobnie uratowało mu życie.

Na którymś kilometrze naraz z całych sił wcisnął pedał hamulca aż do podłogi. Zapiszczały opony. Samochód zatańczył na mokrej od deszczu drodze, obrócił się dwukrotnie wokół własnej osi i prawym bokiem zsunął do rowu. Trzasnęło ułamane lustro, jedna z szyb rozsypała się w drobny mak i poobijane tico znieruchomiało. Konrad jęknął, dotykając zranionej

skroni, którą uderzył o drzwiczki. Krew spływała mu na szyję i wsiąkała w materiał kołnierzyka, nie to jednak było teraz najważniejsze. Drżącymi rękoma wypiął się z pasów i pochylił obolałą głowę, by wyrzeć przez przednią szybę. Zobaczył lunę na tle nocnego nieba, nad nią zaś słup gęstego dymu, który wznosił się wysoko ponad koronami drzew. Nagle ogłuszyła go jedna, przerażająca myśl. Serce na moment mu stanęło, po czym pękło.

Lichotka.

Wyskoczył z tico, zostawiając kluczyki w stacyjce, i popędził jak oszalały na skrót przez las. Gałęzie smagały go po ciele, po rękach, po nogach, zrzuciły mu z głowy okulary. Przewrócił się raz i drugi, zdarł sobie skórę na wewnętrznej stronie dłoni i łokciu, poszarpał spodnie. Brakowało mu tchu, ale biegł dalej.

Wypadł z gęstwiny na polanę i prawie runął na ziemię, uderzony falą gorąca.

Lichotka płonęła.

– Szczęśny... Krakers... – wykrztusił przez ściśnięte gardło, osuwając się na kolana. – Puk! Licho!

Zerwał się z ziemi, gotów skoczyć w płomienie, gdy silna dłoń na ramieniu osadziła go w miejscu.

– Won! – wrzasnął, odwracając się do tyłu, gotów trzasnąć w mordę każdego, kto spróbuje go zatrzymać, lecz to dłoń niespodziewanie trzasnęła jego.

– Uspokój się pan! – syknął Kusy, łapiąc Konrada za fraki. Wokół trawionego ogniem domu, oprócz dwóch jednostek straży pożarnej i policji, krążyły grupki podekscytowanych ludzi, których pożar przyciągnął nie wiadomo skąd jak padlina wygłodniałe sępy z drugiego końca pustyni. Kilka osób zaczęło zerkać w ich stronę z zaciekawieniem, kto też się tam pod lasem szamocze i dlaczego. – Ludzka ciekawość to ostatnie, czego nam teraz potrzeba! Nic im nie jest, słyszysz pan? Nic im nie jest! Nic a nic! Tam siedzą, w samochodzie!

Oszołomiony Romańczuk spojrział we wskazanym kierunku. W blasku ognia ujrzał za szybą zaparkowanego nieopodal poloneza kłębowisko koców, z którego wyzierały ostrożnie przestraszone twarze Licha, Szczęśnego i czterech utopców. Obok samochodu stała pani Kusa, obejmując troskliwie roztrzęsioną Puk.

W ułamku sekundy Konrad już był przy nich, już ocierał kolejne osmalone policzki, osuszał łzy i sprawdzał czy wszyscy są cali, żałując, że ma tylko

dwie ręce. Wtedy coś go tknęło.

– A Krakery? – Zastygł na moment. – Co z Krakersem? Co się z nim stało?

– Zniknął – zaskrzeczał najmniejszy utopiec, pierwszy. Stracił w pożarze nieliczne rzesy i teraz wyglądał jeszcze żałośniej, gdy tak wytrzeszczał wielkie wodniste oczyska.

– Zaryczał straszliwie, kiedy zaczęło się palić – pisnęło Licho, usiłując tulić jednocześnie wszystkie króliki i nastroszoną kocicę. – Wyciągnął mnie z wieżyczki, alleluja, roztrzaskał drzwi wejściowe i wszystkich wygonił na zewnątrz. A potem po prostu zniknął. Chyba... chyba nas zostawił. – Pociągnęło nosem, usiłując się nie rozplakać, ale nie do końca mu to wyszło. Łzy wielkie jak grochy spływały mu po brudnych policzkach.

– A badylek... drzewo hamadriady... – wymamrotał Konrad. Przecież od losu tej niewielkiej sadzonki zależało życie Puk. Stracił potwora, stracił dom, miałby... miałby jeszcze i ją...?

Jakby wyczuwając, o czym myśli Romańczuk, hamadriada czym prędzej uniosła głowę i pokręciła nią energicznie, uśmiechając się przez łzy.

– Nie lękaj się – wychrypiał blady jak śmierć na chorągwi Szczęsny i rozchylił koc. Na kolanach trzymał pękniętą doniczkę z nietkniętą sadzonką. – Zdążyłem wynieść i badylka, i laptopa twego, nim na piętrze rozpętało się piekło. Ogień nawet ich nie tknął.

Po raz pierwszy odkąd się poznali, Konrad miał ochotę chwycić panicza w objęcia w celu innym niż zamordowanie go gołymi rękoma. Lecz ostatnie minuty, podczas których zawalił mu się cały świat, sprawiły, że zdołał tylko skinąć głową w podzięcie.

– No, już, niechże się pan teraz zbierze do kupy, panie Romańczuk – rzekł poważnie Kusy. – Nie pora na histerię. Lichotka... nasza Lichotka płonie.

Patrzyli bezradnie, jak nienasycone płomienie pożerały ją zachłannie, cegła po cegle, belka po belce. Nic już nie mogło uratować domu, strażacy walczyli więc tylko o las, który go otaczał. Pierwsza nieubłaganemu żywiołowi poddała się wieżyczka, pękając i sypiąc się niczym wypalona zapałka, po niej zaś runął dach wraz z piętrem, grzebiąc na zawsze to, co przy odrobinie szczęścia mogło się jeszcze ostać z parteru. Podmuch wiatru podpalił również samotne drzewo przed domem i strawił gęstwinę tataraku nad stawem. Nim nadciągnął świt, z gotyckiego domu pośrodku lasu zostały tylko dymiące zgliszcza.

Strażacy, dogasiwszy ogień, wyciągnęli jeszcze tico z rowu, po czym

odjechali do remizy. O dalszy los samochodu, pokieraszowanego, lecz sprawnego, zadbał Kusy, który zachował jako taką przytomność umysłu. Gapie nie wytrwali do końca przedstawienia i przed północą wrócili do domów, zostawiając pogorzalców samym sobie.

Kiedy nadszedł ranek, dożywotnicy spali stłoczeni w polonezie, tuląc się wzajemnie wbrew dotychczasowym animozjom i konfliktom międzygatunkowym, a zakrwawiony Konrad siedział na pieńku i patrzył gdzieś przed siebie niewidzącym wzrokiem. Nie miał siły nawet ruszyć ręką, by pogłaskać po głowie hamadriadę, która przycupnęła na ziemi i objęła go za kolana. Lichotka, jego Lichotka, przestała istnieć. Miejsce na ziemi, które dopiero co zaczął uważać za własne, naprawdę własne, poszło z dymem w ciągu paru godzin. Chciało mu się wyć.

– Co się teraz z nami stanie, alleluja?

Powoli odwrócił głowę i spojrzał na opatulone kocem Licho z umorusaną buzią, osmalonymi skrzydłami i przygaszoną smutkiem aureolą. Nieszczęśliwe – lecz całe i zdrowe. Odetchnął, a jedna rozsądna myśl w końcu przebiła się przez mur czarnej rozpacz. Może i stracili coś więcej niż dom, ale żyli i tylko to się liczyło. Licho, Puk, utopce i futrzaki, cała dziewiątka. Krakiers... jedynie jego zabrakło.

Konrad nie potrafił odpowiedzieć aniołowi, bo sam nie wiedział, co ich teraz czeka, więc uśmiechnął się blado i skinął głową.

– Chodź.

Pociągając nosem, Licho wdrapało mu się na kolana i wtuliło w objęcia.

– Będzie dobrze? – pisnęło.

– Będzie.

– To dobrze, alleluja.

Musi być dobrze, dodał w myślach Romańczuk. Przecież nie może być już gorzej.

Siedząc tak na pieńku z aniołem na kolanach i hamadriadą u boku, stracił rachubę czasu. Po prostu patrzył przez siebie i usiłował nie myśleć. Nie zauważył nawet, jak przybity i nagle postarzały Kusy przyprowadził poturbowane tico. Jego małżonka opatrzyła ranę na skroni Konrada i upewniła się kilkakrotnie, że nie dokuczają mu mdłości ani zawroty głowy.

– To nie są żarty, panie Romańczuk – powtarzała, przyklejając gazę plastrami. – Uderzył się pan w głowę, powinien pan czym prędzej jechać do lekarza.

Konrad upierał się jednak, że nic mu nie będzie. Za żadne skarby nie chciał znowu zostawiać dożywotników, a nie bardzo potrafił sobie

wyobrazić, jak tłumaczy lekarzowi, czemu to kichające dziecko ma skrzydła, zaś ci niscy zieloni panowie skrzela i błonę pławną między palcami. „Utopce, panie doktorze, u-top-ce. Tacy topielcy, tylko bardziej”. Jasne.

Tylne drzwiczki poloneza otworzyły się z rdzawym zgrzytem i wygramoliły się z niego różowe króliki, spragnione trawy i kicania, za nimi zaś wysiadł rozczochrany, rozmazany Szczęsny. Owinął się poncho i rozejrzał po okolicy, tak dobrze mu znanej, a tak pustej i obcej, odkąd zabrakło w niej gotyckiego domu z wieżyczką. Czuł się zagubiony niczym dziecko we mgle. Jego świat z horyzontami na wyciągnięcie ręki, w którym obracał się, odkąd umarł, stracił nagle fundament, punkt odniesienia...

– ...i granice – dokończył na głos panicz, coraz szerzej otwierając oczy.

I wtedy zerwał się, zrzucając poncho, i pognął przed siebie, przez las, na oślep, na pamięć. Nie słyszał cichnących krzyków, nie słyszał, że ktoś za nim goni. Nie poczuł nawet, że zgubił bambosze i biegnie teraz boso, a gałęzie drzew szarpią go za włosy. Przedarł się przez gęste chaszczce, dwoma susami wydostał z pełnego wody rowu i ruszył dalej szosą. Wiedział, dokąd tak pędzi, znał to miejsce lepiej niż kieszeń we własnej kamizelce. Pierwszy słupek, piąty, jedenasty...

Stanął jak wryty.

Goniący go Romańczuk także się zatrzymał.

– Szczęsny... – wydyszał, chwiejąc się na miękkich nogach. Po burzliwych przeżyciach minionej nocy takie sprinty były zdecydowanie nie na jego siły.

– Czyś ty... oszalał...?

Panicz wpatrywał się w słupek jak zahipnotyzowany. Wyciągnął drżącą rękę.

– Tu... Tutaj zasiadywałem, by spoglądać na świat dla mnie niedostępny, a zazdrość i tęsknota kęsały mą duszę – wychrypiał. – Przez dwieście lat tu, tu właśnie przebiegała granica mego pośmiertnego życia. Od Lichotki do grobu, od grobu do Lichotki, nie dalej, we wszystkie strony świata. Za karę, żem się w miłości zbyttno zatracił. Bo kto nad świeckiego życia wylatując krańce, duszą i sercem gubi się w kochance... jej tylko myślą myśli, jej oddycha tchnieniem, ten i po śmierci również własną bytność traci. A Lichotki... Lichotki już nie ma... Granica zniknęła. – Pomału, niczym w transie, postąpił parę kroków, mijając ten jeden jedyny słupek, po czym odwrócił się w stronę Konrada, a jego widmowa twarz pojaśniała. – Jestem wolny.

Z tymi słowami na ustach nieszczęsny panicz Szczęsny znikł.

Dom Kusych nie był może zbyt wielki, ale w salonie znalazło się miejsce na dwa dmuchane materace dla anioła i Konrada. Hamadriada zasnęła na kanapie ze Zmorą pod pachą, a Rudolfowi i króliczkom przypadł w udziale wiklinowy kosz w rogu. Spragnione wody utopce wlały do wanny, by porządnie się wymoczyć i zmyć z siebie duszący zapach spalenizny. Gdy przed południem Kusy zajrzał do salonu, chcąc się upewnić, że wszystko z nimi w porządku, spali jak susły, śniąc o bezlitosnych płomieniach trawiących ich dom. Zaciągnął grube zasłony, po czym wyszedł cicho, na palcach.

– Bożenko – wyszeptał do małżonki, przymykając za sobą drzwi. – Myślę, że to chyba już.

– No to się porobiło – westchnęła ciężko pani Kusa, stawiając wodę na herbatę.

Następne dni wydawały się Konradowi jednym, niekończącym się pasmem utrapień. Żaden z pogorzalców nie potrafił sobie znaleźć miejsca. Anioł kategorycznie odmówił wchodzenia do kuchni, bo jej widok przypominał mu o pradawnym stworze ciemności i doprowadzał do płaczu, siedział więc w salonie w towarzystwie królików i całymi dniami gapił się w telewizor. Nawet sprzątać mu się nie chciało. Z kolei utopce smętnie taplały się w wannie, usiłując mówić do siebie mocno wybrakowaną poezją, gdyż niespodziewanie odkryły, że tęsknią za Szczęsnym, choć przez lata tak chętnie mu dokuczały. Puk, którą wciąż dręczyły koszmary o ogniu, trafiła pod opiekuńcze skrzydła pani Kusej.

Konrad i Szymon Kusy prawie nie wychodzili z komendy powiatowej. Z trudem udało im się przekonać nieco nadgorliwego oficera dyżurnego, że wcale nie są terrorystami i naprawdę zostali wezwani, a następnie dobić do właściwych osób, by potem godzinami dyktować zeznania policjantowi, który dwoma palcami wystukiwał ich słowa na rozklekotanej maszynie. Prawdziwy cyrk rozpoczął się jednak dopiero trzeciego dnia. Nikt nie miał wątpliwości, że pożar wybuchł wskutek umyślnego podpalenia. Tu jednak wszelka zgodność między stronami śledztwa się kończyła. Wspólnym wysiłkiem miejscowe Kojaki stwierdziły, drogą dedukcji, rzecz jasna, że głównym podejrzanym jest nikt inny, jak sam główny poszkodowany, a doszczętne spłonięcie dwustuletniego, w dodatku ubezpieczonego domu wraz z całym wyposażeniem zakwalifikowały jako uzyskanie korzyści

majątkowej na drodze przestępstwa. Przedstawiona im lista świadków, gotowych poręczyć, że Romańczuk jeszcze nie posiadał umiejętności przebywania w dwóch miejscach jednocześnie, wzbudziła ich głęboki niesmak. Z jeszcze większym obrzydzeniem wysłuchali opowieści o aferze z hipermarketem „Żuczek”, w której Romańczuk przypadkiem wziął udział, oraz o związanych z nią groźbach ze strony pana Żubra i jego popieczników.

Konrad miał ochotę wyć.

Dwa tygodnie później na łamach lokalnej gazety rzecznik komendy powiatowej oświadczył wszem i wobec, że w wyniku prowadzonego śledztwa sprawca podpalenia zabytkowej willi z dziewiętnastego wieku, niejaki Migło Konstanty, lat czterdzieści pięć, na którym ciążyły również zarzuty korupcyjne w związku z nielegalną budową hipermarketu, został zatrzymany i w trakcie przesłuchania przyznał się do winy, wskazując na swego kuzyna, Ruczkę Władysława, lat dwadzieścia dziewięć, notowanego za włamanie do kiosku, jako współnika w zbrodni. Mimo to Kojaki nadal spoglądały na Romańczuka z pewną taką podejrzliwością, aż nagle nastąpiła cudowna przemiana. Konrad został wezwany i poinformowany krótko i węzłowato, że dzięki przełomowym zeznaniom nowego świadka oficjalnie i bez żadnych już wątpliwości uznano go za pokrzywdzonego.

Wychodząc pośpiesznie z komendy, by czym prędzej przekazać Lichu i Puk pierwsze od wielu dni dobre wieści, w zamyśleniu wpadł na jakąś kobiecinę w powłóczystej czerni i o mały włos nie zrzucił jej ze schodów.

– Najmocniej przepraszam! – Odruchowo złapał ją wpół i przywrócił do pionu.

Wskutek gwałtownych tych wygibasów gęsta woalka odczepiła się od kapelusika, odsłaniając nadobne inaczej oblicze Aurelii Bercikówny.

– Ależ... ależ panie Konradzie! – Z niejakim oporem wyrwała się z objęć oszołomionego Romańczuka. – Doprawdy, nie trzeba, nic się nie stało...

Odskoczył od niej jak oparzony, a w jego brązowych oczach zalśniła zaciętość. Była jedną z po dwakroć przeklętych nich. Na samą myśl o niej i jej kompanach w kieszeni otworzył mu się nóż rozmiarów maczety. Mieli czelność nachodzić go i nękać, wmawiając, że jest złym na wskroś, nieodpowiedzialnym człowiekiem, niegodnym posiadania anioła stróża, a sami nie zawahali się przed... przed... Zacisnął pięści, bezwiednie i tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie. Może nie był wzorem opiekuna, może wciąż zapominał o spodenkach dla Licha, ale nigdy, przenigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Nikomu. Choćby nie wiadomo jak bardzo by go nienawidził.

Widząc piekielny ogień w oczach Romańczuka, panna Bercikówna cofnęła się o krok, wyraźnie skonfundowana.

– Chyba... chyba nie powinniśmy ze sobą rozmawiać, panie Konradzie. Z uwagi na okoliczności, dobro śledztwa, rozumie pan – dodała, poprawiając nerwowo kapelusik.

– Oczywiście. Do widzenia pani, panno Bercikówno. – Skłonił się z rezerwą i odwrócił, by czym prędzej pokonać ostatnie stopnie.

– Panie Konradzie! – Rozejrzała się, czy nikt ich przypadkiem nie widzi. – Proszę... proszę mi tylko powiedzieć, czy nikt aby nie ucierpiał w pożarze...?

– Niestety. – Nie zdołał powstrzymać się od warknięcia. – Pani koledzy mają na sumieniach nie tylko dom i dorobek mojego życia. Może im pani pogratulować.

– Och! – zakrzyknęła, przysłaniając usta dłonią. – Och, czy ten słodki aniołeczek, ti, ti, ti...

Konrad zgrzytnął zębami.

– Przestraszony, zapłakany i bez dachu nad głową. Stracił najbliższego przyjaciela. Ale poza tym jest cały i zdrowy. Miał więcej szczęścia niż wy rozumu.

Odetchnęła pełną, obfitą piersią, aż jej żabocik zafalował.

– Doprawdy... doprawdy, nie wiem, co panu powiedzieć... Tamtego popołudnia byłam na pańskim spotkaniu. Pewnie mnie pan nawet nie widział, tylu ludzi przyszło, ale siedziałam do samego końca! Nie mogłam wprost uwierzyć, gdy usłyszałam, co się wtedy stało... gdy pan Migło wyznał mi swoją winę. To był taki dobry człowiek, a tak nisko upadł... – Szybko otarła łzę, po czym wyprostowała się z godnością. – Od lat darzyliśmy się szczerą sympatią, uznałam jednak, że mimo to moim moralnym i obywatelskim obowiązkiem jest powiadomienie stosownych organów o jego karygodnym postępku. A teraz pan jeszcze mówi, że ktoś ucierpiał...

Sens jej słów dotarł do Romańczuka z lekkim opóźnieniem. Mężczyzna zmarszczył brwi.

– To pani? – zapytał niedowierzająco. – To pani zeznania zakończyły sprawę?

– Cóż, chociaż tyle mogę zrobić. Mam nadzieję, że mimo tej tragedii będzie pan jeszcze szczęśliwy z tym swoim aniołeczkiem... i tą młodą... – chrząknęła – ...dama, która pojawiła się u pana boku.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Konrad uśmiechnął się do niej może

niezbyt szeroko, lecz naprawdę szczerze. Jasne, wspomnienie niezdarnych awansów tej niezbyt urodziwej i nieco zbyt natrętnej starej panny przyprawiało go o dreszcze, lecz w przeciwieństwie do pana Żubra i pana Migły panna Aurelia kierowała się nie zawiścią, ale elementarną ludzką uczciwością. Konrad wiedział, że nigdy nie zdoła o niej zapomnieć, przede wszystkim z wdzięczności za to, co teraz zrobiła – choć nie tylko. Widok panny Bercikówny składającej usteczka w teoretycznie kuszący ciup trudno było wyprzeć z pamięci... Odgonił przyprawiające o dreszcz myśli i ukłonił się ponownie.

– Ja również mam taką nadzieję. Do widzenia, panno Bercikówno. I... dziękuję. Bardzo pani dziękuję.

Gdy wyjeżdżał z parkingu przed komendą, panna Aurelia wciąż stała na schodach, machając mu na pożegnanie czarną woalką. A Konrada nieprzyjemnie gryzło poczucie, że nie ocenił jej sprawiedliwie. I nie tylko jej. Dlatego gdy tylko dotarł pod dom Kusych, jeszcze zanim wysiadł z samochodu i dołączył do uszczuplonej gromadki dożywootników, wysuptał z kieszeni telefon. Komuś był winien przeprosiny. Komuś był winien przynajmniej jedno dobre słowo. Uśmiechnąwszy się pod wąsem, wystukał je na klawiaturze, mając nadzieję, że Majka szybko zapomni mu te wszystkie zjadliwe głupoty, jakie jej swego czasu nagadał. I jeszcze szybciej pocieszy się w ramionach właściwego faceta. Takiego, który doceni ją już na samym początku.

Pierwsze, co usłyszał, przestępując próg domu Kusych, to dźwięczny głosik, który śpiewał z zapalem:

– *My mieszkamy w chatce drwala, tralalala tra-la-la, naszą chatkę las okala, tralalala tra-la-la, a nazywamy się Jaś i Mał-gooosiaaa...*

Uśmiechnięte od ucha do ucha Licho siedziało na kuchennej szafce i szorowało garnek tak wielki, że mogłoby się w nim z powodzeniem całe schować.

– Licho...? – Zaskoczony Romańczuk zatrzymał się w drzwiach. – A coś ty takie rozradowane?

– Patrz, alleluja! Patrz! – Wskazało na okno i z przejęcia zaczęło kichać raz za razem.

Podszedł bliżej i trochę się pochylił, żeby nie oślepiało go wpadające z podwórka światło. Na szybie widniał dziwny, bardzo wyraźny ślad – sześć odciśniętych kółek, jakby... jakby coś się przyssało...

– Krakers...? – wyszeptał Konrad, przecierając ze zdumienia oczy.

– Krakers! – potwierdził rozradowany anioł. – Przeportasował się prosto

z pożaru i teraz czeka, aż znajdziemy jakiś dom z porządną piwnicą, żeby mógł wrócić. Zostawił odcisk macki, żebyśmy się o niego już nie martwili. I zdążył zabrać z Lichotki trochę garnków!

– A skąd ty to wiesz?

– No przecież powiedziałam, że zostawił odcisk macki. Taki odcisk jest bardzo wymowny, alleluja.

Patrząc na rozradowane Licho, Konrad Romańczuk w końcu uwierzył we własne słowa sprzed trzech tygodni. Będzie dobrze.

Dom stał na dalekim skraju miasta, już za tablicą wyznaczającą jego teoretyczny koniec, gdzie nie docierały nawet zdezelowane ikarusy, a i listonoszowi zapewne nie było po drodze, z dala od innych budynków, mniej lub bardziej ruchliwych ulic i tym podobnych przejawów natrętnej cywilizacji, za to nieopodal leniwie płynącej rzeczki. Dotarcie do niego wymagało wielkiej czujności i jeszcze większego samozaparcia. Najpierw należało odbić od biegnącej przez pola, usianej dziurami szosy, która nawet o tej porze dnia świeciła pustkami, a potem przez parę minut z mozołem telepać się zwirową dróżką, snującą się pokrętnie między licznymi zagajnikami. Dom stał na samym jej końcu, schowany za wysokim, podmurowanym parkanem i nieprzebytą gęstwiną zdziczałych krzewów, nad nimi zaś górowały bardzo stare drzewa o rozłożystych koronach. Wokół, jak okiem sięgnąć, ani śladu człowieka, tylko nieprzebrana zieleń i cisza jak makiem zasiał. Gasząc silnik i światła, Konrad zerkał na prześwitujące między listowiem płamy ceglanych ścian.

Po ostatnich przejściach spodziewał się już wszystkiego, z hiszpańską inkwizycją włącznie – lecz nie wezwanego przez Kusych smutnego pana z teczką, który przedstawił się jako Adalbert E. Wasyluk, strażnik dożywocia, i po uważnym sprawdzeniu tożsamości Konrada wręczył mu wielką kopertę z dokumentami oraz pęk kluczy.

– Nie sądził pan chyba, panie Romańczuk – rzekł przy tym z ledwo wyczuwalną naganą – że pańscy przodkowie nie przewidzieli również takiej klęski żywiołowej, jak pożar, powódź, huragan bądź przemarsz wojsk austriackich. Proszę pokwitować, tu i tu.

Konrad miał nieodparte wrażenie, że powinien czym prędzej przeprosić za ten brak wiary we własną rodzinę, lecz pan Wasyluk nie dał mu najmniejszej szansy.

– Dom, w którym teraz zamieszkacie – ciągnął – znajduje się w mieście

i nie jest może tak stary i urokliwy jak Lichotka, lecz, jak to się mówi, ma w sobie to coś. Jak również ogród i rozległe piwnice w sam raz dla pana Krakera, zdoła w nich swobodnie rozprostować macki. Zawiadomiłem już kogo trzeba, dom będzie czekał na wasz przyjazd wysprzątnany, wywietrzony i ogrzany. Podstawowe sprzęty musicie państwo jednakowoż zapewnić sobie we własnym zakresie. I jeśli mogę coś zasugerować, panie Romańczuk... Proszę o niego dbać. Trzecim niestety nie dysponujemy.

Po kilku eksplozjach euforii dożywotnicy trochę ochłonęli i zaczęli planować przeprowadzkę. Pani Kusa oznajmiła, że nigdzie nikogo nie puści, póki odpowiednio ich nie wyposaży, i wbrew protestom Konrada sporządziła listę niezbędnych zakupów. Licho piszczało z ekscytacji, różowe króliki kicały jak szalone, a Puk płasała po całym domu, szumiąc i szeleszcząc.

I tylko trzy utopce, słysząc „miasto” i „przeprowadzka”, obraziły się na cały świat.

– Miasto? Pfff! – prychnął pierwszy, a w ślad za nim drugi i czwarty. – My tam nigdzie się nie wybieramy. Miejska woda zawiera zbyt dużo kamienia, wysuszy nam skórę.

– Miasto? – Utopiec trzeci poskrobał się po głowie. – Przygoda, wielki świat, kto wie, może nawet nowe bajoro tylko dla mnie... W zasadzie czemu nie?

Po krótkiej dyskusji ustalono, że Kusy przemyci trzy zbuntowane utopce do leżącego kilkadziesiąt kilometrów stąd jeziora, gdzie będą mogły nie tylko dbać o właściwe nawilżenie skóry, ale również z upodobaniem straszyć turystów, czwarty zaś ruszy na podbój miasta. Przysiągł również regularnie odwiedzać nagrobek Szczęsnego i pozdrawiać go od wszystkich – nawet od Konrada, który niespodziewanie dla samego siebie stwierdził, że tęskni za towarzystwem nieszczęsnego panicza.

Najtrudniejsze okazało się jednak pożegnanie przed samym wyjazdem. Licho nie mogło się odkleić od Kusego, któremu co rusz wilgotniały oczy.

– No już, już... – mamrotał, niezdarnie głaszcząc je po głowie. – No, czego buczysz, Licho... Przecież nie jedziecie na koniec świata, będziemy was odwiedzać. Ktoś przecież musi wam to i owo przybić czy przykręcić, żeby się ten wasz Romańczuk młotkiem albo wiertarką przypadkiem nie zabił. O, i na święta na pewno przyjedziemy... No, rozchmurz się i już tak nie bucz, aniołeczku, bo i ja się rozkleję...

Skończyło się na tym, że sterroryzowany łzami anioła Kusy wsiadł do poloneza wraz z utopcem trzecim i bagażami zdjętymi z dachu tico, by

towarzyszyć dożywotnikom aż do ich nowego domu.

Miasto przywitało dożywotników tradycyjnymi korkami. Przebiwszy się przez nieznośnie hałaśliwe centrum, trzykrotnie zabłądzili w poszukiwaniu właściwego adresu. Konrad, choć nie znał tej okolicy, wolał nie pytać zbyt często o drogę. Ktoś mógł się przecież zainteresować owiniętym w koc dziwnym, garbatym dzieckiem, które siedziało z tyłu wyklepanego tico i z wielką fascynacją chłonęło nieznane widoki, kichając raz po raz, aż w powietrze wzlatywało pierze, i zadając trudne pytania w rodzaju „skąd się biorą dziury w asfalcie”. W końcu jednak skapitulował, coraz bardziej poirytowany wszechobecnym zgiełkiem i smrodem spalin, i zaczął jakiegoś niemiłosiernie spoconego przechodnia, ten zaś, ku wielkiemu zaskoczeniu i jeszcze większej radości Romańczuka, pokierował go nie ku gęstym zabudowaniom któregoś z wszędobylskich osiedli, lecz w przeciwną stronę, do zapomnianych przez ludzi i komunikację zbiorową granic miasta.

Tym sposobem w końcu zatrzymali się przed wysoką, zamkniętą na solidną kłódkę bramą, a załadowany po sam dach polonez zaparkował tuż za nimi. Furtka była uchylona. Zostawiwszy nadprzyrodzonych domowników pod opieką Kusego, głuchy na ich protesty Romańczuk ruszył zwirową ścieżką na przespīgi.

Dzięki rozłożystym koronom drzew, które tworzyły wielki parasol, posesja tonęła w półcieniu. Po rozgrzanym wczesno-jesiennym słońcem dalekim centrum wydawała się oazą chłodu. W samym jej sercu krył się dom – duży, cichy, uśpiony.

Nagle Konrad poczuł w żołądku dziwne łaskotanie, jakby połknął chmurę nad wyraz ruchliwych motyli. Przecież nie tak znowu dawno temu stał z rozdziawioną gębą przed zupełnie innym domem, dziesiątki, setki kilometrów stąd, zaś jego życie właśnie wchodziło na pełnym gazie w bardzo ostry zakręt, za którym już czekał zasmarkany anioł w bamboszach, widmo z tendencją do cielesności, przerośnięta ośmiornica i cztery społeczne utopce. No i Puk. Nie pięknooka Majka, której nagle zabrakło, choć wydawało się, że była i będzie przy nim zawsze, tylko Puk. Pachnąca żywicą i życiem, szumiąca kojąco, radosna, ufna i ciepła, tańcząca w strugach deszczu i godzinami patrząca w rozgwieżdżone niebo – Puk, z którą wystarczyło po prostu być.

Teraz ów ostry zakręt był już daleko w tyle, ledwo majacząc na horyzoncie razem z domem, widmem i złamanym sercem, chociaż od tamtego sierpniowego dnia minął zaledwie rok...

Konrad w zamyśleniu sięgnął do kieszeni. Ledwo zdążył z niej wyciągnąć

pęk kluczy, gdy wtem rozległ się zgrzyt i z boku domu, pod gankiem, otworzyły się drzwiczki. Najpierw na świat wyrzała głowa zwieńczona grzywą długich, zmierzwionych jasnych włosów i równie imponującym zarostem na poczciwej, ogorzałej twarzy, za nią zaś mocarne prawe ramię, potem noga do kompletu, aż wreszcie po serii twórczych złorzeczeń z piwnicy wydobyła się całość człowieka.

Romańczuk, szczupły mężczyzna o posępnej urodzie przedstawiciela piekieł, miał wrażenie, że spogląda na swój negatyw. Potężnej postury blondyn w bojówkach i czarnej koszulce z logo kapeli heavymetalowej oraz mnóstwem rzemieni na nadgarstkach idealnie nadawałby się na wikinga. W prawej dłoni z nonszalancką wprawą trzymał wielką siekiere, brakowało mu jedynie drakkara na podorędziu. Łypnął błękitnym okiem na przybysza. Gdzieś między jego bujną brodą a gęstym wąsem rozciągnął się życzliwy uśmiech.

– Sława! – huknął z całego serca. – Widzę, że mam przed sobą nowego gospodarza. – Kiwnął głową w stronę pęku kluczy, który trzymał Romańczuk. Identyczny wisiał u jego boku na łańcuchu zaczepionym o szeroki skórzany pas. – Z nieba mi spadłeś, chłopie, już myślałem, że tu całą jesień będę wędnać sam jako ten palec w rzyci gmerający.

– Romańczuk. A tak poza tym to Konrad.

– Turu Brząszczyk!

– Turu? – stęknął Konrad, ledwo wrywając dłoń z powitalnego uścisku o sile imadła. – Dość... niecodzienne imię. Czy raczej przydomek.

– Wymyśliły go jakieś zaznajomione z mą skromną osobą jełopy, co to tura od Thora nie odróżniają – wyjaśnił Turu. – Świadomość w narodzie ginie, chłopie, przeciętna dusza słowiańska o bratniej w wolności umiłowaniu duszy nordyckiej już nie pamięta... – Z westchnieniem pogładził srebrną zawieszkę na szyi. – No, to jak, krótka wycieczka po komnatach zamczyska, a potem po piweńku?

Zanim Konrad zdążył cokolwiek odpowiedzieć, już był w środku, pędząc za energicznym Turem, który najwyraźniej specjalizował się w błyskawicznym oprowadzaniu gości. Obejrzenie piętra, parteru, poddasza i powrót na wielki ganek zajęły im niespełna kwadrans.

– Chałupa jak się patrzy – skwitował Turu, wyciągając z piwniczki pod gankiem zgrzewkę piwa. – Piękna, przedwojenna, ale sprzątań tu od cholery.

– Tym się jakoś nie martwię... – mruknął Romańczuk. Nie istniał taki metraż, z którym nie uporałoby się Licho, zwłaszcza uzbrojone w mopa,

odkurzacz i kilka płyt z bajkami muzycznymi.

– Cisza, spokój, obcy się tu nie kręca – ciągnął Turu. – Wieść gminna niesie, że w domu straszą gestapowcy.

– A dziewiętnastowieczni samobójcy z maniacką skłonnością do poezji...? – zapytał z cichą nadzieją, choć za żadne skarby i pod żadną groźbą by się nie przyznał, że trochę mu brakowało romantycznego aż do przesady widma o zmiennym stanie skupienia. I to nie tylko dlatego, że musiał je teraz zastępować, wspólnie z Carmillą pracując nad wydaniem oszałamiającego objętością i rozmachem romansidła, które pozostawił po sobie Szczęsny.

– Nie, o takich straszidłach nie słyszałem. Gestapowcy albo panny ciut lżejszych obyczajów, zależy od wersji. Ponoć swego czasu niejedno się w tych murach działo, ale jak siedem lat tu pomieszkuję za kuchnią, żadnego widma nie widziałem – w głosie Tura pobrzmiwało rozczarowanie. – Chyba jestem mało wrażliwy na życie pozagrobowe. Za to od *circa about* trzech tygodni coś strasznie wyje w rurach, zwłaszcza w nocy. Żebyś się, chłopie nie zdziwił i w majty nie popuścił. Przerazający dźwięk, jakby jakieś upiorzysko zawodziło potępieńczo. Pewnikiem coś się w nich zagnieździło...

– Krakery – oznajmił grzeczny głos. – Apsik.

Konrad poczuł, że miękną mu kolana.

– Na zdrowie. A tak poza tym że co? – zapytał blond wiking.

– Krakery, apsik – powtórzyło Licho. Przedzierając się przez gęstwinę, zgubiło koc i teraz stało przed mało wrażliwym na życie pozagrobowe Turem w całej anielskiej okazałości. Dygnęło. – Dzień dobry, alleluja. To Krakery się zagnieździł i teraz zawodzi, nie upiór. Bo mu się garnki nie mieszczą. Przeniósł się tu z nimi z Lichotki przez magiczne portasy, żeby uciec przed pożarem.

– Portasy? Jakie portasy? – zapytał Romańczuk zduszonym głosem, czując, że siwieje w tempie przyspieszonym. No i tajemnicę na samym wstępie diabli wzięli. Oczyma duszy swojej widział już żadne sensacje tłumy dziennikarzy walące drzwiami i oknami, nagłówki w gazetach mniej lub bardziej szmatławych, krzyczące: CZY WY WIECIE, CZY NIE WIECIE, ANIOŁOWIE SĄ NA ŚWIECIE!!! Zrobiło mu się niedobrze.

Za to Turu wyraźnie poweselał.

– Aaa, przez te, jak im tam, portale! No, to wiele tłumaczy. Znaczy, nie muszę już grzebać w rurach?

– Nie, demolka nie będzie konieczna – odparł szybko Romańczuk. – Licho,

skoro już tu przyszłość, weź klucze i powiedz Kusemu, żeby wprowadził samochody. Tylko niech potem zamknie bramę na kłódkę. Ja tu... ja tu muszę jeszcze porozmawiać z panem Turem.

– Twój? – zapytał Turu, gdy Licho zniknęło w gąszczu roślinności wszelakiej.

– Mój.

– A co on tak kicha, przeziębził się?

– Ma uczulenie na pierze.

Turu ze smutkiem pokręcił głową.

– Co za czasy. Żeby już nawet anieli na pierze kichali...

Zaintrygowany Romańczuk porzucił myśl o nalocie dziennikarzy przy dźwiękach *Cwału walkirii* i spojrzał prosto w błękitne oczy wikinga.

– To anioł.

– No, anioł – przytaknął uśmiechnięty Turu. – Słodki berbec.

– Anioł. A-nioł. A-n-i-o-ł. Dwustuletni. Skrzydła, aureolka, moc nadprzyrodzona...

– ...i bomba bamboszki – dokończył Turu. – Chociaż kolor mi nie leży. To jak z tym piwkiem? Otwierać?

– Spotykasz prawdziwego, żywego anioła w bamboszkach i nic? Nawet cię to nie dziwi?

– A co ma mnie dziwić, anioł jak anioł. Wszystko się z etosem zgadza, nie? Ja jestem człowiek otwarty. No, gdybym zobaczył, dajmy na to, różowego królika czy inszego szczura, to tak, wtedy bym zaczął się martwić. Różowy kolor jest sprzeczny z naturą.

Wstrząśnięty i nieco zmieszany Romańczuk przesunął wzrok z wikinga na Rudolfa Valentino, która jak zwykle nie mogła usiedzieć w miejscu i kicała z zapalem po trawie przed domem, za nią zaś podążało jej puchate potomstwo. Na tle soczystej zieleni wściekle różowe futerko ośmiu królików robiło piorunujące wrażenie.

– Sprzeczny z naturą, powiadasz... Wiesz, Turu – uśmiechając się coraz szerzej, Konrad Romańczuk wyciągnął dłoń po puszkę piwa – myślę, że to może być początek wspaniałej przyjaźni.

KONIEC, ALLELUJA

Korekta: Tatiana Hardej

Ilustracja na okładkę i pozostałe ilustracje: Elwira Pawlikowska, www.grimdream.com

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-2357-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow